Kroczący sztandar

„Był cień, który biegł koło mnie – to wyprzedzał mnie, to zostawał w tyle. Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające.” ~ Józef Piłsudski

Rozdział I

Karmazynowy ślad szminki odbił się na pancernym szkle.

Alicja spojrzała po raz ostatni na wyzierające znad kokpitu oblicze męża. Przez krótki moment pomyślała, że takiego samego mogła go zobaczyć następnym razem, w trumnie, ale zaraz przypomniała sobie, że Polacy nie grzebią poległych.

Przetarła oczy, potrząsnęła głową i powiedziała łamiącym się głosem:

– Jesteś moim najsłodszym upadkiem, nigdy ci… Nigdy ci nie wybaczę, jeśli nie wrócisz, rozumiesz mnie? – pomasowała nabiegłe krwią powieki i uderzyła raz po raz pięścią we własne odbicie. – Musisz dać radę, bo obiecałeś.

Jednak Kapitan Izydor Murykiewicz nie mógł jej usłyszeć, pogrążony w bezmiarze stukotów, świstów i pohukiwań kombinezonu bojowego. Odważył się jeszcze podnieść głowę, by wlepić wzrok w blednący na szybie czerwony kształt, który zaraz zniknął pod siłą dwóch przeciwstawnych strumieni wody.

Sztywne ramiona wycieraczek bezceremonialnie rozprowadziły warstwę chemicznego płynu do czyszczenia, po czym zastygły w bezruchu, a następnie opadły smętnie na boki.

– Tutaj Samson zero jeden, Szwadron pierwszy, pierwszy Samodzielny Pancerny Batalion Miotaczy Przeciw–tkankowych. – zaraportował do żeliwnej słuchawki, po czym komunikat z semafora wypluł z siebie serię trzech zielonych błysków. – Przeprowadzam procedurę…

Nie skończył jednak, gdyż z otworu za jego plecami rozległ się znajomy głos technika.

– Mury, bez nerwancji ja ciebie proszem. – mlasnął zmęczony mechanik, przeżuwając coś w ustach. – Odpalaj kolanka i pokręć się po prostu, bo ja tu wiesz, liczyłem jeszcze zdążyć na wieczorek poetycki, hy–hy.

– Przeprowadzam procedurę testową modułów odnóży oraz wstępny test absorpcji przekazów mechanicznych – dokończył mimo wszystko pilot, po czym przełączył wentylator, by ten zagłuszył dalsze utyskiwania technika.

Izydor rozejrzał się jeszcze z kabiny i spojrzał przez oba peryskopy na bokach. Nie widząc nikogo w najbliższym otoczeniu, pociągnął równocześnie za dwie, obłożone skórą gałki drążków.

Szarpnęło całą konstrukcją. Wojenna machina zazgrzytała niepokojąco, po czym sina mgiełka z rur wydechowych silnika zgęstniała pod sufitem. Przerośnięte nogi wyprostowały się do połowicznego przysiadu.

Pilot spojrzał jeszcze z wysokości czterech metrów w dół, następnie odnóża wyprostowały się na maksymalną odległość. Kilka odhaczonych przełączników przełożyło się na właściwe ruchy, aż wreszcie jednostka Samson stanęła w całej okazałości przed pięcioma jej wiernymi kopiami, różniącymi się jedynie oznaczeniami na naramiennikach.

Usta zadrżały Murykiewiczowi mimowolnie, oczy nabiegły wilgocią, twarz na ułamek sekundy skrzywiła się w grymas żalu i zaraz złagodniała. Dłonie trzęsły mu się panicznie, nawet bardziej, niż gdy pierwszy raz prowadził kombinezon bojowy, a przed nim stał oddział raufenritter z hakami rzeźniczymi.

Bo przecież widział wszystko. Obserwował ją, gdy wkradła się wraz z ukraińskim tragarzem, którego albo przekupiła, albo przebłagała. Potem kręciła się dookoła spedytorów, by nikt z obsługi jej nie zauważył, a gdy on zatrzaskiwał mocowania pancerza osobistego, to ona wychylała się zza kontenera z arkuszami metalu.

I przez ten cały czas bała się podejść, pożegnać się po raz ostatni przed drogą. Dopiero gdy on wszedł do kabiny, to bezceremonialnie przybiegła, zostawiła ślad na najkrótszy moment i odeszła. Jak duch, zostawiając po sobie jedynie zapach perfum, którego nie mógł czuć przez filtry, ale mózg kazał mu wierzyć, że tam jest.

Murykiewicz wziął głęboki oddech i wymacał pod deską rozdzielczą zapłon miotacza. Pojeździł palcem po gładkiej powierzchni pstryczka i cofnął dłoń, był już spokojniejszy, skupiony.

– Trochę późno zaskakuje przy połowie… – zaczął Izydor, jednak technik ponownie przerwał mu, dając znać o swoim braku manier.

– Ja, ja, naturalnie – zaśmiał się rubasznie. – Zażalenia do lubelskich partaczy, którzy nie zgodzili się na wsparcie od naszych braci z Zachodu. Wiesz, że Niemcy już wprowadzają pierwsze automatony sterowane radiem?

Murykiewicz sapnął głośno, zmarszczył czoło i chwycił mocniej obudowę mikrofonu.

– Dobrze wiesz, że to tajny projekt…

– Tajny jak tajny, ale co w *Gońcu Warszawskim* nam kibicują to nasze! – Głos z interkomu rezonował jeszcze przez chwilę w klaustrofobicznej kabinie, wypełniając ją irytującym trzaskiem. – Wiesz Mury, my się tu bawimy, ale… No serio, uważaj tam na siebie, ja bym w życiu tego nie wysłał bez dalszych testów, nie mówiąc już o tych pieprzonych zbiornikach z Rosenberpanem…

– Nie przypominaj, kieruj się procedurą – tym razem to pilot przerwał znajomemu. Zadowolony ze swojego odwetu odłożył słuchawkę i przełączył kolejny trybik maszyny, uwalniając zaczepy ramion pojazdu z postawy zasadniczej. – Zaczynam określanie stanu kończyn górnych i…

Stalowa dłoń, obleczona w pęki gumowych nakładek uderzyła z hukiem w szczyt kabiny pilota i zastygła w bezruchu. Druga ręka w tym czasie jeszcze bardziej wygięła się nienaturalnie wzdłuż przysadzistego ciała.

– No cóż, jakby to powiedzieć – zafrasował się pilot. – Salut działa… Rozruszam to jeszcze zanim wyjdziemy, przekaż reszcie, by nie popełniła mojego błędu.

Dowódca wyszeptał ostrożnie ostatnie słowa, zapominając o odwieszonej słuchawce. W mig rozległo się pięć jednoczesnych uderzeń z powtarzających ruchy maszyn podkomendnych.

Z interkomu dobiegał już tylko chrapliwy śmiech technika, ciągnący się jeszcze przez długie minuty.

Chwilę później sześć machin stało w ułożonym trójkącie z sierżantem Jerzym Świetlińskim Brzeskim na szpicy. Spośród hurgotu silników spalinowych przedarł się jęk ogniw wciąganych przez obsługę łańcuchów. Wrota uniosły się przed rycerzami Rzeczypospolitej.

Za obrębem hangaru wrzał czerwiec i poranny gwar jednostkowej rutyny. Rzucane bez zapału polecenia przeplatały się z żywszymi okrzykami nielicznych śmiałków, oddelegowanych do budowy umocnień za Chełmem. Izydor westchnął od serca i ruszył wraz z oddziałem na plac główny, ignorując gapiów.

Machiny kroczące nie były tak niesamowitym widokiem dla osób żyjących w centrach miast, nawet na wsiach często używane były jako część automatyzacji procesów, by podnieść efektywność pracy w polach.

Jednak szwadron, który niespiesznie stąpał przez plac, był szczególny pod wieloma względami. Zaprojektowany od zera i przeznaczony wyłącznie do walki z największym wrogiem Rzeczypospolitej, niósł ze sobą broń szczególną dla młodego państwa polskiego. Chlupoczące wewnątrz masywne cysterny z białawym i szybko parującym płynem.

Rosenberpan był ogniem dwudziestego wieku; obietnicą lepszego jutra, prometejskim darem postępu i szansą na odzyskanie utraconej historii. Jednakże zamontowanie go w takiej formie na kroczącej machinie, obsługiwanej przez człowieka, cóż – przypominało nieco pomysł na uzbrojenie pszczół. Plan był równie niebezpieczny dla użytkownika broni, co dla jego celu.

Nawet skoszarowani żołnierze uciekali wzrokiem w kierunku dumnie prących na przód kombinezonów, wyposażonych w istne kłębowiska dysz, gotowych do przechylenia szali wojny na stronę ojczyzny.

Tylko dowódca oddziału Izydor Murykiewicz spoglądał gdzieś w bok, na zielone pagórki za ratuszem. Wyczekiwał tęskno, bo gdzieś tam był rodzinny Lwów. Czasem budził się w nocy z krzykiem, widząc, jak kruszeją mury, z nieba lecą nawy kościołów, a ludzie dławią się własną krwią.

I nic w tym dziwnego, bo Lwów był jak gotujący się kocioł pełen krwi. Oblegany dzień i noc, nieustannie. Raporty z perły kresów były rzadkie, krótkie i zawsze w tym samym tonie. Nie zagrzewały do walki, nie informowały o postępach. Po prostu kolejne błagania o worki mąki, tłuszcz, naboje, paliwo… Pomoc.

Ciepły wiatr zawsze przypominał Izydorowi, jak ten biegał po brukowanych ścieżkach, przedzierał się przez dzikie krzewy agrestu na tyłach podwórka i wieńczył trasę w starej zajezdni kolejowej. Godzinami wypatrywał, dokąd mkną długie eszelony, pełne posępnych

tłumów, mających już nigdy nie wrócić. Zawsze po tym następował dziwny powiew chłodu z daleka.

Była jeszcze Alicja. Piękna, mądra, kochana, dobra… Izydor zaciskał powieki za każdym razem, myśląc, jak wiele dobra wniosła do jego życia. Naprawdę bał się, że to sen, zbyt wiele szczęścia by istniało naprawdę. Czuł się w obowiązku, by chronić wszystko tak drogie i delikatne.

– Kapitanie – zaterkotał matowo interkom.

W pierwszej chwili Murykiewicz spodziewał się, iż to sprzęt nawalił. Jednak prawda była taka, że tak brzmiał głos doktora Archibalda Szereszewskiego, najnudniejszego człowieka, jakiego dane było kiedykolwiek Izydorowi poznać. Był tym najgorszym typem uczonego w mniemaniu kapitana.

Nie miał w sobie nawet szaleństwa wielkich, światłych umysłów, spędzających dnie w bałaganach swoich pracowni. O nie, nie – Szereszewski był tak paskudnie nudny, ułożony i przykładny jak to tylko było możliwe. Fakt, że trafił on do oddziału Izydora, wynikał tylko z tego, co dziwne, że to sam Archibald pomagał przy budowie Samsonów.

Zapewne kontynuowałby on pracę naukową, jako solidna figura w świecie inżynierii, gdyby nie to, że nauka to także biznes. A biznes ma swoje prawa i włodarzy, którym podpadł Szereszewski swoim sztywnym rygorem.

Oficjalnie w Rzeczpospolitej nie było korupcji, gdyż królem był przecież Jezus Chrystus. Prawda była taka, że na stołkach urzędniczych nie siedzieli synowie Boży.

Tak to właśnie Archibald skończył w pół kroku – nie mogąc kontynuować badań przez szereg dziwnych, niewyjaśnionych przypadków. Ostatecznie zdecydował się po prostu rzucić wszystko i przebywać ze swoimi wynalazkami, przynajmniej w ten prymitywny sposób – służąc, jako pilot jednej z nich w wojsku polskim.

– Kapitanie, należy się trzymać formacji – powtórzył tym razem dobitniej, nie słysząc dłuższy czas odpowiedzi.

Izydor wykręcił jedną nogą jak baletnica i ruszył dalej za sierżantem Świetlińskim, wciąż kroczącym dumnie na czele. Ta pozycja pasowała najbardziej do jego odważnego, czy zwyczajnie brawurowego charakteru.

W końcu wszyscy przyjęli nieco bardziej godne, wyprostowane pozy na środku placu, by zwrócić na siebie uwagę żołnierzy i dodać im otuchy. Wypolerowane kadłuby lśniły czystością, a odbijające czerwcowe promienie słońca szyby pancerne, skrywały w sobie bohaterów. Mijał kolejny dzień, mający podtrzymać słabnącego ducha Rzeczypospolitej.

Nieraz się zdarzało, że Karmazyna wdzierała się do snów wojaków. Nietrwali w swej wierze w zwycięstwo i wartości narodowe, padali łupem zakusów złego. Od tak niewinnej rzeczy, jak sen o spadającym orle, czy brudnych piórach, po szaleńcze próby mordowania pobratymców w prawdziwym świecie.

Tak właśnie walczył nieprzyjaciel Polaków.

Gdy wiara spała, budziły się demony zbrodniczych sił – rozciągających się od Władywostoku po przedmurze chrześcijaństwa. Tam na wschodzie panował kolektyw Karmazynu, mielący stale obraz świata w swoich bezmózgich, jednolitych trybach.

Bezmózgich, bo kierował się jedynie umysłem roju, mającego myśleć jednako i wyznawać jednako. Nie było miejsca na odstępstwa – dogmaty wlewały się w trzewia zarażonych i wypalały przejawy indywidualności jak gorejąca rtęć albo olej opałowy, zastępujący krew.

Przynajmniej tak głosiła aktualna agenda.

Tak naprawdę badania nad karmazynologią były stosunkowo świeżym polem nauki. Nie dało się przesłuchiwać Karmazynów ani z nimi rozmawiać. Jedyne czego Karmazyni oczekiwali to poddania się, które i tak zakańczane było egzekucją przegranych. Więc co innego pozostawało niż zatkanie uszu i przymierzenie w cel?

W końcu kapitan zebrał się w sobie, potrząsnął spoconą czupryną w rozgrzanej kabinie i pociągnął za słuchawkę komunikatora.

– Nie wychodźcie z kabin… – Odpowiedział mu natychmiastowy jęk zawodu z głośników. – Ekhem… Nie wychodźcie z kabin, bo powinniśmy robić dobre wrażenie, a wymarsz jest i tak za kwadrans.

Mimo to, korzystając z okazji, kapral Paprotko pociągnął drobną dźwigienkę i uchylił przeciwpancerne wieko, by wpuścić nieco świeżego powietrza.

– Zapaliłbym – mruknął na otwartym łączu Henryk Knothe.

– W służbie Rzeczypospolitej nie ma miejsca na odurzanie się jakimś smrodliwym dymem – zaskrzeczał dumnie sierżant Świetliński pokracznym falsetem.

– Nie widzę sensu w zmniejszaniu pojemności spirometrycznej płuc na własne życzenie, to wysoce nieefektywna metoda przetrwania – dodał Archibald.

– Spokój, bo zaraz wszyscy nieefektywnie dobierzecie metodę przetrwania – uciął podporucznik Wołk. – Wkurwiając mnie.

Paprotko rozejrzał się konspiracyjnie i przełączył kilka, w swoim mniemaniu odpowiednich, pstryczków i zgodnie z właściwym sobie optymizmem uznał akcję za udaną. Zaraz zaczął litanię w stronę komunikatora nastawionego na prywatne łącze.

– Podporucznik to zawsze tak się nerwicuje, nie panie Archibaldzie? Ja to nie wiem, nie chcę stawiać przedwcześnie diagnoz, ale ostatnio czytałem w Warszawskim biuletynie psychologicznym, że niski próg drażliwości jest związany z problemami na tle seksualnym, wie pan?

– Józefie… – szepnął głos przez interkom.

– Mówię ci, niesamowitych można się rzeczy dowiedzieć z tego pisma – kontynuował, nie potrzebując interlokutora do czegokolwiek poza słuchaniem. – Jak tylko wrócę do Warszawy, to chcę zwiedzić laboratorium, bo pewnie wiesz co? Ty jesteś taki ogarnięty w tych naukowych sprawach – otworzyli pierwszą pracownię eksperymentalną w Rzeczypospolitej, przyjechał profesor z Piotrogrodu, nieźle co? Od siedemnastego to budowali, zeszły im te trzy lata blisko, ale to wiesz i Instytut i wydział uniwersytecki, laboratoria karmazynologii, rozumiesz, jak oni to będą badać i to w środku miasta?!

– Józef! – podniósł głos Szereszewski, zadziwiając rozmówcę.

Pilot oderwał wzrok od szarej kratki interkomu i spojrzał przez solidne, kryształowo czyste szkło. Zrobił to tuż przed tym, jak owo szkło wychyliło się z sykiem, wjeżdżając na zewnętrzną szynę ku czerepowi pojazdu, by ustąpić miejsca umięśnionej sylwetce niespodziewanego gościa.

– A niech to dunder… – wyjęczał Paprotko, zanim zaciśnięte pięć palców urażonego podporucznika przybliżyło mu swoje rysy anatomiczne.

* * *

– Trzynaście, czternaście, piętnaście – liczył pod nosem wizytator budowy, skubiąc siwą bródkę.

Zdążył doliczyć do pełnej minuty, nim pilot czterometrowej maszyny załadunkowej doczłapał ciężko przez zmarzlinę, aż do upuszczonego z wysokości pakunku, pod którym coś się niemrawo miotało.

Nieszczęśliwie przygnieciony do ziemi robotnik leżał w szybko nabiegającym czerwienią śniegu. Szarpał się jak lis w zatrzaśniętych wnykach i kwilił cicho, nie mając sił na wyciągnięcie nóg spod prawie tonowego ciężaru.

– Niezwykłe, że jeśli mamy czterdziestu robotników, z czego każdy jest w stanie podnieść, załóżmy siedemdziesiąt kilogramów, to i tak nikt nie raczył nawet nieco wznieść ciężar, aby zwiększyć szanse na przeżycie współpracownika. Gdyby choć pięć osób pomogło, to udałoby się zapewne go uratować bardzo szybko, wyczekując przybycia reszty. Jednak zamiast tego aż dwunastu ludzi wolało z równej odległości oglądać miejsce wypadku.

– Mamy procedury – mruknął niezadowolony wywodem kierownik budowy. – Mogę panu to wszystko wyłożyć w biurze, tutaj będzie już tylko sprzątanie.

– Jestem pewien przyczyn – żachnął się wizytator i poprawił okulary w drucianych oprawkach. – To standardowy przypadek walki o przetrwanie. Im mniej samców o podobnych atrybutach, tym większa szansa na wypełnienie niszy. Zwyczajnie nie opłacało im się pomóc.

– Procedury…

– Czy prowadzicie zapis takich przypadków? Mógłbym skorzystać z archiwów i przełożyć je od razu na surowe dane. Jestem pewien, że wystąpi silna korelacji między niezamężnymi a brakiem udzielonej pomocy.

– Powtarzam panu, że nie mogli pomóc, bo mamy tutaj konkretne przepisy, których należy się trzymać. Większość wypadków to nie są proste urazy mechaniczne, tylko bardziej skomplikowane usterki z użyciem maszyn kroczących. Gdy wystąpi wada funkcjonowania, o wiele bezpieczniej jest się odsunąć. Zresztą, boją się pomóc, bo jeśli go bardziej zranią, to mogą dostać pozew sądowy.

– A zatem są uwarunkowani – szepnął pod nosem rozmówca, przyjmując posępny wyraz twarzy. – Nic nie szkodzi. Wyznaczcie im dokładne testy ze znajomości regulaminu. Jeśli okaże się, że go znają wcale albo słabo, to najpewniej mam rację. Potem możecie mi to przesłać kurierem do Instytutu. Właściwie to nie, wyślijcie to po prostu do sekretariatu, nie mam czasu na takie głupoty, któryś ze studentów się tym zajmie.

Kierownik westchnął tylko ciężko, nie mając siły użerać się dalej z gościem. Ostrzegano go już wcześniej, że doktor Aleksander Breza opornie przyjmuje do siebie jakiekolwiek opinie sprzeczne z własnymi.

– Mimo wszystko… – zboczył z tematu doktor, ignorując pojękiwania rannego. – Budowa wygląda całkiem imponująco.

– Tak, projekty rządowe zazwyczaj cieszą się większym budżetem niż prywatne inicjatywy. No i inwestycja w przyszłość wydaje się bardziej sensowna w przypadku tysiącletniego narodu niż trzypokoleniowej rodziny posiadaczy.

– Ojej, ależ z pana ekonomista – zaśmiał się prawie naturalnie Breza, po czym zszedł po prowizorycznych stopniach i zatrzymał w połowie rampy załadunkowej. – Czy uwzględniono moje prośby odnośnie dolnych partii budynku?

Pucułowaty naczelnik budowy poszedł w krok za doktorem i wyprzedził go pod koniec, by choć na pozór stworzyć atmosferę oficjalnej wizytacji. Tak naprawdę miał ciągłe wrażenie, jakby był tylko zbędnym elementem w większej układance.

– Tutaj będzie kotłownia, oddzielona dyskretnie korytarzem, by całość przechodziła prosto aż do najniższych partii, gdzie za strefą… – zaplątał się na moment kierownik i wykręcił

kilka młyńców palcami w powietrzu. – Buforową, powiedzmy, będzie część właściwa obiektu. Przynajmniej ta, co do której wyraził sobie wielce szanowny pan doktor specjalne życzenia.

Aleksander podrapał się po zakolach pod wełnianą czapką i uśmiechnął pod nosem, zagryzając wystający z brody włos, po czym położył dłoń na ramieniu kierownika.

– Wierzę, że spisze się pan świetnie i nie da powodów do rozczarowania. Nie chodzi bynajmniej o mnie. Po prostu sam marszałek trzyma rękę na pulsie, a w jego wieku nieprzewidziane fluktuacje w środowisku mają tylko jedną sytuację wyjściową: zgon.

Zaśmiali się nerwowo obaj, wiedząc, iż nie chodziło wcale o zgon Czcigodnego marszałka narodu.

– Mam rodzinę – zająknął się budowlaniec.

– Jak my wszyscy – odparł beznamiętnie doktor, gładząc mężczyznę po szyi, niemalże pieszczotliwie. – Dlatego tym bardziej liczę, że będzie pan pracował z potrójnymi wysiłkami dla dobra wszystkich rodzin w nowej Rzeczypospolitej, prawda?

– To prawda co mówią o Piotrogrodzie?

Doktor zabrał dłoń z szyi kierownika, pozwolił dwóm tragarzom przejść z paletą, na której szczycie sznury ciasno oplatały jakiś masywny ładunek.

– Karmazyna to wielka rzecz – uciekł wzrokiem gdzieś w bok Breza. Oczami wspomnień lustrował wysokie kamienice, biegał wzdłuż różowych płyt skalnych, którymi wyłożona była Newa. – Car Mikołaj drugi był najpotężniejszym człowiekiem na kontynencie. Bogactwa, które dla nas byłyby dziedzictwem wieków, dla niego były resztą kolacyjną, zostawianą chłopcu hotelowemu po wniesieniu walizek na piętro. Pancerze jego prywatnej gwardii czyniły z przybocznych nadludzi, a armia jaką władał wprawiała w drżenie ziemię na obszarze kilkunastu wiorst.

– Więc…

– Więc słyszał pan to, co miał pan słyszeć. A teraz proszę pokazać mi resztę postępów, chcę jak najszybciej podnieść z gruzów naukę w tym zapomnianym przez boga kraju. Za dwa lata niech piszą w gazetach, że oto Polska stała się ostoją karmazynologii.

Doktor parsknął śmiechem do własnych myśli i dodał jeszcze:

– Jeśli do tego czasu wszyscy nie utopimy się we własnej krwi.

* * *

Konwój doczłapał w okolice Skrzyszewa jeszcze przed zachodem słońca. Doczłapał to właściwe słowo, zważając na fakt, że obładowane materiałami wozy ciężarowe musiały trzymać dostojne, acz irytująco powolne tempo największych machin kroczących.

Te wręcz paraolimpijskie zawody trwały, odkąd tylko okazało się, że jakiś wyższy w hierarchii geniusz urzędowy dołączył grupę szybkich i nowoczesnych Samsonów do przeżartych zębem czasu, kroczących monterów wysokościowych typu: Topola. Tak więc oto testy, obejmujące też wytrzymałość pracy przy maksymalnej prędkości, trzeba było przeprowadzać przy najwyżej połowie maksymalnej prędkości.

Niczego nie ułatwiała droga – w najlepszych momentach była to ubita ziemia. Gęsta sieć kolejowa miała być przyszłością infrastruktury polskiej i przez ostatnie trzy lata niepodległości była budowana z lepszym bądź gorszym skutkiem, ale nadal nie była ukończona. Do tego czasu każdy musiał nieść swój krzyż po wertepach, chaszczach i błotach.

Podpułkownik Miłaszewski jako formalny dowódca batalionu był jednocześnie w nietypowej komitywie z Murykiewiczem. Kapitan dostąpił zaszczytu pierwszych testów nowego wyposażenia na froncie wschodnim. Zaowocowało to tym, że sam podpułkownik, uznając zadanie za czystą formalność, przekazał tymczasowo odpowiedzialność za logistykę na swojego oficera taktycznego, a przy tym więc pilota pierwszego Samsona.

Gdyby coś poszło nie tak, łatwo byłoby wskazać winnego, wraz z całą myślą pancerną Rzeczypospolitej. Większość generalicji i tak nienawidziła maszyn kroczących, pamiętali jeszcze opasłe pułki dumnej kawalerii, choć te już dwie dekady temu były wycinane w pień przez pierwsze kombinezony bojowe. Najwidoczniej naznaczona latami doświadczenia pamięć miała swoje dziury, jak leje artyleryjskie na polach, pamiętających dziesiątki przegranych bitew.

Sam marszałek również darzył szczególną estymą ułańskie oddziały, ale mimo to dostrzegał potrzebę modernizacji, będąc głosem rozsądku w dyskusji. Choć ciężko byłoby przez trzy lata zrobić tyle, ile ościenne państwa zrobiły przez trzydzieści, to próbować było

trzeba. I w ten oto sposób, efektem domina, Murykiewicz trafił za stery niestabilnej machiny, niosącej na plecach łatwopalną cysternę zdolną zmienić dowolnego bohatera w skwarek.

– Chciałbym kiedyś, aby maszyny walczyły za nas, ale bez nas – odezwał się nagle Szereszewski. – Sterowane sztucznym umysłem, krwawiące olejem, broczące iskrami ze stalowych ran.

– Ja bym chciał, aby nikt nie musiał walczyć – odezwał się cicho kapitan, po czym uśmiechnął pod nosem i rozprostował palce, zesztywniałe od obejmowania drążków kierowania. – Jednak nic się na to nie zapowiada, więc dopilnujmy, aby chociaż zrobić to, co jest w naszej mocy.

– Pan to zawsze wie co powiedzieć – zatrzeszczał usłużnie w interkomie sierżant Świetliński. – Trzeba podtrzymać ducha i przeć dalej. Zawsze raźniej z pieśnią na ustach!

Nagły huk łamanych kości przerwał gwar rozmów.

– Kurwa mać – dało się słyszeć z kabiny Wołka mimo wyłączonego interkomu.

Po chwili sieć łączności odezwała się wściekłym głosem.

– Wszędzie leżą truchła krów czy innego cholerstwa i co chwila kuźwa jak nie w tę to w tamtą następuję, albo na jakieś dziwne krzewy, albo przetoczą się jakieś dłuższe kości i też ni cholery nie wiadomo czyje to i po co. Do dupy z taką robotą, gdzie my kurwa jesteśmy, jeszcze w Polsce czy już na pierdolonych rubieżach?

– Przyjmuję do wiadomości Janie – zasępił się Izydor, ignorując łacinę podwórkową. Wyjrzał przez pancerne szkło na wschód i wzdrygnął się sam z siebie. – Nawet tutaj sięgają opary plugastwa, a czasem i ich nosiciele. Nie traktujcie tego, jako wypadu na wakacje. Stawiamy linię umocnień, by wreszcie załatać Mur do ostatniego metra. Wygląda na to, że nikt nie chce mieszkać tak blisko granicy, chłopi musieli porzucić zagony, chociaż to wątpliwe.

– Uczynimy Polskę wielką! – odezwał się ponownie Świetliński–Brzeski ochoczo. – Wzniesiemy Mur, największy, jaki widział świat. Mur z naszej wiary, z naszych celów, z naszych ideałów…

– Głównie z żelazobetonu – przerwał Szereszewski poważnym tonem. – Okazjonalnie wzmacniany kamiennymi blankami i kompozytowymi zbrojeniami przy bramach.

Paprotko uśmiechnął się mimowolnie i skrzywił zaraz po tym. Nadal nie mógł nadwyrężać obolałej twarzy, poznaczonej śliwkowego koloru plamą dookoła lewego oka. Wołk nie trzymał długo urazy za przytyki na terenie jednostki, ale ślad pozostał.

– Myślicie, że spuszczą z tonu, gdy zrobią cały Mur? – dobierał słowa powoli Knothe, jakby z trudem manewrując między niuansami.

– Henryk… – zaczął Archibald i równie szybko przerwał.

– Heinrich…

– Heinrich, ten Mur ma kilkaset kilometrów długości, stacja do stacji leży w odległości wzroku, a umocnienia kończą się dopiero na Prusach Wschodnich. Jak myślisz, co będziesz robić, gdy już Mur powstanie?

– Pruł do sukinkotów za Murem – skwitował Wołk, na zmianę przyspieszając i zwalniając kroku. – Mógł pan doktor łaskawie zaprojektować jakiś bieg pośredni, a nie kuźwa takie wolne gówno, że albo się koszmarnie ślimaczymy, albo tak szybkie, że wszyscy zostają w tyle.

– Wezmę pod uwagę jakąś dokładniejszą skalę, dającą więcej swobody. Może zrobię to tak jak w Sanacie… Tego ostatniego nie słyszeliście.

– Mogło być gorzej – dorzucił Knothe. – przynajmniej nie jest napędzany na pedały.

Łańcuch rechotu przebiegł przez interkomy, by zaraz umilknąć jak ucięty nożem.

Tęgi, oliwkowy wóz z kilkumetrową anteną zrównał się do pierwszego Samsona i skręcił na prawą stronę wyboistej drogi. Wyglądało to, jakby celowo chciał zwrócić na siebie uwagę pilota.

– Rotmistrzu – odezwał się nowy głos w interkomie, na prywatnym łączu.

– Izydor Murykiewicz, odbiór – speszył się kapitan, wyczuwając nadchodzące jak zawsze, niespodziewanie problemy. – A w ogóle to moglibyście sobie odpuścić te przytyki na tle klasyfikacji. Kombinezony bojowe to kawaleria tylko z nazwy, odbiór.

– Straciliśmy kontakt radiowy.

– Korpus z Zamościa nie odpowiada?

Izydor poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

– Jakikolwiek kontakt, panie kapitanie – odezwał się po chwili milczenia plutonowy, jadący wozem łączności. – Jakie rozkazy?

Izydor obejrzał się na bok, w stronę rozległych ugorów i odległej ściany lasu, wystającej pomiędzy niekompletnymi fortyfikacjami Muru Wschód. Mocował się z własnymi myślami, zaciskając i popuszczając uchwyt na drążkach, aż w końcu odruchowo włączył i wyłączył wycieraczki, by dać sobie chwilę do namysłu.

– Awaria sprzętu? – dopytał z nadzieją, po czym odchrząknął i zniżył głos. – Czy też okresowe problemy meteorologiczne?

– Wątpliwe – odrzekł zmartwiony głos w interkomie.

– Powiedzcie korpusowi inżynieryjnemu, aby nie pogubili nitowań w stopach, bo przyśpieszamy tempo – przełączył na ogólny kanał i dodał. – Jerzy, wysforuj się naprzód i nie strać głowy.

– Tak jest, kapitanie! – odkrzyknął podekscytowany sierżant.

Chwilę później Samson–03 rozwinął zawrotną prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, biegnąc na czele całej kolumny i wzniecając wysokie tumany kurzu.

***

Para wróbli zazgrzytała pazurkami o kamienny parapet za oknem, by po chwili dać się przepłoszyć nadlatującemu kosowi. Słoneczny dzień płynął sennie po ulicach Warszawy, roznosząc zapach bzu i smród spalin w podobnych proporcjach.

Radosław Kazimir, ubrany w wygniecioną, białą koszulę, siedział niespokojnie na jednym z krzeseł w poczekalni. Wyczekiwał, przerzucając wzrok na przemian ze stojącego zegara, na ubraną w maskę ochronną sekretarkę.

Drzwi gabinetu lekarskiego otworzyły się, sunąc gładko nad podłogą. Ze środka dało się odczuć specyficzny zapach świeżego lakieru.

– Wejdzie – zawahała się kobieta. – Pan do środka, doktor przyjmie.

Wewnątrz czekał młody brunet w wykrochmalonym kitlu z wystającym rządkiem długopisów. Z jego oczu dało się wyczytać, że był nie mniej zestresowany od wchodzącego; co rusz postukiwał obcasami butów o błyszczące, turkusowe linoleum.

Jeszcze przez chwilę młodzieniec mierzył się wzrokiem z uratowanym z pola bitwy żołnierzem. Zakwalifikowany jako ranny pociskiem z wadliwego kulomiotu, mógł równie dobrze zniknąć wśród akt medycznych jako zmarły wskutek powikłań. Pod warunkiem, że leżałoby to w interesie postępu, naturalnie.

Nerwową ciszę przerwał dopiero spokojny, cichy głos z drugiego końca gabinetu.

– Niech pan usiądzie – rzucił pozornie w przestrzeń siwy jegomość, lakierujący figurki żołnierzyków. – Proszę spokojnie odetchnąć, dobrze?

Radosław przyjrzał się zgarbionej postaci w kącie, zamrugał raz jednym okiem, po czym obydwoma i usiadł. Mimo zmiany poczekalnianego, drewnianego krzesełka na obite miękkim materiałem siedzisko wewnątrz gabinetu, nadal nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji. Wiercił się niespokojnie, jakby coś kazało mu uciekać.

– Proszę zdjąć koszulę i głęboko oddychać – powiedział młodszy z pracowników, łamiącym się głosem. – I nie przestawać, dopóki nie powiem.

– A może by tak najpierw przeprowadzić wywiad z pacjentem? – odezwał się głośno i dobitnie drugi mężczyzna, odkładając pędzelek na cynowy talerzyk. – Naprawdę Haroldzie, to jednak trzeba użyć trochę wyobraźni. Zaproponować panu herbaty, zapytać o samopoczucie, bo pewnie i tak się okaże, że nic się nie stało.

Przełożony Harolda nachylił się nad wachmistrzem, po czym zajrzał mu głęboko w oczy. Kąciki ust drgnęły doktorowi niezauważalnie, po czym na dobre rozpromieniły się w uśmiechu Duchenna.

– Już mnie przestrzegano, że będę mieć wizytę od tak nietypowego gościa. – Doktor zakręcił się na pięcie i wychylił za drzwi, by powiedzieć coś do sekretarki. Zaraz przymknął drzwi i ponownie spojrzał na gościa jak na zagubione dziecko. – No i niech się pan rozluźni, bo ja też jestem człowiekiem i obecny tutaj Harold również, chociaż nie widać.

Kazimir rozejrzał się całkiem zdezorientowany, spojrzał na zażenowanego młodzieńca i z powrotem na doktora.

– Ja chyba nie bardzo… – zaczął ochrypłym głosem i zamilkł, przytłoczony sytuacją.

– To był taki żart – wyjaśnił doktor, wyciągając dłoń w gumowej rękawiczce. – Doktor Aleksander Breza. A ta maszyna za biurkiem to mój asystent na praktykach, Hieronim Wawelski, dlatego taki sztywny.

– Maszyna?

– To też był chyba żart – ośmielił się na uśmiech asystent. – Jak się Pan...

– Radosław Kazimir – dopowiedział pacjent nagle, jakby coś tchnęło w niego nowe życie. – Jak się czuję? W sumie nie chcę uogólniać, ale tak razem, suma summarum to nie najgorzej. Mogło być lepiej, zajęli się mną już prawdziwi lekarze, gdy znaleziono mnie nieprzytomnego, a moich kompanów ledwie…

– No już, już. – Breza odkaszlnął i spojrzał na asystentkę, niosącą tackę z filiżankami. – Może herbaty?

– A ja zrobiłam tylko dwie, przepraszam. – Jęknęła wchodząca, zasłaniając usta drobną dłonią. Przez moment straciła równowagę i omal nie wylała wrzątku na wyciągnięte dłonie doktora.

– Pani Jadwigo, zabije mnie pani kiedyś tym wrzątkiem – roześmiał się Aleksander i obejrzał po zestresowanym towarzystwie. Jako jedyny miał kredowo białą twarz ze starości, a nie z nerwów.

– Nic nie szkodzi, nie piję herbaty – mruknął Hieronim, zbędnie poprawiając i tak prosto leżące na biurku dokumenty.

– Wystarczy mi woda – mruknął cicho Radosław, ale wtem doktor podniósł obie filiżanki i zbliżył do niego jedną z nich. – Dziękuję bardzo.

Doktor jeszcze przez moment przypatrywał się sylwetce żołnierza, jakby w oczach miał całą, niezbędną do badania aparaturę, a sama wizytacja była kompletnie zbędna. Przechylił głowę raz w jedną stronę, raz w drugą, aż w końcu spojrzał na asystenta.

– Zaczniemy od paru testów funkcji poznawczych – wyartykułował pouczająco i obrócił się znów na gościa. – Słyszałem, że infekcja oka źle się goi, a rana nadal panu dokucza… Dokucza?

– Dokucza.

– No właśnie, ale chcemy jeszcze sprawdzić, czy na pewno wszystko jest w porządku. To rutynowe badanie, proszę się nie obawiać. Ja naprawdę wiem, że wiele się słyszy o Instytucie, ale to wszystko jest trzy razy przekręcone i dwa razy odwrócone, jak w głuchym telefonie.

Hieronim skinął ledwo widocznie głową i wyjął z szafki pudełko, owinięte brezentem. Rozpiął delikatnie nietypowe zamknięcie wielokrotnego użytku i wyłuskał ze środka zawartość w postaci cylindra - wypełnionego monetami o nominale jednej marki polskiej (wszystkie z tegorocznej partii menniczej). Lew na rewersie pobłyskiwał w świetle lamp, jakby był żywy i gotowy do skoku.

– Nie rozumiem…

– Zaraz pan zrozumie – podniósł nieznacznie głos asystent, przysuwając do żołnierza monety, a następnie wyjmując jeszcze dwie kule modeliny oraz kilka szklanych naczyń.

Wawelski wypuścił niespokojnie powietrze nosem, przysunął naczynia po szerokim biurku i wyjął spod blatu kanister z niebieskim płynem. Ustawił wszystko w zasięgu ręki żołnierza i skierował wzrok na doktora. Ten jeszcze przez moment wodził wzrokiem za pozostawionymi na szerokim parapecie figurkami i w końcu zaczął wyjaśniać.

– Niech pan zacznie od odpowiedniego ustawienia monet, które zostały panu podane.

– Mam z nich coś złożyć? – dopytał powoli Kazimir, obracając w dłoniach pojemnik. – Albo zbudować?

Żaden z obecnych nie odpowiedział. Doktor jeszcze wskazał ręką zachęcająco i dalej tylko obserwował, jakby czegoś wyczekując.

Początkowo Kazimir chciał zwyczajnie odłożyć całość nieruszoną i sprawdzić co się stanie, ale po chwili zaczął przebierać monetami w palcach i bawić się nimi.

Jest ich osiem, pomyślał, czyli parzyście.

Oblizał kilka razy nerwowo usta, przerzucił krążki między palcami, obserwując pod światło wybite lwy. Wreszcie chwycił nerwowo dwie monety i odrzucił na bok, prawie strącając je z blatu stołu. Chwilę obserwował pozostałe sześć i rozdzielił je między wszystkich obecnych.

Hieronim odnotował powoli i skrupulatnie wszystko, podczas gdy doktor spoglądał jedynie dobrodusznym wzrokiem na całą sytuację.

– Proszę nalać do naczyń płynu tak, by było dobrze – powiedział wyraźnie asystent, przesuwając w stronę badanego zlewki.

– Czyli do pełna? – zafrasował się żołnierz.

Nikt mu nie odpowiedział, więc chwycił za pojemnik i zaczął rozlewać drobne ilości do każdego z naczyń. Po chwili na stole stały różne kształtem szklanki na których dnach chlupotały skromne porcje cieczy.

– Tak jest dobrze? – zapytał bardzo powoli doktor, spoglądając na płyn rozlany nieopatrznie po stole w czasie całej operacji.

– A skąd ja mam wiedzieć?! – odgryzł się Radosław. – Tak! Jest dobrze, co dalej?

Asystent przelał wodę ze wszystkich szkieł do jednego i rozłożył ręce w bezradnym, niemalże szczerym geście:

– Teraz jest dobrze?

– Nie.

– To proszę zrobić tak, by było.

Żołnierz stężał na twarzy, zaczerwienione oko w które wdała się infekcja jeszcze w szpitalu polowym, teraz wydawało się wręcz puchnąć i nabiegać krwią na nowo.

– Teraz jest dobrze! – warknął Kazimir, rozlewając większość wody na blat i pozostawiając wcześniej napełnione naczynie pustym.

– Mówił pan, że dobrze było, gdy w każdym naczyniu było po równo na dnie, a teraz wylał pan wszystko z naczynia, w którym było najwięcej. Zmarnował pan dużo płynu, przelewając go w ferworze – stwierdził rzeczowo Breza, poprawiając sobie okulary. – Proszę teraz wziąć te dwie kulki i ulepić je tak, by były równe.

Radosław po raz kolejny warknął coś pod nosem, chwycił obie, dorodne kule plasteliny i odkleił po małym kawałku z obu. Przyjrzał się matowej, zielonkawej powierzchni pod światło i postawił obie okruszyny na środku stołu.

– Są równe. – przyznał z dumą w głosie, wskazując na dwie okruszyny.

Wawelski przetarł czoło chusteczką i głośno przełknął ślinę, dłonią gmerając pod biurkiem. Przełożony spojrzał na niego zdziwiony, zmrużył brwi i westchnął od niechcenia.

– Chyba mamy dla pana tylko ostatnie parę pytań – wyznał doktor, sięgając po pudełko ciastek.

Aleksander Breza chwycił za dwa ciastka i wręczył sobie oraz Hieronimowi, pozostawiając część blatu po stronie żołnierza pustą.

– Czy tak jest uczciwie?

– Nie – odpowiedział ponuro wachmistrz.

– A tak? – spytał ostrożnie doktor, zabierając jedno ciastko Hieronimowi.

– Nie.

– A może tak? – dopytał, łamiąc swoje ciastko na trzy części i rozdając każdemu po kawałku, krusząc przy tym większość na blat.

– Tak jest dobrze – ucieszył się wreszcie z ulgą Kazimir.

Dyrektor wydziału karmazynologii zaśmiał się do wtóru, poklepując jedną ręką przerażonego asystenta, a drugą wduszając przycisk alarmu pod biurkiem.

***

Ołowiane chmury zaczęły gęstnieć pod nieboskłonem, wirując i przetaczając się nienaturalnie szybko. Cała nić pojazdów wtoczyła się wartko na teren miejscowości, rozproszyła we względnym ładzie i przystąpiła do natychmiastowego rozładunku.

Obolali od długiego siedzenia i ciągłego podrygiwania na nierównościach piloci, zaczęli wytaczać się kolejno ze swoich maszyn, ustawiając je w standardowych kuckach. Jedynie sierżant Świetliński Brzeski pozostał w swoim Samsonie, stojąc wyprężony na placu w pozycji zasadniczej.

– Mówił kapitan, że trzeba robić dobre wrażenie i podnosić morale! – zakomunikował dumny, spocony sierżant po dotarciu na miejsce i tak od tamtej pory trwał, szlachetnie gorejąc w zaduchu kabiny.

Izydor rozejrzał się niespokojnie po placu i znów zwrócił ku niebu. Nie mógł oderwać się od wypatrywania fluktuacji chmur. Co moment spoglądał jeszcze na wschód, licząc samemu nie wiedząc na co. Oprzytomniał, dopiero gdy ruszył ku niemu ubrany w biały kask autochton.

Inżynier, który nadzorował odcinek budowy umocnień, był nienaturalnie wysokim i żylastym człowiekiem o przesadnie dużym nosie – kompletnie nieproporcjonalnym do wycofanej twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby dawno temu rozpędził się i z całą mocą walnął w przestrzeń między dwiema deskami.

– Topole na niewiele nam się zdadzą – stwierdził bez ogródek, nie kryjąc rozczarowania. – Biurokracja jak zwykle przesłoniła rzeczywistość. Jak mam kłaść bastiony na wysokości dwunastu metrów, gdy same machiny mają ich po osiem? My tu budujemy fortyfikacje, a nie wały ziemne, na miłość pańską!

– Coś jeszcze? – spytał kapitan, tak by dało się dokładnie wyczuć znużenie i brak przejęcia. – Bo grzeczności mamy chyba za sobą.

Nadzorca spojrzał zmęczonym wzrokiem na kapitana, pomasował workowate powieki i rozdziawił usta, jakby chciał nabrać deszczówki do środka. Archibald spoglądał z ukosa na całą scenkę, aż w końcu zbliżył się, wyczuwając swoją szansę.

– Doktor Archibald Szereszewski – wtrącił się nagle. – Może to ja powinienem wysłuchiwać uwag pana…

– Drobnic, Modest Drobnic. – Inżynier przez moment trzymał wyciągniętą dłoń, ale nie doczekał się odwzajemnienia.

– Mam fobię – wyznał tym samym matowym głosem doktor. – Nie podaję ręki. Natomiast z chęcią i najwyższym szacunkiem przysłucham się pańskim problemom. Tak się składa, że kwestie techniczne to obszar moich zainteresowań.

Dobrali się, pomyślał Murykiewicz, by po chwili oddać się podziwianiu słynnego MW – Muru Wschodniego.

Całość konstrukcji była imponująca. Powiedzieć, że był to widok niesamowity, to jak nic nie powiedzieć. Cała Rzeczpospolita żyła tylko wieściami na temat budowy Muru, zarządzonej już na przełomie siedemnastego i osiemnastego roku, gdy wschodnie rubieże kraju pogrążyły się w chaosie wojennej zawieruchy, wtedy jeszcze noszącej znamiona rosyjskiej pandemii.

Gargantuiczna wręcz konstrukcja na skalę całej Europy miała uchronić stary kontynent przed najazdem Karmazynowej zarazy oraz urzeczywistnić mit przedmurza chrześcijaństwa. Do kraju, mimo zerwania stosunków dyplomatycznych ze wszystkimi sąsiadami, dochodziły także wieści o budowie adekwatnego muru przez Cesarstwo Niemieckie na granicy z Polską.

Jednak prawda dziejowa nie miała tylko postaci niezłomnej postawy Polaków, zdolnych do obrony przed przytłaczającą i niezrozumiałą siłą ze Wschodu.

Prawda miała postać linii umocnień, liczonych w kilometrach redit, redut, tradytorów, kawalier i niezliczonych szańców, poprzecinanych przez place budowy bardziej wysublimowanych fortyfikacji. Większość z nich była opracowywana specyficznie na potrzeby walki z niespotykanym do tej pory w historii przeciwnikiem.

Cóż po wale ziemnym, gdy Karmazyni potrafili równie dobrze przekopywać się pod ziemią, jak i przelatywać nad nią, czy nawet przebijać się przez umocnienia jakby parcie naprzód było ich jedynym celem. Mogli przecisnąć się przez ucho igielne albo przefrunąć pod księżycem, lub pojawić się z porannej mgły.

Dzień, w którym Azja została zalana przez wybuch Epidemii, pozostawił resztę świata w osłupieniu. Szybko należało zrewidować poglądy i to, co do tej pory wydawało się wykraczać poza znane realia, stało się częścią prawdziwego świata. Trzeba było wyciągnąć wnioski.

Tak oto powstały centra badawcze, karmazynologia i instytuty badań nad Epidemią. Zastępy specjalistów ze świata nauki stawiały sobie za złotego Graala rozwiązanie tajemnicy Karmazynowej choroby, wirusa, pasożyta czy też diabła albo bóstwa. Ludzie musieli otrząsnąć się po jednej, przerwanej, koszmarnej wojnie i zanurzyć się w następną, piekielną – możliwe, że ostatnią.

Nie sposób nawet było odróżnić prawdę od fikcji, gdy kolejne zastępy generałów, fizyków i kapłanów prześcigały się w interpretacjach. Opisywanie Karmazyny było jak tłumaczenie, że dusza jest to życie w formie gazowej. To, co było istotne to to, że nawet badanie Karmazyny było niebezpieczne. Myślenie o Karmazynie zwiastowało Karmazynę, niemyślenie o niej zwiastowało los gorszy od śmierci.

Doktor Szereszewski zniknął wraz z inżynierem w drzwiach, prowadzących na strażnicę, wynoszącą się na kilka metrów ponad linię rusztowań. Mimo tego, że odcinek Muru nadal był w budowie, to wciąż olśniewał imponującym rozmiarem. Całego placu dzień i noc pilnowały zastępy żołnierzy i maszyn. Nie było niczego ważniejszego od żelaznej kołyski, w której bezpiecznie miałaby leżeć odrodzona Rzeczpospolita.

– Jakim cudem zniknęliśmy z mapy świata, będąc tak dzielnym narodem? – pomyślał ze smutkiem kapitan. – Widocznie musieliśmy zrobić coś bardzo głupiego. Zawierzyć w naszą niezniszczalność, spuścić z oczu własne plecy i sprowadzić na siebie widmo klęski…

Wtem zdębiał, poczuł suchość w ustach i wziął kilka płytkich oddechów, jak ryba wyciągnięta z wody. Na moment serce zatrzymało mu się w pół bicia.

– Nie, nie – powiedział już na głos. – To nie prawda, nie popełniliśmy błędów, zostaliśmy zdradzeni, jesteśmy wielcy! Nie myśl o tym, nie myśl o Karmazynie, nie myśl o niczym, nic nie myśl!

Coś zagrzmiało nad głowami zebranych, kłębowisko czerni zniżyło pułap, oddzielając się od reszty chmur. Ktoś z niepokojem wskazał palcem w górę. Uzbrojona grupa wymierzyła w pośpiechu broń osobistą na nieboskłon. Żołnierz z oznaczeniami starszego ogniomistrza dobiegł do Murykiewicza, gestykulując żywo.

– Kapitanie, mamy kontakt z…

Jednak Izydor nie dosłyszał, z czym podkomendny miał kontakt, gdyż słowa ugrzęzły mu w rozrywanym na strzępy gardle.

* * *

– Myślisz, że to wszystko kiedyś się skończy?

Majowe słońce bombardowało bezlitośnie karki spacerowiczów. Pola rzepaku ciągnęły się kilometrami obustronnie, by móc rozbić się o solidną ścianę mieszanego lasu. Z oddali jeszcze spośród drzew dało się słyszeć łoskot uderzeń. Terkoczące dzioby dzięciołów pruły bezlitośnie młode sosny.

Słowem – wiosna wybuchła na dobre.

Izydor wciągnął ciężką, słodką woń i uciekł wzrokiem dalej w kierunku wyniosłej sylwetki kolosa, składającego dwuteowniki na piętrzące się pryzmy. Automatyzacja w budownictwie Rzeczypospolitej pozwoliła na zmaksymalizowanie efektywności projektów rozwijających infrastrukturę kolejową…

– Izuś!

– No przecież cię słucham, wiem, ja rozumiem, ale... – rzucił zdezorientowany, wybierając najbezpieczniejszą opcję. – Też się zastanawiam.

Alicja znała swojego męża lepiej, niż on sam chciałby to przyznać. Dlatego zakręciła jedynie oczami, pociągnęła go za ramię do siebie i dopytała:

– Więc łaskawie może podzielisz się swoimi głębokimi przemyśleniami, panie inżynierze? – Po czym stuknęła go dwoma palcami w skroń.

– Bez przemocy mi tutaj!

– Phi! – fuknęła. – I tak nie jest ci mózg do niczego potrzebny. Skoro mnie nie słuchasz, tylko myślisz o tych swoich wielkich paskudach. Może powinieneś był sobie za żonę wziąć lokomotywę.

Byłaby na pewno cichsza, pomyślał Izydor.

Chwilę jeszcze walczyli z własnymi mięśniami twarzy, po czym uśmiechnęli się mimowolnie i przesunęli w bok, by ustąpić drogi człapiącemu Szczudlarzowi, zraszającemu pola z pozycji kombinezonu kroczącego.

– Ja naprawdę się martwię tym, co się działo, dzieje i dziać będzie, rozumiesz? – podjęła temat ponownie.

– Wiem, nie tylko ty. To nie będzie trwało wiecznie, obiecuję. Po prostu musimy być silni nie tylko dla nas, ale i dla ojczyzny, dla wszystkich!

Alicja chwyciła męża za uniesioną triumfalnie dłoń i ściągnęła do wysokości swojego brzucha. Chwilę spoglądała nieśmiało na ziemię, po czym ścisnęła jego serdeczny palec i spojrzała mu prosto w oczy.

– Izuś… Nie dla żadnej ojczyzny ani nie tylko dla nas dwojga.

Izydor otworzył szeroko usta z niedowierzaniem, spróbował coś powiedzieć raz, drugi. W końcu przegryzł mocno dolną wargę i pozwolił łzom spłynąć po twarzy.

* * *

Pierzasta kula czerwonej flegmy rozprysnęła się, zbryzgując niezidentyfikowaną mazią kombinezon Murykiewicza.

Starszy ogniomistrz leżał na ziemi, drgając konwulsyjnie. W odruchu Izydor chciał udzielić mu pierwszej pomocy, ale głowa rannego leżała rozciągnięta na kilku strzępach różowych tkanek pół metra od korpusu. Było za późno.

Gdzieś od wschodu zagrzmiała trąba, ślizgając się po uszach zebranych, powalając co bardziej wrażliwych na kolana. Narzędzia, gwoździe i inne metalowe elementy podniosły się z placu budowy na moment, zastygły w powietrzu i opadły z potwornym hurgotem.

– Wołk! – zakrzyczał kapitan, dobywając rewolweru. – Knothe! Paprotko! Wszyscy do maszyn!

Rozkazy mieszały się z jękami rannych, powarkiwaniami sprzętów budowlanych, trzaskami łamanych kości, aż wreszcie z grzmotami niebios. Ktoś z niedowierzaniem spoglądał

na czarną dziurę, ziejącą w jego klatce piersiowej. Któryś robotnik, z uporem godnym lepszej sprawy, próbował doczepić sobie urżnięty w niewiadomy sposób palec.

Rozlegały się wreszcie suche trzaski pistoletów, starające się metodycznie ustalić kto wróg a kto swój. Wcale nie było to łatwe zadanie.

Izydor rozejrzał się na boki, ustawiając sobie w głowie, kto już złapał za broń, gdzie są jego ludzie, gdzie powstają pierwsze prowizoryczne przyczółki i wreszcie najważniejsze: Gdzie, na miłość Jezusa Chrystusa, jest wróg?!

– Tutaj – coś w głowie Izydora przebiło wszystkie dźwięki, wwiercając się w mózg jak rozżarzona szpila. – Młody człowieku.

Murykiewicz obrócił się natychmiastowo i strzelił na oślep. Przydziałowy, oficerski Bilon posłał biały błysk. Pocisk przebił się przez falujący na wietrze sztandar. Dobry moment oficer nie dowierzał własnym oczom, zamrugał kilka razy, zrobił krok w tył i przymierzył się ponownie do strzału.

Samson jest za daleko, pomyślał rzeczowo, muszę się dostać do kabiny, inaczej wyrżną nas tutaj jak kaczki. Muryk, spokojnie, bez nerwów – zimna krew.

Spomiędzy nakładających się na siebie mas żelaznych komponentów, wystawała posągowa figura w kolorze dojrzałych czereśni. Wzorcowy model dla starożytnego sfinksa, wydawał się absolutnie oderwany od rzeczywistości i niemożliwy do zrozumienia. Pomiędzy wargami grały mu defilady siwych zębów, ale mówił ludzkim głosem.

– Lęk przed porażką to naturalna cecha wiecznych przegranych. Polska demokracja stoi pod wieloma względami wyżej od poprzedzających ją form państwowych. Nie jest jednakże wieczna. Musi ustąpić miejsca naszemu społeczeństwu. Mostem do naszego społeczeństwa jest triumf mas…

Kolejny strzał Bilonu rozerwał złotą gwiazdę, wyszytą w centrum szkarłatnego sztandaru, którym obleczony był olbrzymi czworonóg. Grzywa zafalowała na wietrze, trzy pary przekrwionych oczu zajrzały głęboko do serca Izydora.

Czas jakby się zatrzymał.

Izydor obejrzał się skołowany na zastygłą w ruchu dantejską scenę, a ostatecznie zawiesił wzrok na źródle głosu.

Gargantuicznych rozmiarów kot zdawał się być czymś rodem z przedstawień demonów, którymi straszono tych, którzy straszyli innych. A mimo to w sennej chimerze zdawało się być coś przyziemnego, biologicznego, niemalże ludzkiego. Biła od niej godność, niemożliwa do uchwycenia słowami.

– Gdybyśmy mieli więcej czasu na dyskusje, prawdopodobnie popełnilibyśmy znacznie więcej błędów – przyznał lew, po czym coś drgnęło w jego nieprzeniknionej, niemal ludzkiej masce emocji. Spiął się do skoku i rzucił gdzieś między przyobleczone plandekami pakunki.

Huczący lej sprężonych gazów wytrysnął z niewidocznej dyszy. Gęsta ciecz zalepiła cały obszar dookoła miejsca, gdzie jeszcze przed mrugnięciem oka stał stwór, niosący sztandar. Teraz wszystko spowijało białe, szalejące inferno.

– Kapitanie! – nadał krótko Świetliński-Brzeski przez zewnętrzny głośnik maszyny. – Wszystko w porządku?

– Tak, znaczy nie. – Izydor zagryzł wargi do krwi, myślenie musiało poczekać. – Zbieraj naszych, osłaniaj robotników. Potrzebujemy wszystkich pilotów w gotowości, inaczej nas tu wybiją. Nadajcie sygnał do Zamościa…

– Przecież nie mamy kontaktu!

– No tak, to zasadzka. Cholera, jasny szlag by to! – krzyknął kapitan, wycelował w kierunku kłębowiska cieni między nogami nieaktywnego Topola i wystrzelił dwa razy. Wężowisko poruszyło się jakby było istotą samą w sobie i rozprysło na boki. – Zająć pozycje obronne na dokończonej części Muru!

– Tak jest! – krzyknął sierżant i zakręcił się na jednej nodze, posyłając w świat spiralę, lepiącego się do każdej powierzchni, ognia.

Tylko tego brakowało, by nas wszystkich usmażył, pomyślał Izydor, widząc jak Rosenberpan sięga zarówno nieprzyjaciół jak i umocnień obrońców. Pole walki przypominało oko cyklonu – nie sposób było zrozumieć kto strzela i do kogo. Nie było nawet jak pojąć wskutek czego giną ludzie.

Ktoś leżał oblepiony czerwoną mazią, szarpiąc się mocno. Kto inny wydawał się być absolutnie czysty, błyszczący jak zalakierowana figurka i także w ten sposób stał nieruchomo, nie mrugając nawet.

W pewnym momencie kapitan dostrzegł, że ze skończonej części Muru któryś z obrońców strzela, opierając karabin maszynowy Fieldorfa o rusztowanie. Tylko czemu strzelał poza obręb Muru? Widocznie musiało zbliżać się coś, co było nawet gorsze niż to co już teraz było wewnątrz linii umocnień.

Przez niebo przekoziołkowała wiązanka granatów ręcznych, obsypując deszczem szrapneli wszystko żywe i nieżywe między kwaterami robotników. Kilkunastu stacjonujących żołnierzy złożyło pięciobok i osłaniało się wzajemnie, prując w pełzające wszędzie marionetki, przypominające ludzi.

Czerwone ludziki o niepoprawnie oddanych, wykrzywionych wyrazach twarzy, wlewały się przez dziurę w połowie Muru. Za dużo rąk, za mało nóg, kilka twarzy, jedno oko. Niezależnie od stanu i podobieństwa, Karmazynowe monstra człapały i wtaczały się na teren placu budowy.

Mało kto miał okazję zobaczyć Karmazynów i ujść z życiem. Jeszcze mniej osób było w stanie przeżyć czas po owym spotkaniu, gdyż większość osób umierała w męczarniach wskutek choroby lub zwyczajnie była zabijana przez własnych towarzyszy.

Na to Murykiewicz nie liczył, o nie. Biegł byle bliżej swojego pojazdu, wiedział, że tylko on może dać mu jakiekolwiek szanse przetrwania. Bilon miotał się w dłoni i obdarzał zbliżające się kukiełki zdawkowymi pozdrowieniami z ołowiu.

– Na rany boskie! – zawarczał Izydor, schował rewolwer do kabury i dopadł do uchwytów wspinaczkowych na boku Samsona.

Ledwie wspiął się na trzeci z dwunastu stopni, gdy ktoś szarpnął go mocno za nogę. Jęknął zdziwiony, zaczepił się mocniej, ale nie utrzymał chwytu i zleciał z impetem na ziemię. Coś złowrogo chrupnęło, rozchodząc się spazmem bólu po plecach, otworzył oczy i odruchowo chwycił za dopiero co schowany Bilon.

Owalny kłębek futra poruszał się na pięciu, pokrytych cienkim włosiem odnóżach. Miał ledwie pół metra wysokości, a jedną trzecią jego ciała stanowiła wyłysiała, ludzka głowa, pozbawiona oczu.

– Boże! – krzyknął z przejęciem kapitan, bardziej dla ferworu niż przerażenia. Przyłożył szeroką lufę między puste oczodoły stwora i pociągnął za spust.

Iglica kliknęła cicho, ale to wystarczyło by przebić się przez dźwięki rozgardiaszu bitwy. Izydor poczuł jak serce staje mu na krótki moment w bezruchu i zimny pot zaczyna rozlewać się po karku.

Kłębek chapsnął szczękami jeszcze raz, próbując rozerwać bucior pilota. Ten jednak nie pozostał dłużny, zmienił uchwyt na broni i po prostu rąbnął agresora w zęby. Kilka kawałków kości pofrunęło na boki, ciągnąc za sobą czerwone spirale wydzieliny. Rękojeść uderzyła drugi raz, trzeci, czwarty, piąty…

– Bić ich! Co jest z wami?! – ryknął co tchu w piersi Murykiewicz i przygniótł trzepoczącą się w konwulsjach bestię do ziemi.

Wyjął z ładownicy dwa pociski i bez patrzenia włożył do bębenka. Lufa przywarła miękko do miejsca, gdzie powinno być oko stwora i bluznęła ogniem. Tym razem czerep kłębka rozprysnął się jak miażdżona dynia.

– Co tym razem? – mruknął kapitan, słysząc jazgotliwy trel.

Kawałek dalej szła ku niemu istna parada osobliwości. Nieprzyjaciele toczyli się wolniej, jakby inwazja straciła na impecie. Pajączkowaty kłębek był tylko przystawką w wielkim daniu, które defilowało przez pobojowisko.

Wychudzone dziecko ze spłaszczoną twarzą targało za sobą z jakiegoś powodu niezmiernie długi łańcuch, samemu będąc przyodzianym w kilka strzępów materiału i szpiczastą czapkę. Na szpicy szedł lalce podobny chłopiec o rumianych policzkach, ściskając długi karnisz z nabitym nań grotem, u którego falowała czerwona flaga. Między tą osobliwą dwójką kroczył prawdopodobnie najdziwniejszy nieznajomy, jakiego do tej pory miał okazję widzieć Izydor.

– Ptaszydła – szepnął tylko, nie mogąc odwrócić wzroku i próbując po omacku wspiąć się do kabiny.

Smoliście czarny drozd szedł chwiejnym, chaotycznym krokiem dzięki dwóm patyczkowatym nogom, zakończonym sierpowatymi pazurami. Z bagatela ponad metrowego dzioba sączyła się strużka czerwonej wydzieliny, co chwila zlizywanej przez glizdowaty jęzor. Od główki ptaszyska sterczały już tylko dwa, zwinięte do tyłu rogi, nad którymi unosiło się kilka padlinożernych ptaków o błoniastych skrzydłach.

– *Za mną, bracia!* – wykrzyknęła lalka ludzkim głosem, na co makabryczna czereda odezwała się symfonią aplauzów i porykiwań.

Izydor zasunął nad sobą pancerne szkło, odhaczył trybik, zaciskając je do reszty wzmacnianej kabiny i odetchnął na moment. Wszystko ucichło jak ucięte nożem. Spojrzał spokojniej przez szeroką szybę w pochmurne niebo, otarł nos i wyrównał oddech.

Niedaleko placu przy składzie z narzędziami leżała przewrócona, zezłomowana na idealny sześcian bryła metali, płótna i szkła. Izydor przełknął ciężko ślinę, zdając sobie sprawę, że to właśnie tam stał wóz pancerny, którym jechał podpułkownik Miłaszewski. Wyglądało na to, że teraz to Murykiewicz odziedziczył cały spadek w postaci rozgrywającej się burzy chaosu.

– Jakże słodko i zaszczytnie jest...

Włącznik zewnętrznego nasłuchu przesunął się na aktywną pozycję.

Natychmiastowo kabinę pilota zalała fala wrzasków, wizgów, ślizgających się po uszach jazgotów i porykiwań. Ktoś krzyczał o pomoc, śmiejąc się jednocześnie jakby sam nie wierzył w to, że ów sukurs może przyjść. Gdzie indziej karabin maszynowy grał marsza do wtóru z pohukiwaniami rewolweru.

– Samson–01 aktywny, oddział zbiórka, uformować trójkąt! – podał przez interkom wyraźnie i powoli.

Cisza. Nikt nie odpowiedział na potwierdzenie. Izydor założył dłonie na dwa, tak już znajome, obite skórą drążki, wziął ostatni, głęboki oddech i pobudził maszynę do życia.

Pięciometrowy kolos wyprostował się, zamruczał głośno i odpowiedział na poruszenia wajch. Pozbawiony żyroskopu tors musiał obrócić się razem z nogami, co piloci żartobliwie nazywali walcowaniem. Jednak Izydorowi nie było do śmiechu.

W zasięgu wzroku ujrzał niepokojącą grupę abominacji z lalkowatym chłopcem na czele. Byli już blisko – niebezpiecznie blisko.

Miotacze Rosenberpanu powinny być używane z poszanowaniem restrykcyjnych zasad, ale nie zawsze jest czas na takie rzeczy. Nigdy nie jest czas na takie rzeczy, gdy w grę wchodzi ludzkie życie.

Siłowniki zabuksowały miarowo nabierając tempa, ciśnienie podskoczyło zaraz po nich i stalowa ręka z dyszlami wykonała krótki ruch do przodu. Ostatni zawór ze świstem przekręcił się na luz i kliknął uruchamianym zapłonem. Nareszcie rycerz Rzeczypospolitej doczekał się swojej chwili próby.

– W imię ojca i syna, ognia! – wykrzyczał samotny pilot Samsona–01 i puścił w świat białą, gęstą smugę pół–gazu, zmiatającą wszystko ze swojej drogi.

Lalkowaty chłopiec zawył coś jeszcze, wymachując czerwoną flagą, po czym całe jego lico spłynęło na ziemię jak woskowa maska. Kukiełkowata postać opadła, kurczowo trzymając topiący się sztandar. Tylko coś niewypowiedzianego kołatało się w sercu kapitana, mówiąc ciągle, że dziecko było prawdziwe w każdym, skwierczącym calu.

Rogaty drozd zajął się ogniem, nie wyrażając nawet zrozumienia względem własnej śmierci. Jego szczudłowate nogi po prostu załamały się, a pękate ciało runęło, przygniatając niosące łańcuchy maleństwo z błazeńską czapką.

Kilku kręcących młyny w powietrzu padlinożerców dało się złapać w długie, wszystkożerne macki płomieni i zawirowało nieskładnie jak puszczone fajerwerki, by zaraz opaść bez sił na wyjałowiony grunt.

Tryby machiny zwolniły, kurek obrócił się kilka razy i dyszel opadł, wciąż czerwieniąc się od niewyobrażalnej temperatury. Pojazd zastygł w bezruchu na krótki moment, obrócony już nie w kierunku groźnych poczwar, a kupki podrygującego na wietrze popiołu i strzępów futra.

– Ożeż ty. – Izydor zamrugał kilka razy z niedowierzaniem.

– Kapitanie… – ożywił się nagle interkom za głową pilota. – Odpieramy pierwsze natarcie poza obręb umocnień. Mamy wsparcie stacjonującego batalionu, część oddziałów zajęła pozycje w najbliższym gnieździe, jednak no…

Kapral Paprotko wyraźnie ciężko znosił pierwsze, otwarte starcie w ruchomym pancerzu. Brzmiał tak jak brzmią ludzie, którzy poradzili sobie z falą szoku, ale wciąż odpierają od siebie myśli na temat tego, co właściwie ten szok spowodowało.

– Weź się w garść, Józefie, jaki jest problem? Odbiór. – Wycedził wyraźnie do mikrofonu i obrócił maszyną kilka razy, by obejrzeć dokładnie plac.

Większość zabudowań w okolicy składała się jedynie z prowizorycznych klitek na narzędzia, sieci rozdzielonych od siebie bezpiecznie pawilonów oraz kontenerowych wagonów na kółkach dla robotników. Dalej stały zabudowania tymczasowe, w których żyli stacjonujący żołnierze. I teraz to wszystko płonęło. Płonęło w zastraszającym tempie.

Robotnik w błękitnym kasku dzierżył długi klucz hydrauliczny i wymachiwał nim desperacko na boki. Dookoła niego tańczyły dwie, wychudzone mary w szarych kombinezonach. Obie z długimi, lepkimi postronkami włosów opadającymi na brzuchy, ponieważ całe ich ciała były wykręcone jak wyrżnięte po praniu szmaty.

Któryś z konwojentów zebrał się na odwagę, zbliżył do robotnika i nabił jedną z poczwar na szeroki, liściowaty bagnet. Stworzenie zaskrzeczało, zatrzasnęło pozbawione warg usta i odwróciło się w kierunku żołnierza. Na moment pozbawione tęczówek oczy zamrugały jak uszkodzone żarówki po czym zapadły się w sobie. Całe ciało opadło jak łątka z podciętymi sznurkami.

– Tam nie ma jak strzelać – odezwał się w końcu po czasie Paprotko. – Nieprzyjaciel ma jakąś broń, której nie rozumiemy. Nie idzie na niego patrzeć, gorzej jakby człowiek wgapiał się w słońce, więc walimy na oślep albo dookoła. A to co jest w centrum tego czegoś… No to po prostu idzie na nas! I jest wielkie!

– Wielkie? Jak wielkie? – dopytał kapitan, przesuwając wajchę, wprowadzającą Samsona w trucht.

Wtem rozległ się huk i stokroć po nim gorszy trzask. Rusztowania dookoła stawianego donżonu zatrzęsły się, by ku ziemi natychmiast zawaliła się sterta drewna i kamieni, spośród których wystawały zmiażdżone kończyny krzyczących obrońców.

* * *

Chłopaczek w kraciastym kaszkiecie szarpnął kijkiem do przodu ponownie i wypchnął toczące się kółko jeszcze dalej. Zaraz za nim pędziła cała zgraja innych urwipołciów, wymachujących na oślep swoimi giętkimi patykami. Przez ulicę przejechał automobil z odsłoniętym dachem, piszcząc klaksonem na rozbieganą młodzież.

Kawałek dalej, na rogu ulicy tańczył murzyn. Chodził na rękach, żonglował trzema walcowatymi pałeczkami, zabawiał przechodzących łamaną polszczyzną. Ludzie rzucali mu drobniaki głównie ze względu na to kim był, a nie co robił. Mógłby równie dobrze stać na piedestale i z wydętymi wargami czytać wywróconą na lewo gazetę.

Na moment nad miastem zakołował zwyczajowo widziany, smukły sterowiec komercyjnych linii turystycznych StaroPolanie. Co prawda firma urządzająca wycieczki miała nie więcej niż dwa lata, ale ludziom dobrze się kojarzyła taka nazwa. Za nie tak znowu dużą opłatą, można było obejrzeć wedutę Warszawy z lotu ptaka, zakręcić kółko nad aglomeracją i wylądować na Błoniach.

Aleksander Breza uśmiechnął się delikatnie, z czułością i odstawił filiżankę kawy na spodek. Spokojnym ruchem wyjął z kieszeni gumową maseczkę i umocował na twarzy. Kilka razy nabrał powietrza, mruknął coś niewyraźnie do sekretarki i zdjął ciężki pęk kluczy z kołka.

Masywne, obite skórą drzwi zjechały nad wyraz płynnie na bok, odsłaniając ziejącą gardziel schodów. Wymacał pod palcami pstryczek i rozpalił długi rząd jarzeniówek. Z jakiegoś powodu uśmiechnął się do własnych myśli i zaczął powoli schodzić, pozwalając pracownicy zawrzeć wejście za nim.

Zamek zazgrzytał kilka razy, po nim przebiegł ślizgający się dźwięk zasuwy. Piwnica znowu była wygłuszona i odcięta od świata zewnętrznego.

Doktor zagwizdał pod nosem cicho, z satysfakcją odkrywając, że maska nie zniekształca jego nucenia. Uwielbiał z jakiegoś powodu podśpiewywanie, chociaż sam nie był pewien

dlaczego. Nie leżało to w kręgu jego specjalizacji, więc wychodził z założenia, że zostawi takie pytania mniej ambitnym badaczom.

W końcu po co zajmować się gwizdaniem, skoro prawdziwa muzyka dla Brezy płynęła z oczu.

– Kto idzie? – rozległ się stłumiony głos zza kolejnych drzwi w oddali korytarza.

Breza minął kotłownie, obejrzał masywne drzwi z uznaniem, ściągnął drewnianą sztabę, przekręcił zamek i odsunął łańcuszek, rozwierając wzmocnione skrzydło na oścież. Tutaj nie było już miejsca na klucze. Trzeba było pewności, że nic nie opuści sali numer szesnaście bez jego zgody.

Obejrzał się przelotnie przez ramię i wdusił drugi przycisk, oświetlając salę nieprzyjemnie mocnym blaskiem. Aż sam przysłonił oczy na moment, widząc jak pokryta kafelkami piwnica rozbłyskuje oślepiająco.

– Nie… – jęknął ktoś ze środka pomieszczenia.

Bez większego zainteresowania badacz spojrzał, czy skórzane pasy na pewno dość mocno przytrzymują pacjenta do katafalku. W zamierzeniu miał być zwykły stół operacyjny, ale wygrało bezpieczeństwo i pewność, że nikt go nie połamie w przemyślny sposób.

– Proszę… – po raz trzeci odezwał się mieszkaniec piwnicy, nadal wierząc, że ktoś mu odpowie.

– No już, już. – Aleksander zlitował się, zdejmując, bardziej właściwie odrywając bandaż od oczu pacjenta. – Bez zbędnego uniesienia, bo mi zaburzysz odczyt.

Breza delikatnie poruszył pomarańczową kaniulą dożylną i z zadowoleniem obejrzał twarz badanego, przelewającą się w kolorach zgniłej zieleni i rozdeptanych wiśni.

– Ślicznie. – wyszeptał, naciągając skórę pod brwią za pomocą drobnych szczypczyków. – Naprawdę dobrze rokujesz.

– Proszę mnie uwolnić, rodzina się martwi…

– Nikt się nie martwi – zapewnił beznamiętnie, nadal oglądając krwawy, fioletowy skrzep porastający oczy wachmistrza Radosława Kazimira. – Zginąłeś bohatersko w walce,

jesteś martwy dla świata… Jednak czekaj, czekaj… Mówiłem, nie płacz, bo wymaz będzie zniekształcony. Możesz nadal się przydać Rzeczypospolitej.

Aleksander przywołał uśmiech pod maską, wywołując zmarszczki wokół oczu dopiero po chwili. Zdawało się jakby skóra na jego twarzy nie nadążała za mimiką. Cienka warstwa kredowej skóry wydawała się być źle narzuconym filtrem na fizjonomii.

Przez moment jeszcze przyglądał się ranie żołnierza, aż w końcu obrócił się na pięcie i zaczął z przejęciem buszować po szafkach. Metodycznie przerzucał jedną rzecz, oglądał z każdej strony i odkładał, by zaraz do niej wrócić, obejrzeć na pół gwizdka i rzucić bez ładu.

Na półkach szybko rozrósł się bałagan w postaci porozrzucanych opakowań bandaży, białych ręczników papierowych, niewysterylizowanych jeszcze narzędzi i opisanych skomplikowanymi akronimami pudełek.

– Specyficzna sprawa z tą infekcją oka. Gdyby to była tylko kwestia zwykłej rany, to użyłbym zacisków i codziennie ze wschodem słońca delikatnie zwiększał jasność w pokoju światłem punktowym – wyjaśnił rzeczowo Breza, ściągając brwi z niezadowoleniem. – Znowu nie to pudełko. Nieważne, wybacz, szukam czegoś, a jesteśmy niedługo po wyprowadzce i nadal jest chaos straszny.

Doktor wreszcie chwycił za niewielkie opakowanie opisane literami: „KBPKMcC" i z zadowoleniem ujął drobny skalpel. Rozciął wieko, zamarł na moment i z pietyzmem wyjął ze środka plik kartek.

– Profesor McCarthy to chwalebny wyjątek jeśli chodzi o normy stowarzyszenia i nazywanie narzędzi badawczych. W innych wypadkach nie używa się małych liter, ale wiadomo, Amerykanin czyli dużo może. Nie zostawią przecież samej pierwszej literki, a obie nie mogą być pisane wielką literą, gdyż każda musi coś oznaczać… – Breza zamachał głową, puknął się rękawiczką w czoło i podszedł bliżej katafalku. – Zanudzam cię, prawda? Zdarza mi się, gdy już za bardzo skupię się na jakimś jednym temacie. To przekleństwo i błogosławieństwo.

Szkarłatna, opalizująca żyła pod nawarstwiającymi się strzępami niezasklepionej powieki zapulsowała niemrawo. Przez moment jeszcze błyskała delikatnie, wychylała się jak grdyka, gdy gardło przełyka ślinę, aż wreszcie opadła.

– Co za wyczucie czasu – szepnął podekscytowany badacz, pochwycił ponownie szczypce i wraził w oczodół obiektu badanego.

Radosław zaskowyczał jak ranione zwierzę, wydarł się z całej mocy. Krzyczał tak długo, jak tylko miał dech w płucach, licząc, że ktokolwiek będzie w stanie go usłyszeć.

Doktor po dwóch nieudanych próbach chwycił za dziwny, żylasty kanał i podniósł go wysoko, wyjmując poza obręb wygolonego łuku brwiowego. Odłożył szczypce, szarpnął haczyk na wyciąganej lince za wezgłowiem i zaczepił ostrożnie o zdobycz.

– Nawet gdyby pozbyć się warstwy betonu i jeszcze jednej warstwy wygłuszenia to prawdopodobnie nadal nie słyszałby cię nikt dalej niż na korytarzu… A za tym korytarzem są jeszcze schody i kolejne drzwi – wymienił z politowaniem doktor, jakby tłumaczył coś bardzo opornemu uczniowi. – Mógłbyś już przestać tak krzyczeć, ja mam coraz słabszy słuch na starość, chociaż nie chciałbym tego przyznawać.

– Dlaczego? – wyjęczał pacjent, prychając nozdrzami jak koń.

– Bo z wiekiem komórki odpowiedzialne za… A, dlaczego cię tu trzymam? Dla nauki! Robimy co musimy, ponieważ możemy – odpowiedział bez złośliwości Breza, wyjmując z przyniesionego pudełka pierwsze zdjęcie i przysuwając je do Karmazynowej żyły. – Drogi niszczycielu pokoju… Kazi–mirze, powiedz mi co widzisz?

Radosław zacisnął wyschnięte usta w wąską kreskę i spróbował pomachać głową na boki, mimo usztywnienia pasami. Przez moment skamlał jeszcze jak pies na widok uniesionej ręki, aż w końcu zaczął tylko warczeć gardłowo.

– Ranisz mnie – wyznał bez cienia ironii doktor i wstał z taboretu. – Myślałem, że jesteśmy wspólnikami. Chciałem nawet model teoretyczny nazwać po tobie, wiesz? Matryca Kazimira, brzmi całkiem poważnie, prawda?

Aleksander ruszył powoli w kierunku przeciwległej ściany i zdjął zawieszony pilot z pokrętłem. Odwinął miedziany drut z gumowego kołka i zaczął rozwijać jak linię telegraficzną, aż do centrum pomieszczenia.

– W ramach zachowania metodologii… – wymruczał Breza matowym tonem. – Od jednego do trzydziestu, skala z równymi odstępami co piętnaście volt. Ja zadaję pytanie, ty

odpowiadasz, a pokrętło śpi snem sprawiedliwego. Jeśli odmawiasz odpowiedzi, to pokrętło kręci bączki, rozumiemy się?

Radosław jednak nie odpowiedział, dalej odmawiając współpracy. Doktor przez krótką chwilę miał ochotę przekręcić wskaźnik do maksimum, ale stłumił szybko iskrę emocji, wiedząc, że rzetelność eksperymentu jest świętością.

– A zatem… Co widzisz? – spytał doktor, jedną ręką trzymając zdjęcie nad czołem skatowanego pacjenta.

– Nic.

– Nic nie widzisz, czy nie chcesz mi powiedzieć? – doprecyzował skrupulatnie badacz.

– Nic nie widzę.

Breza chwycił mocniej za pilot i zamaszystym ruchem przysunął do szkarłatnej żyły. Pacjent natychmiastowo spiął się i jęknął cicho, oczekując uderzenia prądu.

– Ty kłamczuchu! – zaśmiał się Aleksander, zadowolony z siebie. – Jednak coś widzisz, tylko nie chcesz mi powiedzieć!

– Nie, nic nie widzę… – zaczął pacjent, ale natychmiast rozległ się terkot przesuwanego pokrętła i jazgot.

Aleksander przez krótki moment trzymał jeszcze guzik, aż doliczył do pięciu i ten samoistnie odskoczył.

– Trzysta piętnaście – mruknął krótko i zaczął bez dalszych pytań przysuwać zdjęcia do czoła Kazimira.

Przez dłuższy czas wpatrywał się tylko w odczyty fizjologiczne, wypluwane bezustannie przez wariograf odkąd tylko Radosław Kazimir został skierowany na badania. Wymagało to oczywiście dodatkowych nakładów środków, a codziennie zużywano kilka rolek drukarskich na same odczyty jednego pacjenta.

Mimo to polecenie od samego czcigodnego marszałka oznaczało, że podejmowano się każdego starania, by dokonać przełomu. Więc dyrektorowi ośrodka zostało już tylko skupienie się na badaniach.

To zaś potrafił doskonale.

Obiekt badany poruszył się niespokojnie, wydał z siebie gardłowy charkot. Żyła na haczyku zapulsowała kilkukrotnie i zaczęła się szarpać jak wąż strażacki z puszczonym ciśnieniem. Po chwili wyrwała z objęć haczyka, samoistnie naprężyła ścianki i wpełzła do wnętrza czaszki badanego niby robak do gniazdka.

– Jego się nie boisz, mnie się boisz! – wysyczał nieswoim głosem badany, wyprężył jak struna mimo pasów bezpieczeństwa i opadł z powrotem.

– Intrygujące – szepnął Breza, obracając zdjęcie w swoją stronę.

Na zaśnieżonej fotografii widniała ledwie widoczna sylwetka lwa. Przypadkowy obserwator nie widziałby w niej pewniej nic nadzwyczajnego, tyle co rzeźba obleczona w szarą płachtę. Jednak Aleksander znał historię, kryjącą się za niezwykłym zdjęciem, zrobionym jeszcze późną zimą zeszłego roku pod Wołowyskiem.

Przypatrzył się kolejny raz jaśniejszemu obszyciu złotej gwiazdy na sztandarze. Ledwie widoczna cyfra: cztery, wyzierała tuż zza niej. Wiedział, że kawałki układanki zaczynają wchodzić na swoje miejsce tuż przed jego oczami.

* * *

Stęknięcie, krótkie bujnięcie w jedną, w drugą i rzut na stertę. Kontener, w którym transportowano wcześniej ryby, teraz był mogiłą ludzi. A może już nie ludzi?

Gumowe kombinezony błyskały częściej krwawymi bryzgami niż fabrycznym, pomarańczowym kolorem. Więźniowie nie spieszyli się, wiedzieli, że nikt nie podejdzie ich ponaglić, bo dookoła nich była tylko trzęsawisko trupów i pojedyncza góra stali. Nie było dokąd uciekać.

Podoficer w maszynie kroczącej typu: Truteń, nie starał się nawet wyglądać przez szybę. Wcisnął się w fotel i zastygł w pozycji embrionalnej jak dziecko, przerażone na widok pijanego rodzica. Momentami próbował zerknąć za obręb bezpiecznej, metalowej kołyski. Jakby w omamach zdawało mu się, że któryś z zewłoków wstaje, przeciąga się i…

Huknięcie o blachę wstrząsnęło jego sercem.

Wyjrzał delikatnie na dwie stojące sylwetki, z których jedna machała ręką. Kontener był już pełen.

Gałka dźwigni posunęła się powoli w dół, zbliżając sylwetkę do ziemi. Następna – stawy w łokciach, potem stawy w ramionach, zaczep górny po bokach i z powrotem wyprostowanie kolan.

Truteń uniósł pakunek, jakby to był gar gorącej zupy. Postąpił niepewnie do przodu, następując z miękkim mlaśnięciem na rozczłonkowaną stertę czegoś, co było kiedyś jednym organizmem. Pilot zasłonił usta, przeżegnał się i wykonał następny krok.

Zatrzymał marszrutę dopiero nad zalewem Miękoszyńskim, kilometr dalej.

Bez słowa wyprostował ramiona Trutnia i obrócił kontener, jakby wysypywał szpulę na nici z pudełka. Deszcz kukiełek zrosił niewysokie urwisko krwią i wystrzelił w dół kaskadą kończyn.

Twarz pilota spłynęła skórą, która po chwili zalepiła wszystkie otwory. Pozostała tylko gładka maska twarzy z jednym, czerwonym okiem, wpatrującym się w jezioro wypełnione tysiącami polskich żołnierzy.

* * *

Alicja Murykiewicz szarpnęła się z łóżka i odetchnęła ciężko jakby wypuszczona z duszącego uchwytu. Przejechała dłonią po twarzy, by zetrzeć łzy.

– Jezu – szepnęła tylko, nadal próbując złapać powietrze. – J… Jezu.

Było wcześnie, słońce ledwie wschodziło ponad rozległą wedutą miasta, witając promieniami zakwitły, pachnący jeszcze nocną rosą Ogród Krasińskich. Feeria barw, form i układów odniesień powalała Alicję za każdym razem. Tylko nie tym.

Po świeżej nitce asfaltu przejechał tandem z pustym siedzeniem, a zaraz za nim, już wolniej człapał powóz z jasnogniadą klaczą. Stylizowane, elektryczne latarenki świeciły tylko nowością, oszczędzając chociaż na eksploatacji, po licznych i kosztownych projektach unowocześniających stolicę.

Alicja rozsunęła firany do końca, rozłożyła ręce i zaczęła chłonąć. Ludzi, kamienice, nitki tramwajów, wózek kawiarki, kroczącą maszynę z terkoczącą melodyjkę tubą, sprzedawcę obrazów na rogu, staruszkę z bukiecikami polnych kwiatów, krzykacza z biuletynem wydarzeń artystycznych – chłonęła Warszawę.

Coś było nie tak. Niby spokojniejsza, bez dusiołka na piersiach i z przetartymi oczami, ale nadal myślami błądziła po rozlewiskach czerwieni. Jeśli sny są sposobem organizmu na radzenie sobie ze stresem, to było przed nią jeszcze mnóstwo śnienia.

Już z lżejszą głową, pozbywszy się przykrych, irracjonalnych wizji, zakrzątnęła się dookoła, aby nastawić gramofon Doroczyńskiego. Posrebrzana igiełka nastąpiła na płytę winylową, zaskrzypiała i odnalazła wyjeżdżoną ścieżkę. Mieszkanie wypełniła melodia wygrywana skrupulatnie na skrzypcach, pozbawiona jakichkolwiek słów szarpanina instrumentu w rękach obcego grajka z przeszłości.

Gdy męża nie było obok, Alicja również stawała się nieobecna. Gdyby tylko chociaż stacjonował blisko, czy też mogłaby zobaczyć go w ten lub inny sposób na najkrótszą chwilę.

– Marzenia – przerwała ciąg myśli, rozwierając drzwi potężnej, bukowej szafy. – Nie ma się co zamartwiać. Ogarnij się, bo skończysz jak te żenujące dewotki, co na pytanie: czym się zajmujesz, odpowiadają jak wrony: przy mężu.

Nie miała wpływu na obecność Izydora, mogła tylko zająć się sobą – tego by chciał. Mogła sobie pozwolić na wiele, a zamiast tego większość takich dni spędzała na samotnych spacerach po Ogrodzie Saskim, czy po bardziej zadbanych częściach miasta, gdzie nie dało się wyczuć przygnębienia.

Potwornego smutku, pożerającego stołeczne miasto pod szczęśliwą maską z kwiatów, których zresztą używanie do dekoracji zalecił sam prezydent. Sny przychodziły i odchodziły każdej nocy, jakby kpiąc z całkowicie odwrotnych wizji, jakich była świadkiem za dnia.

Polska była nędzna, przeżarta do żywego przez pochłaniające własne dzieci widma militaryzmu, faszyzmu i biedy. Tyle lat w próżni, by teraz z niej wychynąć na powierzchnię. Jak trup wykopany z mogiły, w tym samym stroju pochówkowym z kartonowymi butami – udający żywego, postawiony przy stole między gośćmi, tańczący, bawiący się, świętujący nowe życie.

Strzępy skóry, odłażące płatami – to nici z marynarki. Wydrenowane przez robactwo oczy – binokle na modę zachodnią. Skapujący na obrus jad – zbyt gęsty całun perfum. Każde wyjaśnienie przechodziło gładko przez usta mieszkańców młodego państwa, które wróciło z zaświatów.

Wypchany trocinami i ustawiony do pionu, ale nadal trup.

Alicja nie zbliżała się nawet do prawego brzegu Wisły, by nie musieć patrzeć na proletariat, skąpany w niewyobrażalnym brudzie i smrodzie. Za samo pokazywanie się w takich miejscach można było mieć nieprzyjemności prawne.

Agitacja rewolucyjna nie była po prostu nielegalna, ona stała się uosobieniem samobójstwa. Kult potworka zlepionego ze zjednoczonych myśli narodowowyzwoleńczych i katolickich był teraz jedyną drogą.

– Niepodległość – wypluła z niesmakiem Alicja, po czym zdecydowanym krokiem opuściła mieszkanie.

Zapowiadał się upalny dzień, a Alicja przeklinała łono, które wydało na świat bezmózgiego wynalazcę pończoch. Największą jednak bolączką były atłasowe rękawiczki, ponieważ damie nie wypadało wyjść bez nich. W ogóle damie nie wypadało wychodzić na spacer bez męża.

Nic nie wypadało nikomu.

Każdego dnia mężczyźni, chłopcy, starcy, więźniowie drobni i dorodni, mądrzy i głupi, wyszkoleni i zieloni jak szczypiorki na wiosnę – wszyscy pędzili mrówczym łańcuchem kibitek na Wschód. Kradzież? Wywózka. Morderstwo? Wywózka.

Agitacja polityczna? Tutaj zaskoczenie – śmierć. Jedyna zbrodnia karana śmiercią. Na inne szkoda było marnować zasobów ludzkich.

Co za gorzka ironia losu: uchować sól ziemi przez sto dwadzieścia dwa lata, by potem w ten sam sposób, w jaki zaborcy ją wydzierali, samemu wyrzucać z jeszcze większą efektywnością.

Ziarna soli rozsypane na jałowy grunt, kamienie rzucone na szaniec, tabory, eszelony, marszruty. A tam na Wschodzie – tylko śmierć. Stokroć gorsza niż najgorsza śmierć, bo nie śmierć ostateczna, a chwilowa na wpół świadoma.

Orzeł Rzeczypospolitej w desperackim akcie zarzucał pełznącego ze Wschodu gada własnymi pisklętami. Chwilami zwyczajnie posyłał jajka o ziemię, aż w końcu zaczął rozszarpywać dziobem swoje gniazdo, budując najśmieszniejsze i najmniej trwałe okopy w historii wojen tego świata.

A te roztłuczone jaja zaczną kiedyś gnić. Smród pomknie wielokrotnie szybciej niż jakakolwiek armia. Smród rozkładu popędzi na Zachód, by tam zapowiedzieć ten sam los dla każdego orła w godłach państw Europy.

Sam czcigodny marszałek – najromantyczniejszy ludobójca historii Polski powiedział: na Wschodzie są drzwi, które się otwierają i zamykają i zależy, kto i jak szeroko siłą je otworzy.

Alicja zatrzymała się na moment, ujęła między palce liść rododendrona i zasłoniła usta rękawiczką.

– Ojej, znowu się zamyśliłam – przyznała sama do siebie pogodnie.

* * *

Ośmiometrowa brama ze wzmacnianych kompozytów, zapewniających największą wytrzymałość, na jaką tylko mogła sobie pozwolić Druga Rzeczpospolita, runęła do wewnątrz. Olbrzymie skrzydła przewróciły się niby zdmuchnięty domek z kart i pozostawiły gardziel otwartą na oścież.

– Nie – wyszeptał do siebie Izydor z niedowierzaniem i potrząsnął głową, jakby ktoś wyrwał go z drzemki. Wściekły szarpnął wreszcie strąkami włosów, krzycząc w interkom. – Kapitan Izydor Murykiewicz, do wszystkich jednostek: zarządzam odwrót. Powtarzam: odwrót, macie zabrać stąd wszystkich pozostałych cywili i poinformować najbliższą placówkę o przełamaniu linii umocnień!

Cisza, nikt nie odpowiedział na wezwanie dowódcy batalionu. Na zewnątrz nadal trwał zamęt boju, ale nikogo nie było na linii łączności. Przez moment Murykiewicz bił w furii w

nitowany sufit ciasnej kabiny, aż w końcu zacisnął dłonie na obu drążkach sterowania i pchnął je jak najdalej.

Samson–01 wysforował się z miejsca, coś szarpnęło nogami na boki i po chwili podjął się kłusu. Chmura podniesionego pyłu budowlanego oraz kurzu wirowała wraz z gęstym dymem, wyłaniającym się z pożogi Rosenberpanu.

Izydor pociągnął do siebie mniejszą dźwignię, zawinął ją nieznacznie w lewo, zablokował, nacisnął przełącznik i wsłuchał się w wywołane siłowniki. Mechanizm przyłączony do zbiorników zahuczał głośno, ale równo, odciągając mieszankę płynów do systemu wytrzymałych rurek.

– Pod Twoją obronę uciekamy się… – zaintonował spokojnie i poluzował kurek, pozwalając świetlistej substancji wyskoczyć gęstą strugą z miotacza. – Święta Boża Rodzicielko.

Krótkie kliknięcie następowało zawsze po uwolnieniu mieszaniny, zapowiadając zapłon. Ciśnienie posłało falę inferno w światło bramy, zalewając całe przedpole huczącym pożarem. Języki ognia zawijały się, podskakiwały, wyciągały łapczywie, oblizywały żelazo–betonowe sklepienie i obrastały natychmiastowo każdą powierzchnię.

Samson–01 parł dalej w środek tego piekła, przyśpieszając jeszcze. Wskazówka prędkościomierza wyskoczyła na prawie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ciśnieniomierz sugerował efektywny zasięg Rosenberpanu na ponad sto pięćdziesiąt metrów. Machina wpadła pomiędzy ślizgające się po ziemi płonące plamy, odcinając sobie drogę ucieczki.

Gęsty całun przykrył Izydora. Teraz szarżował tylko przez mrok i ogień, samemu przyczyniając się do wzniecania czerwonego kura. Gdzieś pomiędzy nogami machiny przetoczył się konający pogorzelec, zaczepiając obłożonej gumą opancerzonej stopy Samsona, jak biblijny Jakub szaty Pana.

Pozostając wierny paraboli, Murykiewicz również nie zatrzymał się, by błogosławić owczemu pastuchowi. Postawił kolejny krok machiny i poderwał nieszczęśnika na krótko do góry i zesłał z powrotem do Sheolu rozkopanej ziemi i trujących oparów. Okrutne, ale przecież nie mógł się zatrzymać, ani mu pomóc.

Kapitan zmrużył powieki, czuł, jak temperatura wewnątrz kabiny skacze niebezpiecznie wysoko. Termometr przymocowany do konsolety zaczynał wariować. Tak samo zresztą, jak i pilot, który uniósł chwytną rękę pojazdu do zgięcia przed pancernym szkłem i przełączył tryb poruszania na galop. Siłowniki zabuksowały z pełną mocą, dyszel zaryczał, odkształcił się delikatnie, dając całkowity upust mieszaninie przeciw–tkankowej.

Wtem czarno–biały wir wychylił się zza trzaskających ognisk i rozdarł zasłonę dymu.

Izydor uniósł zszokowane spojrzenie, by móc przyjrzeć się wielkiemu, kręcącemu się kołu fortuny, zatkniętemu na szczycie ośmiometrowego wzgórza. Hipnotyzujący świder wchłaniał do środka spojrzenia z niemal fizyczną siłą.

Wzgórze, pomyślał pilot, jakie wzgórze?

Zdołał opuścić wzrok na kilka sekund przed tym, jak z nieba spikował cień góry.

W pierwszym momencie chwycił za wajchę, by drugą dłonią wzmocnić prowizoryczną gardę, którą jeszcze chwilę wcześniej ustawił w atawistycznym odruchu strachu przed ogniem.

Jednak ostatnie chwile, niespodziewane zwroty akcji i brawurowe wyczyny działają tylko w bajkach i kronikach filmowych, odtwarzanych na pokazach w parkach Łodzi.

Cios dosłownie wgniótł Samsona w spopieloną ziemię. Metalowe stawy zgrzytnęły ostro i z przejmującym jękiem konstrukcja zgięła się do przykucu.

Obłożona gumą lewa dłoń maszyny naparła na pancerne szkło kabiny i zaznaczyła je głęboką bruzdą. Trzask szkła wypełnił kokpit, po czym wizjer zaczął nabierać odcienia siwej mgiełki.

– Potrzebuję wsparcia! – krzyknął beznadziejnie kapitan, wiedząc, że interkom powinien być ciągle włączony, a nasłuch prowadzony przez oddzielny system. – Wdałem się w zwarcie z wrażym Behemotem, powtarzam: wdałem się w zwa…

Nagle trzask, zmiana ciśnienia, zapach torfu i głos, spychający wszystko inne do tła.

– *Exodus pożera ludzi i charaktery. Niszczy najmężniejszych, sieje spustoszenie wśród słabych* – ogłosił wydobywający się z każdej strony baryton. Gdy tylko izolacja kabiny została uszkodzona, Izydor w pełni odczuł, jak ogłuszająca kakofonia okrzyków, nawoływań

i monologów rozgrywa się na polu bitwy. – *Exodus wydaje się całkowitym szaleństwem tym, których zmiata i obala…*

Murykiewicz z trudem otworzył oczy, popchnął w lewo oba drążki ramion i wdusił z całej siły przycisk, blokujący ciśnienie w kolanach machiny. Konstrukcja nagle podskoczyła, po czym wyrównała tempo i zaczęła lekko się podnosić jak nadmuchiwany balon.

– No, dalej! – szeptał do siebie, przerzucając panicznie wzrok z każdego, sprawnego jeszcze wskaźnika na następny. Ciśnienie w nogach wzrastało, temperatura w kabinie skakała coraz to wyżej, poziom Rosenberpanu smętnie zanikał, siłowniki w chwytającym ramieniu nie wskazywały na nic, kompletne szaleństwo! – Na miłość Boską!

Wzgórze, które stało przez cały ten czas przed pilotem, wydawało się nie mrugać. Nabuzowany adrenaliną organizm zdołał tylko zapamiętać pojedynczą klatkę obrazu: coś wielkiego z dwoma, wypełnionymi rtęcią oczodołami.

– Tutaj kapitan Izydor Murykiewicz, pilot Samsona–01, czy ktoś mnie… – kabina pęczniała i puchła od dymu, gdy uwięziony w niej dowódca wykrzykiwał ostatnie słowa, wpatrując się we wschodzące ku górze dwa, gargantuiczne ramiona Behemota. – …Słyszy?

Dłonie zacisnęły się na sobie, tworząc wielki kafar z palców, zdolny zapewne ukryć w sobie automobil z pasażerami. Gigant na moment zatrzymał się, wyhamował rozpęd i przymierzył do zmiażdżenia niemal dwukrotnie mniejszego wroga.

Wtem błysk, oślepiająca biel i urywająca się nagle jedna z dziesiątek litanii zawołań nieprzyjaciół. Płonące macki obrosły posturę kroczącej góry, jak i dostrzegalną w nowym świetle platformę, na której stał przedziwny orator wraz z mesmeryzującym wirem.

Teraz symfonia przemowy została przerwana, a sam mówiący sturlał się po zbutwiałej, drewnianej scenie i wpadł między przeoraną pazurami ziemię i ogniste kałuże. Szamoczący się Behemot wydał z siebie niekontrolowany ryk, przydeptując przypadkiem swojego jeźdźca.

– Ant… ski… kaz! – zatrzeszczał głośniczek, nie będąc w stanie wygrać nieuczciwej walki z rumorem.

– Nie usłyszałem, powtórz! – przylepił usta do mikrofonu i wykrzyczał z całych sił Izydor, po czym zablokował przyrost ciśnienia w nogach i odepchnął od siebie obie dźwignie sterowania.

Samson–01 zachybotał się, wyczekał niepokojąco długo, ale w końcu zareagował i postąpił do przodu. Machina utykała na lewą stronę, a na dodatek główna, operacyjna ręka nie odpowiadała.

– Na rozkaz kapitanie! – wyrzucił z siebie interkom, trzeszcząc niemiłosiernie.

Murykiewicz z trudem poznał w tym głos swojego wiernego podkomendnego, pilota trzeciego Samsona, sierżanta Świetlińskiego–Brzeskiego. Na moment uśmiechnął się do własnych myśli i pokiwał głową, mimo że nie mógł tego dostrzec nikt.

To już drugi raz jak mnie ratuje, pomyślał dziarsko, ktoś tu się mocno stara.

Nad głową kapitana rozległ się terkot, jakby ktoś włączył młot pneumatyczny, albo otworzył drzwi do zakładu krawieckiego. Coś błyskało raz po raz w ciężkiej szarówce, sporadycznie wyłamując się ze schematu pojedynczymi mignięciami żółci i oranżu.

– Nasi – szepnął dowódca, spoglądając przez panoramiczną szybę na gniazdo karabinu, koszącego lalkowate stworzenia pełznące od ściany lasu. Pociski gęsto orały korytarze przez leszczynę i krzewy burzanu, często nie sięgając nawet swoich celów. – Trzeba im pomóc.

Masywny tryb przeskoczył na swoje miejsce i przejrzysty, spękany pancerz z sykiem odłączył się od pojazdu, wjeżdżając na zewnętrzną szynę. Mechanizm zaskowytał i zatrzymał się w połowie. Mimo to dym powoli zaczął sączyć się poza obręb kabiny.

Przepisy zabraniały używać miotacza przeciwtkankowego przy otwartej szybie. Jednak przepisy sobą, a prawa walki sobą, jak już wcześniej uznał Izydor. Nie mógł tak bezczynnie stać, czy raczej kuśtykać.

Ramie i tak było wyprostowane, sprężarka zawarczała niewyraźnie, ale zaczęła działać, przygotowując mieszankę do strzału. Kapitan z niesmakiem spojrzał na zniszczony ciśnieniomierz i otworzył zawór na wyczucie.

Zapłon kliknął cicho, ale aż nazbyt wyraźnie wśród harmidru. Pilot przełknął zalegającą ślinę, były takie dźwięki, które słyszało się zawsze – niezależnie od warunków. Były to dźwięki nieoczekiwanej porażki i złośliwości rzeczy martwych.

Nie musiał patrzeć na konsoletę, znał ją na pamięć jeszcze od czasów szkoleń. Wymacał ręczny zapłon na boku pulpitu i nacisnął kilka razy.

Stukoty przypominały rytm metronomu: miarowe, jednostajne, tak samo suche.

– Jerzy, zapłon nie działa! – zdążył krzyknąć kapitan i jak na zawołanie płonąca góra mięsa przed nim przebudziła się, miotnęła chaotycznie i złożyła ponownie ręce nad głową.

Sierżant operował swoją maszyną nad wyraz sprawnie, chociaż za jego śladem ciągnęła się bystra, mleczna struga z przedziurawionego zbiornika Rosenberpanu. Uniósł uzbrojoną dłoń, ale fala już traciła na ciśnieniu, opadając smętnie coraz krótszą parabolą.

Metrowy kawał sczerniałego mięsa odpadł od jednej ze wzniesionych, smażących się dłoni olbrzyma – zapewne był to palec, miał ich jeszcze dziewięć.

Gigant mrugnął po raz pierwszy i z rykiem wbił pięści w kabinę Samsona–03.

Ogień dostał się do cysterny, tryskającej na wszystkie strony ładunkiem. Kula płomieni dotarła prawie do samego kapitana, spowijając wybuchem obszar w promieniu kilkunastu kroków od wgniecionej maszyny. Opary gorejącego Rosenberpanu wypaliły do żywego wszystko w epicentrum i osmaliły obrzeża.

Umarłem, pomyślał Izydor, nie żyję i jestem w piekle.

Zablokowana szyba pancerna nie pozwoliła jednak, aby fala mieszanki przeciwtkankowej wdarła się do środka kabiny. Kapitan nie wierząc we własne szczęście, obmacał twarz, po czym ryknął jak ranione zwierzę. Popchnął przed siebie oba drążki, doprowadził pojazd do środka czarnego–kopcia wyjałowionej ziemi i wcisnął się całym ciałem w szybę.

– Jerzy – syknął, próbując wypatrzeć jakiegokolwiek ruchu w zdeformowanej, czarnej puszce, w którą zmienił się niegdyś majestatyczny rycerz.

Lej po wybuchu stał w sąsiedztwie spetryfikowanego nieprzyjaciela. W obu przypadkach śladem po walce były tylko jednolite powierzchnie popiołu i dwa monolity węgla, skrywające pod powłoką drgające mięśnie.

Ucisk bólu fizycznie przebił się przez smutek Izydora. Dopiero po chwili doszedł do tego nieprzyjemny, lepki dotyk między żebrami rzekomymi. To nie tylko strata bolała kapitana tak bardzo, a rzeczywista rana.

Z niedowierzaniem spojrzał na przedziurawiony materiał kombinezonu spod którego ziała wąska, czarna kreska. Bąbelki krwi nabrzmiewały i pękały, sącząc się z draśnięcia czerwonymi odbarwieniami.

Cienka bruzda byłaby zwykłym odpryskiem, mało znaczącym materiałem na późniejszą bliznę do chwalenia się przy ognisku. Ot, taka nic nie znacząca rzecz, o której można myśleć w innym czasie.

Tylko innego czasu miało nie być, gdyż rana pulsowała jaskrawo Karmazynem.

– O nie – wyszeptał na krótko przed tym jak kabinę wypełnił elektryczny trzask.

– Mówi podporucznik Wołk, pierwszy Samodzielny Pancerny Batalion Miotaczy Przeciwtkankowych – zgłosił matowy głos w interkomie. – Do wszystkich jednostek stacjonujących na terenie Skrzyszewa. Formacja nieprzyjaciela pękła, nie łapiemy kontaktu radiowego na większe odległości, zarządzam przegrupowanie na wewnętrznym dziedzińcu od strony zachodniej. Zalecam omijanie śladów Rosenberpanu dla własnego bezpieczeństwa, wszystkie podejrzane aktywności raportować natychmiast…

– Mówi kapitan Izydor Murykiewicz – wyartykułował dokładnie do interkomu. – Ja… Zarządzam zbiórkę, zbierzcie wszystkie nadające się do użytku maszyny kroczące i baczcie na zewnętrzną ścianę lasu, mogą wrócić…

Izydor odrzucił na bok zaprzeczenie i szybko przeszedł do gniewu. Nie miał wiele czasu, więc i z emocjami musiał się śpieszyć. Porządek musi być i tak długo jak żył, nikt nie będzie sobie uzurpował prawa do jego funkcji.

O czym ty mówisz, pomyślał, nie czas na to.

Dreszcz bólu przeszedł przez całe ciało Murykiewicza. Przez moment gorące prądy zdawały się jakby razić wzdłuż żył, idąc aż do twarzy i paląc żywym ogniem. Rana na boku zasyczała sama z siebie.

– Kapitanie, nieprzyjaciel nie wycofał się na wschód.

* * *

Z czym tak właściwie stajemy w szranki?

Zastanawiacie się państwo na pewno: jakie mundury nosi wróg, jakim mówi językiem, jakiej broni używa, jakiego koloru niesie sztandar?

To są wszystko oczywiście pytania rudymentarne i absolutnie drugorzędne. W historii całego świata byłyby to jak najbardziej zasadnie i całkowicie zrozumiałe kwestie, godne rozważenia. Już tłumaczę w czym rzecz.

Ta wojna różni się od wszystkich w historii świata. Nie walczymy o zasoby, o ziemię, o wolność, nie walczymy o traktaty, języki urzędowe i prawa mniejszości. Nie walczymy za króla, za cara, czy nawet za naszego czcigodnego marszałka, któremu nie odmawiamy wielkości i ogromnej miłości do Polski.

Walczymy o przetrwanie. O przetrwanie całej ludzkości. Wiem, że to może dla państwa brzmieć niewyobrażalnie, gdyż do tej pory mówiliśmy tak tylko w wypadku psychomachii, czy walki Boga z diabłem. Jednak mamy wreszcie w historii świata pierwszą okazję, by móc śmiało powiedzieć, że po naszej stronie barykady nie ma jednej chorągwi, herbu czy zawołania. Po naszej stronie są ludzie, ich dusze i ideały, a po drugiej stronie nie ma nic. Na Wschodzie jest otchłań, w której nie ma miejsca na nawet jeden ludzki oddech.

Szmer rozmów przebiegł przez aulę wykładową, co Aleksander Breza skonstatował znużonym wyrazem twarzy. Zamachał dłonią i kazał przypadkowemu słuchaczowi pociągnąć za wajchę, by uchylić okna.

– Udusimy się tu, zanim nas zabiją – spróbował rozładować atmosferę doktor, ale nikt na sali nie podzielał jego poczucia humoru.

– Może ktoś ma jakieś pytanie co do tej części prelekcji? – zapytała rzeczowo konferansjerka w czarnym kombinezonie. – Pan tutaj.

Otyły mężczyzna z sumiastym wąsem „Na ukochanego marszałka” wstał z trudem, sapnął i odezwał się pretensjonalnym, niskim tonem:

– Ja mam do tego ruska pytanie, czemu nie jest u siebie i nie ginie za Moskwę, hę?

Po sali rozległo się kilka okrzyków zachęcenia, ktoś zaklaskał parę razy w dłonie. Zadowolony z siebie wąsacz obrócił się i pochylił głowę z uznaniem, prawie zrzucając sobie z głowy maciejówkę.

Doktor Breza oparł nonszalancko twarz o zgięte ramię jak znudzony lekcją uczeń i uśmiechnął się prowokacyjnie do wąsatego jegomościa. Nagle obrócił się żwawo na profesora Siergieja Piotrowicza Mielnikowa i sparodiował pytanie:

– No Sergiuszu, może powiesz panu, dlaczego nie pozwoliłeś się rozszarpać bandzie beboków równie opasłych co on?

Pytający otworzył usta z niedowierzaniem, wysuwając drugi podbródek. Profesor jednak bez trudu powstrzymał się od śmiechu i z ledwie wyczuwalnym, miękkim akcentem odpowiedział po polsku:

– Bo wolę żyć za Warszawę.

– No, widzi pan? – spytał Breza, szczerząc się jak ryś do złowionego ptaka. – Szanowny profesor wolał oddać się służbie Rzeczypospolitej, a nie carskiej Rosji, czy panu to przeszkadza?

Wąsacz rzucił spojrzeniem na słuchaczy, w których już nie mógł rozróżnić tych, którzy przed chwilą mu przyklaskiwali. Obrócił się na stojącego pod ścianą ponurego mężczyznę, ubranego mimo upalnego dnia w szeroki płaszcz i wreszcie podjął decyzję:

– Nie, przepraszam, bardzo się cieszę – wydukał, z trudem nie rozpłakując się ze stresu i przysiadł ciężko na zbyt małym siedzisku.

Człowiek w płaszczu przysunął się do stojącego kawałek dalej, pozornie niepowiązanego z nim osobnika i szepnął mu coś na ucho. Obaj wymienili się skinięciami i wyszli, patrząc spode łba na przerażonego wąsacza.

– Ktoś ma jeszcze jakieś pytanie? – ponownie odezwała się prowadząca spotkanie.

Dzień przeciągał się Brezie niemiłosiernie. Marzył mu się spokojny, chłodny półmrok piwnicy. Zamiast tego musiał zabawiać ciekawskich gapiów jak jakiś klaun albo inny murzyn. Wiedział, że wiele edukacji w naród nie włoży, ale czasami trzeba było spróbować, chociażby po to, by mieć rację, że nie było sensu.

– Tak, ja – odezwała się nagle płowowłosa kobieta w szerokim kapeluszu ze wciśniętymi doń pąkami bzu.

Doktor Breza skupił wzrok na uśmiechniętej, ubiegającej się o uwagę i przyzwolił jej zdawkowym ruchem głowy. Nie interesowały go kobiety jako obiekty pożądania, ale liczył, że stanie się chociaż coś śmiesznego. Bardzo często emancypantki zgłaszały się z różnorakimi inicjatywami w czasie otwartych wykładów, co zazwyczaj zawierało się w pytaniach: A czemu kobiety nie są majorkami? A czemu na sali nie ma żadnej profesorki? I tym podobnych, w mniemaniu doktora, bredniach.

– Mam pytanie do szanownego profesora Mielnikowa… Siergieju Piotrowiczu, jak udało ci się uciec przed tymi potwornościami? Co możemy zrobić, aby nasi dzielni obrońcy na Wschodzie mieli szansę? To chyba dwa pytania, ale pan pozwoli, dziękuję.

Aleksander zamrugał kilka razy, wyprostował plecy i uchylił usta, by coś powiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że to przecież nie do niego było skierowane pytanie. Uśmiechnął się jedynie pusto. Coś ukłuło go w piersi, zazdrość? Zdławił myśl natychmiast, to nic takiego, na pewno.

– Miałem dużo szczęścia, ewakuowaliśmy się w porę pociągiem z Piotrogrodu. Nie mieliśmy żadnego planu, tamten rok to był koszmar. Wsiedliśmy w eszelon i po prostu przebiliśmy się przez wszystko co stało na drodze jak… Jak siekiera przez pień, rozumie pani. To nie była w żaden sposób nasza zasługa, nasz spryt, po prostu Bóg.

– Po prostu Bóg – powtórzyła cicho Alicja Murykiewicz.

– Jednak możemy nadal coś zrobić – wtrącił się Breza, nie mogąc dłużej milczeć. Chciał poczuć na sobie wzrok zmartwionej słuchaczki. – Nasz Instytut dzień i noc pracuje nad tym, byśmy mieli szansę zwalczyć nieprzyjaciół. Rozumiemy ich coraz lepiej każdego dnia, poznajemy ich naturę, uczymy się im przeciwstawiać, nauka stąpa dziś szybciej niż kiedykolwiek przedtem w historii ludzkości.

– Więc dzięki pańskiemu instytutowi mamy szansę – bardziej stwierdziła, niż spytała Alicja, wpatrując się w siwego doktora z łagodnym uśmiechem.

– Mamy szansę wygrać tę wojnę – skłamał, po czym na sali rozległy się owacje.

* * *

Nagłe szarpnięcie wyrwało kapitana Murykiewicza z krótkiego snu. Chwilę jeszcze rzucał rozedrganym wzrokiem na boki, po czym wyrównał oddech. Pot zlewający się po czole zalepiał mu powieki.

Dopiero po krótkiej chwili zwrócił uwagę na poparzoną twarz kaprala Paprotko, wystającą spod zmaltretowanej rogatywki. Podkomendny skinął tylko lekko przełożonemu, po czym bezceremonialnie umościł się na suchym skrawku ziemi, biorąc sobie gumowe rękawice jako poduszkę.

Izydor przeciągnął się bardziej z zasady niż z potrzeby, po czym wyprostował, omal nie uderzając głową w niskie sklepienie pieczary. Przeszedł w jedną stronę, potem w drugą, aż zadecydował, że łatwiej jest iść pochylonym niż obcierać sobie głowę.

Mądrość bazarowa głosiła, że żołnierz płci męskiej, tak jakby jeszcze mieli pozwolić kobietom uczestniczyć w piekle wojny, powinien mieć przynajmniej pół metra wolnej przestrzeni nad głową, inaczej szybko staje się agresywny. Prawda to, czy miejska legenda, sztolnie i bunkry zazwyczaj, tak czy inaczej, wpisywały się w tę zasadę. Problemem było to, że ciasne groty nie spełniały standardów bezpieczeństwa i higieny pracy. A w takowej wilgotnej grocie znalazł się Izydor.

Kapitan wymacał pomarszczonymi palcami kamienny sufit, po czym nacisnął na niego raz i drugi jak Atlas przygnieciony ciężarem ponad siły. Chwila mocowania się wystarczyła, by skutecznie osłabić zapał do walki z niepowstrzymanym. Poskubał pazurami pomarańczowy, błyskający dziwnie mech i opukał kilka razy chropowate ściany.

– Klaustrofobia? – zapytał spod brunatnej, metalowej ściany Wołk.

Izydor zmrużył oczy i dostrzegł w mroku sylwetkę podporucznika, przystawiającego oko do wąskiej szczeliny, przez którą wpełzli do środka. Sam też postanowił zaczerpnąć nieco świeżego powietrza i przykucnął obok.

– Widziałeś kiedyś pilota kroczącego, który by się bał małych przestrzeni?

Jan pokiwał zdawkowo głową.

– Drażliwy temat?

– Nie – odpowiedział krótko, po czym pozwolił Izydorowi przystawić twarz bliżej wycinka, przez który wpadało światło wschodzącego słońca. Samemu schronił się głębiej w aksamicie czerni, opierając plecami o udo Samsona. – Udzielałem prywatnych lekcji pilotażu. Nowobogackie kurwie ze stolicy lubią się bawić…

Dowódca puścił ton mimo uszu, wszyscy byli zdenerwowani, a mogła to być ostatnia okazja, by mówić to, co się myślało.

– Był taki jeden Miodkiewicz, burżuj pierdolony, dorobił się, miał hutę stali i cholera wie co jeszcze. Nie patrzyłem mu do portfela tak dokładnie, po prostu każdy zarabia na tym, co potrafi robić – skrzywił się Wołk, jakby mu było wstyd i przejechał od niechcenia palcem po wygiętym siłowniku pod kolanem maszyny. – Umyślił sobie, że syna przyuczy do pilotażu, bo i tak nową pelotkę sobie sprawił do ogrodu, a nie ufał wynajętym… No kurwa szczegóły. Chciał go nauczyć, rzucił pieniądze, ojcu się nie odmawia, tyle.

Izydor zaczerpnął głębiej tchu po raz kolejny. Tym razem napęczniał, jakby chciał zachować świeże powietrze na jak najdłużej. Z pełnymi ustami odstąpił miejsca Janowi i zachęcił go do wyjrzenia na zewnątrz. Ten jednak odmówił, odwracając wzrok.

– Na pierwszej lekcji dostał ataku paniki. Ledwie go wsadziliśmy do kabiny, a on zaczął dygotać. Ojciec gówniarza mówi, że to z podniecenia, bo młody i jeszcze nie miał okazji wcześniej. Kurwa mać – wsadził dwunastolatka do pieprzonego, dziesięciotonowego czterokrokowca.

Dowódca zamarkował ciche gwizdnięcie, tak by nikogo nie rozdrażnić.

– Jeśli ktoś ustawia sobie takie urządzenie w centrum Warszawy, to albo nie zna aktualnej sytuacji, albo zna i nie pokłada nadziei w obronę Rzeczypospolitej – wtrącił jeszcze kapitan, po czym wrócił do obserwowania naprzeciwległej ściany lasu.

Z każdej strony wystawały na świat gęste krzewy, mechate runo leśne o czerwonym zabarwieniu i podejrzane samosiejki. Gdzieniegdzie walał się porzucony pień o nienaturalnie

ostrym zagięciu do góry. Czasem drzewo rosło jak wykręcony świder, zakręcając do góry wokół własnej osi. Typowy las na rubieży wschodniej.

– Powiedział mi wtedy, pamiętam jak dziś: zamknij właz – kontynuował Jan, wpatrując się w skapującą z sufitu wodę. – Nigdy nie zapomnę krzyku tego dzieciaka. Przestał uderzać pięściami o ściany, gdy zemdlał ze zmęczenia, albo ze strachu. Zwróciłem zaliczkę i powiedziałem grubasowi, by uczył syna czegoś pożyteczniejszego, albo sam schudł i wpakował się do tej konserwy.

Kapitan uśmiechnął się mimowolnie i spojrzał na podporucznika.

– Jesteś dobrym człowiekiem Janie, chociaż język to masz za długi.

Wołk niewzruszony komentarzem trwał w bezruchu, wgapiając się w za niski sufit pieczary. Chwilę później szepnął:

– Będzie padać.

Murykiewicz pokiwał głową, pomacał się chwilę po twarzy, roztarł w palcach różowawy pot i zaciągnął się głęboko.

Powietrze było napięte jak struna skrzypiec, nieroztropnie przeciągniętych do granic wytrzymałości. Mądre głowy powiedzą, że to niemożliwe, ale człowiek ma zmysł, którym to czuje – zmysł słabości, zmysł maleńkości. Świeże, prawie jałowe, czyste powietrze, cichy pisk, brzęk a na koniec zdaje się bacznemu obserwatorowi widzieć pełgające tu i ówdzie błękitne iskierki.

Tak – burza.

W momencie, gdy ktokolwiek zda sobie sprawę, jest już za późno. Żywioł ma przewagę nieskończoną nad człowieczą gliną. Niech sobie ludzie czynią ziemię poddaną, ale grom z niebios zawsze przypomina, kto rządzi kosmiczną, szklaną kulą.

Konie bożego powozu zaczynają z daleka mówić kłusem o swojej obecności. Mokre kopyta trącają źdźbła trawy i znaczą spłowiałą glebę odciskami kropelkowych podków.

Wtedy rozlega się pierwszy strzał z boskiego bicza i już nie truchtem – już kłusem.

Stukot nabiera żywszego rytmu, a powóz przyśpiesza, przetaczając się gromem przez burzowe chmury, jak oś jaszczu roztrącającego nieroztropnie stojące na drodze krzewy.

Kańczug niebiańskiego jeźdźca lotem błyskawicy omiata nieboskłon i spada wprost do ziemi, rażąc na równi potężne góry, dumne sosny i przerażony ludek. Kolejne strzały płoszą błękitnych czworonogów, zagryzających świetliste kiełzna w pyskach.

Kłus przechodzi w galop, którego mocy nie odda żadne natarcie szwoleżerów ani nawet najzdolniejszy impresjonista. Kanonada kopyt roztrąca niwy i łamie ograbione z godności drzewa, niezdolne do przeciwstawienia się wichrom z nozdrzy rumaków.

Kulminacyjny moment przychodzi, gdy zmęczona gromada światłodzierżcy zmusza się do ostatniej szarży, targając ziemią, niebem i trzepoczącymi grzywami. Piana z pysków rozpływa się po polach i ugorach, przygniatając glebę ciężką warstwą nabrzmiałej masy.

Kibitka odjeżdża, zabierając ze sobą ludzkie poczucie wielkości, by długo jeszcze nie mogło wrócić do łamliwych serc, kryjących się po jaskiniach.

Izydor zastrzygł uszami jak koń i wbił wzrok w niewyróżniający się niczym kawał kamienia.

– Idą.

Rozumowali niemrawo, dopiero wybudzeni z letargu, pozwalającego w spokoju przeczekać burzę. Z każdym uderzeniem serca rzeczywistość gęstniała w za ciasnym schronieniu.

Józef ledwie zapadł w płytki sen minutę wcześniej, a już zaczął jęczeć i odganiać niestworzone mary, nawiedzające go tak szybko. Krzyczał rozkazy, prośby, błagania, zdawał raporty w pustkę.

Kapitan podbiegł natychmiast do roztrzęsionego żołnierza, po czym uderzył go na odlew otwartą dłonią, aż echo zarezonowało po wilgotnych ścianach pieczary i poniosło się w dal.

Paprotko z na wpół otwartymi ustami spojrzał na oficera, nie rozumiejąc nawet, co właściwie się stało.

– Idą – powtórzył tylko cicho kapitan, błyskając w półmroku przekrwionymi oczami.

Rzeczywiście: spośród cichnącego ferworu letniej burzy dało się słyszeć miarowe pohukiwania. Nie były to odległe, majestatyczne gromy odchodzącej nawałnicy, a zdecydowanie bardziej regularny rytm uderzeń.

Wołk przycisnął twarz do wnęki między maszyną a wąskim wejściem groty. Krótki moment wyglądał ciekaw okolicy, po czym dopadł plecami do ściany i przyłożył palec na wysokości ust, piorunując wszystkich swoim przerażonym spojrzeniem.

Spomiędzy drzew wychylała się góra, roztrącająca rzadką mgłę na boki.

Dopiero po chwili z tytanicznego kształtu dało się wyróżnić poszczególne fragmenty Karmazynowego regimentu. Na platformie, wrośniętej bezpośrednio w czerep giganta, figurowała kanciasta sylwetka obersztera w asyście dwóch dorodnych wilków o pożyłkowanych czerwonymi symbolami futrach.

Murykiewicz przyłożył odruchowo dłonie do twarzy, próbując znieść pulsujący ból, dochodzący z głębi siatkówki. Zdał sobie szybko sprawę, że spomiędzy jego palców przeciskały się drobne strumyczki krwi, osiadające burymi zaciekami na skórze.

Zza kroczącego potwora wysypały się równe szeregi szkarłatnych istot, mielących krajobraz nieporadnymi kończynami. W uwielbiających jednolitość oddziałach zdawał się panować przewrotny chaos w doborze celów.

Co rusz któryś z wyrośniętych stworów odłączał się od stada i kręcił chwilę wokół jakiegoś drzewa. Stał tak pozornie bez celu i znienacka solidnym machnięciem rozrywał wilgotną korę, pozostawiając ślad imponujących pazurów. Dalej wszystko milkło i wracało do miarowego marszu, jakby nic się nie stało.

Spomiędzy pochodu wylatywały czarne, gęsto upierzone ptaki o dwóch głowach. Kołowały wysoko ponad sosnami, by zaraz spikować w gęstwinę i przysiąść na ramieniu któregoś z piechurów.

Wtem jedno ze stworzeń obróciło się gwałtownie i wbiło wzrok jedynego, szkarłatnego oczodołu w wylot jaskini. Przez moment stało tak, świdrując obsypanego błotem i gałęziami Samsona, pohukując przy tym, jak sowa.

– W imię ojca i syna… – z nabożną czcią wyszeptał Paprotko.

Piekielna czereda zatrzymała się w połowie kroku.

Powietrze w jaskini zgęstniało, aż wszystkim zebranym zabrakło tchu.

– Zabiję – bezgłośnie poruszył ustami Wołk, patrząc na pobożnego podkomendnego.

Jeden z dwóch rannych żołnierzy, ostałych się ze Skrzyszewskiego oddziału, z obrzydzeniem oglądał całą scenę, a następnie schował się we własnych dłoniach, odcinając od całego świata. Od krwawiącego z oczu kapitana, od dawno utraconej ziemi, od uszkodzonego Samsona i diabelskiej hordy za progiem.

Istota dowodząca demoniczną zgrają wystawiła długi, sękaty kostur wzwyż, przypominając przez moment absurdalną parodię Rodyjskiego Kolosa, panującego nad całym morzem drzew.

W powietrzu zgęstniała ruda mgiełka, zapachniało pieprzem i palonym tłuszczem. Na moment obłoczek kołtunił się między zebranymi, by zaraz gwałtownie ulecieć do pastorału niby–kapłana.

Wtedy to wszyscy ruszyli w bok, roztrącając mokrą darń i runo leśne. Gigant zamachał nieporadnie łapami i przełamał solidny świerk w bok, zamiast go wyminąć. Kilka rogatych koni wysforowało się naprzód, rozrywając krzaki jeżyn sierpowatymi kopytami.

– To nasi – z niedowierzaniem powiedział kapitan, po czym zaśmiał się niekontrolowanie, tracąc rezon. – Pobiegli za naszymi!

Ktoś z wnętrza syknął z przejęciem, bojąc się nagłego powrotu okolicznych włodarzy.

– Skąd ta pewność? – odezwał się podporucznik, wysuwając dłoń poza obręb jaskini.

– Z wewnątrz. Dosłownie ze środka. Zresztą: jaki mieliby inny powód, by się tak nagle zerwać? Musieli wyczuć naszych albo wołanie o pomoc swoich.

Wszyscy powiedli po sobie wzrokiem i z posępnymi minami zaczęli zbierać swój skromny dobytek. Jedynym plusem sytuacji było to, że łatwiej niewielkiej grupie pozostać niezauważonym, choć nieszczególnie ich to pocieszało po ostatnich klęskach.

Kapitan zanurzył się we wspomnieniach zeszłego wieczora. Dopiero teraz pomyślał o tym, jak z walki za murem znaleźli się tutaj, zdziesiątkowani, zakrwawieni, bezradni. Bał się, że na samą myśl o tym po prostu zacznie krzyczeć.

Pamiętał jak przez mgłę: opatrywanie rany, zbieranie niedobitków z pola walki i frustracje przy kolejnych ślepych próbach złapania kontaktu radiowego.

Początkowo zebrali pięćdziesiątkę ludzi, sprawnego Topola i cudem ocalały wóz antenowy, który był jedyną szansą na nadanie komunikatu. Planowali po prostu pójść wzdłuż Muru i oflankować domniemaną ofensywę na najbliższe wrota. Gdyby tak się nie stało, to weszliby swobodnie i ostrzegli o przełamaniu w Skrzyszewie.

Izydor skrzywił się na moment paskudnie. Batalion ruszył w niepełnym składzie, bo obsadzić cały mur Rzeczpospolita mogła tylko cudem. Mimo to nie spodziewali się, że przeciwnik będzie tak zajadły. Nawet nie tyle liczny, ile po prostu taki… Doskonale obliczony na unicestwienie.

Archibald zaginął, prawdopodobnie strącony do postaci jednolitej masy na czerniejącej w płomieniach kupie gruzu. Często tak w życiu bywa, że Pan Bóg kule nosi i dobrzy ludzie giną w zły sposób. Co mieli zrobić innego? Pozostali polegli w boju też byli nieprzeciętnymi ludźmi.

Samsony Józefa i Jana zwyczajnie uległy usterkom, których nie sposób było naprawić na miejscu – bywa. Jeśli tylko dwie na pięć maszyn się psują to i tak nie jest tak źle. W końcu miały to być manewry testowe w praktyce. Samson Archibalda dostał ogniem sojuszniczym, no cóż – tak też się zdarza.

Jeszcze mieli ze sobą wysokościowca, którym sterował Knothe – więc nadal towarzyszyło im jakieś poczucie bezpieczeństwa. Taki stalowy kolos jednak działa na psychikę, nawet jeśli służy tylko do przesuwania ciężkich przedmiotów.

Robotnicy, lokalny oddział, maszyny budowlane, lekkie pancerze bojowe, kroczące maszyny zwiadowcze, ruchome obserwatoria i baterie przeciwlotnicze. Wszystko po prostu spłonęło albo zmieniło się w rzadką, szkarłatną masę, a potem spłynęło pod ziemię.

Wymęczeni, zalęknieni, ale wciąż pełni nadziei ruszyli wzdłuż Muru, wyszukując posterunku. Zamiast tego nie było nic. Puste reduty i sporadyczne kupki popiołu oraz czerwonej mazi. Ledwie widoczne, niewiarygodne ślady potyczek po których nie zostawał ani jeden trup.

Bramy stały zawarte na głucho, jakby nigdy nikt ich nie próbował forsować. Oznaczało to tyle, że nieprzyjaciel musiał jednocześnie minąć rozległe umocnienia, a zarazem nie pozostawić po sobie możliwości wejścia dla osób niepowołanych.

Inną możliwością było to, że wróg minął sprytnie wszystkie posterunki i bez jednego wystrzału przeszedł przez którąś z dziur w Murze. Niestety biurokracja zawsze upośledza inżynierię i Mur nie powstawał z tą samą prędkością na wszystkich odcinkach. Im bliżej centrum wschodniego frontu, tym więcej było tymczasowych garnizonów, a mniej fortyfikacji z prawdziwego zdarzenia.

Nowy plan zakopał morale na dobre – ruszyć na Wschód.

Najbliższe wzniesienie było kilkanaście kilometrów od nich, stamtąd mieli realną szansę złapania komunikatu. Miał niedługo zapaść zmrok, narzucili tempo nawet rannym i okaleczonym. Kto nie mógł iść, był wieziony. Kto nie mógł być wieziony, był trzymany w dłoniach Topola.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy wyłonili się spomiędzy iglastych lasów na wiatrołomy. Szli w napięciu, gotowi na wszystko, przez środek nieprzyjaznej im ziemi. Wszystko wydawało się spokojne, naturalne, bez wypełnionych gazem lejów po pociskach artyleryjskich, bez walających się łusek i zwojów drutu ostrzowego.

Wtedy nastał wizg, wiatr zerwał się, dosłownie zatrzymując żołnierzy w miejscu.

Masywna sylwetka latającego stworzenia zapadła w pamięć wszystkim, którzy przeżyli. Wydawało się, jakby przedziwny ptak był złożony z dziesiątek, albo i setek ludzi. Kończyny zlepione do siebie gęstą posoką pozwalały pokracznej abominacji na wznoszenie się w powietrzu.

Zaczęła się rzeź.

Pociski fruwały przez nieboskłon jak salwy pogrzebowe i tyleż mogły zrobić w starciu z Karmazynowym katem. Ołów dryfował po niebie, by zaraz opaść bez sensu. Stwór wznosił

się momentami na kilkaset metrów, by spikować w mgnieniu oka i dopaść kogoś jak sokół polną mysz.

W akcie desperacji Izydor Murykiewicz kazał przenieść słabszą, ale przynajmniej mniejszą radiostację na barki Samsona. Zamontowana w wozie antenowym była za duża, ta druga natomiast mogła być niesiona nawet przez człowieka.

Wszyscy oczekiwali jakiegoś sprytnego rozwiązania problemu i nagłego ratunku, godnego kunsztu taktycznego polskiego oficera. Kilkanaście osób odwracało uwagę Karmazynowego drapieżnika, machając dłońmi i strzelając właściwie na oślep, by dać więcej czasu Izydorowi.

Decyzją została podjęta:

Zrejterował. Dwóch rannych żołnierzy trzymało się prowizorycznych mocowań nad plecami Samsona, za którym biegli Wołk i Paprotko. Z daleka ze wstydem obserwowali, jak podniebna bestia bez trudu wyławia byłych towarzyszy z reszty odstrzeliwującego się batalionu.

Ostatnia nadzieja postanowiła ich opuścić bez słowa.

Topol zakręcił się w miejscu, dał zeskoczyć z dłoni żołnierzom, chwycił połamane drzewo i uniósł ku górze niby mitologiczny Cyklop maczugę. Obrońcy z zaskoczeniem spoglądali, jak gigant zaczyna raz za razem świstać w powietrzu improwizowaną bronią, próbując strącić dziwadło.

Izydor zapamiętał z lekkim, wstydliwym rozbawieniem krótki dialog.

– Widział pan kiedyś coś takiego, podporuczniku? – spytał z niedowierzaniem i podziwem Paprotko.

– Tak – odpowiedział Wołk. – Mój ojciec miał uczulenie na pszczoły.

Teraz z perspektywy tchórzostwa, przemęczenia i odpowiedzialności za śmierć kolejnych kilkudziesięciu osób, Izydorowi było po prostu do śmiechu. Pocieszał się w duchu, uspokajał i co rusz obmacywał napęczniałą ranę, gdzie już zbierała się cysta, wymieszana z intensywnie czerwoną cieczą.

Na noc schowali się w znalezionej pieczarze. Obłożyli dogorywającego Samsona prowizorycznym kamuflażem i nie pozwolili sobie nawet na ognisko. Wyczekiwali słońca, a później pierwszej okazji do opuszczenia legowiska.

– Nie sądzę byśmy dali radę go odpalić ponownie – wyraził przypuszczenie Wołk, masując świeże zadrapania. – Nie mówię, że nie warto spróbować, aczkolwiek w tych warunkach serwisowanie jest co najwyżej słowem na języku.

– Od kiedy to taki z ciebie poeta? – rzucił z przekąsem kapitan, przeciskając się na zewnątrz. – Plan się nie zmienił. Nadal najważniejsze jest, by przekazać raport do najbliższej placówki łącznościowej. Oczywiście, o ile jeszcze nie wiedzą i o ile uda nam się cokolwiek nadać, nie wspominając o powrocie, lub jego braku.

Nie było nic więcej do dodania poza cichym kaszlnięciem bezdusznego Samsona, który na zawsze miał zostać pogrzebany w lesie jako pamiątka klęski Rzeczypospolitej.

Rozdział II

Aleksander Breza w szampańskim humorze wrócił do Instytutu jeszcze na długo przed zachodem słońca. Wydawało mu się jakby nawet tramwaje, sunące mozolnie po szerokich, zalanych słońcem uliczkach, wygrywały dzwonkami piosenki na jego cześć.

Prelekcja nie była szczególnie zajmująca, to prawda. Pytania o naturę Karmazynu zawsze zahaczyły o utarte schematy z pogranicza wróżbiarstwa i tabloidowych nowinek. Tłumaczenie ludziom, że zasłanianie obrazka z Matką Boską w czasie posługi małżeńskiej nie jest koniecznością, a posiadanie czerwonych zasłon w sypialni nie zmieni nikogo w potwora, było dla niego już niestety codziennością.

Jednak ta kobieta, to było już coś zgoła innego.

Wracał przez tereny Pałacu Saskiego, by dłużej cieszyć się pogodą. Nawet zatrzymał się na moment, by porozmawiać z kawiarką. Nigdy tego nie robił, ale coraz częściej w dużych miastach Polski propagowano tak zwany „small–talk” na modłę zachodnią. Co prawda Polacy wydawali mu się narodem na tyle agonalnym, że nie potrafili niczego pomiędzy zdawkowymi pomrukami, a opasłymi tyradami, jednak warto było spróbować.

– Pan to chyba mi wygląda na jakiegoś muzyka – zaszczebiotała kawiarka o ceglanej, pokrytej piegami twarzy i kontrastujących, blond lokach. – Chyba nawet pana widziałam w filharmonii na Pniewskiej, bo ja ostatnio byłem nawet, niech pan sobie wyobrazi i wystawiali wtedy coś takiego, że jakby muzyka była i ona przygrywała do takiego przedstawienia z…

Breza dopił kawę z cynowego kubka duszkiem i z wystudiowanym, szczerym uśmiechem odpowiedział grzecznie, że musi iść.

Cóż, warto było przekonać się, że miałem rację, pomyślał Breza, jeżdżąc poparzonym językiem po podniebieniu. Cholera i teraz będzie mnie szczypać cały dzień, bo zachciało mi się słuchać co tam gęsi mówią.

Wspiął się po dwa stopnie na schody wejściowe Instytutu i ruszył w labirynt korytarzy. Kolejne gabinety z zanudzonymi badaczami, laboratoria pełne bezsennych studentów i przelewające się strumienie kawy oraz herbaty, wydawały się dyrektorowi zawsze w jakiś sposób pożałowania godne.

Wiedział, że dzięki dyspensie od samego czcigodnego marszałka, jest w stanie pominąć wszystkie komisje etyczne, składające się z geriatrycznych gremiów, uznających wszystko za straszne, karygodne i zabronione. Dlatego Instytut jako jedna z bardzo niewielu placówek mógł być czynna nawet w dni wolne i święta.

Często przy tej samej, dębowej framudze myślał ten sam wywód: jak człowiek ma się rozwijać? Jak nauka ma się rozwijać, gdy legalne są tylko dobrowolne spisy powszechne i eksperymenty na myszach?

Przez krótki moment stał jeszcze pośrodku korytarza, ignorując spieszących się we wszystkie strony pracowników. Ktoś niósł kilkadziesiąt kopii testów, inny targał za sobą wózek z kartonami, następny w dłoniach trzymał bardzo malutki pojemniczek z dwoma prostokątami szkła, przygniatającymi czerwoną kropelkę.

– Są już wyniki z kauteryzacji Rosenberpanem?

Niosący próbkę pracownik zdębiał w przerażeniu, jakby stres z samego niesienia pojemnika, wyczerpywał całkowicie jego wrażliwość na bodźce zewnętrzne.

– Panie dyrektorze, ja dopiero niosę próbkę, nie wiem, czy to na kauteryzację – wydukał ze strachem.

– Dziwne, przecież już wczoraj zalecałem, a Szymon miał się tym zająć w wolnym czasie, w końcu sam o niczym innym nie myśli.

Rozmówca otworzył na moment usta, zamknął, wydał z siebie krótki pomruk, jakby zbierał myśli i wreszcie odezwał się niepewnie.

– To ja nie wiem. To nie dla doktora Orczyka, tylko… Znaczy, ja nie wiem nawet.

– Nie dla Szymona, to dla kogo? Nie dawałem żadnej dyspensy na badania z tego nowego okazu, a widzę przecież, że to jest świeżo wycięte z mojego. – Na moment Breza zmrużył oczy, analizując możliwości, odłączając kolejne rozwiązania i szukając pamięcią, komu mogłoby zależeć na pozyskaniu próbek bez jego wiedzy. – Kto ci kazał to zanieść i gdzie?

– To inny asystent do mnie przyszedł i jemu też ktoś kazał.

– Rozumiem, to absolutnie normalne – wyszczerzył się Breza, po czym wystawił przed siebie dłoń i tym samym, spokojnym tonem dodał. – Oddaj mi próbkę i wynoś się stąd w tej chwili. Bezczelny jesteś, jeśli myślisz, że możesz po prostu sobie wchodzić, gdzie chcesz i brać co chcesz, dla kogo chcesz.

Młodszy pracownik skrzywił się w grymasie niedowierzania i załkał, podając naczynie dyrektorowi. Łzy natychmiastowo wypłynęły z jego oczu, gdy tylko zrozumiał, co to może w praktyce oznaczać.

– Ja przepraszam, poprawię się, naprawdę i…

Breza uchylił lekko usta, więc podwładny ucichł. Wiedział, że nie ma sensu mówić w tym samym czasie co część kadry naukowej, która w sumie nigdy nie potrzebuje drugiej strony do rozmowy.

– Jutro z samego rana zgłosisz się do WKU, prosząc o przydział.

– Ja, nie, błagam…

– Ja, ja, ja… – sparodiował falsetem Breza, zwracając już na siebie uwagę kilku osób przechodzących korytarzem. – Ciągle o sobie mówisz, to chociaż zrobisz coś dla innych. Lepiej zgłoś się dobrowolnie, bo jak nie to ja doniosę o twojej kradzieży, a wtedy skończysz w hucie pod Katowicami, a zapewniam cię, że tam się nosi cięższe pakunki.

Młodzieniec odszedł, ledwie trafiając w drzwi przez załzawione oczy. Tłumek po chwili rozszedł się, zostawiając doktora samego z jego czerwoną kroplą Karmazyny.

Doktor przyłożył oko bliżej naczynia, przez moment jakby dostrzegając mikroskopijny ruch pod półprzezroczystą powierzchnią.

– Jesteś cenniejsza od jego życia. – powiedział wprost do kropli i zamyślił się na moment. – Tylko pytanie, kto tak bardzo chciałby cię mieć na własność?

Badania nad Karmazyną były niewyobrażalnie drogie i długotrwałe. Sprowadzić gotowy obiekt badany żywcem było właściwie niemożliwym, tak samo jak i chorego w stopniu zaawansowanym, gdyż ten mógł po prostu komórka po komórce uciec przez dziurę w ścianie albo kratkę wentylacyjną.

Oczywiście można było przy odpowiedniej aparaturze, wiedzy i doświadczeniu prowadzić metodyczne badania nad świeżo zarażonymi, tylko to udawało się rzadko. Po pierwsze granica między zarażonym niezdolnym uciec a tym zdolnym, była bardzo cienka i niedostrzeżenie jej mogłoby poskutkować śmiercią całego personelu lub gorzej.

Drugą kwestią było to, że osoby w najmniejszym nawet stopniu podejrzane, o możliwość myślenia o próbie wyzwolenia Karmazyny w centrum miasta, byłyby natychmiastowo odwiedzone przez wewnętrzną policję marszałka. Ta zasada nie omijała nawet placówek badawczych, więc zajmowanie się karmazynologią było niebezpiecznie zarówno w trakcie badań, jak i poza nimi.

Dlatego tym bardziej Aleksander był rozanielony na myśl, iż właśnie zmierza zerwać pierwsze owoce z zasiewu. Liczył na to, że to dopiero początek rozrostu jego przyszłego latyfundium. Na razie był gotów chwycić za najkwaśniejsze plony

– Pani Jadwigo, proszę zamknąć za mną – polecił doktor, otwierając ciężkie drzwi do piwnicy.

– Nastawię herbaty, jakby pan dyrektor chciał…

– To mi może trochę zająć – uśmiechnął się szeroko i zaciągnął za sobą klamrę.

Zamki zgrzytnęły sucho. Świat został gdzieś daleko za grubymi, wygłuszonymi murami podziemi. Breza nacisnął włącznik światła zwyczajowo po omacku i ruszył w głębiny.

– Pobudka! – zawołał wesoło od progu, otwierając wejście do sali numer szesnaście.

Cisza dzwoniła w uszach, zlewając się z jednolitym szmerem. Wariograf sunął po bezkresnych polach papieru, więc pacjent nadal żył. Tylko coś na granicy czucia zdawało się inne, nie na miejscu.

– Panie Radosławie – zawołał doktor ostrożniej, już poważniejszym tonem, zbliżając się do katafalku.

Twarz pacjenta, jak i całe ciało, były nagie – ubrania zdjęto przed pierwszym przypięciem. Kilka rurek tkwiło stabilnie w newralgicznych punktach leżącego, dzięki czemu nie musiał opuszczać legowiska, by zaspokoić potrzeby fizjologiczne.

Jednak obraz, jaki zastał Breza, odstawał od przyjętych norm. Rurki wydawały się porośnięte fioletowymi, pękami żył i gąbczastej tkanki. Zbiornik dializatora był tak zapchany wybroczynami, że dookoła leżało szkło z pękniętej obudowy, rozsadzonej wewnętrznym ciśnieniem. Radosław nie miał już nawet skóry, a czerwono–sine wzgórki zastygłego wosku.

– Wachmistrz na baczność! – ryknął Breza, udając gniew.

W pomieszczeniu unosił się okropny zapach stęchłego moczu, kału, krwi i czegoś jeszcze – kompletnie niepasującego do oczekiwań. Jakiś przedziwny aromat wydawał się towarzyszyć rozkładowi, jednocześnie odcinając się od standardowego zestawu zapachów ,jaki niesie ze sobą zgon.

– Pieprz? – zamrugał zaskoczony doktor. – Torf?

To, co zostało z twarzy Radosława, rozsunęło się na boki, niby jama. Dopiero po kilku sekundach Breza zrozumiał, że tam powinny być usta – zamiast nich była poprzeczna dziura. Dziura, która coś mruczała.

– Mpf… – puszczał ustami krwawe bańki Kazimir, próbując coś powiedzieć.

– Radosławie? – Doktor zbliżył twarzy, nadstawił prawego ucha i wsłuchał się w ostatnie słowa żołnierza. To mogło być przełomowe, myśl na granicy człowieka i Karmazynu, coś, co można by cytować przez resztę wieku w podręcznikach…

Spazm kaszlu wstrząsnął ciałem pacjenta. Krwawy bryzg natychmiastowo zostawił ślad na policzku doktora Brezy.

Zapewne trwało to ledwie sekundę, ale w głowie Aleksandra minęła cała wieczność. Gęsta sieć neuronowa jego mózgu wydawała się utkwić w jakimś stuporze setek tysięcy symulacji, kończących się tym samym wnioskiem: nie mam maski.

Aleksander rozchylił usta, na których tkwił śliski fragment Karmazynowej mazi i zamknął je natychmiast, powstrzymując się od komentarza.

Ruszył na złamanie karku, jak nigdy. Dopadł do drzwi, zerwał zasuwy i wypchnął się barkiem na zewnątrz. Omal nie rozbił sobie nosa o przeciwległą framugę magazynu, odbił w lewo i pognał na górę schodów.

– Jadwiga! – zakrzyknął nie szczędząc tchu, nie siląc się na jakąkolwiek tytulaturę czy grzeczności. – Otwieraj!

Łupał z całą mocą, szarpał za klamrę, skowyczał. Świat został gdzieś na zewnątrz, za wygłuszonymi ścianami i drzwiami, przez które słychać było tylko delikatne pukanie.

Doktor napierał na zastawę dalej, miarowo uderzał raz za razem, wolną ręką zrywając z siebie kitel i ścierając nim breję z twarzy jak zwykłą szmatą.

Maź była kleista, na wpół lepka a jednocześnie śliska i czasem chropowata w dotyku – sam ostatecznie nie wiedział czym była. Zdawała się pulsować, migotać w mroku, czasem przesuwać, nakładać na siebie i… Syczeć?

Zamek szczęknął nieskończenie powoli, raz, drugi.

Drzwi uchyliły się ostrożnie i miarowo, pociągane lewą ręką Pani Jadwigi. W drugiej trzymała parujący, żeliwny czajnik z wrzątkiem.

– No i co pan tak wy… – zdążyła powiedzieć, nim przełożony wyrwał jej z dłoni gumową rączkę czajnika i wzniósł naczynie w triumfalnym geście i przekręcił w stronę swojej twarzy.

Skóra zaskwierczała pod naporem gorącego strumienia. Kawałki mazi odłaziły na ziemię w grudach, skręcając się i wijąc jak żywe stworzenia. Prawa strona twarzy naukowca natychmiastowo pokryła się pęczniejącymi bąblami koloru limfy.

* * *

– Pieprzony wschód, przeklęte czarnoziemy, jebać Rosjan. – pomstował Wołk pod nosem, wygrzebując z uporem godnym lepszej sprawy kamień, utkwiony w bucie. – Wszystkich was do piachu albo piecyki włączyć i…

– Już? Najadłeś się? – spytał wyraźnie zirytowany kapitan, przecierając nieustannie oczy. – Bo jak nie, to możesz dalej kłapać jęzorem. Nie wiń Rosjan…

– Bo co? – odwarknął Wołk, naciągając obuwie za niewygodnie długie cholewy.

– Bo to rozkaz.

– Od kiedy mamy nakaz szanowania nieprzyjaciół? Mieli najwięcej czasu na powstrzymanie tej pieprzonej zarazy, a i tak wszystko spartolili. – Podporucznik wyprostował się dumnie i zbliżył do Izydora. Górował nad nim o półtora głowy wzrostu, czego nie omieszkał podkreślić przy nadarzającej się okazji.

– Przywołuje cię do porządku Janie…

Ranni, zmęczeni i pozbawieni zapasów, pozwalających na jakąkolwiek dłuższą podróż, przeprawiali się przez nieprzyjazne lasy i ugory, rozciągające się na wschód od Muru. Co rusz musieli zatrzymywać się, aby pozwolić dwóm okaleczonym łącznościowcom złapać drugi oddech i wznowić marsz.

Szczyt wzgórza rzadko kiedy majaczył na stosunkowo stromym pagórku, świecąc postawionym dawno temu białym krzyżem – atrakcją turystyczną. Jednak rzadko kiedy mogli wypatrzyć go poprzez gęstniejące knieje. Ciężkie powietrze kotłowało się szarymi kołtunami pomiędzy konarami.

Ziemie rozciągające się od Chełmu nigdy nie były szczególnie mocno eksploatowane. Odkąd podjazdy ze wschodu stały się bardziej uporządkowane, naturalne habitaty mogły odetchnąć spokojnie, nie będąc celem zakusów Karmazynu. Przynajmniej ta jedna rzecz była bezpieczna w obliczu trwałych zmagań.

– A ja… – zaczął podporucznik, jednak przerwał, gdy tylko rozległ się pisk kaprala.

– On się zmienia, widziałem! – krzyknął półprzytomnie Paprotko, wskazując chwiejnym palcem na rannego łącznościowca.

Obydwaj załoganci z porzuconego wozu byli w koszmarnym stanie. Różnica była taka, że jeden z nich uniknął poparzeń, a zamiast tego gorączkował od starcia w Skrzyszewie. Nieszczególnie ktokolwiek chciał się nimi zajmować, ze względu na wyjątkowo odstraszające, czerwone wybroczyny, które sączyły się z jedynie powierzchownie zabandażowanych ran.

Niestety – na nic więcej nikt z batalionu nie mógł liczyć.

– Nie zmieniam… – szepnął plutonowy, po czym wypadł towarzyszowi z rąk, osunął się na kolana i zwymiotował między korzenie pobliskiego drzewa.

Kapral odłożył ostrożnie radiostację, którą przez cały ten czas musiał targać na plecach, przewieszoną swoim wojskowym pasem niby jako niezwykle ciężki plecak. Ranni przecież nie mogli tego robić, a przełożonym się nie chciało – realia.

Za plecami Izydora szczęknął odwodzony kurek rewolweru. Natychmiastowo wyczuł zimny pot, zjeżdżający po brudnych plecach. Odsunął dłonie od przeraźliwie zaczerwienionego oka i obrócił się do podporucznika.

– Musimy to zrobić teraz – rzucił po prostu Wołk. – Majster jest na skraju, a my nie dalibyśmy rady mu pomóc, nawet gdyby nie był zarażony, a jest.

– Może nie jest… – odpowiedział kapitan bez przekonania, na co Jan jedynie przerzucił oczami dookoła.

– Przykro nam – wyszeptał Paprotko, jakby decyzja już została podjęta.

– Powinienem wydać standardowy wyrok zgodnie z egzekutywą o przyśpieszonym procedowaniu na froncie wschodnim – odwrócił się ponownie Izydor i z ciężką miną również

dobył broni. – Jednak nie chcę tego wszystkim utrudniać. Powiemy waszym rodzinom, że zginęliście w bohaterskiej obro…

– Nie! Ja jestem zdrowy! Jego zabijcie, ale mnie nie! – wykrzyczał drugi z łącznościowców w randze kaprala, kasłając co chwila krwią, lub czymś, co krew przypominało. – Błagam, zróbcie to jemu, mnie zostawcie!

Wołk skrzywił się z odrazą i postąpił dwa kroki do tyłu. Paprotko zamknął oczy, a później także zatkał uszy. Dowódca również zasłonił uszy, ale z przyzwyczajenia – nienawidził huku Bilonu.

Nigdy sobie wcześniej nie zdawał sprawy, ale przepisowy rewolwer był nie tylko irytujący w obsłudze. Był również niezwykle hałaśliwy i wzbudzał w nim jakąś mieszaninę strachu i zirytowania. Albo to po prostu wymówka, jaką sobie wymyślił naprędce, by odciąć się od wątpliwej jakości egzekucji.

Huk poderwał okoliczne, zdrowe ptactwo do lotu.

Łącznościowiec chwycił się za pierś, gdzie zakwitała ciemnoczerwona plama. Z niedowierzaniem spojrzał na mokre dłonie, na byłych towarzyszy, aż w końcu na niebo. Upadł w dywan mchu, zadrgał i znieruchomiał na dobre.

Paprotko z przerażeniem spojrzał na egzekutora, po czym na kapitana. Spodziewał się czegoś pewniejszego; wypełzającego ze zmarłego demona albo chociaż przekleństw wobec Rzeczypospolitej. Zamiast tego umarł, tak jak umierali wszyscy, nie dając dowodu swojej choroby ani winy.

Drugi zarażony po prostu pełzł na czterech kończynach, desperacko próbując odsunąć się od jednoosobowego plutonu egzekucyjnego. Co rusz pojękiwał cicho, parskał czerwoną wydzieliną i wymiotował, ale nie błagał o litość.

Wołk postawił bucior na plecach uciekającego i przytknął mu lufę do potylicy.

– Wołk – warknął kapitan, zaciskając palce na uchwycie broni.

Podporucznik zastygł w bezruchu na chwilę, zaniechał poprzedniej decyzji, przestał barbarzyńsko przygniatać rannego, a zamiast tego lekko kopnął pod żebra, aby przewrócić go na plecy.

Tym razem rewolwer wtulił się między żebra prawdziwe skazanego i huknął niewiele ciszej, zabryzgując drelichowy mundur podporucznika.

– I nigdy się nie dowiemy – mruknął Izydor, pocierając brudną dłonią oko.

Czerwone żyłki rozchodziły się od powiek, przebijając nawet przez skórę na policzku. Co rusz kapitan mrugał tylko jednym okiem, jakby próbował wydusić łzę, która miałaby wypłynąć wraz z niewidzialnym pyłkiem, czy ziarnem piasku.

– Kiedy wyślemy wiadomość, będziemy mieli pewność, że ich śmierć nie poszła na marne – odpowiedział sentymentalnie kapral, wciągając radiostację na plecy. – Prawda panie kapitanie?

– Ponieśliśmy koszmarne straty – przyznał Izydor, stawiając kolejny krok na nierównym, kamienistym terenie, prowadzącym do szczytu wzgórza. – Chciałbym, abyśmy nie musieli tego robić już nigdy więcej.

– Bylebyśmy więcej robili, niż nam robiono, proste rzeczy.

Podporucznik zerknął na rewolwer, otworzył bębenek i zaklął szpetnie pod nosem, rzucając nieufne spojrzenie na dowódcę.

Izydor wykrzywił się w dziwnym grymasie i wlepił wzrok w podkomendnego, który nagle wydał mu się jakiś mniej istotny, drugoplanowy, wręcz zbędny.

– Jakiś problem Janie? – spytał spokojnie Murykiewicz, lekko wykrzywiając usta w uśmiechu politowania.

– Wszystko w porządku.

– Mnie też skończyła się amunicja, ale ja to w ogóle straciłem broń, jeszcze jak rejterowaliśmy spod ostrzału tej wiwerny – wtrącił się Paprotko.

Obecni zastygli na moment, obserwując wzajemnie swoje reakcje. Zaszeleściły liście na wietrze, zapachniało torfem.

– Wiwern? – zainteresował się nagle Wołk, chcąc zmienić temat. – Mówisz o tym latającym bydlaku?

– Knothe nawet przypominał trochę świętego Jerzego z ikon.

– Chyba nie widziałeś go, jak brał się za bary w kantynie po przepalance. – wyszczerzył się podporucznik, po czym zmarkotniał, spojrzał na dwóch ocalałych z walk żołnierzy i bez słowa ruszył w górę.

Kapral ruszył zaraz za podporucznikiem, który zamienił broń osobistą na saperkę. Zdobywali z trudem kolejne korzenie drzew, tworzące przed nimi coś na kształt naturalnych, zwichrowanych schodów.

Izydor zlustrował smętnie leżące zwłoki, obejrzał się na odchodzących podkomendnych, przyklęknął i zamknął powieki obu zabitym. Nie zauważył nawet, jak na palcach pozostaje mu czerwony, kleisty osad.

Spokojniejszy w duchu przetarł swędzące oko, spojrzał do bębenka rewolweru, zakręcił nim i pobiegł za resztką swojego szwadronu.

* * *

Rewolwer huknął ogłuszająco, podbity siłą odrzutu przesunął się na bok i strzelił po raz kolejny, tym razem rozbijając tył głowy drugiego podoficera. Przedziurawiona rogatywka pofrunęła wysoko, pod ciężkie, ołowiane chmury, by zaraz zniknąć wśród chmary pierzastych padlinożerców, kotłujących się nad polem bitwy.

Masywne, ptasie cielska przelewały się z jednej strony polany na drugą, szykując bezdenne żołądki do uczty. Pierwsze kruki zaczynały zlatywać do ziemi, gdy trzask pioruna przerwał przygotowania i zesłał strugi deszczu, przepłaszając ptactwo.

Nierówny, czarny plac spalonej ziemi ciągnął się po horyzont, tworząc ponury krajobraz. Gdzieniegdzie pomiędzy zbierającą się w dołach brudną wodą pojękiwał ktoś żałośnie, by zaraz zamilknąć, pogrzebany pod błotem.

W powietrzu błyskały refleksy światła z wyładowań iskier i ognia, trzeszczącego wśród płonących maszyn. Figury człekopodobnych, kroczących pojazdów zastygły w bezruchu, przyjmując różnorodne pozy. Z kabin jednej z machin ktoś się jeszcze próbował wygrzebać, walcząc z własnymi nogami wtopionymi w zdezelowany kokpit.

– Kapitanie. – Pilot moknącego niedaleko pojazdu kroczącego podszedł bliżej siedzącej na pagórku figury. Z każdym krokiem ciągnął za sobą odmawiającą posłuszeństwa, wygiętą nienaturalnie nogę. – Jak długo to potrwa?

– Zawsze – odpowiedział Izydor Murykiewicz, po czym odłożył na bok, ściskaną w dłoniach, przestrzeloną rogatywkę. – Psychomachia.

Czapkę złapał nagle porywisty wiatr i zabrał w dal, dołączając ją do rojowiska śmieci, strzępów ubrań i popiołu.

Dowódca podskoczył sprężyście na równe nogi, zaciągnął wilgotnym powietrzem i obrócił na pięcie, uśmiechając się nienaturalnie do zdezorientowanego podkomendnego.

– Walka o duszę końca mieć nie może – błysnął nabrzmiałym, czerwonym okiem kapitan, po czym spojrzał na żonę, obserwującą to wszystko z boku.

– Izuś? – szepnęła cicho Alicja, tak by nie spłoszyć chybotliwego obrazu.

Powietrze falowało nieustannie, grożąc nagłym zniknięciem. Wszystko przypominało wielki rzutnik, wyświetlający film na kawałku szarego płótna. Mimo to pobojowisko zdawało się tak przerażająco realne, że siłą woli Alicja wstrzymywała się od prób sięgnięcia do swojego męża.

– Przerażona? – spytał głos spoza filmu.

Murykiewiczowa odwróciła się zdziwiona tym, że to w ogóle możliwe. Wszędzie dookoła nadal płonęło pogorzelisko, dając światło jakim przeważnie świeci dogasające próchno po ognisku.

Przed nią stał człowiek o bardzo szerokiej klatce piersiowej, skrytej pod smoliście czarną, watowaną marynarką. Miał bujną fryzurę, schodzącą aż do gładko wygolonych boków, zakończonych kozią bródką i wąsem. Lustrował ją dokładnie zza okrągłych oprawek okularów, które potęgowały jakieś dziwne wrażenie familiarności.

– Kim jesteś? – starała się zachować rozsądek, mimo nierealności całej sytuacji. – Czego ode mnie chcesz?

– Spokojnie, mnie się nie bój… Jego się bój – wyszczerzył się garniturem nienaturalnie białych zębów nieznajomy i wskazał na ruchomy portret Izydora, obserwującego z zadowoleniem miejsce potyczki.

– To przecież Izuś, oszalał pan? – speszyła się Alicja, z niedowierzaniem spoglądając na powtarzające się urywki egzekucji. – Bajdurzenie, banialuki i…

– I pierwsze oznaki końca. – Nieznajomy przejechał palcami przez gęstą czuprynę, po czym wskazał na pseudo–film. – Możesz zrobić o wiele więcej dla świata, wystarczy podjąć odważną decyzję. Bądź odważna, nie pozwól się im wciągnąć.

* * *

Alicja obudziła się po raz kolejny z gorzkim posmakiem w ustach, niezdolna do zaczerpnięcia głębszego oddechu. Spetryfikowana od koniuszków palców, aż po skalp. Nienawidziła tego.

Napięła mięśnie raz, drugi, próbowała otworzyć powieki, ale ciemność nie ustępowała. Była tylko czerwień własnych naczyń krwionośnych i odległy dźwięk dzwonków tramwajowych. Jednak wstać nie mogła dalej. Nie wiedziała, która jest godzina, jak długo będzie tak leżeć, czy ktokolwiek jej pomoże.

Wreszcie przełamała się, szarpnęła i runęła z łóżka. Kilka razy drgnęła ręką, próbując zerwać z siebie kołdrę. Dyszała, jakby wypłynęła z głębokiego jeziora i wreszcie mogła zaczerpnąć upragnionego powietrza. Każdego dnia woda wydawała się wciągać ją głębiej, może pewnego dnia…

– Pani coś się stało w głowę? – spytała niepewną polszczyzną służąca, bojąc się przestąpić próg.

– W porządku – odparła bez przekonania i machnęła dłonią. – Idź, zrób śniadanie.

Ukrainka z włosami jak wiklina spojrzała wpierw bez zrozumienia, a potem wyraziła grzecznie obawę:

– Tak wcześnie?

Alicja obróciła opornie głowę i dostrzegła za oknem pąsową łunę. Ledwie zbliżał się świt, musiała być czwarta rano, nie później.

– Boże – jęknęła Alicja, zawijając się na podłodze w pościel.

– Pani Alicjo?

– Spać idź.

– Słucham?

Alicja odwinęła się na moment z pościeli, przywołała na twarz złowrogi grymas i warknęła:

– Spać idź do jasnej Anielki!

– Nie trzeba krzyczeć, idę. Co mam nie iść, idę, ale to nie ja się obudziłam – odpowiedziała speszona służąca i zamknęła za sobą drzwi, nieco głośniej niż by to wypadało.

Alicja wgapiała się w sufit, ale ostatecznie nawet to ją znudziło, więc tylko wdrapała się na dwuosobowe łóżko i zastygła w bezruchu. Nie chciała się już ruszać, ale nie chciała też trwać w miejscu, sama nie wiedziała, czego chciała.

Tylko że wiedziała, ale udawała przed sobą, że to nie prawda. Wmawiała sobie, że lepiej udawać ofiarę niemożliwości spełnienia własnego szczęścia, niż zdać sobie sprawę, iż sposób jest, tylko bardzo daleko – jakieś dwieście kilometrów za daleko, balansując na granicy życia, śmierci i czegoś dużego gorszego.

Przez moment twarz nieznajomego ze złowrogiego snu stanęła jej przed oczami i wyszeptała coś bezgłośnie.

Alicję przerażała myśl utraty ukochanego, w którym odnajdywała sens swojego życia. Nie tak jak to robiły jej dawne znajome, które maśliły oczami za byle kimś z papierkiem szlachetnego rodu, albo własnym dorobkiem. Była tak niesamowicie szczęśliwa, że jej mąż był bardziej towarzyszem życia niż małżonkiem.

Wojna powoli zmuszała zmurszałe, uparte władze do ustępstw na rzecz powiększenia skromnego wachlarza praw kobiet, ale to przecież nie o to chodziło. Nadal istniały normy społeczne, których nikomu na myśl nie przychodziło ruszać.

A tu taka niespodzianka: nie żona, a przyjaciółka. Czuła się równa, szanowana i rozumiana, nie marzyła nigdy o niczym więcej. Dlatego tak nienawidziła wojny i całego tego szaleństwa. Nienawidziła ciągłego balansowania szal, dominujących i dominowanych, tych, którzy mają i tych, którzy nie mają.

Chciała równości, braterstwa, wolności.

– Breza – odezwała się sama do siebie, by sprawdzić, czy nazwisko na pewno brzmi znajomo, czy dobrze je zapamiętała. – Aleksander Breza, Wojskowy Instytut Psychologii, czy zwykły? Nie ma znaczenia, co mają na tabliczce, adres jest jeden.

Zerwała się z łóżka, podniesiona na duchu nową siłą. Nadal mogła coś robić, działać – nie znosiła marazmu. Pozostawało dowiedzieć się, ile się tylko da o pracy doktora Brezy, a następnie użyć tego, by…

Nie chciała o tym myśleć, po raz kolejny odsuwała od siebie tę myśl, ale w końcu zdobyła się na odwagę i wyartykułowała na głos:

– Co zrobić, by nie stracić Izydora.

Zagryzła wargi, zacisnęła powieki i przełknęła ciężko ślinę. Utrata Izydora w wyniku znienawidzonej wojny byłaby najtragiczniejszym, bolesnym chichotem losu.

– Maria! Maria! – krzyknęła przejmująco, z impetem wywlekając kolejne ubrania z komody. – Zmieniam zdanie, szykuj śniadanie. Będę miała zajęty dzień!

– No to ja już sama nie wiem, czy tak, czy tak! – odkrzyknęła służąca z innego pokoju, ale i tak zabrała się do pracy.

Resztę czasu do brzasku spędziła z toaletką i lustrem. Ćwiczyła na zmianę groźne miny, popisy erystyczne i sprawdzała wachlarz własnych zdolności aktorskich. W końcu próba dogadania się z kimkolwiek w tym kraju zawsze opierała się na składaniu pustych obietnic, albo pozostawianiu po sobie pustych butelek.

Słońce ledwie żegnało czule horyzont, odpływając coraz wyżej, gdy Alicja, zjadłszy omlet z wytrawnym farszem zbiegła po wypolerowanych schodach do przedsionka, a później na zewnątrz, by stamtąd pognać pieszo do Instytutu. Po chwili dopiero zreflektowała się i

jednak zdecydowała na taksówkę. W końcu trzeba zrobić dobre wrażenie na doktorze, pomyślała z przekąsem, a potem poważniej, dla dobra Izydora.

W czasie Wielkiej Wojny Rosjanie zarekwirowali całą flotę jedynej warszawskiej firmy przewoźniczej. Pod nowym, niepodległym zarządem ponownie zakwitła ta cudowna dla mieszkańców inicjatywa. Kilkanaście samochodów osobowych przemierzało głównie Krakowskie Przedmieście i ścisłe centrum miasta.

Alicja zajęła środkowe z trzech miejsc na skórzanej kanapie pod czarnym daszkiem i poleciła się zawieźć do niedawno powstałego Instytutu. Ku jej zdziwieniu szofer nie wiedział czym jest ów Instytut, ani kim jest ta cała „sycholokia", ale bez zbędnego narzekania pozwolił się nawigować młodej kobiecie, co nawet jej przyszło z pewnym upodobaniem.

Spodziewała się, że ulice będą absolutnie puste o tak nieludzkiej porze i to jeszcze w dzień wolny. Zamiast tego zmuszona była czekać, zatrzymana przez maszerującą kolumnę adeptów z wyższej szkoły wojennej.

Wylewali się niekończącym strumieniem przez ulicę Koszykową w kierunku Wisły. Głównie młodzi mężczyźni w prostych, drelichowych strojach, niektórzy z maskami przeciwgazowymi. Wszyscy wymusztrowani i przemęczeni – kroczyli jeden z drugim w potoku ludzkich żywotów.

– Jakaś gala? – spytała od niechcenia kierowcy, wiedząc, że i tak nigdzie się nie wybiera, więc można zabić czas rozmową.

– Jak gala, jak wszyscy w takich zwykłych mundurach? Co panienka, chłopy w kamasze dynglają pewnikiem – zdziwił się kierowca, podnosząc w górę kikut prawej dłoni.

Alicja podniosła się na moment z siedzenia, oparła o fotel z przodu i dostrzegła, że rzeka żołnierzy wydaje się nie mieć końca. Nie było żadnych trąbek, tarabanów, surm, niczego – tylko posępne i skonfundowane miny, kroczące bez ustanku wzdłuż pasa stosunkowo świeżego asfaltu.

Pomiędzy ludźmi szły także większe kształty, rzucające długie, posępne cienie. Machiny kroczące, różniły się między sobą kształtem i rozmiarem na wszelkie sposoby. Niektóre miały długie, czterolufowe działa wykręcone ku górze niczym ręce świętego Franciszka, wznoszącego modły. Inne były bardziej przysadziste, toporne i przykryte szarym

płótnem, pod którym odciskały się plątaniny dysz i kabli. Wśród tego chaosu kończyn były dwa, wyjątkowo dziwaczne stwory w postaci czworonożnych, pajączkowatych tworów z masywnymi bateriami na plecach.

– Manewry? – spytała bez przekonania.

– Sporo ich.

– Może jacyś nowi rekruci?

– Nie wyglądają, a jak raźnie idą. – Mężczyzna odwrócił się do pasażerki, uniósł lekko czapkę i z uśmiechem dopowiedział: – Od razu się człowiek czuje bezpieczniej, prawda?

Alicja jednak wcale nie czuła się bezpieczna, widząc gargantuiczne szeregi, przemierzające tereny stołecznego miasta. Coś przemknęło jej przez plecy jak liść wrzucony za kołnierz, albo spadający z włosów owad.

Nagle zdała sobie sprawę: większość kroczącego w stronę Wisły sprzętu stanowiła obrona stacjonarna. Zwłaszcza ten powolne, z kilkoma nogami machiny, kiedyś widziała, jak stawiają takie na basztach wewnętrznego muru.

Możliwości były dwie: planowali wysłać wsparcie na któryś odcinek wielkiego Muru albo stawiali w stan gotowości mur stołeczny. W obu przypadkach robili to bez szczególnego rozgłosu, który towarzyszył wszystkim posunięciom, mającym w zamierzeniu skończyć się niczym, by nie świętować porażki.

Stali tak jeszcze dobry kwadrans nim oliwkowa defilada obrońców zniknęła im z oczu i spokojny ruch na ulicy zyskał z powrotem swoją płynność.

Właściwie to przejechali szybko od ulicy Nalewki, wijącą się drogą pełną kawiarni, aż do Bielańskiej przy samym ratuszu, a stamtąd już po bruku Wierzbową i szybko minęli plac Saski, gdyż automobile nie miały wstępu między porankiem a wieczorem. Wyszło, że spod ogrodu Krasińskich do Mazowieskiej było bliżej na piechotę, niż taryfą, ale liczyło się też bezpieczeństwo.

Podziękowała zdawkowo za przejazd i rozliczyła się skrupulatnie z ceny, ale po chwili jeszcze dołożyła kilka marek szczodrego napiwku, widząc, że kierowca i tak był już doświadczony przez życie stratą dłoni.

Nagle Alicja znalazła się sama, wczesną porą przed Instytutem, chłonąc rzadką w mieście świeżość, jaką dawał niedaleki ogród Saski.

Ośrodek badań był nowym, w jej mniemaniu uroczym budynkiem. Składał się z kilku pięter pełnych szkła i jasno–szarej cegły. Gdzieniegdzie tylko prześwitywały wcięcia przy naczółkach, będące echem dawno wypartych z mody nurtów architektonicznych. W zasadzie to Alicja nie widziała w budynku szczególnych znaków, a jej wzrok z ukontentowaniem przejechał po prostu po niemalże jednakowo płaskiej fasadzie.

Dla Alicji secesyjne zdobienia w każdej dziedzinie życia były kolejnym sposobem marnowania pieniędzy przez francuską arystokrację. Liczyła się efektywność, kto powiedział, że coś musi być najpierw estetyczne, a potem przydatne?

– Więc tak wygląda postęp – szepnęła, spoglądając w błyszczące litery nad wejściem.

Z triumfalnym uśmiechem wspięła się na proste, białe stopnie i rozwarła drewniane skrzydło drzwi. W głębi biegł długi, wąski korytarz z niewielkim okienkiem recepcji przy boku. Wszystko to wydawało się wewnątrz przypominać bunkier, aniżeli przybytek nauki, ale chyba psychologowie wiedzieli lepiej, w czym człowiek pracuje wydajnie, prawda? Przynajmniej tak myślała.

Recepcjonista, o dziwo mężczyzna w sile wieku, delikatnie odradził uskutecznianie dzisiejszego spotkania z doktorem Brezą, ale pod wpływem dalszych próśb, zgodził się wskazać kierunek do gabinetu. Odprowadził kobietę zafrasowanym spojrzeniem i wrócił do powodzi notatek, walających się bez ładu i składu na parapecie.

Alicja wciągała woń świeżej pasty do linoleum i zagłębiała się w korytarze rozległego frontu Instytutu. Co moment ktoś przebiegał obok niej, niosąc opasłe, otwarte pudła pełne katalogów. Wszędzie trwał kompletny rozgardiasz, wśród którego uwijało się co najmniej kilkanaście osób z bezsennymi wyrazami twarzy i zapadniętymi oczami ledwie rozpoznającymi otoczenie.

Zastanawiała się, czy każdego dnia tak wygląda praca w Instytucie psychologii, czy może to wina wczesnego poranka? W każdym razie nastrój wzmożonej pracy zdawał się pozytywnie działać na jej odczucia. Zaczynała zwyczajnie lubić to miejsce.

Dotarła pod wskazane drzwi na parterze, oznaczone tabliczką gabinetu dyrektora. Dosłownie co kilkadziesiąt sekund ktoś wychodził spokojnie, zamykał za sobą drzwi, po czym biegł na złamanie karku. I na odwrót – ktoś wbiegał jak oszalały, ale po otworzeniu drzwi, zrelaksowany witał się pokornie z kimś w środku.

Nie musiała się długo domyślać, by wpaść na to, że zasada była jak w każdej publicznej placówce. Trzeba udawać, że ma się cały czas tego świata, by móc sprawiać wrażenie zdolnego do podjęcia każdego wyzwania. Cóż – to akurat była w stanie odegrać.

Zastukała delikatnie dwa razy w futrynę i weszła do środka, przybierając minę nieskażoną rozumem – to działało za każdym razem.

Wewnątrz stał szereg drewnianych krzesełek, trwających przy wejściu do drugiej części gabinetu. Petenci czekali cierpliwie, wpuszczani pojedynczo zdawkowymi gestami łaskawej sekretarki.

Ktoś obrócił się niespodziewanie, inny stuknął kolegę w ramię, by ten się obejrzał za siebie. Dyrektor zwykł nie miewać gości, więc widok kogoś z zewnątrz był nietypowy. Tym bardziej, że mieli okazje oglądać skromnie, acz elegancko ubraną kobietę o niepośledniej urodzie – jak lubiła o sobie myśleć Alicja, nie bez powodu zresztą.

– Byłam umówiona – odezwała się tylko cicho, podchodząc do biurka, omijając kolejkę petentów.

– Nie ma na dziś żadnych spotkań…

Kobieta o popękanych naczynkach krwionośnych na całej twarzy przejrzała pobieżnie przypadkową kartkę papieru z biurka. Chrapnęła coś gardłowo i skierowała zmęczone spojrzenie z powrotem na nieproszonego gościa. W jej oczach figurowała bezbrzeżna pogarda dla wszystkiego co nie było jej bezpośrednim przełożonym.

– Bo byłam umówiona osobiście z panem Aleksandrem – zaryzykowała Alicja po czym odgarnęła kosmyk włosów za ucho.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że gest mógł być odebrany nazbyt dwuznacznie, ale było za późno, by móc się wycofać.

Zadowolona z siebie obejrzała się na zalęknionych perspektywą dalszego oczekiwania podwładnych. Widziała te same podkrążone oczy, przekrwione białka i błądzące spojrzenia. Widocznie rygor w placówce był surowy, bo nawet młodsi pracownicy mieli przyprószone srebrem skronie, dowód ciągłego życia w stresie.

Ruszyła do środka, nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź. Przecież mnie nie wyrzucą uzbrojeni żandarmi, których mijałam na korytarzu, pomyślała, prawda?

Drzwi poleciały z trzaskiem, uderzając o śnieżnobiałą futrynę. Okno po drugiej stronie pomieszczenia zadrżało, ale szarpnęło się z powrotem nieznaną siłą, cudem tylko nie miażdżąc kolekcji polakierowanych figurek.

– Składników jest pięć, a teorii dopiero trzyna… – przerwał Breza, skierował wzrok ku wejściu i przywołał na twarz zadowolony, acz dziwny grymas. – I właśnie w tym widać najbardziej tę subtelną różnicę między zdrowym rozsądkiem a prekognicją. Wiedziałem, że tylko samobójca, albo ktoś zaproszony może wejść ot tak sobie.

– Dobrze, że pan zaczepił haczyk framugi. – dopowiedział usłużnie młody mężczyzna o pokrytym czernidłem wąsiku.

– Dobrze, że zaczepiłem – przyznał bez przekonania dyrektor Breza i spojrzał na siedzącego petenta. – Panie Putynkowski, proszę wrócić następnym razem, dobrze?

– A co z analizą czynnikową? Przecież nie ma szans byśmy zrobili to na dzisiaj – zapeszył się młodzieniec, przyciskając tekturową teczuszkę do blatu. – Nie zdążymy…

– To wyślijcie gońca do wydziału matematyki, w końcu się na coś przydadzą, prawda? – Breza uśmiechnął się pobłażliwie, po ojcowsku i odsunął od siebie teczkę. – Tylko wyjaśnijcie im najpierw jak to działa, bo pewnie będą się mądrzyć o natkę selera.

– Tak jest. – Podwładny wyszczerzył się szeroką diastemą i ulotnił z gabinetu sprężystym krokiem.

Alicja rozejrzała się po rozległym, jasnym gabinecie, który mimo wszystko był ułożony bardzo skromnie, wręcz po spartańsku. Biurko, szafka na dokumenty, metalowa półka na kółkach… Naprawdę nic więcej.

– Gabinet nie jest moim ulubionym miejscem. – odgadł Aleksander, podchodząc do okna i opierając się o parapet.

Przez moment nie bardzo wiedziała co jest nie tak z gospodarzem, ale wreszcie zdała sobie sprawę z tego, co wydawało jej się tylko grą świateł i jaka nuta plątała jej się w nosie.

Doktor miał ponad połowę twarzy ściśle zabandażowaną, a w powietrzu unosił się zapach naparu z czarnego bzu. Alicja uwielbiała czarny bez.

– Jeszcze nie widziałam, by ktoś się opatrywał na przeziębienie. – Uśmiechnęła się nieśmiało, odkładając kapelusz na wieszak.

Breza zlustrował nowoprzybyłą zdziwionym spojrzeniem, nie spodziewając się takiej poufałości, czy po prostu bezczelności. Jednak ostatecznie uważał się za kulturalną osobę, więc zdecydował postawić na to pierwsze dla wspólnego dobra.

– Czarny bez na przeziębienie, rozumiem ten żart – mówił spokojnym, wręcz znudzonym tonem.

Alicja zamrugała zaskoczona, przyjrzała się nienachalnie i stwierdziła, że doktor mocno posiwiał od ostatniego spotkania. Praktycznie zbielał przez jeden dzień, albo to poblask od bandaży tak dziwnie grał na brodzie.

Breza przez moment mierzył gościa wzrokiem, uśmiechnął się smutno. Trwali tak spoglądając na siebie, oceniając to czego chcą i czego może chcieć druga strona.

Ostatecznie doktor westchnął i świadomie lub nie, ale zadał tak banalne pytanie, że Alicja zastygła w szoku:

– Po co pani tu przyszła?

Długie, zadbane paznokcie zaszurały o oparcie krzesła. Przez moment chciała wyjść obrażona, ale to był tylko chwilowy przebłysk emocji, nie była w gorącej wodzie kąpana. Wygładziła materiał na kolanach, wyprostowała się i grzecznie, prawie z politowaniem odpowiedziała gospodarzowi:

– Bo mnie pan tu zaprosił, przepraszam jeśli nadal jest pan w szoku, jak mniemam po wypadku z resztą. – Po czym skierowała wzrok na wystające spod bandażu włosy i skrzywiła się delikatnie z kiepsko ukrytym, udawanym obrzydzeniem.

Doktor błysnął jedynym okiem, zbliżył się i obdarzył rozmówczynię pełnym, szczerym uśmiechem.

– To jak pani spojrzała na moje włosy i udała, że nie potrafi ukryć… Taaak, bardzo ładna szpila. – Aleksander zagryzł delikatnie wargę i wskazał jednym palcem w górę. – Jednakże nie ma po co być uszczypliwym, bo zadałem to pytanie z pewnej troski. Smutnej troski, to prawda, ale chyba innej troski nie ma?

– Nie jestem psychologiem.

– Znowu uszczypliwość, ale rozumiem – poprawny mechanizm obronny. Tak, przyszła do mnie pani z czymś konkretnym, ale nieprzyjemnym do powiedzenia wprost. Nawet nie tyle pani nie chce powiedzieć, co obawia się, więc markuje pani możliwość wyjawienia nieuprzejmościami, by później obarczyć mnie winą za nie…

– Jest pan także wróżką? – Ściągnęła usta w wąską kreskę i spróbowała przyszpilić doktora wzrokiem do ściany. Nie udało się o dziwo.

– Poszedłem kilka kroków za daleko, heurystyka, ale taka prawda. No chyba, że nie mam racji to proszę mi powiedzieć od razu, a ja przysięgam, że odmówię przyjęcia z pani strony jakiegokolwiek…

– Czym jest Karmazyna? – przerwała nagle.

– Wszystkim.

Alicja wstała, postąpiła kilka kroków do przodu i oparła się nieelegancko o blat stołu, nachylając twarzą do gospodarza. Przez moment w oczach grały jej niezdrowe ogniki fascynacji, które znalazły odbicie w oczach doktora.

– Więc chcę wiedzieć wszystko.

Napięcie trwało jeszcze moment, aż doktor skapitulował jako pierwszy. Delikatnie zeskrobał czerwony nalot palcem spod bandaża i wyznał zmęczonym tonem:

– Nie da się tak po prostu przyjść na herbatkę i powiedzieć coś takiego.

– W takim razie dobrze, że nie podał pan herbaty.

Breza uśmiechnął się delikatnie, uciekł wzrokiem gdzieś w dal, wrócił, wymienił się spojrzeniami z kobietą i odciągnął lekko bandaż z twarzy. Skóra zaskwierczała ponuro, odrywając się wraz z włóknami.

– To od herbaty – wskazał doktor, odsłaniając wyparzony, różowy kawał jednolitej masy, pokrywającej okolice ukrytego oczodołu.

– Przerzuci się pan doktor na kawę?

– Albo alkohol, wyparuje.

Alicja zakryła usta dłonią i wstrzymała chichot.

– Nie chce się pani śmiać?

Przez moment Breza rzeczywiście samemu uśmiechał się szczerze, ale po chwili mina osiadła mu miękko, jak podeszwa buta w błocie i dopowiedział:

– No tak, żałoba państwowa – zafrasowany podrapał się po potylicy, rozejrzał i powiedział nieco ciszej. – Mamy tu sporą autonomię, nikt nie widzi… Jeśli tylko pani chce to ma pani pełne prawo śmiać się z moich żartów, nawet tych nieśmiesznych.

– Skorzystam – wypuściła szybciej powietrze nosem i obejrzała się na kolekcje lakierowanych żołnierzyków, stojących równymi rzędami na rozległym parapecie.

Figurek były dziesiątki, na dodatek wszystkie świeżo, lub całkiem niedawno pomalowane. Żołnierze Rzeczypospolitej z oddziałów łącznościowych, wojsk artyleryjskich, pułki ułanów, prości szeregowi i równie pozbawieni detali oficerowie. Gdzieś obok schło kilku modeli w pikielhaubach i paru następnych w niebieskich płaszczach. Wreszcie dostrzegła wyższe, kanciaste, szare modele maszyn kroczących. Nie rozróżniała poszczególnych od siebie, wiedziała tylko, że jeden z nich wygląda znajomo. Tak, przypominał ten, w którym ostatni raz widziała Izydora.

– Posmutniała pani – głos Brezy wydawał się pełen szczerej troski, ale Alicja nie pozwalała sobie na chwile słabości, jeszcze nie. Nie doczekując się odpowiedzi, skręcił z

tematu. – Nie podoba się pani moje hobby? Zmagania to chyba najpopularniejsza gra planszowa, właściwie to moim skromnym zdaniem jedyna wartościowa rozrywka. Traktuję to jako naturalne przedłużenie szachów, więcej zasad, więcej figur, więcej ruchów.

– Są… Urocze jak w sklepie z zabawkami.

Breza ściągnął jasną brew do góry, zmarszczył kącik oka, odchrząknął znacząco i dla spotęgowania efektu zabębnił palcami w blat, oczekując wyjaśnień.

– Nie chciałam pana urazić, po prostu dla mnie to taka dziwna pasja – odparła wreszcie Alicja.

– Dorosły człowiek bawiący się lalkami?

– Nie, wojna.

Doktor pokiwał poważnie głową, wzniósł brwi aż za linię suchej gazy i odwrócił się do okna. Łowił wzrokiem wśród świetlistej pneumy, by nagle sprawnym chwytem wyrwać upatrzoną, konkretną figurkę. Jednolity odlew żołnierza, w całości pokrytego czerwonym, ciemnym lakierem.

– Ta jeszcze nie jest skończona – rzuciła od niechcenia Alicja.

– Jest – odparł beznamiętnie Breza, podsuwając na biurku oblaną farbą postać.

– Nie ma żadnych cech szczególnych.

– Prawda?

– Nie jest pomalowana…

– Ale była.

Alicja przez moment przyglądała się bez zrozumienia, już chciała zadać następne pytanie, ale wtedy odważyła się chwycić figurkę. Uniosła szkarłatny model bliżej siebie, obejrzała go dokładnie i ustawiła pod światło.

Szybkim krokiem dopadła do okna, podniosła przypadkowego żołnierza, zastygłego w podobnej pozie i porównała do poprzedniej figurki. Były bliźniaczo podobne. Nie! Były całkowicie identyczne.

– Najpierw pan maluje na normalne kolory, a potem na… To coś? – spytała, tłumiąc gniew w głosie.

– To też jest normalne.

– Przecież to chore!

– Oddaje się sztuce realistycznej. Nie byłaby to wiernie oddana replika, gdybym od razu stworzył tego żołnierza jako egzemplarz Karmazynowy. Cóż więcej mogę dodać? Ten sposób jest zdecydowanie bliższy prawdzie.

Alicja rozejrzała się jeszcze krótko, przerzuciła wzrokiem po modelach i z delikatnym uśmiechem przyłożyła palce do czerwonego żołnierzyka, strącając go na ziemię. Figurka stuknęła o linoleum i potoczyła się kawałek dalej.

– Ups. – Chwyciła za następnego i kolejnego, a po nim jeszcze kilku, aż wszystkie czerwone figurki leżały na ziemi.

Ostatnia, jadąca konno sylwetka z chorągwią pułku ułanów, rozbiła się przy uderzeniu, posyłając skruszoną flagę w krótki ślizg po podłodze.

Przez moment Alicja obserwowała okruszyny, aż w końcu te zatrzymały się i w pokoju nastała głucha cisza. Kątem oka widziała górującą nad nią sylwetkę doktora, który z poparzoną twarzą wydawał się jeszcze bardziej srogi.

– Gratuluję, właśnie zabiła pani rotmistrza.

– Tylko sztandar.

– Aż sztandar. – Breza westchnął głęboko, odwrócił się na krześle prawym bokiem do gościa i zaczął wyciągać rulony bandaży z szuflady. – Czy wie pani, na czym polegają choroby psychosomatyczne?

– Umysł i ciało?

– Gratuluję znajomości dwóch słów z języków klasycznych, ale to nie jest jeszcze poprawna odpowiedź.

– Więc zamieniam się w słuch – szepnęła i zaczęła ostrożnie wybierać kolejne żołnierzyki z podłogi i stawiać na poprzednich pozycjach.

Coś zaszurało, mlasnęło i rudy strzęp bandaża wylądował pomiędzy nogami dyrektora. Przez moment mocował się z wyjątkowo opornym kawałkiem, który rozciągał się i za nic nie chciał puścić przyległego skrzepu krwi. Mimo to doktor mówił dalej, walcząc z własną twarzą, a raczej tym, co z niej zostało.

– Psychosomatyczna natura choroby rzeczywiście dotyczy umysłu oraz ciała. W tej kwestii mamy na myśli jednoczesne oddziaływanie na gospodarkę hormonalną, reakcje fizjologiczne, interpretację bodźców wejściowych i patologiczne reakcje wyjściowe, przynajmniej co do kwestii fizycznej. Co do tego, co ludzie nazywają umysłem, a ja biorę za złożony zestaw narzędzi, jakimi dysponuje człowiek… Cóż, tutaj nasza wiedza jest niezwykle ograniczona. Jeszcze nigdy w historii świata nie widzieliśmy takiego mostu łączącego emblematy, ilustratory, symbole i jeszcze realniejsze im odpowiedniki.

Alicja ściągnęła twarz w skupieniu. Złapała za ostatnią figurkę i zamiast od razu odłożyć ją na blat, skierowała się do doktora. Lakierowany oficer wylądował obok kałamarza, a sama Alicja powstrzymała doktora od dalszych wojaży z własną twarzą.

– Proszę sobie i mnie nie przeszkadzać – mruknęła poważnym tonem i zaczęła ostrożnie, kawałek po kawałku odrywać stare opatrunki z głowy doktora.

– Kontynuując zatem... Ciężko mi to pani wyjaśnić bez specjalistycznego przygotowania, nie ujmuję tym pani wiedzy. Zwyczajnie muszę operować na pewnych mniej abstrakcyjnych konstruktach, by miała pani jasność poglądu. – Doktor odetchnął zmęczony, przełknął ślinę, ale ostatecznie nie wezwał sekretarki z herbatą, mimo suchości w ustach. – Człowiek rozumie świat dzięki sieci niezwykle zaawansowanych rozdzielnic, które potrafią rozróżnić, czy przynależny im element jest obecny, czy też nie. System znaków jest przedłużeniem tego mechanizmu i chociażby dzięki temu wiemy, co oznacza zapisane słowo i reagujemy na nie odpowiednio.

– Język mózgu? – rzuciła Alicja, odsuwając delikatnie górną powiekę doktora i odsłaniając zakrwawioną gałkę oka. – Taki wewnętrzny język jak sprzed wieży Babel.

– Nie jestem wierzący.

Alicja zamrugała kilka razy zszokowana, rozejrzała się, ale ostatecznie ugięła się pod poważnym spojrzeniem Aleksandra i nabrała pewności, że rzeczywiście nikt ich w gabinecie nie podsłuchuje.

– Więc ten jak to pani nazwała, język mózgu, pozwala nam na rozumienie symboli na poziomie fizjologicznym…

– Gdzie w tym wszystkim Karmazyna?

– Właśnie próbowałem powiedzieć – odpowiedział głośno Breza, nieprzywykły do tego, by ktoś mu przerywał. – Karmazyna jest pierwszym przypadkiem, gdy mamy do czynienia ze… Świadomym lub prawie świadomym działaniem na tym języku. Karmazyna nie zaraża nas, jak zwykliśmy wmawiać żołnierzom i pospólstwu, bo tak jest łatwiej. Karmazyna do nas mówi, mówi do nas językiem, który wszyscy rozumiemy. Wie gdzie pociągnąć, gdzie popchnąć, gdzie przykręcić, wszystko wie. Karmazyna czyta z nas jak z otwartej księgi, a następnie zmienia w kolejny nośnik tegoż kodu, języka umysłu.

– Nie rozumiem albo…

– Albo boi się pani, że rozumie i jest to przerażające, absolutnie straszne i…

– I to oznacza, że nie ma lekarstwa.

– Nie ma lekarstwa, bo to nie jest choroba. – Breza obrócił się do Alicji i zamrugał czerwonym okiem, dookoła którego rozrastały się połacie odchodzącej, wyparzonej skóry. – Można ją powstrzymywać, argumentować z nią, racjonalizować, dokonywać szermierki słownej na poziomie fizjologicznym i…

Doktor aż uniósł się na krześle, jego ton wskoczył o kolejną oktawę wyżej i nagle gospodarz zastygł w bezruchu. Zmielił coś w ustach i usiadł, zapominając na moment o wszystkim, odlatując myślami gdzieś daleko, do ważniejszych spraw.

Wydał się Alicji taki ogromny, choć zamknięty jedynie w ludzkiej, ograniczonej sylwetce. Wyglądał jak lew w za ciasnej klatce.

– Więc co możemy robić?

– Nie dać się złapać, przekonać.

– Przecież to wskakiwanie z jednej niewoli poglądów w drugą. Zresztą pomijając już to, Karmazynu przecież przybywa, więc jak mielibyśmy się go pozbyć? Przecież musi być metoda, byśmy to my byli aktywni.

Alicja spojrzała doktorowi w twarz, ten odpowiedział zawstydzonym uśmiechem starego, zmęczonego człowieka.

– Musielibyśmy wypalić całą Azję co do pnia. Wszystkie symbole, przejawy istnienia Karmazynu, wspomnienia Karmazynu – wszystko. Musielibyśmy zapomnieć, że istnieje Karmazyna, chociaż i tak wątpię, by to pomogło.

– A gdybyśmy poznali ten język umysłu i zaczęli nim argumentować z Karmazyną? – wyraziła płonną, naiwną nadzieję Alicja, ale w oczach rozmówcy dostrzegła zainteresowanie.

– Zabawne, bo niedawno jeden z laborantów powiedział to samo. Cóż, może rzeczywiście nie potrzebuje pani takiego wykształcenia, by zrozumieć istotę rzeczy. Jednak cały sęk tkwi w tym, że to zadanie porównywalne do papugi, która nauczyła się powtarzać kilka zlepków świstów powietrza i w ten sposób chce wdać się w dysputę akademicką z Markiem Aureliuszem.

– Ktoś powinien zrobić o tym przedstawienie. – Alicja uśmiechnęła się zachęcająco i chwyciła za świeży bandaż.

Doktor podniósł dłoń, pokiwał głową na boki i przejrzał się w odbiciu szyby za nim, następnie w szkiełku naręcznego czasomierza.

– Wyglądam jak pogorzelec.

– W pana wieku na więcej może sobie człowiek pozwolić.

– Podobno, więc obejdzie się bez kolejnego mumifikowania. Potem założę sobie kompres, ale muszę wracać do pracy, a to strasznie przeszkadza.

Alicja obejrzała się za siebie, odwróciła z powrotem z twarzą wyrażającą dręczące ją wyrzuty sumienia. Wreszcie zacisnęła pięści, zadarła głowę i powiedziała:

– Mam do pana jeszcze jedną, o wiele ważniejszą sprawę.

Doktor uniósł brwi wysoko, zamrugał pokrytym czerwonym, bąbelkowym nalotem okiem i pokiwał poważnie głową.

* * *

Słońce wzniosło się do zwieńczenia niebiańskiej kopuły i przystanęło, by przyjrzeć się ludkowi w dole, zatroskanemu własnymi doczesnościami. Gdzieś między żyznymi nieużytkami, wśród gęstych borów wznosiło się niepoślednie wzgórze, obdarzające okolice swoją obecnością. I wśród tych pięknych połaci zieleni, blisko szczytu, przetaczały się trzy, koszmarnie zmęczone mrówki.

– Możemy spróbować już stąd nadać? – wyraził delikatne przypuszczanie Paprotko, mimo posiadania odpowiedzi w swojej głowie.

Pas wdzierał się paskudnie między ramię a obojczyk, karząc kaprala oparzeniami, nakręcającymi kolejne utarczki, które wywoływały następne skutki i tak dalej. Jego frustracja w pewnym momencie sięgnęła zenitu, jak i słońce, próbując zapanować nad wszystkim co pod i dookoła.

Zrzucił z siebie radiostację i stwierdził:

– Nie idę.

Metal gruchnął głucho o piach, przyprawiając go prawie o zawał. Gdyby tak się stało, że uszkodził nadajnik… Cóż, natychmiastowo pożałował, że nie ma już broni, by się chociaż zastrzelić nim podporucznik się dowie. Ten jednak bez przekonania rzucił tylko:

– Nieś.

– Nie chcę.

Wołk obejrzał się, zmierzył kaprala drapieżnym spojrzeniem i z zadziwiającą werwą doskoczył w dwóch susach, chwytając za kołnierz.

– Powiedziałem ci coś Paprotko, to rozkaz.

– A ja powiedziałem, że mam dość – wysyczał Kapral, z trudem nie przerywając kontaktu wzrokowego.

– Ja poniosę – stwierdził ni stąd ni zowąd kapitan. – Zostało i tak niewiele, to czemu nie…

– Nie, bo to jego praca – zawarczał podporucznik, kierując rozbiegany wzrok na obu swoich towarzyszy.

– Pan się zwyczajnie na mnie uwziął, a ja daje z siebie co mogę!

– To nie szkółka niedzielna do kurwy nędzy – zawył Wołk, zacisnął pięści i równie nagle puścił, by móc się przejść kawałek w dwie strony. – Przechodzimy przez Bóg wie jakie piekło, a ty mówisz, że jesteś zmęczony i nagle cześć i czapka, nie idziesz. Nie ma żadnego nuda–ech–boli–ała–już, tylko bez stękania bierzesz radiostacje i…

Wołk chwycił za prowizoryczny pas nośny, dźwignął z lekkim sapnięciem, zmierzył w dłoni wagę urządzenia i odstawił na ziemię.

– No rzeczywiście ciężkie…

Paprotko parsknął śmiechem, klepiąc się wesoło po poszarpanych spodniach. Podporucznik nadal miał pochmurną twarz, nie dawał po sobie poznać niczego konkretnego, wiecznie poważny i gniewny.

– Z wami to jak z dziećmi – mruknął Izydor, zajrzał nagle w bok, wszyscy poderwali się jak na komendę, ale on tylko odwrócił się z powrotem i kontynuował spokojniej. – Najzwyczajniej ja to wezmę, poniosę i na górze zawiadomimy towarzyszy na wschodzie.

Cisza zapadła ciężko, wręcz fizycznie narzucając swoją obecność. Paprotko wgapiał się tylko zdziwiony w sylwetkę oficera, lecz Wołk był zbyt impulsywny na takie rzeczy:

– Zachód! Nasi rodacy na zachodzie, a nie żadni kurwasz maciora towarzysze na wschodzie – sapnął, pobladł na twarzy, a następnie zaczerwienił się z gniewu na zmianę. – Panie kapitanie, na zbyt wiele sobie pan kapitan pozwala, z całym szacunkiem…

– Oddalam zarzut. – Izydor podszedł kilka kroków, chwycił pas nośny nadajnika i ruszył dalej pod górę, przesadzając kolejne, wysokie kamienie.

– Pana stan zdrowia wydaje się pozostawiać wiele do życzenia! – dodał Paprotko.

– Jestem zmęczony i…

– Nie ma pan już białka – zawiesił głos w pół słowa podporucznik. Zadrżał, po raz pierwszy odkąd pamiętał. – Ma pan czerwonko.

– Zabawne, przyznaję. – Kapitan nie zatrzymał się nawet na moment, podnosząc tylko palec do góry i grożąc nim żartobliwie.

– Całą twarz ma pan nabrzmiałą krwią!

– Ty teraz też. – Sylwetka Izydora już zaczęła znikać między konarami dwóch przeciwległych buków, więc podporucznik poderwał się do biegu.

– Przynajmniej nie ja muszę nieść – szepnął kapral i również zrezygnował ze swojego krótkiego postoju.

Izydor z uporem godnym lepszej sprawy przeskakiwał z kolejnego stromego, granitowego kawałka bryły na następny, niejednokrotnie prawie upadając na plecy. Cel kusił delikatną, biało niebieską poświatą i obietnicą odrobiny płaskiego szczytu. Więc po prostu pędził niczym kozica, jedną ręką przytrzymując rogatywkę, a drugą radiostację.

– Jesteśmy już prawie na miejscu i… – urwał od razu Wołk, widząc, jak kapitan przewraca się ze zbyt stromego korzenia drzewa.

Izydor zerknął w locie na wyciągnięte ku niemu ręce podporucznika, przekręcił się na drugą stronę i pojedynczym, mrożącym krew w żyłach zamachnięciem posłał radiostację w lot.

– Nie! – Podporucznik rzucił się natychmiast za lecącym urządzeniem, minął upadające ciało kapitana i zawinął za najbliższym drzewem.

Metalowa skrzynia naznaczona pojedynczymi przełącznikami, urwaną rączką i tylnym panelem, zderzyła się ze sterczącym perfidnie naprzeciw kamieniem. Coś trzasnęło, gruchnęło i odłamki w kolorze zgniłej oliwki posypały się na boki. W krzakach obok ptak zaszamotał się niespodziewanie i wzleciał wysoko między korony.

– Kurwa no nie! Nie! – dosłownie ryczał, nawoływał, krzyczał Wołk. Pochylał się nad szczątkami radiostacji, tak jakby to był wymagający najczulszej opieki niemowlak. – Jak to kurwa się stało?!

– Wypadło mi – przyznał niepokojąco beznamiętnym głosem kapitan. – Sprawdź, czy działa, szybko.

Wołk obrócił się w kierunku panelu, przesunął największy trybik, następnie odhaczył kolejno dwa mniejsze. Zakręcił jeszcze jednym pokrętłem, aż usłyszał narastający szum, a po chwili począł kręcić drugim regulatorem. Wreszcie nacisnął przekaz i przyłożył twarz do topornej słuchawki.

– Podporucznik Jan Wołk, pierwszy Szwadron, pierwszy Samodzielny Pancerny Batalion Miotaczy Przeciw–tkankowych…

Przez dłuższą chwilę Wołk wgapiał się spod ledwie widocznych, prawie białych brwi w rzednący przed nim las. Po kilku próbach zwiesił głowę, westchnął ciężko i… Wtedy właśnie upragniony kontakt nastał.

– Plutonowy Kukowski, stacja radiotelegraficzna Chełm–03, odbieram cię Wołk, ale mamy zakłócenia na linii.

Podporucznik oblizał usta, przełknął ślinę, by nadać sobie nieco niższy ton głosu, zbliżył twarz do skrzynki i usłyszał wystrzał.

Ciało osunęło się najpierw na stację nadawczą, zakrwawiło kilka przycisków z obustronnej dziury w głowie, a następnie zwaliło się w ziemię pod nienaturalnym kątem.

Paprotko podbiegł kawałek do miejsca wystrzału, by wyjrzeć zza drzewa, co się stało i wtedy poczuł słabość w nogach. Opadł w piach, kurczowo chwytając się przestrzelonej piersi. Przed oczami falowały mu i migały kolorowe plamy, umysł tworzył przypadkowe wzory geometryczne, aż w końcu nałożył na wzrok szachownicę granatowych kropek i zasłonił wszystko czarną kotarą.

– Wołk, jak mnie słyszysz, odbiór. Tutaj plutonowy Kukowski…

Radiostacja wzniosła się na chwilę nad ziemię, zakręciła i poleciała w długi lot w dół wzgórza, trzaskając po drodze odłamkami, kawałkami utwardzonego tworzywa sztucznego i mieszającej się ze sobą elektroniki. Wreszcie zniknęła gdzieś w oddali, wpadając między ciemne, ostre występy skalne.

Kapitan Izydor Murykiewicz zajrzał do bębenka rewolweru, naliczył tylko jedną kulę, zamknął i wrócił do wspinaczki. Szczyt był już bardzo niedaleko, więc po chwili znalazł się pod białym, kilkumetrowym krzyżem, przy drewnianej balustradzie widokowej.

Monstrualnych rozmiarów mur rozciągał się od jednego końca widoku do drugiego. W kilku miejscach płonęły pożary, gdzieniegdzie rozlewały się czarne plamy, zmieszane z czerwonymi. Ciężkie, ołowiane chmury ulitowały się nad zmęczoną ziemią i lunęły z nieba strugami wody, wzbijając kłęby dymu i pary z kałuż oleju napędowego, przelewającego się jeszcze gdzieniegdzie wśród umocnień. Swąd gotowanej krwi docierał aż do szczytu wzgórza.

Izydor zawinął kawałek bandaża na Karmazynowe oko, przetoczył go przez burzę szatynowych włosów, zakręcił kilka razy, zawiązał i nałożył na głowę rogatywkę z koronowanym orzełkiem.

* * *

Każdy wymiar był upleciony ze szklanych sznurów. Przeźroczysta ściana nie odcinała się w żaden sposób od podłogi, usłanej tysiącami sinych ryb – polskich żołnierzy o ciemnych białkach. Wiedziała tylko jedno: musi się wspinać.

Chwytała kolejne kawałki szkła, pozwalając ostrym występom wbijać się w jej ciało, przecinać skórę i utykać między paliczkami. Czuła, że oddala się niezwykle powoli, z każdym ruchem ledwie nabierając minimum dystansu, który i tak znikał z mrugnięciem oka.

Któryś z żołnierzy podniósł bladą twarz, zroszoną potem gorączki, wzniósł zaraz za nią pięść i uderzył z całej siły w lustrzane podłoże.

Świat zatrząsł się w posadach.

Alicja poczuła, jak na moment traci chwyt, drgnęła, panicznie wyszukując stabilniejszego oparcia i przywarła na jednej ręce bokiem do ściany. Z góry widziała dokładnie, jak kolejne zewłoki podnoszą się na kolana, czy zwyczajnie dalej leżąc, uderzają raz po raz w ziemię, wybijając ponury rytm.

Po chwili lustrzany świat zaczął pękać. Początkowo delikatnie, ledwie widoczne rysy naznaczały rzeczywistość, by po chwili przekształcić się w regularne pęknięcia, kruszejące węzły szklanej plecionki, aż w końcu płaty lustra zaczęły spadać do ziemi jak odłażąca skóra.

Odwróciła się nagle, złapała ścianki wykręconymi do tyłu rękoma i zakrzyczała z całej siły. Nie krzykiem strachu, a wewnętrznym rykiem odwagi. Chór bladych nieludzi odpowiedział składnie, przekształcając się w śpiewną, jednolitą melodię.

* * *

Jak na ironię nie obudziła się z krzykiem właśnie tym razem. Rozchyliła spokojnie powieki i odetchnęła pełną piersią.

Dostrzegła bladą ze strachu służącą, która ukradkiem krzątała się po salonie, skąd wychodziły otwarte na oścież drzwi.

– Dobrze, że się panienka obudziła – odezwała się smutno, ściszonym głosem, z trudem akcentując zgłoski. – Bo wieści same z rana.

– Jakie znowu wieści? – Alicja oparła się na łokciu, rozejrzała po pokoju i nadstawiła uważnie uszu.

Coś buczało. Nie, coś terkotało, bardzo daleko. Przez moment przypomniał jej się pokaz lotników z eskadry poznańskiej, na którym byli wraz z Izydorem kilka miesięcy wcześniej. Od razu rozmarzyła się w ciepłym uśmiechu, ale po chwili drgnęła zdziwiona.

– Eskadry – wyrwało jej się i natychmiastowo wyskoczyła z łóżka, by szarpnąć za ciężkie zasłony.

Karnisz stuknął, osiadł z powrotem w hakach, ale już wykrzywiony. Alicja otworzyła okno na całą szerokość i poczuła podmuch gorącego, południowego powietrza.

Łomot wirników przybrał na sile, wskazując dokładnie, gdzie znajdowały się poszczególne statki powietrzne. Dwa lekkie, podłużne cygara obite jasnoszarym materiałem z biało-czerwoną kratownicą po bokach. Oba sunęły ostrożnie kolejno po lewej i prawej stronie Bielika – najwyższego budynku w Warszawie, zbudowanego na wzór stalowych szkieletów z Chicago.

Jeden ze sterowców błysnął kijanko podobną gondolą w promieniach słońca, zadrżał i wykręcił już gładko, mijając ostatnie piętra drapacza chmur. Drugi zwolnił nieznacznie, a następnie wykonał ten sam manewr, zdecydowanie ostrożniej.

Źródło odległego, basowego pomruku leżało jednak o wiele wyżej. Nad anteną radiową Bielika sunął niewyobrażalnej wielkości gigant z powłoką koloru écru. Mostek kapitański lśnił z daleka dziwacznie dużą ilością szkła, zapewne odpowiednio wzmocnionego. Dalej rozciągała się reszta maszynerii, zwieńczonej kilkoma opasłymi rotorami i…

– Czy to są…

Alicja zadarła wyżej głowę, przekręciła twarz jak ciekawska sroka i skupiła wzrok do granic możliwości. Pod gondolą, nieco z tyłu zwisało lekkie rusztowanie z rur, w którym osiadły trzy aeroplany z podwójnymi skrzydłami.

– Jak pszczoły z ula. – Alicja natychmiastowo zacięła usta w wąską kreskę złości, trzasnęła okiennicami i obróciła się z furią na służącą. – I po co mi to Maria pokazuje, a?

– Nie to, bo jeszcze… – Sprzątaczka ściągnęła usta w zmartwieniu i zdjęła ze stolika nocnego gazetę, której Alicja nie przypominała sobie tam odkładać.

Murykiewiczowa chwyciła za *Goniec Warszawski*, wyczuła świeżą fakturę masy papieru i zogniskowała wzrok na tytule, który zdawał się ciągle uciekać. Może zwyczajnie miała nadzieję, że ucieka, bo tak bardzo nie chciała przyjąć do wiadomości tego, czego właśnie była świadkiem.

– Matko… – zaszeptała przerażona, wlepiając wzrok w pogrubione dodatkowo litery o zwiększonym formacie. – O nie, nie…

– Myślałem, że będzie chciała pani wiedzieć – wymruczała cicho ostatnie słowa Maria, schyliła głowę i zagłębiła się w spowity czerwcowym słońcem salon, a dalej zniknęła w półmrokach korytarzy.

Nagłówek krzyczał na całą stronę: „Chwalebny opór wojsk chełmińskich!”

Niby nic takiego, zwykła notka podnosząca na duchu mieszkańców. Jednak Alicja doskonale znała te zagrywki i potrafiła czytać między wierszami z biegłością niejednego detektywa. Chełm przecież leżał w głębi Rzeczpospolitej!

Mogła racjonalizować doniesienia, bo przecież Mur nie był ukończony na fragmencie od Sarn do Stanisławowa, a właśnie tam miał się znaleźć Izydor, a nie w samym Chełmie. Tylko

gdyby atak przeszedł przez wyrwy w Murze, to albo byłby on bardzo mały i wtedy nie opisano by go jako chwalebnej obrony, albo...

Albo użyto określenia chwalebny zgodnie ze zwyczajem, czyli opisując całkowitą rzeź. A to oznaczało, że przebiła się istotna siła. Tylko jeśli nie było wcześniejszych doniesień o marszach w gazetach, to znaczyło, że żaden z przyczółków takich nie doniósł. Ergo żadnego z tych przyczółków już nie było.

Załamała ręce, wypuściła gazetę z dłoni, pozwalając stronom rozpierzchnąć się na boki. Poczuła dreszcze, które zaraz przeszły w drgawki. Jedyną siłą, która mocniej poruszała całym napiętym ciałem, był szloch. Przejmujący płacz, jakiego nie doświadczyła, odkąd dostała notę, że Wilhelm II Hohenzollern wyprawił się na wschód, przez umęczoną okupacją Rzeczpospolitą. Wtedy to zresztą jeden z oddziałów pacyfikujących spalił jej rodzinną wieś za Poznaniem.

Na zmianę chwytała się za twarz, meble, wystające ponad linię podłogi deski, po czym rzucała się między drapaniem paznokciami i uderzaniem we wszystkie powyższe.

Sterowce zdążyły przedryfować przez nieboskłon nim wreszcie doszła do siebie. Nadal cicho powtarzała sobie, że to się nie stało, że to nieprawda, że to zwykłe domysły.

Wstała, przeszła kilka kroków i osunęła się pod ścianą, znowu chwytając za długie, prawie białe w tym świetle włosy. Gdy już wstała i zdobyła się na pokonanie następnych metrów, część włosów nadal tkwiła między jej palcami.

Nie ustawiła gramofonu, talerz ze śniadaniem zostawiła na nakrytym białą serwetą stoliku z dwoma krzesłami o rzeźbionych zagłówkach. Przez kilka sekund patrzyła w szafę, by zaraz odciągnąć na bok cienkie przepierzenie, dzielące potężny mebel na dwie, całkowicie równe części.

Naciągnęła na nogi za duże, sztruksowe spodnie, wsadziła w nie białą koszulę, naciągnęła szelki na ramiona i wyszła, celowo zrzucając z wieszaka kapelusz.

Widok tak ubranej kobiety byłby jeszcze kilka lat temu absolutnie bulwersujący, zwłaszcza w biały dzień, gdy stolica aż wrze od wieści przyfrontowych. Jednakże ostatecznie nikt nie odważyłby się napastować samotnej damy, idącej wzdłuż Krakowskiego przedmieścia.

Po pierwsze taki strój sugerował niejako, że kobieta jest w sytuacji samodzielnego utrzymania, zapewne po okresie żałoby od utraty męża, wynoszącym zgodnie z obyczajem miesiąc. Więc władzy było to stosunkowo na rękę, że chociaż w ten sposób nie jest pogłębiany powszechny problem chorobliwej prostytucji. A nikt nie chciałby sobie brudzić rąk ustawami w tej kwestii, gdy dziewięć na dziesięć pań do towarzystwa ma kiłę.

Po drugie, by doszło do zaczepki, musi istnieć zaczepiający. Młodych mężczyzn zaś nie sposób było uświadczyć na ulicach, a z roku na rok ich ubywało. Jeśli któryś był na tyle nieroztropny, by mijać się od wezwania do Wojskowej Komisji Uzupełnień, to na pewno nie ryzykowałby odkryciem, zaczepiając przypadkowe emancypantki.

Tak więc jedynymi osobami, które obdarzyły Alicję pełnymi pogardy spojrzeniami były inne kobiety, idące pod rękę z niedołężnymi kombatantami, księża i zakonnice.

Młodej i wykształconej, jak na prawne możliwości kobiet, Murykiewiczowej daleko było jednak do emancypantki, czy innej Erzażystki walczącej o prawo do umierania na froncie. Co prawda wiadomym było, że walka o równe prawa zaczynała się zawsze od równego podziału przywilejów, a nie obowiązków, ale mimo to nie widziało jej się podkładanie bomb o prawo do głosowania. Wolałaby nawet nie mieć praw, gdyby żyła w świecie, gdzie nie musiałaby ich używać.

Pamiętała zresztą, jak Izydor walczył o swoje prawa. Służąc najpierw w podziemiu polskim, a potem walcząc w powstaniu marszałkowskim, które wpierw nosiło nazwę powstania stołecznego. To nie było nic wspaniałego z jej strony. Długie, przepłakane i bezsenne noce, gdy jej brzuch pęczniał, a Izydor potrafił nie wracać przez kilka dni.

Do pewnego stopnia nawet mu zazdrościła, w najlepszym wypadku zostałby bohaterem wolnego państwa, w najgorszym umarłby jako bohater. Jej zaś przypadła rola szydełkowania rękawiczek od czego szybko psuł się wzrok, a ceny sprzedaży ledwie pokrywały materiały.

I kiedy wszystko miało się udać i w drugiej połowie siedemnastego roku wybuchła ta przeklęta i błogosławiona Epidemia, dając wszystkim pretekst do zakończenia wyniszczającej wojny, wszystko runęło.

Alicja pogłaskała się po płaskim brzuchu i zacisnęła dłoń w pięść. Do oczu wcisnęły jej się łzy, ale zaraz zniknęła i jakby okrężną drogą wróciły do ust w formie przekleństwa.

– Kurwa mać – warknęła wściekle i obejrzała się na bok.

Tuż obok przechodziła ubrana na czarno guwernantka z szeroką spódnicą i długim rękawem, zasłaniającym nieudolnie liszaje na pazurzastych dłoniach. Kobieta otworzyła usta w teatralnym zaskoczeniu, a zaraz post facto zakryła wyprowadzanemu chłopcu uszy.

– Litości – odsapnęła tylko w zmęczeniu, wywaliła język w kierunku dziecka i minęła nieciekawą mamkę.

Warszawa w czerwcu zmienia się w sposób trudny do opisania słowami nieuznawanymi powszechnie za obelżywe. Oto bowiem gwar nawoływań przekupek, równie odległa od centrum i kindersztuby, szpetna mowa tragarzy oraz stukot wszechobecnych kopyt giną w jakiś niemalże przykry sposób, przygniecione naporem nowej ludności.

Na lato zawsze kamienice błyszczą się, jakby nadchodziła spóźniona Wielkanoc, a to tylko ze względu na to, że muszą one współgrać z ogłoszeniami, szumnie zachwalającymi wolne, umeblowane apartamenty na wynajem. Tak to pojawiają się pierwsze symptomy choroby, zwanej sezonem letnim.

Początkowa faza choroby przebiega nader nieestetycznie. Panie już jakby mniej zgrabne, a bardziej dziarskie, przemierzają ulice pod rękę z ogorzałymi od pracy w polu panami, udając przez krótki czas, że są tutejsi. Mimo to co chwila ręką wskazują katedrę albo pokaz elektryczny i zdradzają swoje prawdziwe pochodzenie, jak obce komórki w organizmie, który dopiero uruchamia spóźnione reakcje obronne.

Walki układu odpornościowego z bakteriami przyjezdnych są szczególnie zajadłe na targu bydlęcym i wśród kupców tekstylnych. Tam oto obce bakterie przynoszą ze sobą smród krowich odchodów i strzępiącą się bawełnę, suchą jak studnie śródmiejskie. Atlas warszawski dźwiga zatem wymagania dziesiątek tysięcy imigrantów zarobkowych, jak pasożyta, dostarczając kilkukrotność potrzebnej wody i prowiantu oraz sprzątając dziesięciokrotność dziennego minimum odpadów.

Przy tym ostatnim warto zaznaczyć, że jest to szczególnie odczuwalne wśród dzielnic biedoty, za wschodnim brzegiem Wisły. Okazuje się, że to, co było łatwym pomysłem na zarobek w postaci wynajmu klitki dla kilku skąpców lub biedaków czy artystów, staje się

gwoździem do trumny gospodarstwa. Wzrasta liczba kradzieży, burd i pijatyk, a trudne do przemierzenia suchą stopą ulice stają się regularnymi potokami nieczystości.

Z czasem część kontrahentów po mniej lub bardziej udanych transakcjach próbuje odzyskać resztki wpłaconego czynszu, argumentując, że nie będą płacić za miejsce, gdzie już mieszkać nie muszą. Wtedy to szczególnie nużąca staje się praca notarialna za to niebezpieczna komornicza, gdy trzeba uganiać się za rolnikami, których akt nie ma, by odzyskać pieniądze, których nie mają, dla wynajmujących, którzy wyjechali.

Aż w końcu bliżej września Warszawa na nowo oddycha pełną piersią, z ulgą konstatując, że smród ponownie cofnął się o jedno, góra dwa skrzyżowania dalej od Alej Jerozolimskich. Tam na głównym skrzyżowaniu, aż do grudnia nie będzie pachnieć niczym innym jak parafiną, przepalonymi obwodami machin i kopcącymi dorożkarzami.

W końcu Alicji udało się minąć smętnie cichy szpital świętego Rocha, majaczący za ścianą kamienic gmach uniwersytetu i dotrzeć do celu swojej nieprzemyślanej, ale zdecydowanie pożądanej podróży.

Budynek ministerstwa spraw wojskowych był drugim najwyższym budynkiem w mieście, a właściwie to i w kraju. Koszmarny, bladożółty słup graniasty wysoki na kilkadziesiąt pięter. Alicja nie zliczyła nawet kolejnych po sobie szyb, mimo że zawsze lubiła to robić.

Weszła do środka, przepychając się między dwoma, siwiejącymi, pucułowatymi mężczyznami, z których jeden miał pretensjonalny melonik na przedpotopową modłę francuską. Wpierw oburzyła ich niegrzeczność wchodzącej, dopiero w następnej kolejności sam strój.

Noszenie spodni przez kobiety nie było oficjalnie karalne, czy nielegalne, ale tak samo zresztą, jak i kucanie na środku chodnika, a obie te czynności były równie absurdalnie niekulturalne i zbędne w mniemaniu większości dżentelmenów.

Wnętrze budynku było o dziwo urządzane stosunkowo wystawnie jak na to, co było prezentowane z zewnątrz. Możliwe jest, że były to pokłosie konfiskaty, gdyż przed upaństwowieniem budynku na cele urzędowe, znajdował się tu oddział banku imperium rosyjskiego, należący zresztą do Suworowów.

Drewniana lada na środku holu, obitego w bordowe wykładziny, zachodziła wielkim kręgiem i rozdwajała się na dodatkową spiralę, aż do sufitu piętro wyżej, gdzie całość oświetlał kryształowy żyrandol. Recepcjonista wydawał się opanować do poziomu mistrzowskiego trudną sztukę utrzymywania napiętego ciała, mimo całkowitego znużenia.

– W czym mogę pom… – zaczął matowym tonem, ale poderwał się natychmiast, gdy Alicja huknęła dłońmi o zaścielony zielonym atłasem blat.

– Kapitan Izydor Murykiewicz… – gniewny ton z wizgiem ustawił przechodzących dookoła urzędników państwowych do pionu. – Gdzie on jest?!

– Przepraszam panią bardzo, ale szuka pani kogoś?

– Nie widać? – Alicja zgrzytała na zmianę zębami, zaciskała dłonie na blacie i sapała jak rozdrażniony ryś.

– To w takim razie departament personalny, wydział dziewiąty na piętrze piętnastym.

– Przepraszam bardzo, którym?

– Może pani skorzystać z windy na końcu korytarza, po lewej. – Odpowiedział, przyklepując z uśmiechem rudy wąs.

– A skorzystam! – fuknęła Alicja raz, drugi i pochylając się nazbyt wyraźnie, ruszyła przed siebie.

– Drugi korytarz…

– Wiem! – krzyknęła, po czym zawróciła równie nagle.

Czarna strzałka toczyła nieskończenie powoli swój bieg po białym półkolu, nie bacząc w żaden sposób na pośpiech oczekujących windy. Piętra sunęły mozolnie jedno za drugim, aż w końcu niewielka klitka obita jasnym drewnem otworzyła się, wpuszczając do środka dwóch ponurych mężczyzn w mundurach z dystynkcjami majorskimi.

Alicja postawiła stopę w zamykających się zaskakująco szybko drzwiach, warknęła pod nosem i wparowała natychmiast do środka, obracając się plecami do oficerów.

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie zdziwieni, wpierw jeden chciał coś do drugiego szepnąć, ale zdał sobie sprawę, że to może być zbyt ryzykowne. Po prostu uniósł wysoko brwi, wskazując na wygniecione, jasnoszare spodnie trzeciego pasażera. Drugi odpowiedział pierwszemu lekkim skinieniem ramion, podniósł podbródek do góry pytająco, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Kobieta obróciła się z grymasem niezapowiadającym niczego dobrego. Nim którykolwiek zdążył się odezwać, kabinę wypełnił odgłos dwóch plaśnięć.

Drzwi otworzyły się przy którymś z pięter i Alicja wyskoczyła na zewnątrz, złorzecząc na świat. Zostawiła obu majorów z nabiegającymi czerwienią policzkami. Na odchodne rzuciła jeszcze:

– Świnie!

Ostatnie kilka poziomów do piętnastego piętra przeszła po schodach, konstatując, że właściwie to był całkiem przyjemny sposób na upuszczenie gniewu. Uznała to za dosłowną manifestację fizycznego buntu i z tą myślą weszła bez pukania do dziewiątego wydziału.

Nadal gdzieś z tyłu głowy kołatała się jej myśl o sterylnie i porządnie ułożonym budynku Instytutu Psychologii wraz z jego równie sterylnym i ułożonym dyrektorem. Dlatego tym bardziej Alicja była zdziwiona, gdy odkryła, że wydział spraw personalnych to po prostu spore pomieszczenie o niskim suficie z połowicznie przeszkloną, linią ławek i okienek z ponumerowanymi urzędnikami.

Gniew ścichł delikatnie, schodząc na drugi tor. Przysiadła na jednym z krzesełek pod ścianą, odruchowo nawet chcąc zdjąć na wieszak kapelusz, ale takowego przecież nie miała. Wtedy spojrzała na swoje ręce, cały strój i zakopała oczy między palcami, pozwalając sobie na chwilę ciszy i spokoju.

Gdzieś tam w sercu wiedziała, że gniew jest tylko chwilowy. Powstał z nagłego wybuchu płomieni i zaraz bez stałego źródła zniknie, zmieniając resztkę paliwa w smętną kupkę popiołu. Później zaś ta kupka popiołu przykryje jej serce czarnym osadem i jak wszystkie wdowy wojny, przez resztę życia będzie starzeć się, czując jak w jej wnętrzu trzeszcze kurz i piach z bitewnych pól.

Przecież już nic nie przywróci życia Izydorowi. Oddałaby wszystko, każde pocieszenie, dobre słowo, każdy włos na głowie i ząb, by jej ukochany wrócił. Wiedziała, że byli ze sobą zbyt blisko, by śmierć nie zabrała bezpośrednio kawałka drugiego. Jeszcze fantomowo czuła w sobie wszystko jako jedność, ale zdawała też sobie sprawę, że za chwile to uczucie minie. Nerwy nie będą próbowały sięgnąć korzeniami miejsca, które nie istnieje przez całą wieczność. Wreszcie połatają się wzajemnie, chwycą na przemian za zakończenia w geście prawie że ludzkiego pocieszenia i stwierdzą: Nigdy tu niczego nie było.

I tylko Alicja będzie wiedziała, że tam gdzie jest ziemia niczyja jej własnego ciała, była kiedyś cząsteczka Izydora, która odeszła wraz z jej stwórcą.

– Proszę! – odezwał się nagle podniesiony głos kobiety.

Alicja otrząsnęła się jak ze snu, nawet czując poranny posmak osadu na zębach. Spojrzała to w lewo, w prawo, w górę, ale głos dobiegł zza jednej z drewnianych ścianek działowych, nad którą wystawała tyczkowata, ruda kobieta w krzywych okularach.

Spokojnym krokiem Alicja podeszła, usiadła na krześle, prawie odruchowo próbując zaciągnąć materiał sukienki, ale jej tam nie było.

– No słucham pana… Panią – odezwała się z wyraźną, celową złośliwością w głosie ruda urzędniczka.

W pierwszej chwili Alicja nie bardzo była pewna czy trafiła pod właściwy adres. Ministerstwo spraw wojskowych miało wyglądać bardziej jak agoge, wypełnione po brzegi wąsatymi, brodatymi i starzejącymi się nazbyt szybko…

– Słucham! – powtórzyła, wyławiając petentkę z rozmyślań.

– Tak, ja… Przyszłam się dowiedzieć o mojego męża Izydora Mu…

– Następna – przerwała biurokratka, wyginając szpiczasty nos raz w lewo raz w prawo, jak królik. – Jeśli chodzi o Chełm, to nadal obrona trwa i poranne wieści z bulwarówek proszę omijać, dobrze? To naprawdę nie jest mądre tak nas obarczać głupotami, gdy my tu mamy ręce pełne roboty i…

Urzędniczka obróciła się nagle, bez zapowiedzi i uniosła lekko rękę do wychodzącej, tęgiej brunetki w długiej sukni z muślinowymi wykończeniami.

– Już idziesz?

– Jeszcze muszę się spotkać z siostrzenicą, bo spod Litwy samej przyjechała, a chcę ją do Saskiego zabrać właśnie…

– No tak, bo, ale, no, to wieczorem – zdziwiła się ruda, opierając ręce o przegrodę.

– No to przecież zdążę, tak? – odrzekła wychodząca, nakładając przesadnie szeroki kapelusz z czarnym piórem.

– I co, zostanie?

– Kto? – zatrzymała się wpół kroku. – Władzia?

– Siostrzenica, a Władzia to nie na pewno, bo ona w ogóle będzie pewnie do Berlina wyjeżdżać z tym swoim.

– No naprawdę? A przepustkę, to skąd weźmie? – zainteresowała się żywo.

– A nie wiesz? To jest tak, że…

Alicja wstała, podniosła swoje siedzisko i z zamachu uderzyła w szklaną witrynę. Rozbite okienko obsypało miriadą drobnych szklanych odłamków pokój. Włosy opadły jej na czerwoną, rozwścieczoną twarz. Pod nosem grały dwa rzędy białych zębów, co chwila wyskakujących na świat i chowających się za zlepionymi lokami.

– Gdzie jest mój mąż?! – wycedziła każde słowo, podnosząc po raz kolejny krzesełko do ciosu.

Ruda urzędniczka odruchowo zasłoniła się ręką, kuląc się do boku i chowając za ścianką działową. Wtem do pomieszczenia zza drzwi opisanych miedzianą tabliczką wbiegła nowa postać.

– Co tu się dzieje na miłość Boską?! – Sztywna, watowana marynarka zafalowała na jednym ramieniu. Widać, że jegomość był również w trakcie przygotowywania się do wyjścia. – Zostawić was na pięć minut!

Alicja ściągnęła twarz w dumny wyraz, uniosła podbródek i jak gdyby nigdy nic opuściła krzesło, udając, że wcale nie planowała nim wybić zębów rudej biurwy.

– Chcę dowiedzieć się co z moim mężem, Izydorem Murykiewiczem.

– O to ten cały raban?! – wepchnął drugie ramię w rękaw, przejechał palcami po kołnierzu koszuli i dosłownie warknął gardłowo jak wilk. – Nie umie się pani jak człowiek zapytać przy okienku?

– Ta kobieta nie chciała mi odpowiedzieć – zarzekała się Alicja, wskazując palcem na rudą urzędniczkę, która nadal chowała się za biurkiem, próbując nie nadziać się na leżące wszędzie odłamki.

– Czemu?

– Odpowiedziałam – odezwała się, wstając z podłogi i trzymając z przejęciem za skaleczoną, bladą dłoń. – Powiedziałam, że nie ma informacji.

– Powiedziała, abym nie przeszkadzała jej w pracy takimi pytaniami.

– Powiedziałam…

– Ona powiedziała to, tamto, siamto. – Urzędnik rozejrzał się z niesmakiem i skierował do wyjścia, mijając w drzwiach brunetkę, która nadal obserwowała całe zajście z przestrachem i zaciekawieniem. – Nie interesuje mnie to, proszę wyjść.

– A pan kim niby jest, by mi rozkazywać?

– Piotr Hukiewicz, główny administrator tego burdelu, z którego radzę pani się wynosić, chyba że zarabia w adekwatny sposób.

W pomieszczeniu zapadła ciężką kotarą cisza. Dopiero po chwili jako pierwszy wyszedł sam dyrektor, zostawiając wszystkich w osłupieniu.

– Słyszała pani dyrektora – zebrała się na odwagę ruda urzędniczka, poprawiając jeszcze mocniej skrzywione okulary.

Alicja zmrużyła oczy z zażenowaniem na rudą, sapnęła cicho i ruszyła za wychodzącym mężczyzną. Jak strzała wyleciała przez korytarz, by złapać go w windzie, jeszcze zanim drzwi się zamknęły.

– O na miłość Pana, czego znowu?! – zakrzyczał, wduszając z całej siły przycisk parteru. – Nie może pani skorzystać ze schodów?

– Nie – prychnęła Alicja, obracając się plecami do dyrektora.

– Nieważne – jęknął z rezygnacją, wlepiając wzrok w sufit, bijący przyćmionym światłem zza mlecznego kloszu. – Mogłaby się pani chociaż jakoś nosić przyzwoicie, jeśli rzeczywiście jest pani w żałobie.

Alicja zamrugała kilka razy i jak burza zawirowała w ciasnej przestrzeni windy, zaganiając zdziwionego pasażera do kąta.

– Słucham?! – krzyczała z całych sił, gestykulując tak żywo, że aż naciskając kilka dodatkowych pięter na rozdzielniku. – O przepraszam pana bardzo, że jaśnie książę u schyłku czerwca może sobie paradować w bawełnianych portkach, a ja mam się męczyć w czerni jak jakaś kwoka na mięso! Wolne żarty, ha–ha, jeszcze czego?!

– Już, spokojnie…

Drzwi uchyliły się na jednym z naddatkowo wciśniętych pięter. Kłótnie musiano słyszeć z daleka, gdyż pod drzwiami już zwalniało kilka osób, udających niby zajęcie własnymi sprawami, a w głębi serca czekających na rozwój wypadków.

– Proszę mnie nie uciszać, kiedy krzyczę! – Alicja obejrzała się na obserwatorów, płosząc natychmiast większość z nich. – A wy czego, sępy jedne?!

– Rozumiem, że jest pani roztrzęsiona, ale naprawdę to nie miejsce na jakieś bazarowe awantury. Dlatego ostrzegam panią, że taryfa ulgowa kończy się wraz z otwarciem drzwi i lepiej dla pani, by wtedy skończyły się również te buntownicze ujadania.

Drzwi windy otworzyły się na parterze, ukazując zebranych kilkadziesiąt osób, przechodzących w jedną czy drugą stronę. Niektórzy zwyczajnie czekali na przyjęcie albo umówione spotkanie. Całość zdawała się w normie, nikt tutaj nie słyszał krzyków z windy, co dyrektor przyjął z ulgą.

Piotr pokiwał głową w zrozumieniu, zdobył się na nieszczery uśmiech i postąpił za drzwi, stawiając obcas na miękkim dywanie.

– Świnia! – zawołanie pobiegło przez korytarze, zwracając uwagę zebranych na wychodzących. – Zwykła, biurokratyczna, zakurzona, stołkowa świnia bez uczuć!

Dyrektor czuł na sobie spojrzenia wszystkich, którzy zawsze z ochotą wyczekiwali jakiejkolwiek kłótni i oderwania od codziennych obowiązków. Tym bardziej poczuwał się do wstydu, że niejednokrotnie słyszał szeptane na jego temat uwagi, które zawierały się mniej więcej w tych słowach. Teraz osoby mu nieprzychylne i postronne mogły z zadowoleniem oglądać, jak ich najskrytsze myśli są wykrzykiwane publicznie, a ich ofiara może tylko iść przed siebie i znosić to dzielnie lub nie.

– Wstyd! Wstyd! Ty wszo, jak ci nie wstyd tak traktować kobietę! Co za bezczelność, żonę oficera jak zwykłą kokietkę z żółtą wstążką obmacywać! – zakrzyczała Alicja, podnosząc atmosferę na wyższy poziom. – Basior z syfilisem, żonę byś sobie znalazł obrzydliwa wszo!

Ludzie zaszeptali między sobą nerwowo, powtarzając konteksty i dopowiedziane już tła do historyjki. Ktoś z oburzeniem zasugerował wezwanie żandarmerii.

Hukiewicz dosłownie wtulił głowę w ramiona, wychodząc przez ostatnie skrzydła drzwi. Wiedział doskonale, że z podstawnego czy bezpodstawnego obrzucenia gównem też trzeba się bardzo długo skrobać. Więc gdy tylko minął schody, a natrętna kobieta szła dalej za nim, lżąc go w biały dzień, nie wytrzymał.

Obrócił się, spojrzał na nadal rozwrzeszczaną wariatkę i zamachnął się, w swoim mniemaniu bez szczególnego przyłożenia.

Rozległ się plask, po czym huk i łoskot.

Dyrektor przełknął ślinę, z przerażeniem spoglądając na własną dłoń. Domniemana wdowa leżała parę schodków niżej z czerwonym policzkiem. Rozejrzał się i dostrzegł kilku zszokowanych spojrzeń przechodniów.

– Cholera – syknął tylko w pierwszym odruchu i pobiegł do ulokowanej na postoju taksówki, otwierając z rozmachem drzwi.

Po chwili czarna taryfa z zamkniętym dachem zawarczała, wytoczyła się, nabrała prędkości i zniknęła za zakrętem, zostawiając poszkodowaną samą na schodach.

– Bezczelna… Obrzydliwa… – mruczała pod nosem obelgi dalej, podnosząc się z ziemi, aż w końcu splunęła za odjeżdżającym automobilem. – Świnia!

– Pomogę – odezwał się spokojny, choć zachrypnięty głos z boku. Ktoś podźwignął Alicję na ramieniu i pomógł otrzepać kolana. – Ale cię urządził ten kutas.

– Jak pan powiedział? – zdziwiła się Alicja, oglądając się na nieznajomego.

Mężczyzna który przyszedł jej w sukurs miał nie więcej jak dwadzieścia pięć lat, kasztanowe włosy chował pod maciejówką. Nie patrzył w oczy, jakby wstydził się własnej twarzy, lecz wyglądał w jej mniemaniu nawet przystojnie, chociaż mógł to być równie dobrze szok po uderzeniu.

– Kutas – zaakcentował ponownie młodzieniec. – Przepraszam jeśli mówię niewyraźnie, litewskie korzenie.

– Nie, po prostu… – Alicja uśmiechnęła się, widząc szczerość chłopaczka, która tak dobitnie kontrastowała z tym czego właśnie doświadczyła. – Kutas, zabawnie pan to ujął.

– Bez pan, po prostu: ty.

– Ty masz jakieś imię? – zaśmiała się cicho, ocierając pęczniejącą powoli twarz rękawem koszuli.

– Maksymilian, ale nie lubię go, więc może być po prostu Aequemilian.

Alicja wytrzeszczyła oczy, cofnęła podbródek w przesadzonym zdziwieniu i dopytała niepewnym głosem.

– Dobrze usłyszałam?

– Spytałem kiedyś jednego znajomego, który pracował jako guwerner, jak jest po łacinie: równo. No bo Maksymilian, najwyższy, czy tam, największy to tak głupio, nie? Po co najwięcej, skoro można tyle ile potrzeba. – Młodzieniec zafrasował się wyraźnie, spuścił wzrok jeszcze niżej, podrapał po karku i uśmiechnął. – No więc Auequemilian wymyśliłem.

– I ktoś tak do ciebie mówi? – Alicja wyszczerzyła się protekcjonalnie. Jednak po chwili powściągnęła własną twarz i zwyczajnie po ludzku pokiwała głową. – Rozumiem, przepraszam jeśli byłam niemiła.

– Nie, nic nie szkodzi. Nikt tak nie mówi tak właściwie, mówią nadal Maksymilian, czasem po prostu Litwin… Właściwie to częściej.

– Rozumiem. – Na moment zapadła niezręczna cisza i Alicja rozejrzała się; nikt już ich nie obserwował, a ulica płynęła dalej swoim życiem. – Dziękuję ci bardzo za troskę w takim razie. Najwidoczniej będę musiała wrócić do domu i… Sama nie wiem czym się zajmę, wybacz, nie będę z tobą rozmawiać o tak prywatnych sprawach.

– Chyba nie poszła rozmowa w urzędzie, prawda? – mówił miękkim i pewnym siebie tonem, mimo wgapiania się w chodnik.

Alicja już miała się odwrócić i iść do domu, chociażby na piechotę, ale zamiast tego spojrzała na Litwina, skrzywiła się, westchnęła na zmianę i wreszcie stwierdziła:

– Przesadziłam mocno, później złożę im przeprosiny, albo nie… Nie wiem jeszcze.

– Myślę, że dobrze postąpiłaś. Żyją na wzór zachodni, konsumują i wydalają, pogłębiają podziały. Dziś, w epoce gotowych i tanich ubrań, nikt już prawie nie donasza Redingote'ów swego dziadka, natomiast w dziedzinie ideowej Redingote'y i krynoliny zajmują jeszcze bardzo dużo miejsca – wyrecytował prawie że jednolitym głosem, tak jak się recytuje pacierz.

Alicja cofnęła się o pół kroku, rozejrzała jeszcze raz i na moment pożałowała, że rzeczywiście nikt na nich nie patrzy. Dłoń odruchowo zacisnęła się w pięść, jednak nowo poznany nie zrobił nic czego się spodziewała. Po prostu podniósł głowę i wlepił w nią spojrzenia pary zaczerwienionych od ulicznego kurzu oczu.

– Może chciałabyś opowiedzieć o tym co cię spotkało, albo chociaż posłuchać o innych takich przypadkach. Nie jesteś odosobniona, nie czuj się winna, to oni są winni. Przyjdź, posłuchaj co mają do powiedzenia pozostali, tacy jak ty. Spotkanie zaczyna się wieczorem, w knajpie *Za Leną*, na pewno warto będzie wysłuchać Lwa.

– Jakiego Lwa? – spytała zduszonym głosem.

– Lwa Iskry, przyjechał dziś rano z… Daleka

* * *

Pagórek ustąpił pod oficerskim butem i Izydor z dumą postawił ostatni krok swojej marszruty. Ranny, głodny, odwodniony i niewyobrażalnie zmęczony dowlókł swoje jeszcze, choć niedługo we własnym mniemaniu, żywe ciało. Przed śmiercią chciał ujrzeć z daleka wedutę Warszawy, przez którą przelewa się błękit rzeki, będącej schronieniem Polaków.

Wisła rozciągała się przez cały horyzont, przerywając swoją ciągłość tylko na moment, by obdarzyć obecnością mieszkańców ogromnej twierdzy. Z centrum wyzierało na świat kilka budynków, konkurujących o dosięgnięcie nieba. Całość przypominała kremowo–białą skałę, pełną szczerb i oliwkowych nalotów dział przeciwlotniczych. Warszawa była dla Izydora drugą, małą ojczyzną, zaraz po Lwowie.

Paroksyzm bólu przebiegł przez całe ciało Murykiewicza, zaczynając się od rannego boku, a może nawet wnętrza serca? Co jakiś czas brudnymi palcami zacierał zainfekowane oko. Zastanawiał się, czy umrze najpierw od gangreny, czy od Karmazyny.

Modlił się i na zmianę powtarzał formułki akademickie na temat autodiagnozy psychosomatycznej. Wszyscy nienawidzili tych zajęć, wydawały się zawsze odrealnione, z pogranicza filozofii i magii. Żołnierze zawsze mieli tendencję do wiary w niewidoczne rzeczy, tylko wtedy, gdy były im one na rękę.

A mimo to stał na środku niczego, czując, jak po jego organizmie roznosi się wirus, mający stuprocentowy wskaźnik śmiertelności. Przeszedł już wszystkie etapy odrzucenia, więc jedynie z przyzwyczajenia roztrząsał jeszcze możliwości i szukał wyjścia.

Co prawda jeszcze w Skrzyszewie zdążył opatrzyć prowizorycznie swoją ranę, która i tak nie była szczególnie groźna, ale… Tak, zawsze jest jakieś ale. Po drodze rana otworzyła się, a było to już po infekcji, która tylko znalazła dla siebie nową wylęgarnię. Szkarłatne bryzgi pienistej masy sączyły się co chwila z dziury po odłamku i przelewały wzdłuż nogawek, znacząc drogę kapitana krwawym śladem.

– Niebo to miejsce na Ziemi – szepnął Izydor, stawiając pierwszy krok nowej drogi.

Do tej pory motywował się tylko tym, by przed śmiercią ujrzeć stolicę. Co miał zrobić dalej? Pocieszać się, że chce jeszcze dotrzeć do jej bram? Do centrum, by tam przyłożyć sobie rewolwer do głowy i powiedzieć: Jestem bohaterem, walczyłem za was, bywajcie zdrowi!

A potem kula w łeb i do piachu. Nawet właściwie nie, bo sam wiedział, że od dawna nie chowa się zwłok w Rzeczypospolitej. Wszystkie oznaki Karmazyny kończą w krematoriach albo częściej masowych mogiłach, które dopiero później są dopalane. Pragmatyzm, cudowna cecha, której nigdy nie wykształcili Polacy – przynajmniej aż dotąd. Oby nie nazbyt późno.

– *Jedna z największy bied i plag, jakie pozostały nam po dawnym społeczeństwie – to całkowita przepaść między książką a praktyką życia, mieliśmy bowiem książki, w których wszystko było przedstawione w jak najlepszym świetle, a książki te w większości wypadków były najohydniejszym, najobłudniejszym łgarstwem, które w fałszywych barwach malowało nam społeczeństwo.*

Obraz świata zafalował delikatnie, lekko ciemniejąc, a potem nabierając jaskrawych barw jak na obrazie energicznego ekspresjonisty. Kolory zaiskrzyły się, kontury na zmianę gięły i prostowały, aż w końcu Izydor musiał uderzyć we własną twarz, by ból go otrzeźwił.

Poczuł się jak dwa lata wcześniej, gdy trzymał wartę w czasie stacjonowania w lesie wraz z oddziałem. To było jeszcze przed przewrotem i…

– Co się właściwie stało? – zmrużył oczy, uśmiechnął do siebie i natychmiastowo skrzywił z bólu.

– *Tylko uświadomione masy są w stanie przeciwstawić się…* – odpowiedział sam sobie, ale natychmiastowo ścisnął żuchwę dłonią.

Palce mocowały się przez chwilę w próbie złączenia ust w milczącą kreskę. Gdy to zawiodło, Izydor po prostu chwycił za podbródek i zaczął ciągnąć go do dołu, próbując przy tym stawiać kolejne kroki.

– Masy, chleb, jeść, więcej... – syczał i ciągnął się za twarz na zmianę, czy momentami ordynarnie szarpał, jednocześnie zasłaniając uszy ramionami.

– *Kultura dyskusji wymaga obustronnego wysłuchania racji.*

Izydor stanął na moment, puścił twarz, rozejrzał się i z przerażeniem wyklarował myśl: nie był sam we własnej głowie. Jeszcze przez moment próbował pojąć, jak dalece jego świadomość należy do niego i co ma z tym zrobić. Była to jedna z tych chwil, na której przygotowywano go na długo przed wysłaniem na front wschodni.

Chwycił za rewolwer, włożył lufę do ust i pociągnął z całej siły za cyngiel.

Bębenek przekręcił się nieskończenie powoli i iglica puknęła cicho w nicość. Zimny pot momentalnie zrosił czoło Murykiewicza.

– Nie spodziewałem się, że naprawdę to nam zrobisz. Mądrzej było zachować ostatni nabój na siebie, jeśli rzeczywiście chciałeś odebrać sobie życie. Oczywiście jest też możliwość, że zwyczajnie nie chciałeś się zabić. Czemu, by nie?

– Czemu by się nie zabić? – pomyślał Izydor, nie bardzo wiedząc, czy nadal do siebie, czy już do siebie i… Kogoś.

– Czemu by nie uznać, że chcesz żyć – głos wydawał się rozbrzmiewać w uszach, ale gdy Izydor zatykał uszy, nie wpływało to w żaden sposób na zrozumiałość przekazu. *– Po prostu ze mną porozmawiaj.*

– Nie, nie, nie… To wszystko paskudna matnia, ostrzegali nas. Z diabłem się nie rozmawia, to oznaka pychy – myśleć, że można dyskutować z szatanem.

– Szatan, diabeł... Miły to ty nie jesteś.

Izydor naparł z całej siły na język spustowy ognia i… Nic. Nie to, że kolejna komora również okazała się pusta, ale cyngiel nawet nie drgnął. Trwał jak zablokowany, w najmniejszy sposób nawet nie...

– Czy ty ruszasz moimi palcami?! – krzyknął kapitan z mieszaniną odrazy i niedowierzania. Impuls bólu naparł ponownie od rany, powalając go na kolana i skłaniając do wymiotów, jednak nie miał nawet prawie niczego w żołądku.

– Zgodnie z prawem drugiej Rzeczypospolitej, istnieje obowiązek zapobiegnięcia samobójstwa drugiej osoby, nawet siłą.

– Wygadany całkiem jesteś – przyznał z uśmiechem Izydor, po czym zamachnął się i uderzył sam w twarz ciężkim uchwytem broni.

Krew bryznęła na soczyście zieloną trawę, gdzie zaraz za nią upadł sam krwawiący. Przez moment leżał oszołomiony nagłym ciosem, lecz już po chwili z zadowoleniem wsunął rewolwer w usta i nacisnął cyngiel, po czym drugi raz, trzeci.

Łzy potoczyły się strumieniami po policzkach Izydora, płakał jak nigdy. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem w ogóle płakał. Właściwie to pamiętał, ale wolał udawać przed sobą, że nie. Przynajmniej dotąd, bo w chwili śmierci to i tak wszystko jedno.

Ostatnim razem płakał, gdy Alicja przed jego oddelegowaniem do czynnej służby w szwadronie wyznała mu, że jest w ciąży. A wcześniej płakał na pogrzebie ich poprzedniej, najsłodszej, nienarodzonej pociechy. Teraz gdy o tym wreszcie pomyślał, to wiedział, że nie może tak jej po prostu zostawić, że to chwilowy napad tchórzostwa.

Nie, to nie tchórzostwo, odezwał się drugi głos w głowie, to odwaga, tak nas szkolili, tłumaczyli to setki jak nie tysiące razy. Jeśli nie zrobisz tego teraz, to później będzie za późno. Ty już umarłeś, jesteś martwy od Skrzyszewa, jesteś trupem, chodzącą bombą zegarową na dwóch butach.

– *Nie potrzebujesz mnie do konfliktów wewnętrznych* – odezwał się ponownie głos, sączący się miękko z wnętrza i rozpływający po organizmie. – *Bądź rozsądny albo chociaż bądź odważny, przynajmniej kiedy rozum zawodzi. Wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia i sam zdecyduj, co chcesz zrobić. Jeśli tylko mnie spróbujesz zrozumieć, to obiecuję, że nie będę chciał od ciebie niczego więcej, zgoda? Patrz, na dowód dobrej woli: puszczę twoje… Znaczy nasze ręce.*

Murykiewicz poczuł, że ma pełną władzę nad palcami. Smak lufy był obrzydliwy, przechodził ziemią i brudem. Na myśl przyszła mu od razu kuchnia polowa w osiemnastym roku pod Rablinem, gdy...

Pociągnął za spust z zaskoczenia. Chciał zaskoczyć sam siebie, swoje rozterki i jeszcze własną chorobę. Zaczynał się gubić z kim walczy, z kim pertraktuje i kto wchodzi w skład rozgrywki.

Iglica po raz piąty ogłosiła pustkę. Bębenek przekręcił się, pozostawiając gotowy do strzału ostatni nabój. Szanse, że tak długo to potrwa były małe, ale teraz wynosiły pełne, okrągłe, zbawienne sto procent. Wystarczyło ostatni raz nacisnąć spust i spełnić swój patriotyczny obowiązek.

– Jeszcze Polska nie zginęła – pomyślał z lubością Izydor, wyginając lufę w jamie ustnej tak, by pocisk wyleciał przez płat potyliczny.

Iglica stuknęła głucho po raz szósty.

– *Oszukałeś mnie* – odezwał się prawie że ze smutkiem tajemniczy głos.

Izydor zacisnął powieki, pozwolił łzom dalej zmywać mu pył z twarzy. Naciskał cyngiel raz za razem, kręcąc pustym bębenkiem, gdzie powinna być zbawienna, szybkostrzelna śmierć.

– *Wiedziałem, że mnie oszukasz, więc jakiś czas temu wyjąłem wszystkie naboje*

– Co zrobiłeś? Jak, gdzie?! – Kapitan wyszarpnął lufę z ust, rozejrzał się po pustym polu rzepaku i zaczął krzyczeć absolutnie do nikogo. – Jakim cudem mi to zrobiłeś, nic takiego nie pamiętam!

– *Bo nie uznałem za słuszne, byś pamiętał. Jeszcze gotów byś był zrobić coś głupiego jak z tym uderzeniem w głowę. Swoją drogą: naprawdę planujesz się zabić, tłukąc na śmierć kawałkiem stali?*

Odarty z godności, w poczuciu przegranej absolutnej, zbierając w całość każde okropieństwo ostatnich dni i gorsze po stokroć rzeczy, które dopiero miały nadejść, Izydor zdobył się na to, by wreszcie odpowiedzieć:

– Czego ode mnie chcesz?

Coś drgnęło w rzeczywistości. Chwilowa zmiana ciśnienia jak przesterowanie na łączach w rozgłośni radiowej. Przez moment rozlegał się delikatny szum, aż nastała ciepła, przyjemna cisza i pustka.

– *Szczęścia dla wszystkich, w każdej ilości. Ze wschodu nadchodzi wielkie dobro, przełomowe w skali ludzkości. To, co nazywacie Karmazyną, jest kolejnym etapem ewolucji. Technologia postępuje, ludzie postępują, Karmazyna jest ostatnim krokiem w rozwoju dialogu społecznego oraz tego, co determinuje nas jako ludzi* – brzmiał głos z pustki, wydawał się spokojny, niemal przychylny. – *Zrozum, u nas nie ma wojen, głodu, chorób, zbrodni. Wszyscy są szczęśliwi, żyją w pełnym zrozumieniu i...*

– Są bezmózgą masą morderczych maszyn. Niektórzy wyglądają jak żywe trupy albo gargantuiczne ptaszyska i… Jak wy to wszystko robicie?!

– Są zdeterminowanymi żołnierzami, walczącymi w misji wyzwolenia was z kajdan niewoli. Jeśli Karmazyna jest odebraniem wolności, to jak można nazwać, to, co wy sobie robicie? Te koszmarne zarządy miałkich, chciwych ludzi, kumulujących nieustannie równie marny kapitał, by utonąć w hedonizmie do końca swoich krótkich, bezużytecznych dni. Żołnierze, których nazywacie potworami, to po prostu wykwalifikowani specjaliści. Niektórzy wyglądają jak ptaki, bo chcą wyglądać jak ptaki i bardziej im pasuje ta rola. Nie ma to większego znaczenia, skoro i tak pertraktujemy częściej, niż walczymy.

– Wy prowadzicie podbój techniką spalonej ziemi. Wdzieracie się do naszych domów, za pomocą siły! Przecież sam chyba nie wierzysz w słuszność tych obrzydliwych bredni.

– Ja wiem, że jest sens. A jeśli jest sens, to jest mus.

– To szaleństwo.

– Walczyłeś o wolną ojczyznę jeszcze lata wcześniej, prawda?

– Skąd wiesz… Zresztą, tak. To prawda i co z tego? – mówił, pytał, kontynuował sam do siebie Izydor, choć nikt nie mógł słyszeć.

W pewnym momencie wyszedł na szosę, przecinającą pasmem ubitej ziemi skraje dwóch pól. Przez chwilę stał tak w miejscu, aż w końcu ruszył w kierunku, który ostatecznie zaginał bardziej w stronę stolicy.

– Nie zawsze ludzie się zgadzali, prawda? Bali się, protestowali, czasami realnie buntowali przeciwko waszej walce, a przecież była słuszna, prawda? Wiem, jak to jest, walczyć o właściwą sprawę, a mimo to napotykać się co krok na przeciwności i to od osób, które przecież są w centrum moich intencji. Jeszcze kilka lat temu unieszkodliwienie donosiciela było czynem bohaterskim, nie patrzyliście na to, jak na morderstwo, tylko służbę ojczyźnie, prawda?

– To dwie różne rzeczy, ja nikomu nie wchodziłem siłą do głowy!

– No tak, bo wierszyki w szkole na cześć marszałka wbijane linijką po łapach dzieciom to absolutna sielanka – głos po raz pierwszy wydawał się śmiać po ludzku. – *Wiem, że jesteś przygotowany do stania po tej „dobrej" stronie i upierania się przy niej do ostatniej kropli krwi, ja to rozumiem i podziwiam. Tylko wyobraź sobie teraz, że to ja jestem w tej pozycji.*

– Jak zrobiłeś ten cudzysłów?

– Akcentując.

– Z każdą chwilą twój głos brzmi naturalniej, to przerażające. – sapnął Izydor, chwytając się za głowę. Kolorowe plamy przed oczami majtały się w tę i we w tę. Nagle poczuł przypływ słabości.

– Wszystko w porządku Izuś, hej? Nie mdlej mi tylko tutaj – odezwał się zaniepokojony głos znikąd.

Izydor spojrzał jeszcze przed siebie, usłyszał daleki, przygłuszony stukot końskich kopyt i świat przykryty został całunem ciemności i ciepła.

W mroku wydawało mu się, że był wreszcie sam. Co prawda zdziwiło go, że jest świadomy utraty przytomności, ale właściwie, to czemu nie? Po tym wszystkim, co przeszedł, był tak wykończony, że jego nieustannie napięte ciało miało prawo do swoich dziwactw. Tak więc trwał w nicości, jak w miękkiej pierzynie.

Zdarzało mu się nieraz śnić świadomie, co uznawał za dosyć zabawne. Ponoć w Warszawie prowadzono jakieś realne zajęcia z tego, jak być wyczulonym na to, kiedy się śni. Zupełnie tak jak człowiek ćwiczy taniec czy boks, tak ludzie potrafili uczyć się śnienia. Izydor miał do tego naturalny talent, jeszcze zanim nastąpiła moda.

Często w swoich snach, a czasem nawet na żywo odpływał w podróże. Zazwyczaj były dalekie w granicach niemożliwości, a na kilometry to wychodziło ledwie cztery setki. Czterysta kilometrów i Lwów był w zasięgu marzeń.

Pamiętał, jak pewnego dnia udało mu się niepostrzeżenie wkraść na ratuszową wieżę, by stamtąd doglądać panoramy ukochanej, małej ojczyzny. Trwało to ledwie mgnienie oka, zanim musiał salwować się ucieczką przed strażnikami miejskimi, ale warto było. Warto było, bo teraz mógł przywrócić ten obraz w pamięci, tak jak malarz przywołuje pejzaże z dawno widzianych krajobrazów.

Biały, dostojny ratusz, górujący dumnie kanciastą wieżą zegarową nad przepastnym rynkiem i chórami strzelistych kamienic, przypominających ciasne szeregi rycerzy Wewnętrzne podwórka jego rodzimej dzielnicy, gdzie matka w prostej sukni potrafiła wyczekiwać w domu przez cały dzień na jego powrót. Wydawała się wtedy trwalsza od najstarszych kościołów, odwieczna, na zawsze i nie do ruszenia.

A teraz Lwów płonął.

Pierścień oblężenia zacieśniał się, zabierając oddech. Ledwie cienka nitka ziemi prowadziła do matecznika, by stamtąd zasięgać sporadycznych zapasów, niezbędnych obrońcom do przetrwania kolejnego dnia oblężenia. Aż w końcu i ta nitka zniknęła. Nawet nie została przerwana, a zaciągnęła ze szpuli tyle ile mogła i jakby odpłynęła.

Ile to już było? Tygodnie, miesiąca, lata? Inwazja trwała naprawdę długo, wrogowie musieli się zmieniać nieustannie, by utrzymać taki napór. Tylko bezsenni Lwowianie nie zmieniali się, trwając na swoich posterunkach.

On jednak nie mógł nic zrobić. Przykuty obowiązkami, musiał oddać swoje całe życie w ręce innych osób, licząc tylko na boską interwencję.

A może nie musiał? Może mógł podjąć słuszną decyzję? Zabrać Alicję i ruszyć, byle jak najszybciej. Gnając koniem, jeśli trzeba to idąc piechotą, pochłaniając każdego dnia kilometry, które dzieliły go od umierających wspomnień.

Nie musiał nawet biec, przecież było jeszcze jedno rozwiązanie. Gdyby tak tylko przerwać ten koszmar, przerwać wojnę i zastąpić go wreszcie jakimś, chociażby najbardziej kruchym pokojem.

Z Karmazynami też można żyć, to przecież też są ludzie, prawda?

Obudził się spokojniejszy, z lekką głową. Czuł jak miękka pościel otacza jego ciało, wtula się w niego. Powietrze przesycone zostało zapachem rumiankowej herbaty. Przez okno wsączało się jeszcze zachodzące słońce, ocieplając sterylne, zadbane wnętrze salki.

– To już sen? – spytał się, choć głos ugrzązł mu w gardle i wywołał spazm kaszlu.

Kobieta w czerwonych szatach, zakończonych białym czepkiem z rozkloszowanym welonem bawełny, zbliżyła się do niego i położyła dłoń na czole.

– Obudził się pan – odezwała się z ulgą, ale podszytą wyczuwalnym strachem.

Izydor obserwował jej napiętą twarz, czując, że sam zapada się coraz głębiej w miękką poduszkę z gęsich piór. Palcami przejechał po bandażu na boku, był świeży.

Musieli mnie poskładać, pomyślał, czyli nie jest ze mną tak źle. Czyli to wszystko było tylko koszmarem, traumatycznymi pokłosiami piekła. Jestem w domu, ranny, ale żywy. Wrócę do mojej ukochanej Alicji, opowiem jej o tym szaleństwie, wizjach, koszmarach. Albo nie, lepiej nic jej nie powiem. Po prostu będziemy szczęśliwi i na tym historia się skończy, wreszcie spokój.

Siostra zakonna skrzywiła się wyraźnie, z mieszaniną strachu i odrazy chwyciła za opatrunek na głowie kapitana. Z dosadnym mlaśnięciem odlepiła bandaż od jątrzącego się oka, broczącego kroplami czerwonej mazi.

* * *

Fatma Obrębska miała wszystko, czego mogła chcieć kobieta. Męża w stopniu pułkownika, trójkę odchowanych dzieci, urodę, wykształcenie i mnóstwo wolnego czasu. Mimo to siedziała teraz naprzeciwko Alicji w Cafe Sébaste i chustką ocierała łzy, ściekające czarnymi strugami wraz z tuszem.

Alicja uśmiechnęła się gorzko, nie umiała robić dobrej miny do złej gry, przynajmniej w tej kwestii. Z Fatmą znały się jeszcze z czasów powstania marszałkowskiego i nawet swego czasu rywalizowały w przechwałkach na to, która podjęłaby się czego, gdyby musiała. Jednak nigdy nie wyszło to poza sfery koleżeńskich gdybań o niestworzonym.

Gdy mąż Alicji został ranny w powstaniu i śmiertelnie przerażona trwała przy jego łóżku, to mąż Fatmy siedział w sztabie tymczasowym i pił z resztą szarży, wysłuchując tylko raportów z terenu. Gdy Alicja poroniła drugi raz, Fatma wysłała najmłodszego syna na studia do akademii sztuk pięknych w Wiedniu. Nawet teraz Alicja była kłębkiem nerwów, prawdopodobnie owdowiałym zresztą, a miejsce w Sébaste sprawił Fatmie jej mąż jednym telefonem, omijając pięciomiesięczną kolejkę.

– Poradzisz sobie, jesteś silna – wyszeptała Alicja, obejmując serdeczny palec Fatmy. – Masz po prostu dużo na głowie, czasem tak bywa i wiem, że prędzej czy później wszystko się ułoży, tak jak powinno.

– Nie, masz rację, ale nie. Znaczy, ja po prostu tak nie myślę i tyle. Wiem, że chcesz pomóc, ale to tak nie działa. – Fatma odstawiła nagle chustkę od oczu, wyprostowała się dumnie, wzniosła podbródek i wyrównała oddech.

– A lekarze?

– Kobieca histeria, jak zwykle. Laudanum, hipnoza i wibratory.

Alicja skrzywiła się z irytacją. Fatma pokiwała głową, mrużąc oczy.

– Niech sami usiądą na kołku, może im się coś odetka w… – jednak Alicja nie dokończyła w czym miałoby się odetkać, ponieważ do stolika zbliżył się kelner w bordowej kamizelce ze srebrnymi guzikami.

– Co będzie dla szanownych pań?

– Coctail Chicago i drugi czekoladowy na żółtku.

– Sama chciałam się spotkać, zdobyłaś rezerwację, a teraz jeszcze zamawiasz – zaczęła Alicja, ale zaraz Fatma uniosła dłoń w czarnej rękawiczce z koronką.

– Wybrałam za ciebie, więc się nie liczy. Zresztą, robię to też dla siebie, wiesz? Po prostu czuję się lepiej, gdy robię komuś prezent.

Alicja skrzywiła się nieznacznie, pociągnęła za kołnierzyk marynarki i obejrzała za ramię koleżanki, wyszukując wzrokiem miksera za barem. Coraz modniejsze w Polsce koktajle stanowiły atrakcję samą w sobie, a w wielu przypadkach oglądanie przyrządzania napoju było o wiele lepszym przeżyciem, niż picie go.

Mikser wsypał do Henebergowskiego szejkera potłuczony lód, nalał soku z cytryny, ginu i wermutu, których nazw czy rodzajów Alicja nie mogła dostrzec z dystansu. Dalej z zadziwiającą siłą wstrząsnął całość, przelał do oblepionego cukrem kieliszka i oparł o jego ściankę plasterek pomarańczy. Na koniec wbił w całość słomkę tak mocno, że Alicja mrugnęła nagle, jakby przebudzona ze snu.

– Więc co ciebie trapi? – spytała zniecierpliwiona albo zwyczajnie ciekawska Obrębska, nie czekając, aż podadzą zamówienie.

– Pewien mężczyzna zaprosił mnie na spotkanie – odpowiedziała po chwili wahania Alicja, przechodząc płynnie na francuski.

Fatma zmrużyła oczy jak kot przed skokiem. Żyła tymi krótkimi chwilami, gdy wokół niej działy się plotki, zdrady, romanse i wszystko to, co nie powinno było się dziać. Fakt, że

została poproszona o tak prędkie spotkanie, bez konkretnej okazji, bez znajomych, był już dziwny sam w sobie. Natomiast przejście na obcy język sugerowało więcej niż ciekawy przebieg dyskusji.

– Przystojny, bogaty czy wartościowy? – dopytała.

– Jesteś okropna – zaśmiała się Alicja, choć częściowo zgadzała się z towarzyszką. – Nawet rumiany…

– Rumiany…

– Tak rumiany, bo trochę zbyt małomiasteczkowy na przystojnego. Natomiast biedny jak mysz kościelna, ale trzeba przyznać…

Kelner zbliżył się jak cień, bez najmniejszego dźwięku, po czym delikatnie ustawił oba zamówione koktajle na stoliku, kłaniając się przy tym lekko z szarmanckim uśmiechem.

– Trzeba przyznać, że mnie zainteresował – dokończyła wątek Alicja. – Zaproponował mi spotkanie w tej paskudnej mordowni za kościołem świętego Floriana, niedaleko dworca przy praskim murze.

Fatma nic nie odpowiedziała, ale jej błyszczące oczy i dłonie zaciskające się mocno na stopce kieliszka mówiły wszystko. Co chwila lekko uchylała zwilżone usta i z powrotem zaciskała je na słomce, nie chcąc przerywać wywodu Alicji.

– Spotkałam go, jak zrobiłam awanturę w ministerstwie, bo nie chcieli mi powiedzieć, co się dzieje z jednostką, w której był Izydor. Zresztą, może nie wiedzieli, to wielkiego znaczenia nie ma, skoro po prostu nie powiedzieli. Tylko wiesz, ja ostatnio nie mogę już, rozumiesz, nie mogę? Mam dość.

– Dość, w kontekście, że dość, czy *dość*.

– *Dość.* Chcę być wolna, rozumiesz? Nie chodzi mi o przejażdżkę motocyklem albo palenie papierosów w miejscu publicznym, czy nawet te pieprzone spodnie. Ja po prostu chcę być sobą, cokolwiek to znaczy. Sobą, w czym chcę, gdzie chcę. Chciałabym, żeby ludzi szanowano, by pozwolono im szanować innych. Mam dość tej biedy, a potem luksusu i znowu biedy, kryształowych szklanek, a potem matek z trójką dzieci na ulicy, dość!

Fatma przejechała językiem po wargach i obejrzała się w bok na bruk placu Zbawiciela. W jedną stronę Nowowiejska biegła na cerkiew świętego Michała, w drugą na politechnikę. Gdzieś w oddali słychać było rwetes, niosący się znad toru wyścigowego. Z przeciwległej strony park Ujazdowski trzeszczał kakofonią rozmaitych instrumentów, które z dystansem traciły na harmonii i zmieniały się w jednolity szum.

– Zawsze możesz iść kwestować pod kościół – odpowiedziała w końcu, jakby chcąc odrzucić od siebie kolejne myśli o nieszczęściu innych.

– Mogę też zamknąć oczy i zamówić kruszon albo wynająć lot hotelem balonowym, ale to wszystko są zabawki, rozumiesz? To nie jest naprawdę.

– To, co jest naprawdę, może ty wiesz lepiej ode mnie?

– Nie mów w ten sposób, po prostu chcę, byś mnie wsparła.

– Wspieram cię przecież! – podniosła głos Fatma, na moment uniosła się z miejsca i zaraz opadła, wlepiając wzrok w czekoladową toń kieliszka. – Sama też potrzebuję wsparcia.

– Co z Dowborem? – spytała Alicja, wiedząc, że jej czas na wyżalanie się skończył. Niestety Fatma szybko zmieniała humor, czasami wręcz do bardzo skrajnych postaci, gdy trzeba było ją powstrzymywać od szarpanin, czy targnięć na własne życie.

– Nie powinnam ujawniać szczegółów, to ściśle tajne.

Alicja zmrużyła oczy z powątpiewaniem. Fatma wytrzymała jeszcze chwilę i westchnęła od serca, wiedząc, że przytyk się nie udał. Nie po to umówiła się na plotki, by teraz zasłaniać się poufnością.

– Wiesz co to łódź podwodna?

– To taki okręt, który pływa pod wodą – odpowiedziała Alicja pół żartem pół serio.

– Ponoć kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu mężczyzn siedzi w pokojach niewiele większych od nich, dookoła znajduje się tylko przejmujący, czarny masyw morza, a w tej czerninie czai się każdy ich lęk. Słyszą najpierw skrzyp kadłuba, potem ćmi ich głowa, głosy szepczą im w głowach bluźnierstwa, a potem…

– Pytałam o Dowbora, a nie twoje fantazje z zakresu wizji piekielnych.

Fatma prychnęła, zirytowana wyrwaniem jej z opowieści, ale po chwili wróciła do tematu na nowo.

– Na północy nie jest spokojnie. Epidemia Piotrogrodzka jest wszędzie, naprawdę. Czasami Bałtyk wyrzuca na brzeg takie wielkie, mięsiste giganty, długie na ćwierć wiorsty, wypełnione jakimiś jajami i płodami, jak peklowane mięso.

Obrębska rozejrzała się nieufnie. Przy kanapie obok siedział mężczyzna, dumający samemu nad jedną filiżanką kawy, czytał gazetę. Dopiero po chwili wytężania wzroku Fatma dostrzegła znajomy nagłówek gazety, którą czytała kilka dni temu.

– Jak twój angielski? – spytała, nagle zmieniając język.

– Mój angielski? – odpowiedziała Alicja po chwili wahania, choć nadal naśladując akcent francuski. – Tak sobie, w czym rzecz Fatma? Wyglądasz, jakby coś cię zmartwiło.

Mężczyzna z gazetą jakby drgnął, ściągnął nieznacznie usta w grymasie i zaraz przywołał na twarz pozornie obojętną maskę.

– Idziemy, chcę się przejść. – Fatma wstała nagle z miejsca i zaczęła mocować się ze znalezieniem w kopertówce banknotów.

– O czymś sobie przypomniałaś?

Alicja nie doczekała się odpowiedzi. Jej towarzyszka zapłaciła szybko i ledwie pamiętając o kapeluszu, wyszła prędkim, sprężystym krokiem z lokalu, nie obracając się za siebie ani razu.

– Powiesz mi, co się stało, czy nie? – spytała Murykiewiczowa, przechodząc znowu na język polski.

– Tak, po prostu, był tam ktoś, kogo nie chciałam widzieć.

– Znajomy, kochanek, żyrant?

– Nie, nieznajomy, ale po prostu tak mnie... Tknęło. Nie patrz na mnie w ten sposób, nie jestem niezdrowa na umyśle, przynajmniej nie w ten sposób. Zwyczajnie czasem trzeba zachować ostrożność, zwłaszcza przy tych tematach.

– Zwłaszcza w Warszawie – dodała Alicja, gdy już nieśpiesznie zaczęły iść wzdłuż kremowych kamienic, chroniąc się przed prażącym słońcem. – Pójdziemy do parku? Chcę zobaczyć wodę.

– Tak, a wracając do tematu. – Fatma spojrzała z zadowoleniem, jak dwójka przechodzących obok oficerów skłoniła się jej tak nisko, że mogliby ucałować jej palec serdeczny bez jego podnoszenia. Oczywiście, gdyby im tylko pozwoliła. – Na północy jest źle, bo marynarka u nas zawsze była biedna. Kilka średnich okrętów po Niemcach, eskadra samolotów z brytyjskimi torpedami, jeden krążownik niemiecki, dwie łodzie podwodne i jeden pancernik, o dziwo nasz. Natomiast Dowbor siedzi tam jak na szpilkach, bo boi się, że w każdej chwili będzie musiał obsadzić czymś takim całe wybrzeże.

– To wybrzeże ma bagatela kilkadziesiąt kilometrów, jeśli nie mniej.

– Nadal jest to kilkadziesiąt kilometrów wybrzeża, trzy razy tyle licząc Hel, którego trzeba bronić – odpowiedziała z irytacją, pomachała dłonią na jadącą bryczkę i woźnica wstrzymał konie, by dwie panie mogły przejść na drugą stronę, a on obejrzeć sobie co nieco. – Nawet coś tak małego może otworzyć drogę do wielkich problemów.

Po chwili rozległ się krzyk. Źle zawiązane bagaże na tyle powozu uderzyły z trzaskiem o bazaltową kostkę. Jeden z zamków strzelił i do rynsztoka posypała się garderoba któregoś z pasażerów, których od razu zaczął się awanturować, nabiegając czerwienią.

– Nie jest przypadkiem tak, że większość uderzenia i tak pójdzie po stronie pruskiej?

– Myślę, że Epidemia może nie baczyć na to, kogo atakuje, ani kiedy. No i tutaj dochodzimy do głównego problemu – westchnęła Fatma, zatrzymując się na moment pod cerkwią. – Bo gdyby chcieli nas zaatakować, to zrobiliby to już dawno. Tylko oni drążą, wiesz? Sprawdzają grunt, rozprowadzają wici swojej pajęczyny i szykują się na triumfalny przemarsz i defilady.

– Daj spokój, u nas nawet barszcz nie jest pozbawiony ideologii. Jeśli nie wejdą siłą, to nie wejdą wcale.

– Mimo to Mur nie jest gotowy, a nadal żyjemy.

Alicja zamyśliła się na chwile i zaraz strzeliła oczami w kierunku wejścia do parku. Ruszyły w milczeniu, mijając panów w koszulach koloru écru i panie w koronkowych sukniach, trzymające białe parasolki letnie. Wszędzie czuć było mocnym, przeszywającym zapachem słodkich kwiatów.

Zatrzymały się ponownie dopiero na przecinającym akwen moście z kamienia. Widok na rotundę, obrośniętą zieleniącym się bluszczem był upojny. Między kolumienkami przechadzały się łabędzie o dziobach koloru jaskrawego oranżu.

– Mur ma dziury, dziesiątki dziur – powiedziała Fatma, ściągając Alicję na ziemię. – Od Sarn do Stanisławowa w lini prostej to trzysta kilometrów. Wyobraź sobie mapę i idź palcem po niej. Suwałki, Sejny, Grodno, Wilno, Wilejka, teraz jedź palcem w dół przez Nowogródek, Baranowicze, Mikaszewice i aż do tych nieszczęsnych Sarn. Słabo ci? To teraz pomyśl co w związku z tym.

– To, że na linii tej wyrwy są posterunki tymczasowe, nie jestem głupia – żachnęła się Alicja, opierając się o chropowaty kamień mostu. – Izydor często miewał kwaterunki w takich miejscach, siedział tam tygodniami, albo dłużej. Manewry też tam zresztą robią, testy uzbrojenia, albo rozpoznanie bojem do samej granicy i dalej.

– Minęły prawie trzy lata odkąd Rosja istnieje tylko teoretycznie. Nie mamy z nimi kontaktu i to nie kwestia naszej… – Fatma zatrzymała się na moment, by przypadkiem nie przesadzić w miejscu publicznym. – Nieustępliwej dyplomacji. Moskwa czy Petersburg już dawno nie istnieją. W kilku okręgach ponoć jeszcze się bronią, ale to bzdury. Po naszej stronie zresztą też ewakuowano Kowel i Łuck, ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Tarnopola już na przykład nie ma, choć ledwie kilkadziesiąt kilometrów dalej jest fort.

– Wczoraj czytałam o masakrze w Chełmie, wiesz coś o tym? Powinnam była cię zapytać od razu, ale…

– Nie – ucięła szybko Fatma. – Nie wiem, ilu zginęło i co się stało. Przy tych oblężonych miastach jest zawsze takie piekło, że strach myśleć. Chociaż słyszałam plotki.

Alicja zbliżyła się znacząco, niemalże napierając ciałem na długą suknię Fatmy. Ktoś przechodzący obok zerknął z ciekawością, ale zaraz wrócił do pilnowania wzrokiem swoich dzieci, próbujących sięgnąć z mostu łabędzia.

– Ponoć coś się przedarło – powiedziała cicho, tonem, który ledwie zachowywał siłę. – Nie wiemy ile tego, ale dziękujmy bogu, że to nie cały front, bo by nas już nie było. Między Brześciem a Chełmem ustawiono już kordon podwyższonego stanu, a do Siedlec posłano niemal cały rocznik trzeci, niby w ramach ćwiczeń, ale wiadomo…

– Małe straty, nikogo to nie obejdzie. – Alicja odetchnęła ciężko, zaciskając dłonie w pięści. – Przecież to jeszcze dzieci!

Wtem przy obu kobietach pojawił się niski, starszy mężczyzna w poplamionej koszuli, udającej porządny tweed. Twarz miał pokrytą spękanymi naczyniami krwionośnymi, przypominającymi czerwoną, pajęczą sieć. Jego napuchnięte oczy wraz z lekko rozchylonymi ustami sprawiały nieprzyjemne wrażenie, przez które człowiek miał ochotę się zakryć.

– Dzieci, dzieci, panie tu o dzieciach, a ja tak właśnie żem sobie myślał...

– Nie rozmawiamy z panem – odparła twardo Fatma, mrużąc oczy z pogardą.

Alicja śledziła jedynie wzrokiem całe zajście, rozglądając się za ludźmi. Było sporo osób, ale ona czuła się, jakby była tam z Fatmą sama. Wszyscy przechodzili obojętnie, nie zwracając uwagi na ewidentnie podpitego Warszawiaka, mającego zbyt dużo wolnego czasu.

– Ale ja z paniami już owszem – zaśmiał się głośno nieznajomy, aż Alicja cofnęła się o krok. – No proszę się nie bać tak, ja jestem taki sobie facet co to lubi…

Rozległ się huk, zaraz po nim łoskot. Mężczyzna zrobił dwa kroki do tyłu, zaraz trzeci, jakby już miał odzyskać równowagę i wtedy natrafił na idącego pod rękę z żoną żołnierza. Żołnierz oburzony wyprężył się, krzyknął coś niewyraźnie, twarz miał ewidentnie wykrzywioną paskudną, rozległą blizną postrzałową.

Fatma masując kostki obolałej dłoni, przyglądała się, jak żołnierz sięga wojskowego pasa, składa go na pół i uderza kilka razy awanturnika przez plecy. Po chwili jednak jego dama serca chwyciła go za wzniesioną do ciosu dłoń i pijaczek, korzystając z okazji, czmychnął w bok, salwując się ucieczką.

– Powinnaś tego czasem spróbować – stwierdziła po chwili Fatma.

– Bicia ludzi? – odpowiedziała śmiechem Alicja, poprawiając kapelusz.

– Stawiania się im.

– Zazwyczaj staram się unikać niebezpiecznych miejsc.

Alicja obejrzała się na centrum zadbanego parku, przez chwilę zawieszając wzrok na dziewczynce bawiącej się z tresowanym psem. Skrzywiła się z rozgoryczeniem i spojrzała znów Fatmie w oczy.

– Spotkam się z tymi ludźmi. Zabiorę ze sobą coś do obrony własnej.

– Chcesz mój? – spytała Fatma, sięgając do torebki, jednak Alicja zaraz zatrzymała ją, rozglądając się konspiracyjnie. – Ależ spokojnie, to nie jest przecież nielegalne.

– Mam swój, zawsze miałam. Po prostu nie nosiłam wcześniej, bo wiesz. Nawet kiedy jesteś w takiej sytuacji, nie chcesz tego robić, bo boisz się konsekwencji. Tylko mam wrażenie, że nadszedł już ten czas.

Fatma uśmiechnęła się, błyskając zębami na tle jasno czerwonych ust i położyła Alicji dłoń na ramieniu.

– Wiem, zawsze miałaś. Po prostu musisz mieć odwagę, by zrobić co należy.

* * *

Huk spłoszył stado wron z korony jesionu. Paprotko zerwał się, by zobaczyć, co się stało. Heinrich zdążył się domyślić wszystkiego, wyciągnął dłoń, już miał krzyknąć…

Wtedy drugi huk powalił młodego, niebieskiego ptaka szwadronu, który jako jedyny biegł w kierunku gromu, zamiast od niego uciekać. Właściwie to nigdy nie lubił młodego Józefa, ale czy miało to znaczenie w tamtym momencie?

Zapach prochu wwiercał się w nozdrza pozostałego przy życiu kaprala, gdy Izydor przesadzał kolejne kroki w kierunku szczytu, mijając zwłoki podwładnego jak kamień przy drodze. Ot był człowiek, nie ma człowieka. Życie dzieciaka odebrane na zasadzie pociągnięcia palcem.

Nie mógł nic zrobić. Marzyło mu się skoczyć i wydrzeć te sparszywiałe, czerwone ślepia kapitana chociażby własnymi pazurami. Jednak fakt, że w ogóle stał tam – między

drzewami, goniąc co chwila oddalające się głosy resztek szwadronu – cóż, to był cud. Ledwie mówił, w ramieniu nadal chrzęściły drobiny szkła i metalu, ale przeżył.

Przeżył, zwyciężył i nie dał się zranić drapieżnej bestii ze wschodu, którą napotkali. Sam nie był pewien, która z tych historii jest bardziej zaskakująca, ale wiedział dwie rzeczy:

Będzie się tym chwalił we wszystkich przybytkach rozkoszy, do których trafi przez resztę życia.

Przy pierwszej dogodnej okazji zamorduje Izydora Murykiewicza.

Knothe jako weteran Wielkiej Wojny miał już swoje na karku, o czym z rzadko spotykaną dumą wspominał. Dla niego wojna była polowaniem, przejażdżką na koniu, który ucieka przed lawiną kamieni, sypiących się z nieba i strzelających z każdej strony. Zew zawsze dobiegał do niego z miejsc, z których normalni ludzie uciekali.

A Heinrich, tak się złożyło, był w swoim mniemaniu artystą fachu. Był pasjonatem wojny, mitu wiecznych zmagań i zwykłego obijania mord po pijaku.

Zmielił przekleństwo w ustach, splunął na kapitana w duchu i odszedł. To nie był właściwy czas na zemstę. Musiał najpierw wrócić do stolicy, a potem zacząć powoli stawiać wnyki, przynętę i miejsce do przyczajenia się na ofiarę.

Wiele dni później siedział spokojnie na chybocącym się krześle, wśród okrzyków wieczornej pijatyki, gdzie bębnienie butów o posadzkę było niewiele częstsze od hałasu upadających ciał.

Tak, zdecydowanie *Za Leną* nie było jego ulubioną knajpą. Powinien był odpoczywać, zbierać siły i co gorsza, przygotować się na raport przed powołaną w pośpiechu komisją wojskową. Jednak nie miał czasu do stracenia.

Musiał być cierpliwy jak ryś przyczajony w chaszczach. Łup mógł uciec w każdej chwili, lub nawet jeszcze nie być na miejscu pułapki. Rzucanie się na rympał było zwyczajnie nonsensowne, pozostało czekanie. Skoro dostał się zapewne przed Izydorem do Warszawy, to pewnie los mu sprzyjał.

Zmrok w pełni zapanował nad cichnącymi uliczkami miast, gdy do środka wszedł wysoki mężczyzna o całkowicie gładkiej twarzy i nieproporcjonalnie mikrym nosie. Godzina

policyjna miała zaraz zapaść, więc albo miał zamiar się spieszyć, albo wręcz przeciwnie, nigdzie stąd nie ruszać do rana.

Oddziały PP ściągały każdego wprost z bruku, gdy ten przebywał bez wyraźnego powodu poza swoim adresem zameldowania. Jako że były ostatnie dni czerwca, to słońce górowało nad horyzontem do wyjątkowo późnych godzin, ale i od tej reguły zdarzały się wyjątki. Kto się będzie z uzbrojonym stróżem prawa spierał, że jeszcze jest jasno, gdy z każdą chwilą promienie zanikają.

Państwo najzwyczajniej potrzebowało siły ludzkich mięśni. Machina wojenna pracowała na pełnych obrotach, mieląc naraz zatrważającą liczbę męskich istnień. Miganie się od patriotycznego obowiązku, zaciągu, było zwyczajnie nielegalne.

Knothe wiedział, że o takich porach mogą się szlajać niedołężni albo socjaliści. Dla niego obie te rzeczy były równoważne. Bez wyraźnego powodu, ot trzeba w życiu kogoś nie lubić. Przy tym wszystkim doskonale wiedział, że przyłapany na nocnych hulankach socjalista mający więcej niż te piętnaście lat, a mniej niż jakieś sześćdziesiąt z okładem, miał dwa wybory:

Wyprzeć się jakichkolwiek poglądów, zgrywać tchórza zamiast sabotażysty i w najlepszym wypadku trafić na jakiś wyjątkowo barbarzyński odcinek Muru.

Dostać kulę w łeb i wylądować w dole albo krematorium.

Heinrich przechylił kufel mętnego, choć przyjemnie chłodzącego piwa i wlepił przekrwione oczy we wspinającego się po schodkach znajomego.

Starszy ogniomistrz Jakub Hukiewicz był w mniemaniu Knothego skurwysynem. Zresztą sam Jakub też lubił się tak określać, ale on przez to miał na myśli jakiegoś rodzaju połączenie nonszalancji i odwagi, o które ostatecznie nikt go nie posądzał.

Knothe jednak wiedział, że Hukiewicz jest osobą, na której opisanie znalazłby sto określeń i tylko sześć nadawałoby się do przytoczenia w porannej prasie. Mimo to pamiętał, że łączyła ich pewna nić wzajemnych niebezinteresownych przysług, które wymuszały coś, co udawało zaufanie, lecz zaufaniem nie było. Teraz ta nić miała być jedyną rzeczą, pozwalającą na spełnienie planu Heinricha.

Jakub ścisnął krzesło, szarpnął gwałtownie w jedną stronę i dosłownie zwalił się ciężarem na wiklinowe obicie. Bez jakiegokolwiek słowa wstępu odebrał kufel od siedzącego naprzeciwko brodacza, upił wyzywająco długiego łyka i postawił naczynie po swojej stronie lepkiego stołu.

Kapral zmierzył wzrokiem młodszego od niego Polaka i momentalnie poczuł jakąś wewnętrzną niechęć, zresztą wzajemną jak się spodziewał. Przez krótki moment rozważał wyjście ze speluny i rozprawienie się ze swoimi problemami na własne sposoby. Szybko jednak odrzucił taką możliwość, bowiem ogniomistrz był jego kartą warunkową dla użycia tych sposobów, które najbardziej go satysfakcjonowały. Dla Izydora Murykiewicza szykował coś specjalnego.

– Wyglądasz jak gówno – odezwał się wreszcie Jakub, patrząc w dół balustrady z pustego półpiętra.

Knothe zacisnął powieki i zapadł w chwilowy letarg. Potrzebował chociaż kilku sekund niepatrzenia się na towarzysza rozmów, oświetlanego dodatkowo jasno przez lampę naftową, zwisającą z powały.

Przez moment myślał: ile już nie spał? Dzień, dwa? Chyba dwa, więc jeszcze nie było tak źle. Po prostu czuł się głodny, zmęczony i… Nie, nie mógł się poddawać biadoleniu, to nie w jego stylu, nawet jeśli było ciężko, czy nawet zwyczajnie upierdliwie.

– Tak też się czuję – odpowiedział w końcu, rezygnując z zamówienia drugiego kufla. – Wracam zza Muru. Będę od ciebie czegoś potrzebował.

Ogniomistrz obrócił się gwałtownie, spojrzał z wyrzutem na brodacza, zbliżył się, pochylając głowę do boku jak sęp.

– W takim razie najpierw ja powiem, czego chcę.

– Nie obchodzi mnie to.

– Oj powinno, skoro musisz się nieźle wytargować, bym zgodził się…

– Nie obchodzi mnie to, bo dostaniesz, czego chcesz.

Jakub zamrugał zaskoczony, cofnął się i upił płytkiego, ale długiego łyka, aby móc zebrać myśli. Miał nietęgą minę, wietrzył podstęp, chociaż przynęta była tak oczywista, że właściwie trudna do podważenia. Dopiero w ostatniej kolejności rzeczywiście pomyślał, że Knothemu musi bardzo zależeć, na tym czego chce.

– No to… – zaczął ostrożnie. – Zacznijmy jednak od tego, czego ty chcesz, bo ja mam długą listę na końcu języka.

Ogniomistrz uśmiechnął się triumfalnie, wzniósł brwi, a nawet lekko uniósł kufel jak do toastu i zwilżył gardło kolejnym łykiem.

Knothego uderzyła myśl, że może mu rzeczywiście smakować ten trunek, który przecież nijak się miał do tego, co serwowano za zachodnią granicą. I to za podobną, jeśli nie niższą cenę niż w śmierdzącej Warszawie. Nie czas był jednak na to.

– Masz jeszcze tego znajomego w personalce?

– Stryja – rzucił krótko Jakub, przysysając się coraz śmielej do kufla, który powoli zaczynał zbliżać się do filozoficznego stanu pół pustego lub pełnego. – W dodatku bardzo wrednego gnoja, więc jak chcesz zafałszować jakieś akta, to szykuj się na to, że więcej będzie z tego problemu niż pożytku.

– Ja nie chcę utajniać informacji, tylko odtajniać.

– No proszę. – Hukiewicz zamyślił się na moment, uśmiechnął i podjął myśl. – Czyli ktoś musiał ci nieźle zajść za garb!

– Nie tak głośno – syknął Knothe, jednak atmosfera w przybytku zaczynała nabierać żwawości i ciężko było cokolwiek usłyszeć przez hałas zażartych dysput o jakichś nieważnych rzeczach. Według niego o ważnych rzeczach nie dało się mówić głośno. – Potrzebuję dowiedzieć się, gdzie przebywa jedna osoba.

– No to nie jest chyba aż tak trudne do…

– Daj mi dokończyć.

Jakub zmrużył oczy w zirytowanym grymasie i dopił całe pozostałe piwo na hejnał. Przez moment rozglądał się, by móc zamówić następne, ale chciał najpierw dosłyszeć resztę opowieści Heinricha.

– Ta osoba zapewne będzie ukrywana, bo jest mocno nie na rękę, by ktokolwiek się dowiedział o jej istnieniu. Najpierw trafi do któregoś szpitala, czy raczej szybko ją przeniosą do prywatnej izby z doktorem. Jednak prędzej czy później skończy na psycho, a stamtąd trafi już tylko do dołka.

– Piękny życiorys – wtrącił Jakub i zniknął na kilka minut, by jednak zdobyć następny kufel piwa.

Knothe przez moment myślał w osamotnieniu, o tym, co chce zrobić. Zachowywał spokój, ale czuł, że nie będzie mógł spać, dopóki nie dokona tego, co sobie postanowił. Nie chodziło nawet o śmierć Wołka, swoją drogą przypominającego Knothemu Hukiewicza, ani nawet o tego młokosa Paprotko.

Po prostu wiedział, że gdyby to on tam został, albo dotarł wcześniej, to teraz leżałby w bezimiennym grobie z kulą w potylicy. Nawet nie, leżałby na ziemi, rozszarpywany przez Karmazynowe kruki, a potem poczłapałby na front, tylko z drugiej strony, jako bezmózgi zewłok. Więc tak, według Knothego gra była warta świeczki i jak najbardziej rozsądna, bo chodziło o zemstę.

W tle zaintonował piosenkę podstarzały baryton w akompaniamencie mniej udanego akordeonu. Na moment uwaga zebranych skupiła się, by sprawdzić, czego dotyczą słowa, towarzyszące melodii. Gdy okazało się, że jest to jakaś bardziej znana piosenka, pełna wtórnych tautologii i bezsensownych związków frazeologicznych, biesiadnicy zaczęli z ochotą dołączać.

Knothe nienawidził polskiej muzyki. Nie miał nic do Polaków jako takich, ale to, co sobą reprezentowali w muzyce, uznawał za dno absolutne. Biesiadna, niemiecka piosenka opowiadała o słonecznych dniach i spacerach w towarzystwie damy przez rynek.

Polska piosenka o miłości? W polskiej co rusz następowały oksymorony, ślinienie się do każdej rzeczy, która ma otwór między nogami i nie ucieka na drzewo. Właściwie to słyszał też takie, w których wprost zachęcano do gwałtu i były one nieraz oficjalnymi pieśniami ułańskimi! Nie, nigdy nie rozumiał, dlaczego Polacy mają tak niską kulturę pieśni.

– No więc?

– Więc co? – podjął wątek ponownie ogniomistrz, stawiając na stole nowy trunek.

– Czy dasz radę to załatwić? Jak nie to ja będę wracał, zanim ktoś mi obije mordę za zadawanie się z tobą.

– A to, co miało znaczyć?

– To, że ukraińska brać jak cię dorwie, to nakarmią cię własnymi jajami, za to urocze wpisowe, które od nich regularnie pobierasz na rzecz ochrony przed złym aparatem państwa.

Knothe aż nabrał powietrza na moment, zmęczony dłuższym wywodem. Nieustannie masował się po grdyce, którą niefortunnie obił sobie o jedną z dźwigni w Topolu.

– Szantażujesz mnie?

– Co? – zdziwił się na moment Heinrich i zasyczał ze złości. – Czy ty masz zaniki pamięci? Zapytałeś, dlaczego nie chcę, by mnie z tobą widzieli i ci odpowiedziałem. Łaskawie powiedz mi zatem, bo im szybciej, tym lepiej dla mnie oraz dla ciebie, czy dasz radę załatwić mi papiery na tego pieprzonego kapitana?

Gładkolicy uśmiechnął się do swojego zarośniętego, przygarbionego kolegi. Przez moment ważył na języku słowa, co zdarzało mu się nad wyraz rzadko. Był człowiekiem czynów, głównie przyjemnych i niedozwolonych, a nie myśli. Wreszcie upił piwa, zrobił nieokreślony, niby wytworny gest dłonią i odpowiedział:

– Jeśli to dla ciebie takie ważne, to mogę nawet na… Który mamy?

– Dwudziesty siódmy.

– Dzień pytam!

– Poniedziałek jasny szlag.

Knothe zacisnął zęby, świerzbiły go pięści, ale potrzebował sprzedawczyka. Chciał chociaż odciąć się językiem, co w przypadku ogniomistrza nie było wielkim wyczynem, ale tak się składało, że krtań nieszczególnie go słuchała. Pozostawało zgrzytanie trzonowcami i zaciskanie palców. Gest prawie że poddańczy według Heinricha, ale co zrobić?

– W takim razie na środę dam radę to raczej załatwić i… No na piątek pewnie stryj będzie akurat w departamencie, to zabierze świeże wpisy i odbiorę je od niego. Pierwszy września, akurat jaka ładna data, prawda?

– Lipca, ta bardzo ładna – odparł Knothe bez przekonania.

Musiał być cierpliwym łowcą, ale kalkulował, że to wszystko się nie dodaje. Ten plan mógł się udać tylko w przypadku, jeśli Murykiewicz nie dotarł wcale do miasta. Jeden dzień pewnie przeleży i to nie cały, nim połapią się, że jest zarażony.

Oficerów najpierw biorą na testy, nawet jeśli są poważne podstawy, by po prostu lekarz zrobił zastrzyk z powietrza, póki ranny leży. Czyli jeden dzień leżenia, następnego na testy i jeden dzień… Albo nie, pewnie od razu kula w łeb i na zbiornik.

– Musisz szybciej – dodał nagle Heinrich.

– Nic nie muszę – stwierdził Ogniomistrz, dopijając drugie piwo do połowy. – Wiesz, gdzie jest ten twój kapitan?

– Nie wiem.

– Czyli jeszcze nie ma go w Warszawie?

– Możliwe. To jest przecież kilkaset kilometrów. Sam tutaj długo jechałem, najpierw cudem jeden z chłopów mnie podwiózł, bo nawet przed wyrwą w Murze mieszkają wieśniacy. Potem udało mi się do posterunku dotrzeć, a stamtąd na pakę wzięli wraz z kurierem do Warszawy, bo się zlitowali nad ostatnim ocalałym z oddziału.

– W takim razie nigdzie się nie śpieszę i ty też nie będziesz. Możemy spokojnie porozmawiać o tym, co ja z tego wszystkiego będę miał.

Ogniomistrz już marzył sobie jaką cenę zaśpiewać, by rzeczywiście kapral wywiązał się z obietnicy, a nie uciekł. Cóż, wyglądał na zdeterminowanego, więc pewnie nie przesadzał szczególnie, gdy mówił, że może dać wszystko za taką informację. To podsunęło pewne wątpliwości Jakubowi.

– Właściwie, to co masz zamiar z nim zrobić?

Heinrich odwrócił się w kierunku drzwi, przez futrynę akurat wchodziła postać w białej, wyprasowanej koszuli z gustownymi spinkami w mankietach. Zniewieściały gość nosił dziwnie wysoki beret, nasadzony na jajowatą głowę. Cóż, dziwacy się zdarzają, najwyżej ktoś mu obije mordę za bycie fircykiem.

Knothe spojrzał wreszcie z powrotem na ogniomistrza, który właśnie osuszał drugi kufel do samego końca, gulgocząc przy tym chudym gardłem. Stracił całkowicie ochotę na jakiekolwiek rozmowy, więc bez słowa wyjął z głębokiej kieszeni oficerski Bilon–03 i postawił na blacie stołu, wprawiając Hukiewicza w rozbawienie.

* * *

Speluna była obrzydliwa. Nie to, że Alicja przyzwyczaiła się do luksusów życia, jakie oferowało bycie najbliższą rodziną oficera wojska polskiego… Jednak speluna była obrzydliwa i basta.

Wpierw starała się zwracać uwagę na pozytywy. Wieczorny wiatr zwiał w pewnym stopniu zaduch z ulic śródmieścia i pozwolił mieszkańcom na chwilę wytchnienia od nieustannych bombardowań żaru.

Jednakże, gdy tylko weszła przez próg *Za Leną*, cała ta magia uleciała, jak gaz z odkręconej butelki wody sodowej.

Panował gorąc, hałas, wszechogarniający wszystko zapach potu i rozmaitych woni, wśród których dominowała baza spirytusu. Początkowo tylko to sprawiało jej największy kłopot, ale po chwili zrozumiała, że są gorsze rzeczy, jak to, że nie była u siebie.

Ludzie w środku wydawali się ponurzy, a jednocześnie paradoksalnie radośni, zupełnie tak jak mają to w zwyczaju hieny cętkowane, czy inne padlinożerne stworzenia. Zadowolone tylko w akompaniamencie szyderstwa z cudzego nieszczęścia.

Głównie przesadnie młodzi, lub skrajnie starzy mężczyźni, wszyscy o twarzach zmęczonych, wróć, wyniszczonych do cna życiem. Wrzody, ślady po ospach, ropienie i zwisające płaty skóry, takie oto oblicza śledziły płynne ruchy zniewieściałego chłopaczka, który wszedł do przybytku.

Zreflektowała się na ukrycie włosów pod czapką, by w pierwszej chwili stwarzać chociaż wrażenie mężczyzny. Wiedziała, że nie będzie mogła długo tak udawać, ale nie była też odpowiedzialna za to, co ludzie sobie pomyślą. Jeśli większość uzna ją za chłopaczka o szerokich biodrach, to trudno.

A gdyby ktoś podszedł i z pogardą stwierdził, że kobiet nie wpuszczają? Oj, lepiej dla niego, by tak nie zrobił.

W takim oto quasi–bojowym nastroju Alicja rozejrzała między zapełnionymi stołami, przerzuciła wzrok na balustradę, zza której dostrzegła pojedynczy stolik z dwoma biesiadnikami i zatrzymała się na moment.

Brodaty, barczysty i nad wyraz zgarbiony mężczyzna przyglądał się jej od pierwszej chwili. Drążyła jego twarz, obserwowała i miała nieniknące poczucie pewnej znajomości, jakby już gdzieś go widziała, może w kartotece kryminalnej?

Nie zdążyła się zastanowić nad tym dalej i nie chciała nakręcać karuzeli paranoi. Mniej więcej w momencie, gdy przestała być obserwowana, rozmowę z nią zainicjował Litwin. Nie byle jakiś Litwin, tylko Ten Litwin, którego spotkała przed ministerstwem spraw wojskowych. Dokładnie ten sam, który w ogóle w pierwszej kolejności sprawił, że pojawiła się w tak niebezpiecznym miejscu.

Czy w razie jakiegoś niezapowiedzianego nalotu policji państwowej, mogło jej się coś stać? Cóż, poza zabłąkaną nogą stołową, rzuconą butelką, czy obrzuceniu błotem jej dobrego imienia, nikt jej nie mógł nic zrobić.

– Jednak przyszłaś, bardzo mnie to cieszy, naprawdę. – Chłopak uśmiechał się pogodnie, ale nadal, jeszcze bardziej nawet chował swoje oczy pod zsuniętym głęboko nakryciem głowy. – Chodź, spotkanie już się zaczyna.

– No to przyszłam w porę – szepnęła bez przekonania.

Dała się poprowadzić do bocznego korytarza, a stamtąd zawijanymi schodami do kolejnego, aż w końcu trafiła na opustoszałe kompletnie dolne piętro. Zakurzony kredens spoglądał smętnie na kilka krzeseł, nietrzymających żadnego stylu Ot, widocznie piętro nie było w użytku, albo ze względu na brak obsługi, albo klienteli.

– Prędko.

Za pomieszczeniem były jeszcze jedne drzwi, tym razem spore, drewniane i o dziwo zamknięte od wewnątrz.

Chłopak zapukał trzy razy w długich odstępach, dwa w krótkich i znowu po dłuższej pauzie raz. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, przywołując niezaprzeczalny uśmiech na twarz Alicji. Czuła się jak dzieciństwie, gdy z siostrzenicą wkradały się na strych.

– Jest – wyszeptał tylko podekscytowany chłopaczek, wyprowadzając Alicję z rozmyślań.

Sala była stosunkowo spora i pusta, tylko z jednym rzędem starych skrzynek pod ścianą. Teraz owe skrzynki zostały skolektywizowane na potrzeby tymczasowych trybun dla blisko kilkudziesięciu, a może i stu ludzi, tłoczących się przed podestem z beczki, prawdopodobnie po śledziach.

Alicja stanęła pod ścianą, pozwoliła Litwinowi ruszyć dalej, bliżej sceny, by mógł mocniej wsłuchać się w słowa, które widocznie napędzały go do działania. Jej zaś było to połowicznie obojętne, była zaciekawiona, ale nie oczekiwała wiele.

Szpakowaty konferansjer z pasmami siwizny we włosach zakończył jakąś prowadzoną orację. Z pompatycznością zapowiedział nadejście gościa, który postanowił przyjść na specjalne zaproszenie wbrew groźbom totalitarnego rządu. Rzekomo miał on zaszczycić obecnych dobrą nowiną, której sam był świadkiem na własne oczy, daleko na wschodzie.

Alicja zamrugała parę razy, powoli, wręcz ociężale. Po chwili jej serce szybciej zabiło i zrozumiała wreszcie w pełni co się dzieje. To wszystko było przecież diabelnie niebezpieczne i nielegalne, za samą obecność mogła zostać uznana za agitatora albo gorzej, a to przecież…

W pierwszym odruchu szarpnęła się w kierunku drzwi, ale te były zamknięte i wykidajło był wyraźnie zajęty słuchaniem zapowiedzi gościa wieczoru. Machnął tylko ręką, mając gdzieś myślenie o tym, że ktokolwiek w ogóle chciałby wyjść z tego, co miało właśnie mieć miejsce.

Alicja nie mając lepszej alternatywy, nasunęła ręce na czapkę, przymknęła oczy, wzięła głęboki oddech i pomyślała ze strachem:

– Co byś powiedział, gdybyś mnie taką teraz zobaczył Izuś? Jak to się stało?

– Towarzysze… – głęboki, ciepły głos dosłownie zniwelował zaduch sali, jakby ktoś otworzył drzwi do piwnicy. – Dobrze was wszystkich widzieć tak licznie zebranych, tak przejętych naszym wspólnym celem, tak wspaniale oddanych sprawie.

Alicja nadstawiła uszy jak ryś, właściwie odruchowo. Jest coś takiego na świecie jak charyzma i zdawała sobie z tego sprawę. Nieraz wszelkiego rodzaju odpustowi oratorzy i inni legalni agitatorzy polityczni zabiegali o poparcie na placach i skwerach miejskich, ale większość z nich stanowili nieudani krzykacze. Wiedziała, że tak długo jak jest się świadomym, tego co jest mówione i skupia się na treści, a nie formie, to nie sposób się nabrać na ich sztuczki.

Mniej więcej wtedy poczuła z tyłu głowy, że od jej poglądu mogą być drobne, ale istotne odstępstwa.

Lew Iskra był, no cóż, głupio przyznać, doskonały. W tak durny, nieodpowiedzialny i dziwnie przesycony sposób. Ubrany elegancko, schludnie, ale bez przepychu, aby nie odstawać zbyt mocno od zebranych na sali proletariuszy. Zza kolistych okularów spoglądały błękitne, inteligentne oczy. Nawet włosy miał jednocześnie skromnie uczesane, a zarazem odważnie gęste, niepozostawiające miejsca na właściwe wiekowi średniemu zakola.

– Przybyłem do was z daleka, a jednocześnie z bliska. Z miejsca, którego nigdy nie widzieliście, a jednak jest wam najbliższe sercu, czy wiecie, skąd wróciłem przyjaciele?

Lew na moment zaśmiał się, szczerze, po ludzku. Wpatrywał się w oddane mu twarze, które czekały na znaną od początku puentę – takie żarty bawiły ich najbardziej.

– Wróciłem z domu!

Oklaski wystrzeliły ogłuszającą kanonadą, a sam orator rozłożył ręce i wyszczerzył zęby. Przez moment kilka osób próbowało podejść jeszcze bliżej beczki, wpadając na przytrzymujących ją dwóch, całkowicie oddanych słuchaczy. Ktoś podał Iskrze dłoń, inny opowiedział w dwóch zdaniach historię swojego życia i otrzymał poklepanie po ramieniu – wszystko, o czym marzył.

– Towarzysze – podjął ponownie mówca, wyławiając wzrokiem osoby z ostatnich rzędów. – Imperialistyczne zapędy marszałka są najwyższym dowodem słuszności naszej sprawy. Miliony żołnierzy czynnej służby, przymusowe prace cywilne, głód, choroby, brak zaspokojenia pozostałych, jakże istotnych, czy wręcz elementarnych potrzeb społeczeństwa.

To tylko zadrapanie na pancernym szkle, za którym skrywa się skarbnica przewinień aktualnego rządu. Jednak nie martwcie się, nie pomstujcie, a na pewno nie traćcie nadziei towarzysze, bowiem jest jedna, piękna, wielka nowina! Na wschodzie nadal trwa wielka uczta! Cudowna, wspólna, rodzinna biesiada do której wszyscy zostali zaproszeni i każdy winien mieć dostęp. Nasz dom jest przebogaty, a szczęście sprzyja przyjaciołom naszej sprawy. Dostajemy nieustannie listy, aerogramy, telegramy, a raz nawet spadł nam ładunek ulotek z balonu!

Krótki śmiech przebiegł po sali.

– To wszystko jest pełne najgorętszych słów wsparcia i zapewnień o przystąpieniu do wspólnej sprawy na zachodzie… Na południu… Na północy! Wszędzie są nasi przyjaciele, we Francji, w Niemczech, na wyspach królestwa Brytyjskiego! Pod tronem samego Jerzego piątego są nasi ludzie, gotowi na dobrą zmianę. Zmianę, która nadejdzie…

Alicja zamrugała kilka razy, poczuła na sobie wzrok mówcy i… Nie, na początku nie wierzyła, ale jednak, patrzył się bezpośrednio na nią, takim znajomym spojrzeniem, które widziała tyle razy w snach.

Chciała się wyrwać, uciekać, ale po chwili już stłumiła w sobie ten odruch i Lew wskazał w jej kierunku dłonią. Gest był obszarowy i skierowany do nikogo, ale wiedziała, że sam towarzysz Lew Iskra wybrał ją z gęstwiny ludzkiej i gotów był wypowiedzieć oczekiwane od lat słowa:

– Teraz! Rewolucja zaczyna się w tej chwili! W naszych sercach, a jutro także na ulicach, gdzie każdy będzie mógł poczuć na sobie orzeźwiający powiew rześkiego wiatru wolności ze wschodu!

Chór oklasków, okrzyków i zawołań wstrząsnął piwnicą. Ktoś odważniejszy wyciągnął nawet pistolet i wywalił magazynek w sufit, przez co posypały się drzazgi i tynk. Lew patrzył na to wszystko z drapieżnym podnieceniem, z oczu biła mu błyszcząca egzaltacja, upewniająca jedynie słuchaczy w ich słusznym szaleństwie.

Alicja rozchyliła lekko usta, po chwili zaśmiała się głośno, zaklaskała w dłonie i wbiła w Lwa pełne uwielbienia spojrzenie czerwonych oczu.

* * *

Para wróbli zazgrzytała pazurkami o kamienny parapet za oknem, by po chwili dać się przepłoszyć nadlatującemu kosowi. Słoneczny, przedostatni dzień czerwca płynął sennie po ulicach Warszawy, roznosząc zapach bzu.

Izydor Murykiewicz, ubrany w przesiąknięty krwią, brudem i zapachem dymu mundur polowy siedział spokojnie na jednym z krzeseł w poczekalni. Wyczekiwał, przerzucając wzrok sporadycznie na przemian ze stojącego w schludnej poczekalni zegara, na ubraną w maskę ochronną sekretarkę.

Drzwi gabinetu lekarskiego otworzyły się, sunąc gładko nad podłogą. Ze środka dało się odczuć specyficzny zapach świeżego lakieru.

Kapitan miał sporo czasu, by pomyśleć nad tym, czego tak właściwie powinien się spodziewać po swojej przyszłości. Pomysł z samobójstwem, jakkolwiek szlachetny, po pewnym czasie okazał mu się nazbyt romantyczny i bezmózgo brawurowy. Ostatecznie nikt nie zaprzeczy, że żywy człowiek może zdziałać o wiele więcej dobrego niż martwy, prawda?

Bok przestał rwać skurczami bólu, a zaczął jedynie pulsować ciepłem i łaskotać pod gęstą kołdrą gaz, bandaży i kompresów. Mógł wejść do wnętrza sali wyprostowany i pewny swojej pozycji.

W końcu, jeśli był niewinny, to nie miał się czego bać, prawda? Przynajmniej tak rozumowali oficjele, którzy mogli prawie że dowolnie rozporządzać jego życiem, tak długo jak był na liście podejrzanych. Więc rozsądnym było zachować spokój i dać się skreślić z tej listy jak najszybciej.

– Dzień dobry – zaczął na wstępie, rozglądając się po obszernym, dobrze nasłonecznionym gabinecie.

Trzy wysokie okna z cienką szybą, parter, brak alternatywnych wyjść poza wcześniej widzianymi przy korytarzu drzwiami, zapewne do kotłowni, oraz dyskretnym przejściu do toalet. Cóż, ucieczka nie byłaby taka trudna, jak mógł się tego spodziewać. Nawet nikt go nie pilnował pod bronią, a w pomieszczeniu była tylko jedna osoba.

Wysoki, chudy człowiek w drucianych okularach nałożonych na twarz, mimo zasłonięcia jej połowy przez mięsisty, dziwacznie obszerny bandaż. Wyglądał nieco

niepokojąco, z nienaturalnie siwą bródką, wystającymi spod opatrunków plamami poparzonej skóry oraz zagadkowym, pewnym siebie uśmieszkiem paternalizmu.

– Proszę się nie krępować i usiąść – odpowiedział spokojnym, matowym głosem gospodarz, wskazując na przeciwległe krzesło.

Izydor w momencie, gdy nieznajomy mówił i tak już sobie podsuwał siedzisko, ale uznał to za próbę zrobienia dobrego wrażenia przez gospodarza i sprawienia komfortu dla potencjalnego chorego.

Cóż, Instytut był stosunkowo świeżym obiektem, to wiedział nawet sam kapitan. Oddano go do użytku ledwie dwa miesiące temu, może półtora – chyba na początku maja, ale nie był pewien. Wtedy też zaczęły się pierwsze testy Samsonów w jego szwadronie, jeszcze na poligonie, a nie w terenie.

Byłym szwadronie, pomyślał z lekką nutą goryczy, ale po chwili strząsnął z siebie myśl jak przypadkowy paproch i spojrzał z dobrodusznym uśmiechem na gospodarza, który odpowiedział tym samym wyrazem twarzy.

– Nazywam się doktor Aleksander Breza, a pan to zapewne?

– Zapewne…

– Haha, no oczywiście – zaśmiał się krótko Aleksander i poprawił bandaż, osuwający się lekko na kącik ust. – Złapał mnie pan. Po raz pierwszy w życiu nie przygotowałem się do pracy. Nie mamy jeszcze pana karty pacjenta założonej nawet, a dowiedziałem się z samego rana tylko tyle, że będę miał badania, więc jak strzała wyskoczyłem z mieszkania!

– Rozumiem – zapewnił spokojnym tonem oficer i zamrugał jedynym niezasłoniętym okiem. – Izydor, po prostu, muszę przyznać, że jestem jeszcze w lekkim szoku.

Wyciągnął dłoń do doktora jak gdyby nigdy nic. Ten spojrzał na oficera, wymienili się spojrzeniami pojedynczych gałek oczu i zaśmiali momentalnie, wymieniając uściskiem.

– Panie Izydorze – zaczął doktor, ale rozchylił lekko usta, spojrzał na rozbawiony grymas żołnierza i zmienił szyk zdania. – Izydorze, po prostu Izydorze, tak? Cóż, może rzeczywiście powinniśmy zmienić formę badań na mniej oficjalne, bo to tej pory były to

strasznie stresujące procedury. Zapewniam, że stres jest absolutnie zbędny, możesz się niepokoić, ale nie ma powodów do nerwów.

– Nie jestem zestresowany.

– Nawet nie wyglądasz – odpowiedział doktor, mrugając jednym okiem.

– To było jedno oczko, czy…

– Mógłbym zapytać o to samo. Spokojnie, słyszałem, że ma pan infekcje oka, to się zdarza, u mnie to akurat inna sprawa.

– Masz może Aleksandrze coś…

– Do picia? Niestety, od pewnego czasu preferuję jedynie wodę, ale mogę polecić Jadwidze, by zrobiła herbaty. Niedawno przerzuciliśmy się z czajnika na samowar, kupiłem z własnej pensji. – Doktor skrzywił się na moment, a po chwili rozłożył dłonie w bezradnym geście pojednania z losem.

– Woda brzmi świetnie. – Izydor rozsiadł się wygodniej w krześle, zamrugał nagle kilka razy, jakby coś mu się przywidziało. Znajoma woń na krótki moment podrażniła nozdrza, by zaraz ustąpić innej, również znajomej, ale nie w ten sam sposób. – Przepraszam za spoufalanie się, ale używasz może perfum?

– Nie, ale stosuje okłady z czarnego bzu.

– To wiele wyjaśnia – przyznał ze smutkiem Murykiewicz, po czym utkwił wzrok za oknem, patrząc gdzieś w dal za ogród Saski.

Doktor po chwili nieobecności wrócił z dzbankiem i dwoma kwadratowymi szklankami z rżniętego szkła. Przez moment rozkoszowali się smakiem wody, jakby to był ceremoniał społeczny na równi ważny co angielskie czy japońskie parzenie herbaty.

– W takim razie przejdziemy do testów – powiedział ni stąd, ni zowąd doktor, chwytając za czekające pod stołem pudełko herbatników.

– Testujemy smak ciastek? Cóż, każdy dorabia sobie jak może.

– Nie jestem aż takim chałturnikiem. Wiem, że niektórzy na zachodzie traktują psychologię jak szarlatanerię, pomagającą sprzedać najwięcej szczoteczek, ale zapewniam, że zajmujemy się tutaj poważną nauką.

Breza przez moment mierzył się wzrokiem z oficerem, po czym skrupulatnie zaczął układać na stole smakołyki, niby bez większego ładu i składu, ale z wyraźną determinacją. Zachowywał się zupełnie tak, jakby w całym szaleństwie tkwiła jakaś wzniosła metoda.

Wreszcie na stole leżały ustawione, częściowo skruszone w procesie ciasteczka i Izydor stanął przed trudnym wyborem: trzymać fason, czy parsknąć śmiechem.

Przez krótki moment zastanawiał się jakim cudem pieniądze z budżetu Rzeczypospolitej mogą być marnowane do takiego stopnia, by ufundować jakąś pseudonaukę, która polega na mieszaniu ciastek. Oczywiście doktor Breza rzeczywiście sprawiał wrażenie miłego i kulturalnego człowieka, nawet można powiedzieć skromnego, co jest niespotykaną cechą wśród przedstawicieli inteligencji. Mimo to Izydor widział w tym jedynie farsę.

– Nie daj się zwieść pozorom – wyszeptał miękki głos w głowie kapitana. *– Breza tka swoją sieć, a ty próbujesz się przecisnąć przez jej oka. Jeśli będziesz się szarpał i krzyczał, to tylko pogorszy sprawę.*

– Co mam robić? – odpowiedział w myślach Izydor, miał czas by przyzwyczaić się do nowego mieszkańca umysłu. – Czego ode mnie chcesz?

– Graj swoją rolę, on będzie grał swoją. Jeśli dobrze pójdzie, może będziecie mieć wspólny exodos zamiast komosu.

– Proszę zrobić z ciastkami tak, by było dobrze – matowy głos doktora wydawał się dobiegać z daleka, zza pulsującej ściany mięśni, naczyń krwionośnych i kości.

Zdanie jeszcze przed chwilą wprawiłoby kapitana Izydora Murykiewicza w stan rozbawienia, teraz zmusiło go do przełknięcia lodowatej guli, staczającej się opornie w dół zaschniętego na wiór przełyku.

Dłonie zadrżały mu delikatnie, ukrył je pod biurkiem i wtedy zaczęły wręcz dygotać. Jedyne wyzierające na świat oko zamgliło się delikatnie, tracąc rozeznanie w odległościach i pozycjach między kolejnymi przedmiotami.

– Masz czas – zamruczał z zadowoleniem doktor, po czym jak gdyby nigdy nic wstał i ruszył w kierunku ogromnego parapetu, na którym stała tyraliera figurek.

Aleksander uniósł na moment żołnierzyka w szarży rotmistrza kawalerii, zważył go w dłoniach, wypuścił powietrze w cichym parsknięciu i odstawił marionetkę w oblepiony papierem kąt. Chwycił za gruby pędzel z gęstego, końskiego włosia i odkręcił butelkę o szerokim dnie, by móc z niej nabrać czerwonej mazi.

Wszystko to robił powoli, wręcz z pietyzmem. Nigdzie się nie spieszył i każda decyzja była rozpatrywana w oddzielnych kategoriach jak religijna ceremonia. Słyszał za plecami dźwięk kruszonych herbatników, przesuwanych w tę i we w tę, mruczenie, tarcie zębami, w pewnym momencie nawet gryzienie.

Breza zatrzymał dłoń w pół ruchu, nie przewidział, że ktoś może się zmienić tak szybko w jego biurze. Gdyby teraz rzucił się na niego z zębami i po prostu wbił kły w jego szyję? Głupia śmierć, niedorzeczna, co prawda też możliwa, ale jednak zwyczajnie głupia.

Nie, to niemożliwe, nie mógł się pomylić, nie on, nie w tych kwestiach. Przecież zmiany psychosomatyczne to nie kwestia chwili. Żołnierz wyglądał na stosunkowo normalnego, najwyżej we wczesnej fazie, nie ma tak ekstremalnych przypadków, prawda?

Aleksander miał zawsze przygotowaną hipotezę alternatywną, czyli po prostu plan b. Mógł zwyczajnie nacisnąć przycisk w biurku, który wysyłał krótki sygnał buczka w najbliższej stróżówce.

Tylko, że przy biurku był kapitan, a nie Breza.

– Doktorze… – głos kapitana brzmiał inaczej, jakby jego szczęka rozszerzyła się, zęby zajmowały zbyt dużo miejsca, a krtań nie mogła nadążyć za nieludzkim charkotem.

Doktor obrócił się nieskończenie powoli, gotów na wszystko, co mógł zobaczyć.

– Skończyłem – wyznał Izydor z ustami napchanymi herbatnikami. – Jest dobrze.

– Słucham?

– Skończyłem…

– Słyszałem, nie, tylko… – zawiesił się na moment doktor, syknął zły zarówno na gościa, jak i na siebie. – Tylko mówisz z pełnymi ustami, to jest bardzo niegrzeczne i zniekształca głos.

– Przepraszam.

– Wybaczam. – Doktor pomasował skronie, spojrzał na stół, z którego zmiecione do czysta zostały wszystkie okruszki. – Zjadłeś wszystko?

– Do czysta.

– Jak szarańcza. – Uśmiechnął się Breza, po czym zasiadł z powrotem przy biurku.

– No dobra, masz mnie – mruknął skruszony kapitan, wyjmując równie skruszony herbatnik z kieszeni spodni. – Jedno zabrać chciałem na drogę do domu.

– Do domu.

– Tak, już zrobiłem test. Możesz mi je wysłać pocztą do domu, ponoć te naukowe sprawy dużo obliczeń zajmują.

– *Touche* – odezwał się nagle głos w głowie Izydora.

– Touche – odpowiedział Izydor.

– Touche? – zapytał Breza.

Na moment zapadła niezręczna cisza. Żaden z obecnych nie miał zamiaru jej przerywać, by nie brać na siebie tego gorącego ziemniaka, z którego wypadałoby się tłumaczyć. Przez jakiś czas zatem patrzyli na siebie, aż Izydor wzruszył ramionami jak uczeń przyłapany na jedzeniu kredy i po prostu odwrócił wzrok.

– Właściwie to mam gotowy klucz odpowiedzi, więc mogę ci zaraz powiedzieć, jaki jest wynik, tylko chciałbym o coś zapytać – wyznał zmęczonym tonem Breza, spoglądając smutno na pusty stół.

– Słucham uważnie.

– Dlaczego skolektywizowałeś wszystkie moje herbatniki?

Izydor rozwarł oczy, a raczej oko, stracił na moment dech w piersi i wydał z siebie tylko nieartykułowany jęk. Patrzył pytająco na interlokutora, ale wiedział, że to na nim spoczywa odpowiedzialność i z każdą sekundą coraz bardziej trzeba się było z tej odpowiedzialności rozliczyć.

– Sprywatyzowałem – wyznał wreszcie Izydor.

– Skolektywizowałeś dla siebie i swojego przyjaciela w głowie.

Doktor położył ostrożnie palec na przycisku. Był gotów wezwać strażników z ostrą amunicją, którzy przybyliby w ciągu kilkunastu sekund, chociażby razem z drzwiami. Jednak coś go jeszcze powstrzymywało.

– Cóż, jesteśmy jeszcze na etapie wspólnego ustalania naszych opinii na różne tematy.

Kapitan mówił spokojnym, poważnym tonem.

Breza przejechał palcem po przycisku, delikatnie go przesuwając do góry i… Nagle postawił obie dłonie na biurku, pokazał ich wnętrze do Izydora i na moment odchylił kompres z czarnym bzem.

Poparzona skóra rozjeżdżała się płatami pąsu, różu i szkarłatu, aż wreszcie znajdowała swoje źródło w ziejącym kraterze wydłubanego do czysta oczodołu, w którym pulsowała matnia żył. Naczynia krwionośne najeżdżały na siebie, łączyły się i rozdzielały jak korzenie przedziwnego drzewa albo grzybni, aż w końcu Izydor nie mógł dłużej patrzeć, skrzywił się i doktor zakończył demonstracje.

– *Zrobiło się o wiele ciekawiej.* – Zaszeptał głos w głowie kapitana, na co ten najpierw niezmiernie się zdziwił, a potem zawarczał jak zwierzę.

– Nie będziesz mną frymarczyć.

– *Nawet nie wiedziałeś, co powiem.*

– Wiedziałem.

– Myślę, że najwyższy czas na zmianę kursu tego statku, zanim rozbijemy się o górę lodową – wyznał refleksyjnie doktor, opuścił wzrok w zadumie i zawstydzeniu, po czym

podniósł go z nową siłą i determinacją. – Karty są na stole, awersy czytelne jak nigdy, zagrasz ze mną Izydorze?

– Honor oficera wojska polskiego nie pozwala mi na kolaborowanie z wrogiem. Natomiast spiskowanie przeciwko państwu polskiemu i ucieczka przed utylizacją w wypadku zarażenia Karmazyną jest nielegalna oraz… Cóż – karana śmiercią właśnie.

– Więc umrę jako człowiek wolny, a nie zniewolony. Daje mi pan kolejny, choć nieco archaiczny i emocjonalny argument.

– To jakieś szaleństwo – żachnął się oficer jakby niedowierzając rozgrywającej się scenie. – Myślałem, że to ja mimo bohaterskiej walki z potwornością, która mnie trawi, będę musiał w chwili słabości salwować się ucieczką, a tutaj… Cholera, czy wszyscy w tym kraju są zarażeni?!

Breza wymienił się spojrzeniami z kapitanem, po czym obaj wstali i uchylili okna. Przez moment wdychali po prostu świeże powietrze, wymieniali się przytaknięciami i wskazywali sobie co ciekawsze elementy krajobrazu, tak po ludzku, zwyczajnie.

Wreszcie doktor zamknął drugie okno i nim zdążył coś powiedzieć, Izydor ponownie wrócił do nakręcania katarynki zaprzeczenia.

– Musimy jakoś to w sobie zwalczyć!

– Ciszej młody kolego Izydorze. – Doktor przystawił palec do ust i pokiwał głową. – Chyba nie zaprzeczysz, że stoisz przed najlepszym dowodem próby takowego oporu.

– Jak to się stało… Jak pan… Ty się zaraziłeś?

– Dobre pytanie. Szczerze, to mam parę teorii, ale najbardziej upodobałem sobie jedną, dość dziwaczną.

– Zamieniam się w słuch – odparł Izydor, rozsiadając się na krześle i sięgając po ostatniego herbatnika z kieszeni.

– Samo obcowanie z językiem umysłu… Przepraszam, to nie jest oficjalna definicja, po prostu jedna z petentek była u mnie niedawno i pytała o swojego męża…

– Do rzeczy – warknął Izydor.

– No racja, nie nasza sprawa. Więc ten język umysłu, którym mówi każda zarażona rzecz, lub taka, która ma jakikolwiek z nią kontakt, jest głosem bardzo cichym, zazwyczaj ledwie słyszalnym. Jednak są takie momenty, gdy człowiek słyszy, jak Karmazyna mówi a mówi bardzo, ale to niezwykle wręcz sensownie.

– To znaczy?

– Gdy człowiek śpi i widzi obrazy, to zawierają one o wiele więcej informacji, niż my zazwyczaj z obrazów wyciągamy. To tak jakby…

– Jakby patrzeć na obraz i znać całą jego historię powstawania, tło historyczne, biografie autora…

– Dokładnie, dokładnie tak! – podekscytował się doktor, drapiąc po opatrunku. – Jesteśmy po prostu w trakcie nieustannej dyskusji, w której czasie nasze organizmy przyswajają abstrakcyjnie wielkie zbiory danych.

– Jesteśmy zakrzyczani przez ten głos…

– Raczej zarzuceni argumentami, na których odparcie nie starczy nam życia.

– To tak jak w dyskusjach akademickich – wyszczerzył się złośliwie Izydor, poprawiając własny opatrunek.

– Nie wiem, nie dyskutuję, mówię, do czego sam doszedłem i zostawiam innym analizę, nie mają mi nic mądrego do powiedzenia. Nie ma wielu praktyków Karmazynologii w tym kraju i chyba niedługo będzie o jednego mniej.

Cisza. Drążąca, napinająca się co chwila i grożąca wybuchem cisza drażniła uszy Izydora, który nie był w stanie zwalczyć własnych emocji i przekonań na wszystkich frontach. Czuł się otoczony, wydawało mu się nawet momentami, że może dla samego świętego spokoju, warto byłoby się poddać.

– Co z okiem? – spytał ni stąd, ni zowąd Murykiewicz. – Nie wygląda na po prostu wyparzone, a raczej…

– Wydłubane.

– Boże.

– Przepraszam, wyłyżeczkowane. Bardzo niedawno swoją drogą, gdy tylko zorientowałem się, co się dzieje.

– Było już za późno, prawda?

– Nadal nie rozumiesz Izydorze. – Doktor wreszcie zdjął opaskę i spojrzał ziejącą otchłanią pulsującej, krwistej brei wprost w rozmówcę. – My wszyscy od początku, nieuchronnie jesteśmy wypełnieni nierozłącznie. Czy takie proste zdanie jesteś w stanie przyjąć i zapamiętać?

Breza westchnął ciężko i wskazał ręką na rozstawione na uboczu figurki żołnierzy.

– Karmazyna nie jest złem, to nie jest diabeł, to nie jest wirus, to nie jest pasożyt. To organizm symbiotyczny, który może nam wszystkim pomóc, byśmy razem żyli w dobrobycie. Karmazyna jest jak oryginalny biologicznie naród, którego wszyscy możemy być członkami. Wystarczy przyznać sobie w sercu, że nie miało się racji.

Murykiewicz spojrzał na doktora, po czym zwyczajnie załamał głowę w dół, nałożył na nią ręce i cicho zamruczał. Zastygł w bezruchu, nie mogąc zmusić się do podjęcia żadnych dalszych działań. Zupełnie tak jak złapane w światło reflektora zwierzę.

Wtem, dłoń. Zwykła, ludzka, wyciągnięta dłoń zjawiła się w polu widzenia Izydora. Posunął wzrokiem wzdłuż ręki, ramienia i zobaczył twarz doktora Aleksandra Brezy. Twarz pokrytą czerwonymi wybroczynami, gnijącą, ale nadal skrywającego wigor i ciekawość wobec świata. Cenny zapał do życia spacerował po tęczówce doktora, jakby był tam obecny od zawsze na zawsze.

– To nie jest koniec, to dopiero początek – odezwał się doktor ciepłym głosem, błysnął czerwonym okiem i chwycił dłoń oficera. – Chociaż spróbuj.

* * *

Dyrektor Piotr Hukiewicz wstał z niesmakiem w ustach. Właściwie to także w całym przełyku, rozciągającym się aż do żołądka i jelit. Był pewien, że jego organy zmieniły się w kudłatego kota, a potem wywróciły na drugą stronę.

Przeciągnął się nieśpiesznie na szerokim łożu, spojrzał w sufit, odetchnął ciężko i stwierdził z całą pewnością:

– Kurwa, gorąco.

Przez moment rozglądał się jeszcze za muzą o szerokich biodrach, która towarzyszyła mu od samej *Verdany*, aż do apartamentu. Nic, nawet nie było wygniecionego, ciepłego miejsca na pościeli.

Mlasnął z zawodem, obrócił się na drugą stronę, nie, tam też jej nie było. Wreszcie uznał, że jest zły i musi ową złość na kimś wyładować, tak po prostu. W końcu za coś się ludziom płaci z własnej krwawicy, codziennie oddawanej za bezcen.

Chwycił za ciężką słuchawkę koloru starego złota i przyłożył długą rurkę do ucha. Telefony nie były jeszcze tak powszechne w użytku publicznym, ale przecież *Duńczyk* był najlepszy hotelem, do jakiego mogła go zawieźć taksówka, nim zwymiotował rumem i zającem w żurawinie.

Na moment uśmiechnął się, przypominając sobie, jak jedną ręką trzymał legitymację partyjną, drugą obejmował kokietkę a głową… Cóż, głową kontynuował zwracanie.

– Słucham? – powtórzył trzeci raz rozmówca w słuchawce.

– A tak. – zafrasował się na moment Piotr, po czym przybrał poważniejszy ton głosu. – Wodę, z lodem, natychmiast.

Po czym odłożył słuchawkę, nim służba zdążyła zapytać o jakiekolwiek szczegóły. Niech się domyślają, z którego pokoju dzwonił, a jak nie wiedzą to nie. Ich problem.

Przez chwilę siłował się jeszcze z myślą o wstaniu i przemęczeniu drogi do natrysków. Powinni mieć łaźnie w hotelu, ale przecież nie będzie się zwlekał tak daleko, a na pewno nie w tym stanie.

Drzwi odezwały się serią energicznych puknięć, po czym chłopak w czerwonej kamizelce wszedł, nie nasłuchując odpowiedzi i postawił na stoliku z lampką tackę.

– Co jest?

– Woda dla szanownego pana – wyjaśnił grzecznie lokaj, po czym pochylił lekko głowę i skierował się do wyjścia.

– Zaraz, moment, ale nie powiedziałem, jaką chcę.

– Z lodem.

– Sodowana?

– Tak…

– Ja chciałem kurwa nie! – krzyknął Piotr, od razu odczuwając narastające ciepło w żołądku, niewynikające raczej z nieświeżości. – No i co teraz?

– Przyniosłem dwa dzbanki, taką i taką. Miłego popołudnia panu życzę. – Chłopak wyszczerzył się i zamknął za sobą drzwi.

– Skurwysyny! – oburzył się szczerze Hukiewicz. – Z czystej złośliwości tak wszystko, nie do wiary.

Chwycił za naczynie, nalał sobie samemu wody, po czym zwyczajnie przystawił dzbanek do ust i zaczął chłeptać.

– Chuje – warknął, czując, jak kostki lodu obijają mu się o zęby.

Zaczął się zastanawiać, czy tak właściwie jest sens, by jeszcze robić dzisiaj cokolwiek. Mógł równie dobrze zostać, gdzie był i mieć wszystko inne gdzieś. No może jeszcze zamówić kogoś do towarzystwa, by się nie nudzić samemu. Jednak nie, nie mógłby spokojnie usiedzieć z myślą, jak go potraktowano. Zwyczajnie oburzające, nie mieć nawet kogo łajać.

No tak, czyli jednak miał powód, by iść do biura, urządzić biurwom drugi Lwów. Ta myśl niezwykle go ucieszyła, a nawet dała siłę do podjęcia się porannej toalety i ruszenia ochoczo w kierunku ministerstwa.

Zamachnął się przed hotelem na taryfę.

Nie jest tak daleko, pomyślał jeszcze, przejdę się, to bania szybciej zejdzie.

Ostatecznie odmachnął na taksówkarza, by jednak odjechał, gdy ten nie zrozumiał gestu, pokazał mu zwyczajnie figę i popukał się w czoło. Zadowolony z siebie ruszył szerokim chodnikiem, wdychając zapachy z uporządkowanych, przydrożnych klombów.

Przez krótki moment pomyślał o swoim parszywym krewniaku, który wczoraj późnym wieczorem ubiegał się o jakieś durne dokumenty, które i tak pewnie można było zdobyć na

niższym szczeblu w prostszy sposób. Czy to takie trudne podejść do okienka i zwyczajnie się o coś zapytać?

Przypomniał sobie dziwną, płowowłosą kobietę, która dokonała awantury w urzędzie i na tę myśl aż musiał splunąć między niewypastowane buty. O co jej chodziło, tego nadal nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Właściwie to przestawało go wszystko obchodzić ostatnimi czasy, czuł się odizolowany od całego bałaganu, jaki rozgrywał się w mieście.

Wszędzie czuć było jakąś niewypowiedzianą groźbę, która wydawała się wręcz pulsować i wysączać przez promenady i bulwary. Napięta cisza dawała o sobie znać nawet w tak pogodny i spokojny dzień.

Piotr doszedł do momentu przełomowego w swoim życiu: postanowił mieć to wszystko gdzieś. Miał odłożone trochę pieniędzy, ba, niemałą fortunkę! Mógł po prostu honorowo odejść ze stanowiska, odbębnić tournee po spotkaniach, spędach fetach i bankietach, a na końcu wyprowadzić się gdzieś na wieś. Lepiej, mógł wynająć domek nad Bałtykiem i mieć wtedy wszystko gdzieś, oddychać morską bryzą.

Właściwie już to niemal czuł, świeży powiew wiatru, niosący delikatny zapach bzu. Następne co poczuł to bezdech i niemożność dociągnięcia tlenu do płuc. Grdyka zarzęziła, usta parsknęły krwawymi bańkami i nogi ugięły się same pod ciężarem słabnącego ciała.

Uderzył głową o bruk, jeszcze widząc przed sobą parę roboczych butów i rosnącą plamę krwi, tylko czyjej? Sekundy wydawały się wiecznością, którą przywrócił do normalnego rytmu dopiero gromki, kobiecy okrzyk:

– Chwała rewolucji! Niech żyje wolny świat, precz z marszałkiem!

Rozdział III

27 czerwca Warszawa – na dwa dni przed rewolucją.

– Dość już tych poważnych tematów, porozmawiajmy o Polsce.

Attaché Cesarstwa Niemieckiego uśmiechnął się delikatnie, odsuwając od siebie filiżankę herbaty. Przez moment wypatrywał rechotu, chichotu, czy chociaż parsknięcia, ale interlokutorowi nie było wcale do śmiechu.

Marszałek Józef Piłsudski dopiero po pół minuty mrugnął tak ociężale, jakby zamykał masywne wrota na zachód, a później otwierał, już z łatwością. Nie odzywał się wcale, nie musiał. Mówił wiele przez ostatnie lata, by teraz móc spokojnie milczeć, kiedy chciał.

Służący rozwarł bukowe odrzwia i wpuścił do obszernego gabinetu nową postać. Wypudrowana przesadnie dama w rozkloszowanej sukni na fortugale wkroczyła do środka, rozniecając inwazyjny zapach Laudanum.

Dyplomata obrócił się natychmiast, co najmniej jakby spodziewał się plutonu egzekucyjnego, wchodzącego z trzaskiem wyłamywanych zawiasów. Zamiast tego zawiesił oko na nowo przybyłej, wstał i wyszczerzył się – w swoim mniemaniu zalotnie.

– Widzę, że moda nie dotarła jeszcze do Europy wschodniej – ponownie pokusił się na przebłysk humoru.

– Widzę, że kultura osobista nie dotarła jeszcze do Królewca – zripostowała i nachyliła się nad czcigodnym marszałkiem, by wyszeptać mu coś do ucha.

– *Königsbergu* – poprawił zirytowany gość.

– Niedługo – odezwał się wreszcie gospodarz, nie wiadomo czy do damy czy gościa. – Dla mnie Polska jest jedyną poważną sprawą i tylko o Polsce mogę mówić.

Pod gęstym wąsem zagrała blizna, oczy marszałka błysnęły złowrogo, nieomal wypadając z orbit. Uniósł pokrytą azotanem srebra dłoń, cicho zasyczał siłownikami i wykręcił jeden z mechanicznych palców w kierunku drzwi.

Niemiec zdjął z wieszaka kremowy kapelusz o szerokim rondzie i z nonszalancją ruszył w kierunku wyjścia, obrzucając tylko dziwną parę przelotnym spojrzeniem i krótkim:

– *Warschau*, niedługo.

Gdy już zostali sami marszałek rozsiadł się wygodniej, włożył dwa palce za kołnierz i przeciągnął się to w jedną to w drugą stronę.

– Każde ich słowo to jad, sączący się do moich uszu. Czasami mam wrażenie, że otaczają mnie węże gotowe, by wgryźć mi się w słabiznę

– Bo tak jest – odpowiedziała smutno dama.

– Ty wiesz o tym najlepiej Elżbieto. Powiedz mi jak wygląda sprawa z twoimi.

– One? Jak zawsze, słuchają. Niemal codziennie przesuwamy kogoś wyżej w tabeli, większość niestety szybko gnije. Tak naprawdę im dalej ich trzymamy od wschodu, tym lepiej im to wychodzi. Są też pewne wyjątki. – Elżbieta oparła się nieelegancko o biurko, chwyciła między dwa palce zwisający włącznik lampy i pociągnęła raz i drugi, jakby się nudziła. – Dowbór Obrębski na ten przykład.

– Pułkownik, wiem.

– Pamiętasz gdzie stacjonuje?

Marszałek spojrzał gdzieś w dal, nieobecnym wzrokiem. Nagle drgnął, jakby budził się ze snu po czym wyraźnym głosem odpowiedział bez wahania.

– Brzeg Morza Bałtyckiego, Gdynia, forteca i powstający kanał przerzutowy. Przy dobrych wiatrach zwiększymy stosunek transportu lądowego, na rzecz morskiego o kilkadziesiąt punktów procentowych. To ogromna rzecz.

– Import wzrasta nam bez naszej zgody – odparła cierpko. – Każdego dnia tony ścierwa wyrzucane są na brzeg. Na porządku dziennym jest to, że niemieckie barki transportowe podrzucają nam na plaże także swoje odpady. Nie chodzi rzecz jasna o łuski.

– Świnie – warknął marszałek, zaciskając sztuczną dłoń w pięść. – powinienem był wziąć łeb tego bydlaka i roztrzaskać o kant biurka.

Marszałek uderzył pięścią o blat, aż grawerowana suszka podskoczyła wysoko. Elżbieta chwyciła błyskawicznym ruchem przyrząd i postawiła z powrotem na jego miejscu.

– I co robi z tym Dowbor? – dopytał jeszcze.

– Według jego żony wszystko, co może, ale nie stać nas na to. Po prostu nie stać nas na żadne zmagania, żadną wojnę. Gdybyśmy jeszcze mogli więcej korzystać z zajętego sprzętu, ale nawet tego nie możemy, bo wtedy morale w armii spadają. Instytut jest pewien, że żołnierze o wysokim współczynniku patriotyzmu są mniej narażeni.

– Współczynnik patriotyzmu – wysyczał Piłsudski, po czym wstał od biurka i zbliżył się nieśpiesznie do okna.

Spomiędzy czterech marmurowych kolumn można było dostrzec panoramę ogrodu łazienkowskiego, przez który nieustannie przelewała się rzeka przechodniów. Sporadycznie ktoś zatrzymywał się i machał do pustych okien Belwederu, choć w duchu licząc, że zostanie dostrzeżony, a może i nagrodzony za przypadkowy akt postawy obywatelskiej.

– Po co tak machasz? – powiedział pod nosem Marszałek, uśmiechając się smutno. – Na co ci uznanie? Dokąd tak idziecie? Głupstwa, wszystko głupstwa, jeśli nie ma się etosu.

Wtem gospodarz obrócił się i spojrzał z furią na swoją mechaniczną protezę, służącą mu od czasów powstania. Na moment coś błysnęło w jego stalowo błękitnym oku, jak duma albo przypływ pasji.

– Oddałbym drugą, dwie stopy, kolano, nerki i serce! Oddałbym wszystko, gdybym tylko sobie tak postanowił. Dlatego nie boję się, że ktoś mi zaoferuje wieczny pokój i szczęście, bo nie zależy mi na ich pokoju i ich szczęściu. Zależy mi na moim pokoju, który sam stworzyłem gołymi rękoma!

Elżbieta skrzywiła się lekko, położyła sobie palce na szyi, niby zafrasowanym gestem. Przez moment było jej nawet szkoda naczelnika, który zdawał się zbyt wrażliwy na świat, w jakim przyszło mu żyć.

– Stworzyliśmy te wszystkie symbole jak kartki z przepisami na bycie przyzwoitym człowiekiem, memento, rozkaz. Bo większość ludzi nie jest w stanie myśleć za siebie, nie mają moralności, więc daliśmy im naszą. Musimy im ją narzucić, zanim inni to zrobią. Każdego dnia czuję, że zbliżamy się do potwornej katastrofy, bo ludzie…

Nagle jakby opadł z sił, oparł się o biurko i przysiadł ciężko na swoim miejscu.

– Pociesz mnie – szepnął.

– Nie – odpowiedziała, zbliżając się do drzwi. – Mogę ci powiedzieć, że produkujemy ponad pół miliona ton ropy naftowej i wydobywamy dwadzieścia pięć milionów ton węgla oraz trzydzieści razy tyle stali. Mogę ci powiedzieć, że każdego dnia mniej osób umiera na tyfus, zmniejsza się wskaźnik analfabetyzmu, a co tydzień kolejna miejscowość zostaje zelektryfikowana. Natomiast nie mogę cię pocieszać. Ze swoimi demonami musisz radzić sobie, a wątpię, że jakakolwiek ilość podkładów kolejowych ci w tym pomoże.

– Powiedz mi chociaż, że mam rację – ton naczelnika ni stąd, ni zowąd zrobił się słabszy, wręcz błagalny, jak kogoś na granicy płaczu.

– Na tym polega niezachwiana wiara – objaśniła grzecznie. – Nie pytasz się, czy masz rację, po prostu uważasz, że ją masz. Każda decyzja, jaką podejmiesz, będzie dobra, jeśli tylko się nie zawahasz. Jeśli powiesz, że mamy się poddać, to tak zrobimy, jeśli stwierdzisz, że dalej będziemy budować wielkie kołyski wokół miast i zamykać uszy przed jazgotem ze wschodem, to też to przyjmiemy.

Dama zbliżyła się po raz ostatni od marszałka, przyklęknął obok niego i położyła mu dłoń na sztucznej kończynie.

– Więc idziemy na wojnę – szepnął marszałek.

* * *

Przedpola Lwowa

Sierżant Piotr Orzechowski zacisnął dłonie na pokrytych skórą drążkach, przygryzł dolną wargę i zmrużył oczy. Wylot dyszlu z niechwytnej dłoni Samsona był pozbawiony szczerbinki, a rozprysk powyżej dwudziestu metrów i tak zaczynał żyć własnym życiem. Więc z większej odległości celowanie było czystą loterią. To jednak nie było problemem, gdyż Piotr był urodzonym szczęściarzem i hazardzistą.

– W imię ojca i syna… Ognia! – zabuczał wewnątrz kabiny interkom głosem podpułkownika Utratnego.

Sierżant czekał w gotowości, jak i reszta podzielonego batalionu. Wystarczyło odciągnąć jeden trybik, by uchylić zaślepkę.

Kliknął cicho mechanizm zapłonu, dokładnie w momencie, gdy gęsta biała ciecz Rosenberpanu wyleciała długą parabolą, wprost na maszerującą kolumnę nieprzyjaciół.

Dookoła Piotra zahuczały inne leje sprężonych płynów, tryskających z niewidocznych wśród burego kamuflażu kranów. Z ledwie dostrzegalnym opóźnieniem ruszyły bliźniacze strugi z letniego młodniaku po drugiej stronie drogi.

– I jeszcze… – szepnął Orzechowski, nasłuchując.

Symfonia terkotliwych serii z karabinów maszynowych Fieldorfa zagrała staccato nad nowopowstałym polem bitwy. Kocioł ognia zawarł się dookoła zbitych ciasno wrogów.

Płomienie Rosenberpanu od początku niezdrowo ekscytowały Piotra. Głośne, jasne, rozległe i właściwie nie do ugaszenia. Zupełnie jak ogień patriotyzmu, który płonął w sercu każdego żołnierza Trzeciego Samobieżnego Batalionu Miotaczy Przeciw–tkankowych.

Wysokie ramiona pożogi sięgały nieba, prawie całkowicie zasłaniając widok na wrażą armię. Jeden punkt wciąż górował ponad najwyższymi nawet słupami ciemnego dymu. Najstraszniejszy, przedziwny kształt żywej góry na dwóch, krótkich nogach.

– Drzecki, Rolewski, Nowicki… – zatrzeszczał dowódca przez interkom jak na zawołanie. – Skierować ogień na Behemota.

Siłowniki zabuksowały dziko, sprężając powietrze i wtłaczając coraz większe ciśnienie do zbiorników z mieszanką. Gumowe węże zatrzęsły się niekontrolowanie i puściły trzy, tytanicznych rozmiarów gejzery ku obojczykowi giganta.

Dziesięciometrowa góra czerwonego mięsa nie była tym, czego najbardziej bali się żołnierze Rzeczypospolitej. Starli się przecież z wrogiem, który nie walczył gwintowanymi lufami, ani bagnetami. Walczyli z własnymi demonami, które próbowały wedrzeć się do świata zewnętrznego.

Wmontowana w głowę giganta platforma nadal nie mogła zająć się ogniem. Stojący na niej oberszter dzierżył w obu dłoniach coś na kształt wielkiego, czarno białego lizaka. Jednak żadnemu z walczących nie było do śmiechu, wszyscy wiedzieli, jaka jest prawda.

Epidemia Karmazynu, która spustoszyła Azję, była przerażającą chorobą, jedyną w swoim rodzaju. Instytuty badawcze produkowały z siebie każdego dnia dziesiątki hipotez i modeli teoretycznych, ale prym wśród żołnierzy wiódł ten jeden, najbardziej niepokojący:

Karmazyna była chorobą, przenoszoną każdą drogą. Kontakt bezpośredni? Zarażenie. Droga kropelkowa? Zarażenie. Spoglądanie zbyt długie na zarażonych Karmazyną? Zarażenie. Myślenie o Karmazynie? Zarażenie.

Nic więc dziwnego, że mesmeryzujący, przyciągający niemal siłą fizyczną spojrzenia wir, był tym, czego piloci pojazdów kroczących bali się bardziej od zwykłego zwarcia z wrogiem.

W jednej chwili myśli się o tym, że warto rozmawiać z innymi, w następnej chwili człowiek obraca się twarzą do reszty tyraliery i odkręca kurek z Rosenberpanem w kierunku swoich towarzyszy.

– Pod Twą obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko – szepnął Piotr, pociągnął delikatnie za horyzontalną dźwignię i zaciągnął ramię do góry. Ciśnieniomierz zastukał niepokojąco wskazówką o czerwone pole.

Struga skondensowanego rozpadu zafalowała sinusoidalnie i oblała olbrzyma od stóp do głów – swojej i jeźdźca. Teraz płomienie huczały ogłuszająco, zmieniając stary trakt przy nasypie kolejowym w dosłowny, rozgrzany kocioł.

Coś jest nie tak, pomyślał z narastającym strachem Piotr, coś tutaj nie gra.

Gigant opadł na kruche kolana, dosłownie topniejąc jak wielka, woskowa świeca. Kawałki zwęglonego ciała odpadały od resztek bulgoczących mięśni i pozostawiały za sobą tylko poczerniałe, gargantuiczne kości.

Wtem jazgot dziesiątek gardeł przedarł się przez zasłonę dymu i z pogorzeliska zaszarżowało kilkadziesiąt kopyt, zbitych w jedną masę. Stopione ze sobą pseudo–konie turkotały w chaotycznym, nierównym rytmie o ubitą drogę i pokonywały kolejne metry w zastraszającym tempie.

– Jasny gwint, walić! Walić na miłość Boską! – krzyczał podpułkownik, ale było już za późno.

Stanowisko ogniowe ukryte za barykadą z worków piasku nadal grzmiało ciągłym ogniem. Kilku przerażonych obrońców prysnęło na boki, pozostawiając samotnego strzelca z trójnogiem, błyskającym nieustanną kanonadą ołowiu.

Masywny twór po prostu stratował całą linię umocnień i nadal jeszcze płonąc, dymiąc i topiąc się, wbiegł pomiędzy zabudowania wsi. Drewniane budynki, opłotki i kompostowniki wysuszone czerwcowym słońcem złapały ogień od razu. Czerwony kur objął całą miejscowość niemal natychmiastowo.

Z ponad łuny rozszerzającego się pożaru wychylała się co rusz sylwetka wielometrowego konia o setkach kończyn. Każdy z zębatych pysków rżał przeraźliwie, parskał i zapadał się w ziemię, by szczękami wyrwać kawałek szopy i podrzucić w górę ku niczyjej uciesze.

– Wrócił Wróbel–03 – zakomunikował dowódca w interkomie. – Rozciągnąć tyralierę, zagiąć skrzydła do tyłu i przygotować się na przyjęcie uderzenia z północy. Będziemy się przesuwać w stronę stacji kolejowej i zajmiemy węzeł komunikacyjny, powtarzam…

Piotr oddychał ciężko, jakby właśnie przebiegł kilka kilometrów. Zupełnie jak wtedy, gdy w liceum wybierano go na zawody reprezentacyjne. Pamiętał doskonale, bo zazwyczaj wygrywał i omal nie szalał z nerwów, naśladując ruchami ust, że zna obco brzmiący hymn na cześć Cara. Pamiętał, że wszyscy patrzyli się na zwycięzcę biegu z podziwem, gdy ten spocony jak sto nieszczęść stał na podium i udawał, że wie, co robi.

Dokładnie tak się czuł teraz, maszerując w kierunku nieustannego inferno, z którego dobiegały ryki agonii umierających zmieszane z warkotem motorów, napędzających wielkie maszyny wojny.

Oficjalnie: wróg nie był człowiekiem.

Nieoficjalnie: Piotr widział krew, słyszał krzyki, czuł strach umierających w zasadzce.

– Szachownica dwurzędowa w środku, szwadron Przemyślański – zakomenderował pewnie podpułkownik.

Orzechowski pchnął dźwignię, zawalcował w prawo i przesunął się na miejsce blisko rdzenia formacji.

Jednostki typu: Samson stanowiły drobny procent w armii Rzeczypospolitej. Pierwszą partię stracono od razu na testach bojowych pod Skrzyszewem, druga zatrzymała się przy

Brześciu, a trzecia, której egzemplarz miał zaszczyt pilotować Piotr, dostała najbardziej honorowe zadanie, wyrwanie Karmazynom węzła kolejowego przed Lwowem.

Pancerna nawałnica szła do tej pory jak lodołamacz przez cienką zmarzlinę. Podążali wzdłuż kolei, wypalając dziurę w Karmazynowej masie. Doświadczenie bojowe potwierdziło to, co mówiły testy i teraz wszyscy liczyli, że przeciwnik nie spodziewa się tak szybkiego rzutu nowych sił.

Piotr obejrzał się jeszcze ukradkiem na skwierczącą hałdę mięsa, która pozostała po zasadzce. Płonący koń zdążył rozpaść się na kilka części i wchłonąć w rozgrywające się we wsi piekło. Trzaskające zabudowania nadal straszyły odchodzących żołnierzy, zapadając się coraz bardziej w sobie i truchlejąc.

Letnie słońce tańczyło nieustannie na kawałkach odsłoniętych pancerzy. Pochód złożony z blisko trzech setek mechanicznych rycerzy kroczył w nierównym tempie, nie mogąc złapać rytmu. Co rusz ktoś sforował się naprzód albo zmniejszał bieg ledwie o jeden i już nie nadganiał za szybszymi jednostkami.

Podpułkownik chciał jednocześnie być przygotowanym na ewentualne uderzenie, ale też móc w każdej chwili zakreślić półkole na umocnieniach stacji kolejowej i tam ufortyfikować się do przybycia zwiadu. Gdy już obrońcy dostrzegą, że przybyło wsparcie, to powinni zgodnie z planem wysłać oddział od swojej strony.

Przynajmniej taki był plan.

– Wróble, rozglądać się uważnie, wszystkie Młoty na krańce skrzydeł, zaraz za nimi Traszki i Jaskółki – zakomenderował dowódca.

Młoty były zdecydowanie najbardziej ociężałymi jednostkami w batalionie. Wyglądały jak stąpające niepewnie stalowe gary, na które ktoś nanizał gigantycznie chochle w postaci haubic przeciwpancernych. Zaraz za nimi ustawiono Traszki z dwoma gniazdami karabinów maszynowych na każdej; bliżej centrum dumnie wyprostowane Jaskółki z rozpryskowymi działami przeciwlotniczymi.

Roszady były mozolne i chaotyczne, jakby kazać całemu taborowi kolejowemu zamienić się miejscami w losowy sposób na raz. Co rusz ktoś zatrzymywał się, korkując i tak

wąskie przejścia wśród wiatrołomów. Jedna z maszyn zacięła się kompletnie, tracąc reakcje w stawie kolanowym, wstrzymując manewry na kolejny kwadrans.

Wreszcie zbliżyli się do węzła komunikacyjnego, kwitnącego powoli, niemrawo na horyzoncie. Rozległe zabudowania zaciągały coraz większe powierzchnie równiny, gdzie niegdyś karczowano gęste lasy. Odkąd wojna nabrała tempa, wszystko paradoksalnie rozrastało się jeszcze bardziej.

Wróg nie dbał o metodyczne wyniszczanie środowiska, ucztował na pobojowiskach i podbitych spichlerzach. Choć zdarzało się i tak, że znajdowano przecinki w lasach, noszące ślady przemarszu wielkich armii. Nie sposób przenieść kilkunastu–metrowych stworzeń oblężniczych przez ziemię, nie uszkadzając jej. Zdarzało się to nawet wojskom Rzeczypospolitej, przy manewrach monterów wysokościowych typu: Topol i Giewont.

Choć trzeba przyznać, że jednym ze straszniejszych widoków były właśnie lasy po przemarszach wojsk Karmazyny. Puste, całkowicie ciche i pozbawione najmniejszej mrówki i najgłębiej schowanej larwy.

Samson–223, pilotowany sprawnie przez podpułkownika parł naprzód. Jeszcze przed wydaniem rozkazu uniósł dłoń z miotaczem ku niebu. Dowódca chciał jednocześnie dać przykład, by wstrzymać się z używaniem ognia w potencjalnej, przyszłej fortyfikacji. Zamiast tego nieopatrznie nakazał kolejnym jednostkom zatrzymanie się.

Już miał uściślać rozkazy do interkomu, gdy jeden z truchtających na przedzie Wróbli zapadł się pod ziemię. Tak po prostu – wpadł jak kamień w wodę.

Zasadzka, pomyślał Piotr, również widząc znikającego w hałdzie liści zwiadowcę.

– Zasadzka! – potwierdził przypuszczenia dowódca, opluwając kratkę mikrofonu. – Formować czworobok!

Na to jednak nie było czasu. Po chwili zniknął następny pojazd, kroczący na szpicy, a zaraz za nim kolejny. Wreszcie ociężały Młot na skrzydle zatopił się w gęsty czarnoziem i przez moment wystawał jedynie samą haubicą. Długa lufa sterczała z ziemi jak ręka, wyciągnięta po pomoc. I natychmiast zniknęła, bez jednego wystrzału.

– Wraża szarża od północy… Południa… Panie podpułkowniku! Oni są wszędzie! – krzyczał ktoś panicznie na łączu.

Zahuczały pierwsze strzały, zmiatające w drzazgi przypadkowe drzewa na fasadach ściany lasu. Ktoś wydarł się wniebogłosy, gdy ziemia ponownie rozdarła się gardzielą, wciągając kolejne jednostki. Terkot karabinów maszynowych przebijał się nawet przez odizolowane kabiny pojazdów.

– Uformować linię na nasypie – zdobył się na opanowany ton Utratny i samemu przyspieszył do kłusu, licząc, że stosunkowo szybki Samson wyrwie się z chaosu walki. – Nasyp jest stabilniejszym gruntem, nie ściągną was z torów, cokolwiek to jest.

Piotr spoglądał, jak jego towarzysze zapadają się jeden pod drugim i znikają między powalonymi sosnami i runem leśnym. Gdzieś przesunęła się czerwona dłoń, ktoś próbował wygrzebać się spod ziemi i nagle wrócił na dno, wciągnięty z gwałtowną siłą.

Spomiędzy stojących drzew zaczęły wychylać się maski. Lalkowate twory od najmniejszych Kłębków po najwyższe Drozdy, wyłaniały się z wyrazami dziecięcego zaciekawienia na twarzach.

Nie sposób było klasyfikować wroga, naukowcy próbowali, żołnierze próbowali, dowództwo próbowało. Rzadko kiedy wzorce w taksonomii powtarzały się wśród przedziwnych maszkar, wypluwanych przez wschód. Nienazwane zło ponoć budzi największy lęk, widać było, że wróg o tym wiedział.

Opierający się na pięciu szpikulcowatych nogach kłębek gęstego, czarnego futra rozpędził się nagle i zaszarżował bez strachu między kroczące machiny, rzygające ciągłym ogniem maszynowym.

Od razu za narwanym dziwadłem wybiegły setki, tysiące abominacji, głównie chybocząc się na rachitycznych kończynach, bądź pełzając niepewnie. Z kierunku spalonej wsi znów galopowały Karmazynowe konie, zlepione ze sobą, pozbawione kończyn, z odłażącymi płatami skóry, albo i zwyczajnie bezgłowe.

– Aniele Boży, stróżu mój… – zaintonował spokojnie Piotr, zgodnie z nauką wyciągniętą z akademii wojskowej. Obrócił się jak baletnica i pognał za zbierającymi się wokół podpułkownika pilotami.

Wentylatory w kabinie nie nadążały za filtrowaniem ciężkiego zapachu ziemi i swądu spalenizny. Wszystko to zdawało się tworzyć dziwny aromat pożaru na bagnach, co zresztą nie odbiegało bardzo od prawdy.

Kolejne machiny kroczące wstąpiły na usypane torowisko, by z góry wesprzeć odwrót towarzyszy. Huknęła dziko haubica, rozrywając na strzępy kilkumetrowego, rogatego Drozda, który właśnie przekradał się pomiędzy gałęziami najbliższej sosny.

– Przebijamy się do rozjezdni! – zatrzeszczały interkomy, wyrażając tak naprawdę jedynie pobożne życzenie.

Jedna z Traszek wysforowała się przed podpułkownika, widząc zbliżające się z naprzeciwka kukły. Dwumetrowe, ulepione z bordowego niby wosku pacynki o zaostrzonych ramionach, przypominających kosy postawione na sztorc maszerowały bez strachu. Obaj strzelcy ze schodkowo ustawionych gniazd pojazdu otworzyli ogień równocześnie.

Pływ ołowiu zalał zbliżających się kosynierów, powalając ich natychmiastowo na ziemię. Lalki potoczyły się w dół nasypu, utrzymując jednolite twarze ze zgęstniałej brei, nie wyrażające już absolutnie niczego.

Po chwili ruszył się jeden, drugi, trzeci. Nagle większość strąconych nieprzyjaciół powstała jak na zawołanie i poczłapała po obu stronach dwuteowników kolejowych. Co rusz któryś próbował wspiąć się na wzniesienie i żgnąć kroczących rycerzy po obitych pancerzem goleniach i kostkach.

Wreszcie ostatni ze stalowych wielkoludów wskoczył na podkłady kolejowe i ruszył za przerzedzonym oddziałem. Żaden z pojazdów Rzeczypospolitej nie potrafił chodzić tyłem, choć byłby to niezaprzeczalnie ważny manewr na polu bitwy. Koniec kolumny osłaniały jedynie obrotowe gniazda karabinów wieloosobowych maszyn, podczas gdy jednoosobowe Samsony, Jaskółki i Wróble mogły tylko strzelać przed siebie.

Zapora z półżywych lalek gęstniała z każdym krokiem. Dziwadła wydawały się zbliżać do centrum kolumny z większym jeszcze zacietrzewieniem. W pewnym momencie któryś z pilotów Samsonów odważył się wygiąć rękę w kierunku ściany lasu i po prostu plunął sprężoną mieszanką, natychmiastowo powalając tonowego czyżyka z koroną rogów na wielkiej głowie.

– Musiałem, albo oni albo my – zakomunikował na prywatnym łączu oficerskim. – I tak nie będzie miał mnie kto osądzić.

– Ja cię osądzę, chociażby w biegu! – warknął na poły poważnie podpułkownik, utrzymując kłus. – Przysięgam, że jeśli przeżyjemy to skopię ci dupę Perlicki.

Ktoś zaśmiał się po raz pierwszy do mikrofonu. Na zewnątrz gorzało piekło, ale każdą okazję do oddechu łapano w locie i wyciskano do ostatniej kropli.

Wreszcie ponad setka pozostałych z batalionu maszyn przebiła się przez czoło wrażej armii, przyśpieszyła i wyrwała z Karmazynowych kleszczy.

Stacja składała się z kilku opuszczonych torowisk, rozciągniętych pomiędzy dwoma pasami ceglanych zabudowań. Przez środek przebiegał jeszcze kiedyś pas zieleni, zmieniony teraz w masowa mogiłę.

– Boże – szepnął Piotr, widząc ułożone równymi, karnymi rzędami ciała, obleczone w strzępy polskich mundurów.

Podpułkownik zacisnął dłonie na obiciach drążków sterowania, pot oblewał mu gęsto twarz i spadał na gumowy kombinezon. Po chwili zwyczajnie zdarł z siebie gogle, zacisnął oczy i z całej siły uderzył raz po raz w pancerne szkło kabiny. Wewnętrzna szyna, na której zakleszczona była szyba, jęknęła cicho pod naporem uderzeń.

– Zajmijcie miejsca na rampach, Wróble i Jaskółki ustawić na wiaduktach, może nie zapadną się przez schody – zaczął klarować powoli. Musiał odzyskać rezon, wiedział od początku, czego można się spodziewać na stacji. – Mamy wypatrywać sygnału ze Lwowa, wtedy będziemy wiedzieli, że możemy ruszać dalej…

W oczach Piotra pozycja nie była stracona z góry. Nadal mieli większość Samsonów, które stanowiły istotną dźwignie, zdolną przechylić szalę na właściwą stronę. Bo w głowie Piotra to wciąż Polska była niezaprzeczalnie po właściwej stronie.

Co chwila obmacywał się, zmawiał pacierz, wspominał rodzinny Lwów, niedzielne sumy w kościele… Tak, był pewien, że Karmazyna go nie dopadła.

Jednak martwiło go coś zgoła innego, całkowicie przedziwnego. Oniryczna czereda złożona z lalkowych żołnierzy i fantasmagorycznych zwierząt liczyła tysiące, jeśli nie

dziesiątki tysięcy egzemplarzy. Fakt, że żołnierze przeżyli do tej pory był jedynie zasługą Boga, ale mimo to jeden element w układance zaburzał wzór.

– Otoczyli nas – stwierdził sam do siebie, cicho. – Stoją i gapią się.

Wszyscy czekali w napięciu, kończąc prowizoryczne umocnienia wokół węzła kolejowego, spoglądając na dosłowne morze nieprzyjaciół. Karmazyna rozlewała się gigantycznym kotłem z każdej strony, zatrzymana w przedziwnym stuporze.

– Wygląda na to, że czekają na coś. – stwierdził chorąży Łakomski, przepatrując teren zestawem optycznym ze swojego Wróbla. – Może chcą nas tutaj oblegać i zagłodzić? Albo będą czekać, aż skończy się nam amunicja.

Kabina lekkiego Wróbla zatrzęsła się wyczuwalnie, po czym znowu i kolejny raz.

– Niech stanie przede mną ten, kto potrafi usnąć na moich oczach.

Głos był wszędzie – dosłownie. Potężny, ochrypły baryton ryknął z taką siłą, że zarezenował sprzężeniem zwrotnym we wszystkich włączonych interkomach.

Wiatr zadął od wschodu, zrywając rogatywki ułożonych na stacji zwłok. W pewnym momencie przybrał na sile tak, że jedna z dłoni poruszyła się. Potem następna. Ciało poległego w obronie stacji majora Wasielewskiego mrugnęło czerwonymi oczami.

– Jak wielkie jest to coś? – pomyślał skamieniały ze strachu Piotr.

– *Ich się nie boicie…* – zagrzmiał ponownie wiatr. Tym razem opatrznie żołnierze wyciszyli mikrofony. – *Mnie się boicie!*

Jednak to nie do obrońców mówiła istota.

Legiony rogatych, owłosionych, wielkich i małych stworzeń rzuciły się jednocześnie do ataku. Szkarłatna fala naparła na samotną stację kolejową i zatopiła ją całkowicie, jakby umocnienia wchłonął kubeł pełen krwi.

Ogień grzmiał nieustannie ze wszystkiego. Karabiny terkotały tak długo, aż lufy nie zaczęły się zniekształcać pod wpływem uderzeń i temperatury. Działa huczały, roztrącając na boki rozpryski odłamków i kończyn. Strugi Rosenberpanu rozlały się we wszystkich kierunkach, za każdym razem trafiając nieprzyjaciół i swoich.

Kanonier Szafrański nigdy w życiu nie uczestniczył w prawdziwej bitwie na wschodzie – aż do dziś. Gdy iglica w gnieździe ogniowym jego Traszki zastukała głucho, obwieszczając puste komory po amunicji, podjął decyzję. Odkręcił zawór, z wysiłkiem podniósł zbyt wysoko wbudowaną klapę i wspiął się na dach maszyny kroczącej.

Z góry spojrzał na przelewające się morze żywej posoki, przeżegnał się i sięgnął do kabury. Odbezpieczył rewolwer, wycelował na oślep i raz po raz jął naciskać na język spustu.

– Jeszcze Polska nie zginęła! – krzyczał, aż rewolweru puknął cicho.

Ładował i strzelał tak długo jak starczyło mu naboi, a gdy te się skończyły chwycił za saperkę. Złapał jeszcze wzrok pilota pobliskiego Wróbla, wymienił się uśmiechem i zanurkował w toń nieznanych stworzeń.

Sierżant Piotr Orzechowski rozejrzał się z kabiny swojego Samsona, który jeszcze ponad tydzień temu wyszedł błyszczący w chwale z fabryki w Lublinie. Teraz z wypolerowanego pancerza zostały zabryzgane juchą i pokryte czarnym kopciem blachy, odłażące co chwila pod wpływem drapnięć kolejnych istot.

– Dość już tych głupot – zaszeptał do siebie. – Porozmawiajmy na poważnie.

Dym unosił się coraz wyżej, niosąc ciemną, gęstą zasłonę. Widział już tylko jak spomiędzy białych płomieni wyskakują kolejne, smażące się jeszcze żywcem twarze. Elementy ubrań i desek latały w powietrzu jakby były naturalną częścią pogody. W pewnym momencie pofrunęła rogatywka i strzępek nogawki.

Dziwadła oblegały z każdej strony kończyny mechanicznego rycerza. Po kilkumetrowych nogach wspinały się kolejne, nienaturalnie wygięte kreatury, zazwyczaj nagie lub owinięte we wszystko, co się w nie wtopiło pod wpływem temperatury.

Piotr pociągnął dźwignię do siebie, wyciągając prawą dłoń z dyszlami w górę. Nawet nie sądził, że kiedykolwiek taka możliwość się przyda. Siłowniki dawały z siebie wszystko już teraz, nie było na co czekać. Przełączył trybik, wprowadził mieszankę ostatni raz do systemu gumowych rurek i odchylił zaślepkę, włączając zapłon.

Płonąca fontanna wyleciała na kilkadziesiąt metrów w górę i rozlała się dookoła, spadając na ziemię prawdziwym deszczem lepkiego ognia. Powietrze zafalowało żywo, wierzgając jak flaga w huraganie, teraz płonęło także czerwcowe niebo.

W ostatnim przebłysku, między gęstniejącymi łańcuchami dymu zatańczył szary kształt z wymalowaną biało–czerwoną szachownicą. Samolot ciągnął za sobą strugi dwóch kłębowisk w barwach narodowych. Pilot wychylił ciężki aparat, uwiecznił chwilę na zdjęciu i zasalutował, wiedząc, że żaden z konających obrońców nie może go zobaczyć.

* * *

29 czerwca Lwów – dzień rewolucji.

– Panie generale, panie generale! – okrzyk chłopca wdarł się nagłym trelem zadowolenia, przebijając się przez odległą kanonadę z grzmiących haubic. – Złapaliśmy kolejnego odszczepieńca!

Generał broni Wiktor Ruczyński jeszcze przez moment z ojcowskim uwielbieniem spoglądał na przemalowane na polskie barwy bombowce Richarda von Misesa. Odwrócił się od trzytonowych tytanów, wypełniających się ładunkami wybuchowymi i obdarzył wzrokiem inne dzieci, sieroty wojny, choć również niejako jego własne.

Trzech chłopców w przydużych maciejówkach oraz wyższa, starsza dziewczynka z czerwoną chustą na szyi, ciągnęli za sobą związanego człowieka o niedorzecznie zabrudzonej twarzy.

– Co on taki czarny? – spytał się z rozbawieniem Ruczyński.

– Chował się… – zaczął chłopiec, ale szybko przerwała mu trzepnięciem w ucho starsza koleżanka.

– Melduję, że chował się w składzie węgla jaśnie panie generale.

– Nie mówi się jaśnie panie… – wtrącił chłopak.

– Właśnie, że mówi.

– To jest wojna, a nie jakieś zamki i rycerze głupia babo.

– Spokój! – podniósł głos generał, chociaż bez gniewu w głosie. Nie było po co się złościć na dzieci. – No i co, brudas?

– Brudas, znaczy się ten, Ukrainiec panie generale.

– Dobrze, to go zabierzcie do Pana Eustachego, powinien być na dole, od wewnętrznej strony strażnicy przy garkuchni, sami wiecie który to Eustachy, prawda?

– Wiemy, ten gruby – dodał z uśmiechem chłopak i zasalutował starannie.

– Zuch – zaśmiał się Ruczyński i pogłaskał każde z dzieci po głowie. – Moje wy orzełki Lwowskie. Zmykać mi w tej chwili, bo to nie miejsce dla was.

– Nie, puśćcie mnie, proszę. Wy nie rozumiecie, ja przecież stąd, całe życie… – zaczął się zarzekać półprzytomnym głosem umęczony jeniec, ale po chwili któryś z chłopców zacisnął powróz na jego szyi i uciszył błagania.

Generał szybko odwrócił się od pojmanego i zwrócił ku dwóm prężnym, szerokim sylwetkom, dookoła których uwijał się mały rój obsługi w przepoconych koszulach. Dłoń sama odnalazła znajomy kształt kadłuba, przejechała po wysoko uniesionym boku i wyczuła pod palcami chropowatą powierzchnię niedawnego przemalunku. To było jego.

– Jest pan potrzebny.

– Słucham?

Ruczyński wyrwał się na moment ze snów, wnikających w jawę i zwrócił okrągłą twarz do przybyłego.

Obok niego stał starszy mężczyzna o surowym obliczu. Patrzył się z dziwną mieszanką pogardy i gniewu, której nie zwykł widywać generał. Wzrok spoczął na epoletach posłańca i Ruczyński w mig zrozumiał w czym rzecz.

No tak, ułańskie sieroty, pomyślał, największe ze wszystkich.

– Idę – odpowiedział krótko i uśmiechnął się do siebie.

Zwlekał z odstąpieniem od prywatnej inspekcji, ale usłyszał głośniejszy huk haubicy i zrozumiał, że sprawa jest poważna. Na wschodniej stronie umocnień przy Wysokim Zamku

zintegrowanym z wewnętrznym murem lwowskim odpierano ataki za pomocą również austrowęgierskich, pięknych, trzystu sześćdziesięcio milimetrowych kolosów. A nie było to całe wyposażenie tego odcinka murów. Podobnie obsadzono północną i południową część, mającą powstrzymywać rozłażące się, bezpośrednie natarcia od macierzy nieprzyjaciela.

A na zachodniej części? Zachodnia część broniła się wiarą pokładaną w pozostałych, archaicznych umocnieniach muru zewnętrznego, drugiej linii obrony muru zintegrowanego i bardziej zawodnych, polskich Strumykach, który właśnie biły jak w amoku.

Wiktor czuł, że się starzał. Dosłownie czuł każdego dnia jak wojna wysysa z niego życie i nie daje nic w zamian. Żadnej chwały, tylko zgorzknienie, frustracje i ataki podagry. Mimo to zdobył się na to, by przeskakiwać schodek za schodkiem jak górska kozica, byleby pokonać spiralę stopni, sunącą ku szerokim blankom z ciemno szarej cegły.

Dotarł na szczyt i wciągnął rześki powiew wiatru, odcinający się od duchoty wieży. Rozejrzał się i zastygł w niedowierzaniu.

Bardziej wysunięta na zachód część terenu przypominała teraz jednolity, suchy step czerni i szarości, poprzetykany jaskrawymi odblaskami ognisk. W oddali rozciągały się równą tyralierą fantasmagoryczne twory nad którymi unosiły się kolejne, kotłujące się poczwary. Gdzieś między tym wszystkim stał gigantyczny tron, ale co na nim było, tego nie dostrzegł.

– Królowo wojny, bylebyś stała po naszej stronie – wyszeptał na głos, po czym skierował wzrok na obsługę haubicy, która wyraźnie nie była w stanie nadążyć z jakimikolwiek poprawkami i waliła na oślep.

Bombardier stojący nieopodal usłużnie przysunął się z lornetą, ale generał jej nie potrzebował. Patrzył na to, co już znał. Ten widok miał zapisany w pamięci ze zmaltretowanej miesiącami oblężenia wschodniej części łańcucha obronnego. Teraz mógł obserwować inną aranżację z tych samych materiałów. Jak kolarz albo podróbkę z istniejących już dzieł w galerii wypełnionej lustrami.

Osiem kilometrów. Długich, niemożliwych do przejścia kilometrów, przez które przetaczała się nieustannie dzień i noc parada abominacji. Potykali się o poległych, wpadali w wilcze doły, zapełniali własnymi ciałami zasieki i leje po pociskach. Zakopywali się w dziury pełne błota i gazu, a potem z tych dziur potrafili wyjść, wypełznąć. Parli naprzód, nieustannie,

nigdy nie wysyłając dyplomatów, nie mając ambasadorów, nie proponując paktów, nie wypowiadając żądań. Osiem kilometrów.

Teraz to nie był bok, idący w jednym zwrocie, a promień pełnego okręgu.

– Dobry Boże.

– Szykujemy eskadrę do bombardowania. – Obok generała wyrósł pozbawiony prawego ucha człowiek w znoszonym mundurze kapitana – Spodziewamy się najbliższego natarcia w przeciągu pół godziny, może mniej. To czyste szaleństwo. Jeszcze nigdy nie atakowali tak szybko i z taką zaciekłością. Oddział podpułkownika Utratnego utrzymał wrogów na tak krótko i zadał im tak nieznaczne straty... Zastanawiam się, czy takie bohaterstwo ma w ogóle sens. Straciliśmy całą zdolność operacyjną poza obrębem murów!

– Tak, na pewno – odezwał się nieprzytomnie generał i potoczył wzrokiem po ruchomym horyzoncie. Coś szeptało do niego cicho, nawoływało i zachęcało do spoglądania w falującą, czarno czerwoną kreskę. Wiedział, że obrońcy nie są na to gotowi, teraz także i najeźdźcy wiedzieli.

– Generale.

Ruczyński przełknął ślinę, starł pot z czoła i z ciężkim sercem zaczął schodzić w dół wieży, opierając się o ścianę jak starzec. Omal nie zemdlał w pewnym momencie, przetaczając się kilka stopni niżej zbyt szybko.

– Generale?!

– Poderwać maszyny, zarządzam odwrót zasobów za wewnętrzną część murów. Poddajemy ten skrawek zapomnianej przez Bo…

Huk poniósł się wzdłuż muru niemal natychmiastowo. Warstwa kurzu i pyłu podniosła się z każdej powierzchni, zadrżała w powietrzu jak dwa rozjeżdżające się ze sobą filmy, po czym opadła z wyczuwalnym chrzęstem.

Kamienie zaczęły osypywać się jeden po drugim, zawalając kolejne bloki na siebie i nawarstwiając lawinę szarego miału. Czyjeś ręce wyskoczyły nagle spomiędzy osuwiska jak łososie płynące przez górski potok, by zaraz zagłębić się w twardą otchłań. Ktoś krzyknął przejmująco i urwał nagle, dławiąc się odpryskami skalnymi.

– Za bramę, ściągać ludzi! – krzyknął generał i zakasłał, przymykając jedyne widzące oko, drugie zalepił pył. – No dalej, chcecie tu zostać?!

Ktoś ściągnął pośpiesznie biedkę, chwytając ją ze współtowarzyszem. Po kilkunastu metrach syzyfowego pchania wózka jeden z tragarzy puścił. Drugi nie dał rady utrzymać ciężaru i koła potoczyły się z wysokości, by uderzyć o bok hangaru, z którego wystawał skrawek czegoś gigantycznego.

Generał obrócił się na moment, hangar pierwszy był otwarty, pozostałe miały wewnętrzne zasuwy zaciągnięte w momencie ataku i operowały na otwartych drzwiach dla personelu. Teraz majestatyczny nos sterowca Bursztyn–06 wydawał się wyczekiwać swojego chwalebnego momentu.

Przez chwilę chciał się zatrzymać, niby dopingować jeszcze rękami i okrzykami, by lekki, metalowy szkielet owinięty materiałem wyłonił się z legowiska. Liczył na nagły, dosłownie orli wylot z gniazda i zgromienie nieprzyjaciół. Może nawet zdołaliby wytrzymać załatanie muru, odzyskaliby pozycje.

Ruczyński postąpił jeden krok w kierunku sterowca, drugi, jeszcze śmielej, już chciał się puścić biegiem! Wiedział, że może zebrać ewakuujących się z dalszych hal lotników i wspólnymi siłami zdołaliby dźwignąć gazowego giganta w przestworza i ostatnim, bohaterskim atakiem przechylili szalę na stronę rodaków!

Wtem błysk. Szkarłatna struga, długa i wąska jak piorun, ale idąca nie z nieba a z wyłomu w murze. Odnalazła w mgnienie oka Bursztyn i oślepiła dość nieroztropnych, by patrzeć na niego, zamiast uciekać. Zapachniało ozonem, zadźwięczało w uszach i generał z trudem wstrzymał wymioty, próbując przejrzeć na oczy, co się stało.

Srebrna koperta, zawinięta wokół stalowego, pajęczego szkieletu machiny, zmieniła się w czarny strzęp. Ogień rozprzestrzeniał się w sekundach, pochłaniając całą konstrukcję. Jęczący ciężko metal wyginał się, skręcał i kopcił czarnym, gęstym dymem. Wyrzucony siłą ciśnienia silnik przekoziołkował przez pas startowy razem z rusztowaniem, zgubił niezliczoną ilość części i rozprasował się równo o przeciwległy mur. Bursztyn zmienił się w spieczone, zawinięte całunem pogrzebowym z własnego poszycia zwłoki.

Wróg dosłownie wlewał się przez wyłom.

Poniosły się pierwsze skoordynowane kanonady od wewnętrznej, ostatniej części muru, wzmocnionego jeszcze dwa lata temu, gdy wprowadzano doktrynę pełnej szczelności. Po czasie okazało się, że pełna szczelność nie było wcale pełna i wykluczała łańcuchem Muru Wschodniego Lwów, który zmienił się w dryfującą po morzu krwi łubkę.

– Panie generale, tak nie wolno. – Ktoś powstrzymał Ruczyńskiego siłą. Dowódca padł jak długi na ziemię i silna para ramion pociągnęła go w kierunku bramy. – Już, proszę się uspokoić, błagam.

– Nie, moje orzełki! – zaryczał jak ranione zwierzę Wiktor, wyłapując wzrokiem dopalający się strzęp koperty sterowca. – Wy… Wy skurwysyny!

Inny żołnierz dobiegł, podniósł nogi Ruczyńskiego i razem z poprzednim ponieśli go do wnętrza jak pijanego kompana po sobotniej nocy. Medyk zerwał się w pół roboty, by przyjrzeć się generałowi, ale ten jedynie zaciskał zęby i już gniewnie parskał na wszystkich obecnych dookoła.

– Który to mnie wniósł, przyznać się?! Dlaczego karwasz wasza maciora, do stu kroczących diabłów nie wyprowadziliście eskadry przed czasem?!

Większość osuwała się na bok, śpiesząc do obowiązków, unikając srogiego przełożonego. Byli w środku kryzysowej sytuacji, mieli swoje obowiązki, ważniejsze od prywatnych animozji generalicji.

– Panie generale, proszę zachować spokój, przeżył pan szok – odezwał się pojednawczo podpułkownik, ściskając się za szarpnięte kamiennym odpryskiem ramie. – Nie powinien się pan teraz tym zajmować, trzeba wytyczyć nowy podział obrońców, przesunąć którąś z haubic, przeliczyć zaginionych w akcji i…

– Ty mi nie będziesz Gajewski mówił, co ja mam zrobić! – oburzył się generał. – Zaraz każę was tu wszystkich w rzędzie zebrać i sprawdzimy, który to do jasnej ciasnej cholera maciory zaniedbał obowiązki.

Zasłonięty skórzanym czepkiem lotniczym, półmaską i goglami pilot wysunął się przed szereg i zameldował krótko:

– Panie generale, cała obsługa hanga…

– Zdejmij tę maskę, jak do mnie mówisz chłopcze!

Spojrzenia spoczęły na generale, odrywając się niejednokrotnie od ważniejszych obowiązków przy nadzorowaniu przenoszenia i układania rannych. Wiedziano, że kto, jak kto, ale generał rzadko się zwracał do kogoś przez wzgląd na wiek. Znaczyło to tyle, że już brakowało mu argumentów i może tylko wybuchnąć, a silni zawsze mają rację.

Ktoś położył dłoń na ramieniu pilota, jednak ten strącił ją krótkim gestem i zaczął mocować się ze sprzączkami za uchem. Po chwili odwinął połowę brązowej, szytej grubo przepaski i odsłonił wypalone do dziąseł usta o nienaturalnie długich, cienkich zębach.

– Panie generale… – powtórzył nieskończenie powoli, szczękając jak kościotrup. – Melduję, że cała obsługa hangaru pierwszego była na miejscu w momencie uderzenia. Spłonął nie tylko sterowiec, czego mógł pan generał nie zauważyć w szoku.

Ruczyński przełknął ciężko ślinę, zachwiał się lekko. Wzrokiem najpierw świdrował rzędy siekaczy pilota, ale w końcu począł rozglądać się na boki, dalej, jeszcze dalej na otaczający ich dziedziniec, mur, niebo.

– Zemdlał – podał ktoś krótko, kierując słowa do lekarza z nieodłącznym, dodającym otuchy stetoskopem.

– Nie dziwię się – mruknął Gajewski, po czym rozejrzał się po dziedzińcu, na którym stało kilkudziesięciu obrońców w znoszonych mundurach. – Na co się gapicie? Do roboty, już! Wy trzej słuchać się doktora, cała reszta zbierać dupy, naładować barykady pod drzwi. Kto tam nie ma sprawnych nóg, niech go wciągną na blanki i ma pruć z karabinu, szyć z łuku jak dzieci, czy rzucać kamieniami! Mam to gdzieś, spowolnijcie napływ!

Podpułkownik wskoczył na długi zawijas schodów i przymierzył się do wdrapania na szczyt. Posady muru zachwiały się, pył sypnął gęsto ku ziemi. Długie pęknięcie przecięło czarną strugą betonową fasadę.

– Psiakrew – zaklął, po czym już ostrożniej dotarł na górę.

To, co jeszcze przed chwilą było areną międzymurza, teraz zdawało się przypominać dziurawą miskę. Właściwie to wypadałoby bardziej powiedzieć, że Lwów zmienił się w statek, którego jedna burta zaczęła przeciekać.

Do szerokiej ulicy Newskiej, zmienionej na prowizoryczne lotnisko trzeba by było przebiec jakieś dwa kilometry. Do następnej bramy byłby jeszcze niecały kilometr. Teraz Gajewski miał lepszy, chłodny ogląd na sytuację i widział o wiele więcej od jego raptownego w osądach przełożonego.

Mur nie upadł, bo nie mógł. To zbyt wytrzymała i solidna konstrukcja, by upaść ot tak sobie na jedno, nawet potężne uderzenie stworzenia Karmazynów. Zamiast tego stało się to, czego spodziewano się od początku wiecznego oblężenia. Upadła brama.

Bramy mimo dodatkowych wzmocnień i tak były najbardziej newralgicznymi i podatnymi na ataki częściami umocnień. Ze względu na swoją naturę, były mniej wytrzymałe od solidnej, irracjonalnie w czasach pokoju, grubej ściany żelazobetonu, oddzielającej Polaków od sąsiadów ze wschodu.

Zostały bramy na północy i południu, wychodzące na stosunkowo wąskie i dobrze zabezpieczone trakty, między marginalnymi zabudowaniami mieszkalnymi. Zresztą, z tych ostatnich zostały już pewnie tylko kamienie. Brama wschodnia była oczywistością, stała i to był cud. Oczywisty cud, bo powinna była dawno temu zmienić się w kawał wygiętej surówki. Tak się jednak nie stało.

Gajewski tracił kolor z każdą chwilą, czuł, jak robi mu się niedobrze. Wiedział, że jego wyliczanka zmierza w kierunku ostatnich dwóch podpunktów i kulminacyjnego wniosku:

Zostały bramy kolejowe zachodnia i północna. Obie będące szerokimi, prowizorycznymi usypiskami z rzadka otwieranymi, by wpuścić tabory kolejowe z zapasami. Usypiska, bo zapasy od kogokolwiek dostali ostatnim razem kilka tygodni temu i postanowiono zablokować przejście od wewnątrz.

Gdyby mieli dostać transport czegoś więcej, to powiadomiono by ich wcześniej. Zamiast tego przysłano kolejne, stalowe puszki na chybotliwych nogach wraz z gotowymi na śmierć rekrutami, minimum egzystencjalne dla dziesiętnej populacji i zapewnienia co do nadchodzącego zwycięstwa.

Właściwie to nawet nie mogliby już dostać żadnego sygnału: łączność długofalowa nie istniała od początku oblężenia, gołębie pocztowe wyłapały drapieżne, padlinożerne ptaki, a

samoloty… Cóż, ten, którego wysłano, by powiadomił miasto o nadchodzącej odsieczy, nawet nie wrócił.

Nie mogli sobie pozwolić nawet na wysłanie lotnika do Warszawy, czy chociaż kurs z przesiadką do Lublina, bo właśnie na oczach Gajewskiego po kluczowym lotnisku przetaczało się Coś.

Matka podpułkownika pochodziła z hrabstwa Kent w Wielkiej Brytanii, konkretniej mieszkała w Dover. Rok temu dostał od niej aerogram ze zdjęciem, wykonanym z kutra rybackiego jej sąsiada. Na fotografii widać było odcinający się błękit nieba, górujący nad masywem doskonale białego, kredowego klifu.

Przeszło mu to przez głowę na krótki moment nim blady ze strachu zwymiotował z murów na przepełzającego poniżej pająka o trzech głowach.

Nawet do samego diabła można pruć bez zawahania, jeśli ma go się na celowniku, albo najlepiej, jako współrzędne do skonfigurowania ostrzału artyleryjskiego. Lucyfer na azymucie takim i takim, rząd cyferek, blokada i ognia, prosta sprawa. Jednak widzieć osobiście jak szatan jest na wyciągnięcie łapy, uśmiecha się i wymienia spojrzeniami:

Hej Bazyli, widzę cię wiesz?

Cóż, są jakieś granice, nawet dla Polaka.

Jedna z tych granic właśnie upadła. Oczyma wyobraźni widział tysiące cywili, żołnierzy, dzieci, kobiety i mężczyzn, tłoczących się w szaleńczym spędzie bydła do najbliższej bramy wewnętrznej. Tam pewnie jeszcze nie wiedzieli nawet co się stało i nie jest pewne, że wszystkich by wpuszczono.

Właściwie to Gajewski wiedział, kto nadzorował funkcjonowanie drugiej z bram wewnętrznych i już miał przeczucie, że wydarzenia następnych dni pójdą ruchem domina. Najpierw podpułkownik Czyżyk wpuści wszystkich do środka, następnie każe wydać racje i zakwaterowanie, a potem wszyscy umrą z głodu.

Tak, zanim jeszcze zniknie z magazynu ostatni nabój, zaginie ostatni korzec ziarna. Potem zaczną znikać zwierzęta, na końcu ludzie.

– Ten debil Czyżyk – warknął podpułkownik i otarł usta, podciągając się na wzmacnianej osłonie strzelniczej.

Dookoła zaczęli okopywać się w pozycjach żołnierze, którzy dali radę uciec jako pierwsi, bez większych obrażeń. Gdzieś śpiewały karabiny Fieldorfa – Gajewski osobiście odpowiadał za to, by przestać je kropić wodą święconą, tylko od razu strzelać. Dalej ktoś odważnie wciągnął po rampie działo z krótką lufą i zaczął łupać bezlitośnie w przedpole – ot dla przetrzebienia rozsypanych najeźdźców.

Nic z tego nie cieszyło Gajewskiego, nawet świadomość, że liczebność artylerii na murach była mocno niedoszacowania. Myślał o tym, że moździerze zaczęły grać w kwartetach koncerty dla kroczących ociężale dziwadeł, ulepionych z krwi i gliny.

To wszystko było nieważne, bo wróg nie rozproszył się pod wpływem dzielnego oporu obrońców, tylko właśnie zalewał domy mieszkalne, zewnętrzne magazyny, zwalał wieże ciśnień, zatruwał studnie własnymi ciałami i mordował nieliczną trzodę.

Na jego oczach trwało oczyszczanie dzielnicy z ludzi. Całkowita eksterminacja wszystkiego, bez szansy na obronę czy poddanie się. A potem ci, których witał każdego dnia na ulicy zdawkowym spojrzeniem, pomaszerują ku murowi jako obryzgane woskową krwią kukły albo nawet coś gorszego.

Jeszcze raz spojrzał na Coś, idące przez asfaltowy pas lotniska. Musiał, czuł się wręcz perwersyjnie, jakby robił coś obrzydliwego, zakazanego, ale tak niesamowicie ekscytującego i gratyfikującego.

Przyjdź.

Przetarł oczy, wbił paznokcie w kawał blachy, będący częścią zasłony. Czuł jak błogo przeciska się po palcach ból, orzeźwia i uspokaja.

Wyjąć pistolet, pomyślał, zastrzelić go.

Zabij go.

Wycelować, wystarczyłoby przecież, dlaczego to nigdy nie jest proste?

Chodź do niego, zabij go.

– Chodź do mnie – poruszył bezgłośnie ustami.

Ręce podciągnęły go na osłonę ze zbitych desek. Poczuł jak nogi prostują się, prawie jak w paraliżu. Powoli opadał do przodu. Tak, już czuł, że nie zdąży nic zrobić, nawet ręce miał rozłożone. Uśmiechnął się tylko smutno, zamknął oczy, odlatywał do białych klifów.

* * *

Rotmistrz Kajetan Niedźwiedź milczał, odkąd sprawiono ostatniego konia. Szwadron ułanów lwowskich od pewnego czasu określano w pogawędkach mianem szczurołapów. Zajmowali się dokładnie tym: łapali szczury, bo sami nie potrafili uciec ze swojej pułapki.

Los bywa przewrotny, zwłaszcza na kresach. Przedostatniego dnia czerwca upadła brama, a na prawie połowę mniejszym terenie tłoczyło się niemal dwukrotnie więcej osób.

Racje żywnościowe malały, więc racjonalność ich zdobywania rosła. Kajetan wiedział, że dalej racje będą chwilę wzrastać, by racjonalność spadała. Przyjdzie taki dzień, że będą śniadać bez jakiejkolwiek racjonalności, zostaną tylko pogorzelcy wokół rzeźniczego stołu i wstydliwa pamięć o zaginionych w mieście. Już teraz zgłaszano pierwsze przypadki zniknięć, a dziwnym trafem zwiększała się dostępność mięsa.

Na krótko przed wezwaniem na naradę, Kajetan otworzył niewielki medalionik, w którym skurczyło się jego życie do rozmiarów wycinka fotografii. W ciszy przejechał palcami po zdjęciu, przyłożył je następnie do ust i zamknął szkatułeczkę. Nie pozostało nic więcej, rewolucja zaczęła pożerać cudze dzieci.

Pokój sztabu zarządzania kryzysowego mieścił się na piętrze muzeum historycznego. Mundury z czasów Napoleońskich, rynsztunki z dopasowanych eklektycznie strzępów garderoby uśrednionego kozaka, manierki, tabakiery, ładownice, pozytywki. Krótko mówiąc, można było czuć na sobie wzrok pokoleń albo ich oddech na karku.

Generałowi Ruczyńskiemu było zdecydowanie bliżej do drugiego wariantu. Odkąd Gajewskiego nie było z nimi, sprawy się nieco skomplikowały. Cóż, nie tak, że to jego śmierć była za to bezpośrednio odpowiedzialna, ale dorzuciła ołowiu w serca Polaków.

– Na pewno nikt nie widział? – upewnił się któryś raz z kolei. – Może ktoś jednak dał pary z ust?

– Zapewniam panie generale, kładę epolety, że Gajewski zginął w bohaterskiej walce, odsłaniając nasz taktyczny odwrót.

Szczupły pułkownik ze szklanym okiem miał twarz oddającą całkowite i niekwestionowane posłuszeństwo wobec autorytetu. To było dokładnie to, na co liczył Ruczyński, którego pozycja protektora Polaków ostatnimi czasy spadała. Właściwie to pikowała w dół jak nieodżałowanej pamięci samobójca Gajewski.

– A wy? – zwrócił się do majora o twarzy naznaczonej liszajami. – Jak to wygląda?

– Prawda czy raport? – skwitował krótko niepiękny oficer.

– Prawda – odwarknął przełożony.

– Ludzie swoje wiedzą. Morale to właściwie już gówno, mieszkańcy lada dzień zrobią coś głupiego, głównie z głodu i nerwów, albo z nudów nawet. Każdy usłyszał w ten czy inny sposób, że Gajewski bohatyrnął.

– Co zrobił?

– No, tak u nas ludzie mówią, chyba mieszają coś z ukraińskiego. W każdym razie spadł z muru.

– Przestańcie się wyrażać, jakbyście byli w więzieniu Podemski.

– Melduję, że samobójstwo bohaterskiego obrońcy Gajewskiego stało się udawaną tajemnicą – odpowiedział matowo major i cofnął się o krok od stołu, zasłanego szczegółowym planem miasta.

Dookoła Wysokiego Zamku, przez większe części aglomeracji, aż do głównej stacji kolejowej i z powrotem rozciągał się długi, granatowy wężyk. Miał on w założeniu symbolizować mur, a zaraz za nim dano drugi wężyk, tylko zielony, oznaczający wewnętrzny mur, odcinający miasto od zachodu pseudo podgrodziem. Dalej było kilka czerwonych kresek bram, drewniane patyczki artylerii, garnizonów piechoty i kilkadziesiąt stojących smętnie jednostek kroczących, dawno temu inkorporowanych w struktury muru jako artyleria.

Konfiskata cywilnych jednostek kroczących nie była właściwie konieczna, mimo że przeprowadzono ją z wysoką starannością. Pojazdy montujące na wysokościach, machiny

wyposażone w pompy hydrauliczne do oczyszczania studzienek, chuderlawe puszki na nogach, służące jako obwoźne sklepy z dewocjonaliami i rękodziełem. Wszystko przeszło gruntowną reorganizację na cele militarne, czyli zazwyczaj przemiał w surowy materiał.

Lecz na mapie pozostał jeden mały, ale jak bardzo istotny dla generała pionek. Wysoka czapa, symbolizująca stuosobowy, piąty lwowski szwadron ułański pod wodzą rotmistrza Kajetana Niedźwiedzia, znanego z bohaterstwa, zmysłu taktycznego i niekwestionowanej dyscypliny. Dla generała Ruczyńskiego: sto mord do wykarmienia.

Wiktor Ruczyński korespondował z hauptmannem Wincklerem z dywizji ruchomej artylerii pancernej. Była to epistolarna przyjaźń, która zakrzewiła w Polaku wyjątkowy rozsądek w kwestiach innowacji i technologii wojskowych jakie przejawiali sąsiedzi z zachodu. W przeciwieństwie do znacznej większości Polaków, uznawał on żywą kawalerię za absolutny przeżytek. Teraz miał jeszcze jeden powód, aby tak uważać.

Koń przejada dziennie minimum trzy kilogramy paszy. Nieważne co robi, nieważne, w jakim stopniu się przydaje i w którym pułku ułańskim służy: czy imienia najświętszego serca marszałka, czy dumy i honoru marszałka. Każdy pułk ułański to nieustanna wywózka żywności na zmarnowanie.

Dlatego właśnie Ruczyński postanowił wykorzystać zmniejszenie dostępnego terenu, by wreszcie wydać pozwolenie na pozbycie się wierzchowców i zapełnienie nimi kantyn. Nie można było odmówić temu pragmatyzmu, jednak nadal pozostawało stu wściekłych, pozbawionych godnego zajęcia ułanów. Z tym również mógł sobie poradzić jednym zmyślnym rozkazem.

– Nareszcie – przeciągnął gardłowo, gdy od schodów dało się usłyszeć stukot obcasów oficerek. – Myśleliśmy, że nas pan rotmistrz nie raczy zaszczycić.

– Musiałem przyjść na piechotę – odpowiedział ponuro oficer, zasalutował i spojrzał krótko na obrus z map.

Ktoś szepnął pół tonu zbyt głośno, kryjąc się za okręgiem zebranych. Generał zacisnął palce na zaokrąglonym zakończeniu blatu i zmarszczył brwi. Chciał coś jeszcze odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że nie ma po co. Nawet pocieszyła go ta myśl: mówił już do trupa.

Narada zaczęła się dobrą godzinę temu, byli tylko wtajemniczeni, a rozkaz dla rotmistrza nie kazał mu się stawić o tej porze przez pomyłkę. On miał przyjść na gotowe, wszystko ostatecznie przygotowane, tak jak sobie tego życzył Wiktor.

– Dobrze, że jesteś – powiedział w końcu generał. – Potem wprowadzimy cię w szczegóły natarcia. Twoja rola w nim jest kluczowa, ale i autonomiczna. Wydamy wam najlepszy stan jaki mamy i przygotujemy wyjście przy bramie świętego Jakuba od strony dworca kolejowego.

Rotmistrz uniósł delikatnie brwi, zamrugał dwa razy i była to jego pierwsza reakcja na cokolwiek od wtorku. Spojrzał na poważne, bezsenne oblicza dowódców dookoła, przypatrzył się surowej twarzy generała i ostatecznie zwrócił ku mapie.

– Rozumiem panie generale, co dalej?

– Dalej wy, wraz z waszym doborowym oddziałem przedrzecie się aż do płyty lotniska, nie wzbudzając alarmu nieprzyjaciela i poderwiecie w górę ocalałe maszyny. Zbombardujecie splądrowane przez nieprzyjaciela pozycje, a następnie impetu natarciu doda szwadron pancerny Wróbli, które…

– Z całym szacunkiem panie generale, czy Wróble nie są jednostkami rozpoznania?

– Od kiedy to z ciebie taki znawca pojazdów kroczących Niedźwiedź?

– Standardowe szkolenie w akademii, każdy rekrut wie, a już na pewno instruktor.

Ruczyński zacisnął usta w wąską kreskę, zazgrzytał pod wąsem kilka bezgłośnych przekleństw i przeniósł kolejno pionki po mapie.

– Następnie użyjemy cywilnych… Byłych cywilnych monterów wysokościowych i zaplombujemy bramę zachodnią. Potem pozostanie już tylko nawleczenie wojsk na mury i odbicie jednocześnie wnętrza, jak i obrona przed zewnętrzem.

– Jak pod Alezją – szepnął rotmistrz, odwracając się na moment od mapy, by przetrzeć przekrwione oczy.

– To miało mnie obrazić chłopcze?

Zebrani zaszurali niespokojnie butami. Ktoś schował się krok do tyłu, inny dołączył, wpuszczając powiew powietrza nad mapę.

Kajetan obrócił się, wyprostował i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy odpowiedział.

– Nie panie generale, w żadnym wypadku. Nie jestem tutaj dla kwestionowania pańskich decyzji.

Ruczyński wyszczerzył się złym uśmiechem, złożył ręce i lekko schylił głowę w bok. Wrócił do wskazywania palcem ścieżki szwadronu, kluczowych punktów na murach i sposobów przetrzebienia ukrywających się na podgrodziu Karmazynów.

Niedźwiedź był daleko od tego, czuł, jak się unosi, odlatuje daleko do swojej gniadej przyjaciółki w niebie. Właściwie czuł się już trupem.

* * *

Stado stu tysięcy osób, stłoczono i upchnięto w każdym budynku z dachem. Nie pozwalano cywilom na opuszczanie domów po określonych godzinach, by nie narazić się na bombardowanie. Gdyby coś splunęło z nieba Karmazyną w gęsty tłum ludzi w centrum miasta, to oznaczałoby niewyobrażalną rzeź.

Z każdą godziną stawiano kolejne powały i płaskie dachy z blachy falistej. Ścisłe centrum już teraz przypominało gigantyczny bazar, z którego nie sposób było dostrzec nieba. Gdzieś tam w ciemnościach tłoczyły się dziesiątki tysięcy uchodźców z podgrodzia, pozostawieni z niczym, osamotnieni.

Kajetan ostatni raz chciał obejrzeć ratusz, ale nie w tej formie. Nawet masyw Wysokiego Zamku wydawał mu się dołujący i bardzo odległy od symbolu bezpieczeństwa. Całe miasto było zacieśniającym się kotłem pełnym wrzącej wody.

Właściwie to chwilami zazdrościł tym głodującym nieborakom, ale tylko chwilami. Wiedział, że bieda się nie stopniuje i każdy ma akurat taką nędzę, by upaść pod jej ciężarem. Większa, czy mniejsza – nie ma znaczenia.

Może tak mu się tylko wydawało? Przez moment myślał, że jest ciężko, ale przecież zawsze jest. Wystarczy, że stoi po dobrej stronie i wszystko się ułoży, prawda?

Spojrzał w niebo, dwie samotne, cienkie jak pajęczyna chmurki lewitowały gdzieś w oddali, by zaraz rozpłynąć się w bezmiarze oranżu. Żar lał się z nieba od tygodni, ale lepsze to niż walczyć po kolana w śniegu. Jeszcze świeże były w jego pamięci łapanki przygraniczne dwa lata wstecz, gdy w trakcie wyjątkowo srogiej zimy, musieli gonić jakichś tchórzy z byłego cesarstwa.

– Ucieczka nie wchodzi w grę – szepnął, przecierając spocone czoło. – Jest tylko służba ukochanej ojczyźnie.

Coś drgnęło w nim cicho, jakby skarżąca się rzeczywistość zaczęła skrzeczeć. Jednak nie, to tylko żołądek ciągnął nieprzyjemnie, nie wiedząc, czy domagać się więcej, czy skurczyć się z nerwów w kłębek.

Jeszcze gdzieś nad budynkami widział szczyt katedry świętego Jura, ale pozbawiony dawnego blasku. Wieżyce wypalono, gdy któryś z padlinożernych ptaków uwił tam brejowate, czerwone gniazdo. Wcześniej przed tym skrojono z fasad posągi świętych, by użyć ich jako kapliczek na murach. Przywołało to na myśl Kajetanowi: czy można dosłownie odciąć kawałek kultury i przenieść dalej?

Pragmatyzm nigdy nie był dla niego ważniejszy od symboli. Kultura musiała przetrwać, przeżyć ludzi i dać świadectwo. To ludzie tworzyli kulturę i nikt inny nie mógł jej doświadczać poza nimi. Mimo to uważał, że raz wytworzona, żyje już oddzielnie od ludzi. Więc czemu nie pozwolić jej istnieć, nawet za cenę stwórców?

Strząsnął z głowy zbędne myśli, był już na miejscu.

Szwadron ułanów rozłożył się bez ładu i składu od wewnętrznej strony bramy, przez którą wcześniej salwowano się ucieczką z lotniska. Solidna, wysoka, wydawało mu się, że mogła wytrzymać wszystko. Ponoć zachodnia była jeszcze większa.

Młodzieniec o ziemistej cerze zbliżył się do dowódcy. Czerwone obszycie starszego wachmistrza zafalowało na zbyt dużym mundurze. Kajetan pamiętał, że przed oblężeniem Tarnowski jeszcze mieścił się w swój mundur jak ulał.

– Skurczyliście się Tarnowski – wyszeptał Niedźwiedź, choć sam straszył obecnych zapadniętymi policzkami.

– Serce rośnie na myśl o służbie ojczyźnie.

Wymienili się pozbawionymi przekonania spojrzeniami, po czym Kajetan położył dłoń na ramieniu kolegi. Przez moment siłował się z wymuszonym uśmiechem, ale w końcu tylko poklepał go po policzku.

– Co myślicie, tylko szczerze.

– Szczerze? – Starszy wachmistrz rozejrzał się na boki, zagryzł usta i podjął głośno. – Byłem na szkoleniu na pilota, wiesz o tym…

– Wiem o tym, zawsze opowiadasz, że przeszedłeś testy i niby pogorszył ci się wzrok od bimbru.

– Albo od masturbacji – wtrącił podkomendny, opierając się o słup ogłoszeniowy – Tak naprawdę to pewnie od czytania przy świecach, ale to bez znaczenia. Nauka tak właśnie wygląda, a ja naprawdę kochałem awionikę.

– A potem… – spróbował przerwać rotmistrz, bezskutecznie.

– A potem sraka, powiedzieli, że nigdy nie wzlecę, bo to niezgodne z przepisami i powinienem nosić szkła jak denka od przepalanki. Ja im na to, że: pozdrawiam serdecznie i życzę tężca.

Niedźwiedź roześmiał się mimo woli, uwielbiał tę historię.

– Tylko nie spodziewałem się, ale przysięgam, że nigdy nie myślałem o wzleceniu ponownie w taki sposób. Odgrażałem się, że jeszcze zrobię licencję na aeroplany, chociażby we Francji, albo w Stanach.

Niedźwiedź głośno gwizdnął, na co Tarnowski pokiwał głową dla dodania powagi swoim słowom. Przez moment rozglądał się jeszcze, wiedział, że ludzie podsłuchują, ale miał to gdzieś.

– Był pan na szkoleniu, prawda?

– Szczegóły jak wznieść takie maszyny w przestworza, jak je zatankować, odpalić, sterować nimi…

– Jesteśmy kawalerią do kurwy nędzy, ale nie powietrzną! – ryknął nagle Tarnowski. – To wszystko były kłamstwa. Znaczy, nie kłamali z informacjami, ale kłamali, że możemy to zrobić. Człowiek nie staje się pilotem, bo ktoś mu pokrótce wyjaśni jak wznieść maszynę. Ja jestem pilotem, czuję się pilotem i mógłbym wzlecieć. Kto tam jeszcze od nas, Frączyk?

– Tak? – odezwał się z drugiego końca ulicy wąsaty ułan o nalanej twarzy. Podglądał rozmówców od początku, zresztą byli najgłośniejsi.

– Ty się spasłeś…

– O ty kuźwa!

– Spasłeś się, ale licencję masz, prawda?

– Francuską, robiłem jeszcze przed wojną…

– No właśnie – żachnął się Tarnowski. – Nie wpuścili go do lotnictwa.

– Bo myślą, że jak na zachodzie zrobiłem to szpieg od razu i wleciałbym w wieżowiec aeroplanem. Debile, kto przy zdrowych zmysłach by uderzył w wieżę samolotem, jak to pewna śmierć?

Wąsaty lotnik podrapał się po łysinie i spojrzał na stojących obok towarzyszy. Grali w odmianę łapek z zasadą na wymierzanie sobie uderzeń z otwartej dłoni. Wszyscy wymienili się zdziwionymi spojrzeniami na pytanie kolegi i zostawili temat.

Kajetan Niedźwiedź wyszedł na środek ulicy, między dwoma zabarykadowanymi kamienicami, w których zakwaterowano kilkukrotnie więcej mieszkańców, niż powinno móc mieszkać w takim miejscu.

– Zbiórka – zakomenderował spokojnie, stając w płasko kładących się promieniach czerwonego słońca.

Ludzie ruszyli się niechętnie, ospale, kilku wręcz wcale, lustrując obecnych wrogimi spojrzeniami. Ktoś nawet skulił się, schował głowę między nogami i zaczął płakać. Kajetan nie czekał.

– Powiedziałem zbiórka w tej chwili, to rozkaz! – szarpnął się, wyjął szablę i ciął przez powietrze.

– Ja nie będę umierał – odezwał się z boku rudy człowiek o odstających uszach. – Mogę walczyć, ale nie bezsensownie ginąć.

Rotmistrz doskoczył do niego w kilku susach, chwycił za kołnierz i szarpnął do masywnych, zabarykadowanych wrót. Przez moment opuszczał głowę, by spoglądać na buntowniczego podkomendnego z góry.

– Słyszysz? – wysyczał. – Tam za drzwiami, no, słyszysz?

Rudogłowy zająknął się niepewnie, przełknął ślinę i wsłuchał w szuranie za podwójną warstwą drewna i stopów metali. Coś chrobotało cicho, ale nieustannie, odcharkiwało, aż wreszcie zaśmiało się cichym, dziewczęcym głosem i zaświergotało ptasim trelem.

– Ale…

– To jest walka. Tak brzmi wróg, masz tam wyjść i go przegnać z ziemi przodków. Nie idziesz tam umrzeć, chyba że nie potrafisz walczyć. Jeśli potrafisz, to śmierć ci nie jest straszna. To chyba bardzo proste, prawda?

– To szaleństwo – odpowiedział cicho, zaciskając pięści. – Pan nas zabije!

– Pójdę pierwszy.

Kajetan puścił rudzielca, odwrócił się i spojrzał na skupionych na nim ułanów. Była ich blisko setka, ledwie kilku wolało salwować się ucieczką i teraz służyło na przymusowych pracach. Mimo wszystko ufał każdemu ze swoich ludzi. Wiedział, że nie są tchórzami, ale się boją. Każdy się czegoś boi.

– Ja pójdę pierwszy! – krzyknął tym razem, prostując się dumnie i zadzierając głowę. – Ja was poprowadzę! Jeśli boicie się iść, to naśladujcie mnie, bo ja będę szedł. Będę biegł, gdy będą kazali mi biec, będę strzelał, gdy będą kazali mi strzelać i wzlecę w niebo, gdy każą mi wzlecieć w niebo, czy to jasne?!

– Jak, przecież tam naprawdę jest piekło, ja byłem na murze, widziałem, nie przebijemy się… – wychlipał czerwony ułan, drżąc jak w febrze. Przekrwione oczy odpływały, co chwila w bok, zęby stukały o siebie, jakby stał nagi na mrozie.

Rotmistrz zbliżył się do podkomendnego, zrównał do niego bokiem, położył dłoń na jego barku i zrobił krok.

– Jedna stopa i kolejna. Jedna stopa, a potem następna. Następna stopa, która jest przed następną stopą, przed następną… – zaczął nucić Kajetan, rozglądając się po ułanach.

Tarnowski zaśmiał się, chwycił za nos, przymknął oczy z niedowierzaniem i dołączył do dowódcy. Wyglądało to z boku komicznie, jakby bawili się w musztrę do rytmu niesłyszanej muzyki.

Wtedy ktoś naprawdę zaczął grać.

Czyjaś pięść uderzyła raz i drugi miarowo o obojczyk, po tym następna i kolejna. Kolejni kawalerzyści chwytali za krótkie karabiny konstrukcji Różala i dołączali do szeregów. Szable zadźwięczały o siebie chaotycznie, by zaraz porzucić nieskładny klangor stali i podjąć czystą jedność.

– Jedna stopa, przed kolejną stopą, przed następną, przed kolejną! – śpiewali chórem, formułując kolejne rzędy łatanych mundurów i zapadniętych policzków.

W oczach tliła im się nadzieja, szczera i żywa jak wartki potok. Zabite na głucho kamienice salutowały przedziwnej paradzie straceńców. Tyraliera bezkonnych ułanów objęła wstęgą całą arterię.

Oficer na bramie dał sygnał niczym dyrygent. Hurgot haubic zagrał do wtóru, odstraszając padlinożerców spod bramy. Mechanizm przekładek zazgrzytał ciężko, dołączając nieczystym głosem do śpiewu. Bramy z jękiem rozwarły się, wprowadzając kolejny, brutalny odgłos do symfonii.

Przed nimi stała ziemia utracona.

Rotmistrz Kajetan Niedźwiedź postawił pierwszy krok za bramą, wpływając między dwie prostopadłe barykady z worków piachu i gruzu. Nadal śpiewał do rytmu, nadal trzymał za ramię wracającego do zmysłów ułana. Jednak natychmiastowo wyczuł niemożliwy do przegapienia skok ciśnienia.

Rozejrzał się na boki, szukając ruchu. Coś przepełzło za węgłem pustej stajni i ukryło się w studni. Był pewien, że widział idącego na kilku nogach ptaka. Potem zwrócił się wzrokiem ku fortyfikacjom, z których nadal błyskało i grzmiało.

Brama za plecami ułanów zawarła się równie szybko, jak otworzyła. Minęło ledwie kilkanaście sekund i zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Haubice umilkły, ktoś podał rozkaz z ust do ust i strzelcy ukryli się za zasłonami. Słońce schowane za horyzontem, nieśmiało muskało odbijanym światłem powierzchnię ziemi, zwiastując rychły zmierzch.

– Czworobok! – ryknął rotmistrz, rwąc jedną dłonią za rękojeść szabli, a drugą wyjmując oficerski, przestarzały nieco Bilon–02.

Rewolwer zagrzmiał, zrywając ostatnie głosy chóru. Czar muzyki prysł i teraz był jedynie chłód skały za plecami i mokra, czerwona ziemia pod stopami. Gdzieś tam, między gęstniejącymi ciemnościami, było wszystko. Dosłownie wszystko.

Szeregi zacisnęły się na krawędziach, środek zrzedł, wspierając formację na długość i szerokość. W tym wszystkim rotmistrz winien był zbliżyć się do rdzenia układu i stamtąd wydawać następne rozkazy. Jednak dał słowo, że będzie szedł pierwszy i tak robił.

– Raźno, do przodu! Do końca gmachu i dalej – krzyknął Kajetan, przymierzył gdzieś w mrok i wypalił.

Tak naprawdę niczego tam nie zobaczył, nawet mu się nie przywidziało. Po prostu wiedział, że słowa należy podpierać gestami, gesty mają siłę, a siły potrzebowali.

Więc z poczuciem narastającego, własnego impetu parli wzdłuż ulicy hetmana Żółkiewskiego. Po prawej ciągnęły się rzędy mieszkań z powybijanymi szybami i wywleczonymi elementami inwentarza. Po lewej mieli niewielki, dosyć stromy skwer, prowadzący dalej do parku i cytadeli lwowskiej, włączonej do muru zakrętu wewnętrznego.

Tylko niczego nie poznawali.

Drzewa zdążyły zgubić liście i igły, w powietrzu unosił się zapach amoniaku i czegoś ostrego, szczypiącego po nozdrzach i drażniącego gardła. Wydawało się, jakby wszystkie kolory wyjaskrawiły się, a kontury rozmyły. Momentami tu i ówdzie mogli dostrzec, jak po naczółkach okien sączy się delikatna stróżka czerwieni. Było tak dziwnie, nienaturalnie cicho.

– Tarnowski… – zaczął rotmistrz, ale towarzysz przerwał mu od razu, ściskając nerwowo drewnianą kolbę karabinu.

– To jest ten moment, w którym coś na nas wyskakuje.

Rotmistrz parsknął śmiechem i doładował braki w bębenku rewolweru. Czworobok sunął nieubłaganie do przodu, choć lekko wydawał się puchnąć i wyginać, jakby część żołnierzy wolała zwracać się w kierunku czerwonego lasku.

Nieustannie na granicy szaleństwa, drżący z nerwów, stale parli przed siebie. Mijali zdezelowane wózki, rozerwane meble, odrapane szyldy i powalone latarnie. Dzielnica była oczywiście zniszczona, ale nie tak jak mogli się tego spodziewać. Większość szkód wyglądała na spowodowane własnym ostrzałem artyleryjskim, a nie grabieżą najeźdźców ze wschodu.

– Dlaczego nie puścili wszystkiego z dymem? – spytał wąsaty lotnik.

– Może nie zdążyli – zasugerował rotmistrz, nie spuszczając ze wzroku podejrzanie ciemnej bramy mieszkania. – Może nie chcieli.

– Mieli ważniejsze rzeczy na głowie. Bardziej mnie interesuje, gdzie się podziali ludzie? – wycedził powoli Wachmistrz, nadal lustrując bacznie okolicę. – Śladów krwi jest niewiele, przynajmniej stosunkowo. Za to zwłok, właściwie to nic. Ot, widziałem czyjąś dłoń w rynsztoku.

– Boże – szepnął blady ułan, którego rotmistrz wyprowadził jako pierwszego.

– Miarkuj się Tarnowski.

– Kiedy ja naprawdę…

– Nie musisz mówić o tym tak, jakby to była rzecz – mówił powoli i spokojnie rotmistrz, jakby nieobecnym głosem, stale zajęty analizowaniem każdej leżącej cegły.

– Przecież to jest rzecz – żachnął się towarzysz, czym skupił na sobie uwagę reszty. – No co?

– Boga w sercu nie masz? – zdziwił się ktoś niezmiernie.

– Nie wiem, znaczy…

– Może jeszcze w cuda nie wierzysz?

– Cudów nie ma! – słowa runęły z nieba.

Ziemia zatrzęsła się, unosząc z ziemi szkarłatne opary i pył. Kaszel dopadł natychmiastowo niemal wszystkich, którzy odruchowo nie zasłonili ust. Kilkunastu puściło się biegiem do najbliższego mieszkania – byle wyżej. Reszta pobiegła w stronę stromego lasku, licząc na odcięcie się od ciężkiego oparu.

– Nie… – wykasłał rotmistrz, wchodząc na kolejne stopnie wysokich schodów. – Tam nie, nie wolno!

Było za późno.

Pierwsi żołnierze dotarli do miękkiego dywanu z runa leśnego, gnijących igieł i czerwonego nalotu. Ktoś odetchnął, rzężąc płucami niezwykle głośno. Inny zdążył jeszcze dłonią oprzeć się o uschniętą na wiór sosnę, a ktoś spojrzał wreszcie pod buty i zamarł.

Ziemia poruszyła się, wydobywając zamiast strąconych owoców kończyny. Blade dłonie, stopy, twarze zaczęły wychylać się spomiędzy leśnego dywanu i szwadron rozsypał się na boki.

– Panie, zmiłuj się! – krzyknął ktoś, gdy kilka biało czerwonych poczwar sięgnęło jego ciała i ściągnęło w dół, do gęstego podłoża. – Nie…

Krzyk uwiązł w gardle pochłanianego, gdy wilgotne palce zaczęły chwytać go za wierzgający język. Charknął jeszcze raz, desperacko miotnął się, spróbował nacisnąć na spust broni i zniknął pod powierzchnią korzeni.

Kajetan z niedowierzaniem oglądał, jak między siwymi konarami znikają kolejne sylwetki jego dzielnych kawalerzystów. Stał pochylony, oddychał ciężko mimo drażniącego przełyk zapachu, ale nie wypalił ani razu.

Nie wiedział kto swój, a kto wróg.

Walczyli z ludźmi. Wydawało mu się to zawsze takie niesamowicie niemożliwe. Te wszystkie fantasmagoryczne stworzenia, które plewiły się pod murami. To wszystko było

żywcem wyjęte z kinematografii albo antycznych historii. Tak sobie ludzie tłumaczyli zło dawno temu, ale teraz?

Chwycił się za głowę, zacisnął pięść wraz z kępą kasztanowych włosów i uderzył w futrynę, za którą zaraz wbiegł, nie zamykając drzwi.

Wewnątrz grupa ułanów rozkładała się wzdłuż okiennic, oglądała kolejne pokoje, zabezpieczała przejścia. Kajetan podszedł do stolika na kawę, na którym ostał się wazon ze zwiędłymi kwiatami.

Wyprowadził nagłe kopnięcie. Mebel przekoziołkował kawałek i potoczył się po ziemi. Sam wazon zwyczajnie huknął o ścianę, oblewając ją mętną wodą.

– No i tyle – warknął, splunął na podłogę i usiadł w naprzeciwległym fotelu.

– Co ty robisz? – Tarnowski spojrzał na przełożonego z zażenowaniem i pogardą.

– Nic.

– No właśnie widzę, rusz dupę.

– Coś ty do mnie powiedział?

Rotmistrz zerwał się na równe nogi, wyprostował plecy, ręce zawiesił w powietrzu, aby jak najbardziej pokazać swój rozmiar.

– A ty kurwa co, niedźwiedź? – Wachmistrz wyszczerzył się jadowicie. – Ja z tobą nie będę się bił o najmniejszą kuśkę, więc łaskawie nie zachowuj się jak pizdryk po tych wszystkich nadmuchanych miazmą przemówieniach. Zrób coś, by to miało sens.

Niedźwiedź mrugnął raz i zatrzymał się na dłuższy moment. Wyglądał jak manekin wystawowy, zastygły w doskonałym bezruchu. Tarnowski wpatrywał się w niego spokojnie, właściwie nie przejmując się czymkolwiek.

– Więc? – dopytał jeszcze.

Rotmistrz pokiwał głową, spojrzał na boki, spuścił wzrok i uśmiechnął się delikatnie ze wstydem. Pozwolił to dostrzec jedynie koledze, po czym giętkim ruchem dopadł do okna, zlustrował okolicę i pognał na drugi kraniec mieszkania.

– Wybiegniemy przez wspólne korytarze, a potem na ostatnie schody zewnętrzne.

– Tak jest! – szczeknął jako pierwszy Tarnowski, po czym machnął na pozostały w pokojach tuzin żołnierzy.

Każde następne mieszkanie wydawało się ponuro podobne do poprzedniego. Pootwierane na oścież drzwi, wybite odłamkami okna, ślady kul na ścianach i rozłożone po stołach talerze. Cienka granica między pozorem zwykłego życia a wlaniem się wojny do panoramy codzienności.

– Teraz.

Kajetan wleciał barkiem przez drzwi, zeskoczył ze schodów i przykucnął. Lufa zagięła szeroki łuk i opadła delikatnie.

Pozostali ułani wysypali się niemal natychmiast, wąskim sznurkiem podążając za dowódcą, przewodnikiem stada. Nie mieli doświadczenia w takich sytuacjach, nie byli na to gotowi. Mogli jedynie zaufać instynktom i przeniesionym na inny grunt przyzwyczajeniom.

– Za biblioteką – podał Tarnowski, po czym obrócił się w kierunku wychodzącej zza rogu ulicy. – Jasny gwint!

W półmroku przychodzącego wieczora dostrzegli, jak cała ulica jest zasypana nieforemnym gruzem. Ledwie sekundę później zmienili spostrzeganie i zrozumieli, że to nie był zawał między budynkami a horda postaci, zawiniętych cieniem. Setki, jeśli nie tysiące pochylonych smętnie kształtów podobnych ludziom.

– Do pasa komu życie miłe! – zakrzyczał rotmistrz i wypalił w kierunku tłumu.

Pocisk wszedł miękko w jedną z ledwie widocznych kukiełek i zrykoszetował w górę. Ranny padł na ziemię, równie beznamiętnie jak wcześniej stał. Reszta marionetek parła zwyczajnie naprzód, depcząc po zwłokach.

– Lećcie! – krzyknął jeden z żołnierzy, Rodryk Mirski. – No dalej!

Kajetan znał Rodryka, już dawno mu powiedział, że brawurowa woltyżerka go zabije. Cóż, mylił się, miał sam to zrobić. Zacisnął zęby, nawet nic nie odpowiedział i przyspieszył biegu.

– No, to teraz jak w reducie... – zaśmiał się Rodryk, po czym wyjął zawleczkę granatu. Przez najkrótszy moment złapało go jeszcze zwątpienie, ale było na to za późno.

Tarnowski wybiegł zaraz za dowódcą, stawiając pierwsze kroki na asfaltowym, szerokim pasie lotniska. Za nimi gdzieś zadudnił wybuch, a dalej seria świstów. Ciemność gęstniała z każdą chwilą, ledwie pozwalając na dostrzeżenie czegokolwiek. Księżyc obserwował poczynania ludzi cienką strugą srebra, wystającą zza granatowej powieki.

– To co teraz?

– Jak to co? – zdziwił się rotmistrz, przeskakując nad strawionym w pożarze sterowca żelastwem. – Improwizujemy!

– Nie to chciałem usłyszeć! – zarzekł się Wachmistrz, biegnąc do następnego hangaru. – A ty gdzie znowu?!

Kajetan wbiegł do spalonego hangaru pierwszego i zniknął w mroku.

– A żeby cię bies… – warknął podkomendny, słysząc za sobą jeszcze kilka par butów. Liczba żołnierzy wykruszała się zastraszająco szybko.

– Co robimy? – spytał się któryś, nie do rozróżnienia już w mroku.

Tarnowski zawył przeciągle, obrócił się do wąsatej postaci i zreferował szybko:

– Otwierać od wewnątrz drzwi hangaru, niech któryś pilnuje osobowych. Ja postaram się odpalić chociaż jedną z tych piekielnych machin.

Resztka szwadronu wleciała do środka przez drzwi dla personelu technicznego. Ktoś łutem szczęścia znalazł ciężką, ołowianą sztabę i zastawił drzwi, inny podstawił pod nie skrzynie z nie wiadomo czym.

Brzęknął prąd, lampy zapaliły się kolejno długim rzędem. Hala zalśniła od światła, pozwalającego teraz dostrzec kilka nienaruszonych, masywnych gigantów von Misesa.

– Dzięki Bogu! – zakrzyknął Tarnowski, pędząc do najbliższej machiny. – Panie, Jezusie, kurtka na wacie, Ojcze Niebieski, błagam.

Aeroplan po chwili zawarczał dziko, ale w odpowiedzi ścichł jego pilot. Nagłym skokiem wyleciał z pojazdu i popędził do następnego i kolejnego.

– Co się dzieje panie…

– Gówno! – ryknął z całych sił starszy wachmistrz Tarnowski. – Gówno się dzieje! Cholera, czy oni spuszczali całe paliwo na moment przed atakiem? Jasny gwint, by to wszystko trafił…

Silnik zaryczał wartko, zlewając się z huknięciem o boczne drzwi. Dwóch ułanów rzuciło się do przytrzymywania stalowego skrzydła.

– Jest! – krzyknął pilot. – Jest wszystko, zatankowany, załadowany, nie wierzę po prostu! Szybko, otwórzcie bramę, trzech na gniazda i lecimy.

Sześciu ułanów spojrzało po sobie bez słowa.

Tarnowski zaklął szpetnie.

Ktoś uderzył towarzysza w twarz i pobiegł do samolotu, natychmiast ściągany za nogawkę do ziemi. Tylko jedna osoba już trzymała drzwi, lecz zaraz i ona przestała. Po chwili wszyscy szarpali się, kłuli i wyrywali do przodu na wyścigi.

– Zabijecie nas wszystkich! – wykrzyczał w furii Tarnowski, wyskakując prędko z kabiny pilota.

Gnał na złamanie karku, by chociaż spróbować samemu otworzyć wrota. Wtem drzwi dla personelu rozwarły się na oścież. Sztaba zgięła się jak drut, a wcześniej ciężka, masywna skrzynia, teraz leżała na boku krwawiąc żelastwem.

– Gówno – powiedział po prostu wachmistrz i zaczął mocować się z zapadkami przy łączeniu dwóch skrzydeł hangaru.

Przez drzwi weszła niezmiernie powoli ponad dwumetrowa postać z wosku. Ciemnoczerwona, matowa skóra wydawała się pofałdowana i zrobiona z gęstego tworzywa sztucznego. W miejscu twarzy marionetka miała pięcioramienny otwór, z którego sączyła się czarna ropa.

Karabin Różala huknął przeszywająco. Zamek czterotaktowy wypuścił na świat długą łuskę, a zaraz jej bliźniaczkę i kolejną. Po chwili dookoła grupki ułanów leżała płytka kałuża płaszczy po nabojach.

Sylwetka lalkowego stwora stała w miejscu jeszcze przez moment, opadła na kolana i zawaliła się z rumorem. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Zza drzwi wyłoniła się kolejna sylwetka, nieco mniejsza, za nią następna. Zaraz za nimi pojawiła się okrągła, biała twarz pokryta szczeciną. Zęby układały się niej w idealny okrąg, a oczy świeciły żółtą pustką. Całe ciało wydawało się nadmuchanym balonem, pokrytym wijącymi się, mięsistymi włosami.

Drzwi hangaru drgnęły niezauważalnie. Jeden z ułanów rzucił opróżnioną broń na ziemię i zaczął biec, by pomóc wachmistrzowi.

– No wreszcie!

Wtem broń rzuciło jeszcze dwóch, pozostawiając trójkę do samodzielnego zatrzymania wylewu stworzeń.

– Nie, idioci, przecież oni… – zaczął starszy wachmistrz, ale zaraz dostrzegł istotę rzeczy. – O wy gnoje.

Dwaj ułani podbiegli do samolotu, jeden wskoczył za stery warczącego pojazdu, a drugi zajął działko przednie. Przymocowany do żelaznego stelaża karabin Fieldorfa zagrzmiał jak opętany.

Strugi ołowiu polały się, rykoszetując we wszystkich kierunkach. Jeden z ułanów obrońców chwycił się kurczowo za pierś i opadł na ziemię. Karmazynowi najeźdźcy najpierw niechętnie cofnęli się, by po chwili nie móc nawet uciec i zwyczajnie opaść bez życia, jeśli takowe wcześniej posiadali.

Mises R.I potoczył się do przodu, zmniejszając dystans do wolności. Pilot za drążkami sterowania wymienił się spojrzeniem z bezpośrednim przełożonym i cmoknął ustami.

Tarnowski stanął przed zbliżającym się, dwupłatowym kolosem. Wyjął rewolwer zza szerokiego pasa, przymierzył w strzelca, pociągnął za spust, po czym wypalił jeszcze trzy razy, wiedząc, że bezpośrednio za nim siedzi pilot.

Machina zwolniła, Fieldorf ucichł.

– W imieniu Rzeczypospolitej skazuję was na wyrok śmierci za zdradę ojczyzny. – wycedził, dla sprawiedliwości i stojących nieopodal ułanów.

Brama wreszcie stanęła otworem, minimalnie szerszym od ponad dwudziestometrowej rozpiętości samolotu. Gdyby drzwi nie chodziły tak luźno pod wpływem systemu zapadek, to rozwarcie ich trwałoby dobry kwadrans.

Starszy wachmistrz wskoczył na skrzydło samolotu, podciągnął się na rusztowaniu, sapnął i z wielkim trudem wyrzucił z kabiny truchło byłego towarzysza, a obecnego zdrajcy.

– Idą! – krzyknął jeden z dwóch obrońców, stojąc przy drzwiach z szablą.

– Ty jesteś gilotyna, a nie człowiek! – zaśmiał się towarzysz, widząc, jak ten rąbie od góry wszystko co wystawi swój łeb czy odnóża.

– Ostatnia szansa na zapisanie się w księdze bohaterów! – krzyknął podekscytowany Tarnowski, czując, jak samolot powoli zbliża się do bramy.

Coś wpełzło do środka i skoczyło na plecy ułana, który jeszcze przed chwilą pomagał w otwarciu nieszczęsnych wrót. Dziwne stworzenie wydawało się niewielkie, pokryte gęstym futrem i niezwykle brzydkie. Nim ktokolwiek zdążył krzyknąć, ułan prysnął krwią z karku i opadł na ziemię.

– Cholera! – krzyknął dopiero po tym kawalerzysta z szablą, odwrócił się z powrotem do drzwi, a tam już stało coś.

Owe coś nie zdążyło nawet zapaść w pamięci dzielnego obrońcy. Natychmiastowo wchłonęło go do wnętrza półprzezroczystego bębna orkiestrowego, wspieranego przez pełznącego wija.

Ostatni z obrońców jeszcze w biegu zrzucał z siebie pas nośny karabinu i naprędce wskoczył do bocznego gniazda samolotu. Chwycił za oba drążki i plunął ogniem.

Kanonada ucichła niemal od razu, gdy ciało strzelca zawisło na opuszczającej się spod sufitu pętli szubienicy, która zdawała się niknąć w mrokach sklepienia jak żywe stworzenie.

Właściwie to rzeczywiście wydawała się ruszać i ni stąd, ni zowąd zaczęła wciągać schwytanego ku górze.

Tarnowski robił wszystko by nie zamknąć oczu. Bombowiec toczył się do przodu, już mijał wrota i zakręcał na bok, gdy coś uczepiło się ogona.

Długa na kilkanaście metrów postać czarnego, futrzanego wija, chwyciła sześcioma pazurami ster kierunku i wysokości. Falujący róg, wystawał spomiędzy dwóch, doskonale białych lamp oczu.

– Jakim prawem?! – ryknął pilot, wyjął ponownie rewolwer, wymierzył i pociągnął w furii za spust.

Iglica stuknęła głucho. Przed oczami stanął mu wyszczerz zabitego zdrajcy.

Czarny wij zaczął oplatać ogon samolotu i położył obie szponiaste łapy na klapach. Aeroplan zatrząsł się jeszcze na ziemi i lekko zgiął. Płyta improwizowanego lotniska kończyła się na trzypiętrowej, szerokiej kamienicy.

Tarnowski wiedział, że jeśli się zatrzyma, to potwór go dorwie, a jeśli nie to niechybnie uderzy w ścianę i też go potwór dorwie, tylko pewnie nie żywcem.

– Cudów nie ma – przypomniał sobie przeszywający głos, niesiony przez wiatr.

Wtem samolot zatrząsł się, lekko uniósł ogonem w powietrze i opadł nagle, odzyskując nabieranie prędkości.

– Co do stu par…

Ośmiometrowa sylwetka czarnego kolosa unosiła się nad pasem startowym, trzymając w wielkich szczypcach wija. Przez moment kreatura próbowała się jeszcze wyswobodzić, ale gigant bez wysiłku zacisnął potrzask i złamał dziwadło na pół.

Zadudnił zewnętrzny system nagłośnienia.

– Uczyłem się sterowania, wybacz za spóźnienie – głos był trzeszczący i zniekształcony, ale Tarnowski poznał swojego dowódcę, który odłączył się wcześniej do wypalonego hangaru. – Teraz powinno być z górki.

Topol był osmalony z każdej strony, pokryty gęstym, ciemnym kopciem. Widać było, że pożar w jakimś stopniu także musiał go sięgnąć, choć konstrukcja zapewne przewidywała podobne przypadki. Teraz spryskana wodą wycieraczek, podświetlona od wewnątrz kabina pilota zwabiała do siebie nie tylko komary i ćmy, ale także wszystkie stworzenia z okolicy.

– Co robimy?! – krzyknął Tarnowski, ale zdał sobie sprawę, że przecież nie miał żadnego nagłośnienia. Co więcej, przyspieszał i zaraz bombowiec miał oderwać się i pofrunąć. Wiatr huczał ogłuszająco, ledwo mógł już słyszeć cokolwiek.

– Leć, zrzuć ładunek – obwieścił Topol, po czym zakręcił się walcowym krokiem, by podnieść z ziemi wielką, żółtą cysternę. – Ja zablokuję bramę. Misja wykonana przyjacielu, jestem z nas dumny.

Tarnowski rozchylił usta, wiatr wył coraz śmielej, szarpiąc go za twarz. Pęd zaczynał być nie do wytrzymania i wtedy ciężki bombowiec uniósł się w górę zgodnie zresztą ze swoją klasyfikacją – ciężko.

Dolny płat skrzydeł omal nie zahaczył o komin. Machina ledwie wzniosła się, ale utrzymała równowagę, zyskując od ziemi kolejne metry.

Starszy wachmistrz dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, co to oznaczało. Obejrzał się jeszcze, powoli przygotowując pojazd do wykręcenia. Widział, jak ziemia pulsuje, pęcznieje i rozdyma się niczym gotowana woda. A pośród tego bezmiaru potworności jedna arka światła, samotny Topol, dźwigający w kierunku rozerwanej bramy cysternę.

– Gdy tylko się wkomponuję, zrzucaj.

Tarnowski zacisnął zęby, przeliczył opcje i zrobił jedyne, co mógł w takiej chwili: wysyczał wiązankę przekleństw.

– Hejże, wiem, że mnie słyszysz – zaśmiał się sztuczny głos interkomu.

Sylwetka zaczęła obrastać w dodatkową warstwę nieswojej skóry. Kolejne pełzające maszkary wtaczały się na nią, chwytały za siłowniki, elementy pancerza, kable i rwały, co się dało w nagłym akcie desperacji. Jeden głośnik padł i teraz rotmistrz mówił zniekształconym, na poły głuchym dźwiękiem.

– Wiesz, dzięki za wszystko. To twoja zasługa, naprawdę. Gdyby nie ty, leżelibyśmy tam w lesie. Twoje nazwisko pierwsze na pomniku, co ty na to?

Dźwięk z głośników urwał się nagle. Któryś z kościstych dziwaków rozerwał osłonkę przy wzmacnianej szybie kokpitu i zaczął wdzierać się do środka kroczącego pancerza. Huknął wystrzał, brzęknęło kruszone szkło i napastnik ruszył w długi lot do ziemi.

Gigantyczna sylwetka machiny kroczącej stanęła wreszcie pod bramą. Ramiona wzniosły się w górę, jedno z nich niepewnie zacisnęło palce na cysternie. Ze środka zaczęła sączyć się gęsta, fosforyzująca ciecz, oblewając całego topola, kawał bramy i okolice.

Szyba kokpitu zjechała na bok, błysnęła szabla, huknął Bilon i błysk światła oślepił pilota bombowca.

Gdy już zdobył się na rozchylenie powiek, Tarnowski widział jedynie niemożliwych rozmiarów kulę bieli, pełgającą rojem płomieni, wyciągających lepkie macki w każdym kierunku. Kamień i Topol spajały się ze sobą w dziwaczny sposób pod wpływem ogromnej temperatury. Karmazynowe marionetki rozpierzchły się na boki w panice, przynajmniej te z nich, które zdołały uciec przed śmiercią w ogniu.

– Rosenberpan – szepnął Tarnowski, po czym uśmiechnął się cicho i wyrównał kurs do największego, gęstego skupiska maszkar.

Oświetlone odległymi płomieniami sylwetki, wydawały się niemożliwe do opisania. Jednak z tego całego chaosu i bezmiaru szaleństwa jedna rzecz wyjątkowo mocno rzuciła się w oczy Tarnowskiemu.

Przez pas startowy pełzł wielometrowy, żywy tron z macek, pulsujących aż do czegoś, wyglądającego jak jaskrawe, czerwone serce. Oparcie siedziska wydawało się przypominać dwa skrzyżowane narzędzia, może zaimprowizowane, a może stylizowane celowo na sierp i coś jeszcze, niknącego w cieniu drugiej strony. Całość konstrukcji ciągnęły przytoczone linami i łańcuchami stworzenia Karmazynu.

Wachmistrz wgapiał się przez moment w oniryczny obraz wycofującego się serca, po czym z satysfakcją wdusił przycisk i za nim następny.

Komora bombowa rozwarła się, jak otwierający pąk kwiatu. Cylindryczne, pękate zawiniątka poleciały z przejmującym wizgiem w dół, kończąc lot efektownym, białym rozpryskiem. Rosenberpan rozprzestrzeniał się w każdym kierunku. Skwierczenie ciał i krzyki oblegających dało się słyszeć jeszcze w powietrzu.

Wtem zdarzyła się rzecz, której spodziewać mógłby się tylko żołnierz ze wschodu. Pulsujące, płonące serce zaskowyczało przeraźliwie z mocą tysięcy umarłych. Czuć był w tym potworny ból, że Tarnowski omal nie stracił przytomności za sterami.

Komory serca rozłożyły się na boki. W środku dało się dostrzec dziesiątki lepkich, różowych ciał, złączonych ze sobą przedziwnym, przerośniętym systemem krwionośnym. Po krótkiej chwili organizm zaczął wydłużać się i rozpadać na rój malutkich stworzeń, wznoszących się powoli w niebo jak Karmazynowe świetliki.

– Co do jasnej cholery się dzieje?

Pilot dostrzegł, jak na jego przedniej szybie przysiada Karmazynowy ptak, nieumiejętnie udający wykrzywionego karykaturalnie orła. Zwierzę posiadało dwie głowy, z których jedna zdaje się, była skręcona trwale w bok, a druga patrzyła w niebo szeroko rozwartą gardzielą, pełną pulsującej masy.

– Nas jest wielu – paskudny charkot wydobył się z patrzącej w niebo głowy, z trudem imitującej ludzką mowę, jakby na bieżąco tworzyła struny głosowe. – wy jesteście sami.

Po czym ptak po prostu spikował w ciemność, w ostatniej chwili wybił się i pognał poza obręb oblężonego miasta. A pod murami już zbierała się Karmazynowa czereda.

* * *

– Panie generale! – zakrzyknął podekscytowany oficer sztabowy. – Czy ja śnię? To przecież niesamowite, to naprawdę…

– Cicho – mruknął Ruczyński. Przez moment wpatrywał się w pełgające po osmalonych ścianach cienie i w końcu odwrócił się do adiutanta. – Przekaż do Parzydła, że może już się nie przejmować tematem. Miał rację, polać Rosenberpanem spojenie, na wewnątrz ustawić ścianę tablic. Trzeba się ciaśniej okopać.

Adiutant, około dwudziestokilkuletni chłopak o zaciętej, poważnej twarzy zasalutował i zbiegł chyżo po schodach, wprost w mrok, jak ptak pocztowy niosący wiadomość. Ruczyński spojrzał z powrotem w kierunku wielkiego ognia i zastygł w bezruchu.

– Generale, wyślijmy oddziały pancerne!

– Nie.

Kilku oficerów spojrzało po sobie. Rozgorączkowany major o nastroszonych, cienkich wąsach zapiał ze złości:

– Jak to?! Przecież, przecież, Jezu, tam zginęli ludzie! Bohaterowie, prawdziwi! Udało im się, możemy posłać atak naprawdę, a nie na niby – perorował, popierany skinięciami towarzyszy. – Odbijemy podgrodzie, zastawimy mury tak jak w planie! Ten człowiek, ułan, Topol, to się udało!

– Przywołuję cię do porządku ostatni raz – mówił spokojnie i powoli generał.

– Ja, nie, przecież… To zdrada! Zdrada!

– Szczepan… – szepnął któryś z tyłu.

– Zdrada, musimy, Jezu, przecież, to, co pan robi to zbrodnia! – zaciął się oficer, kłapiąc co chwila ustami jak dławiąca się ryba.

– To, co pan robi to z kolei głupota, co jest gorsze?

Major położył dłoń na szabli, oficerowie cofnęli się o krok.

Generał dalej patrzył w dal, na płonący stos ciał, spomiędzy których wystawał stalowy kolos. W oczach dowódcy odbijało się białe światło, błyskające po cienkich strugach wilgoci na policzkach.

– Jeżeli wyślemy w środku nocy jednostki, zaczniemy ciemną rzeź na już obcym terenie, to będzie koniec. Bramy kolejowe są prawdopodobnie otwarte, mamy za mało informacji. Nie mamy gotowej taktyki, nie mamy nawet w zanadrzu dywizjonu pancernego, o który tak się pan piekli, to trwa zbyt długo, by postawić coś takiego na nogi. Prawdopodobnie nim włączylibyśmy kontrofensywę, spoiwo w bramie padłoby na nowo. Nieprzyjaciel to nie dzik pod stodołą, tylko słoń i potrafi sforsować niebronione umocnienia.

Ruczyński odetchnął głęboko, przejechał wierzchem dłoni po twarzy i oparł się na kamiennych zębach muru. Palce zacisnęły się mocno na wystającej szczerbie, krusząc ją do postaci drobnego pyłu. Pod gęstym, siwym wąsem zagrał przez moment smutny uśmiech, by zaraz oblicze starego generała mogło ponownie stężeć w maskę wojny.

– Więc tak, są bohaterami. Tylko to jest wojna, a nie wiersz Mickiewicza. Wygrali dla nas morale, wspomnienia i kolejne statuetki kultu, ale nie wygrali nam ani piędzi ziemi. Szanuję ich męstwo, podziwiam spryt i szczerze nie dorównuję wiarą – klarował powoli, wyraźnie, jakby czytał z kartki. – Za to mnie mój niedostatek tych cech nauczył, że wojny wygrywa się w sztabie, a nie na polu bitwy. Dlatego właśnie wielce czcigodny rotmistrz Niedźwiedź skończył w kuli ognia. A ja dziś znów nie będę spał, tylko odbierał kolejne raporty, rozdzielał zakwaterowanie dla uchodźców i drapał ściany, próbując odnaleźć wyjście z tego piekła.

– Zabił pan stu ludzi! – krzyknął niezrażony major, choć drżąca dłoń nie rwała się już do broni. – Zmarnował pan stu świetnych żołnierzy, skoro brakuje żywności, to może wyślijmy też uchodźców!

– Szczepan – odezwał się ktoś ponownie. – To już za wiele.

– Nie! Nie za wiele, przecież tylko o to chodzi, prawda? O kalkulacje zasobów?

– Wymieniłem żołnierzy za symbole i szanse. Zrobili to z ochotą, z pieśnią na ustach wręcz, bo w ich sercach jest nadal ważniejsza kraina ojców od własnej skóry. Ludność cywilna ma priorytet, są ofiarami wojny, my ich obrońcami. To, co mówisz majorze… To jest prawdziwa zbrodnia, a nie wysyłanie żołnierzy na śmierć.

Major zagryzł usta, parsknął jak koń, warknął coś, odwrócił się, ale zaraz wrócił i spytał szyderczo, próbując trafić w miękkie:

– Nie dziwie się, że nie będzie pan generał spał. Jak można spać, czy iść przez życie po czymś takim?

Wiktor Ruczyński odwrócił się powoli do majora, zmierzył go wzrokiem od wypastowanych butów do nasmarowanego wąsa i postąpił krok w jego stronę.

– Jedna noga, za nią następna.

Rozdział IV

18 lipca Warszawa

– Miałam je trzy – starowina mówiła z przerwami, trzymając bawełnianą chustkę przy kurzych łapkach. – Dzieci moje. Najstarszego, Jurka wzięli w… Zaciągnęli znaczy i już po miesiącu jak kamień w wodę. Ja przychodziłam do nich, nawet do domu osobiście przez znajomą, a dalej do żony generała Furmanowskiego, ale on do mnie tylko: pani Wisławo, ja wszystko rozumiem, ale prawo jest… Prawo jest dla wszystkich i ja nic nie poradzę. A ja tylko wie kapitan, ja chciałam tylko wiedzieć, czy z nim wszystko w porządku. Nawet tego mi nie powiedzieli.

Kapitan uśmiechał się delikatnie, ruszał powoli, tak jak się to robi przy spłoszonym zwierzęciu. Mrugał często, by zwalczyć poczucie obcości czerwonych oczu. Namówienie kobiety na rozmowę i tak wymagało od niego obrony przed rzuconym dzbankiem i zarzeknięcia się przed najświętszą Panienką, że nie jest on diabłem.

– A co z pozostałymi? – dopytał spokojnie.

– Drugi, znaczy… Najśredniejszy mój Jacek to jeszcze na wiosnę zmarł na szkarlatynę. – Babuleńka przyłożyła chustę do nosa i dmuchnęła, by zaraz tą szmatką samą przetrzeć oczy. – On zawsze był chorowity, a jeszcze jak z chłopakami z nasypu na Potockiego skoczył do rzeki, to ja wiedziałam, że się pochoruje. Głupi zawsze on był i w końcu głupi umarł.

Izydor pokiwał lekko głową na boki, upił okropnie cienkiej, rumianej herbaty i ośmielił gestem gospodynię, by mówiła dalej.

– No i najmłodszy mój… Mój Piotruuuś – zawyła przejmująco kobieta, ponownie popadając w atak histerycznego płaczu. Szlochała bez składnego zdania przez następne kilka minut, by wreszcie podnieść głowę, przechylić prosząco i dokończyć. – On dobry chłopak jest panie oficerze. Ja nie chcę, by go zabrali. On nie nadaje się do wojaczki, w mrozie mi tam zginie daleko na wschodzie, a ja nie mam już innego. Ma tylko czternaście lat, a teraz jeszcze te banialuki mu do głowy nawkładali wywrotowcy, buntownicy jedni.

Murykiewicz nie miał ochoty klarować kobiecie, że w żadnym mrozie, ani w śniegu nikt na froncie nie walczy w lipcu. Co więcej, nawet gdyby jej najmłodszą latorośl włączyli do jednostki i posłali na wschód to i tak pociągi nie jeździły już dalej niż do Dęblina. Wszystko

dalej było pogorzeliskiem, przelewającym się morzem pełnym bałwanów trupiej czerni i jadowitej czerwieni.

– Już, spokojnie – uśmiechnął się kapitan, wyjrzał ukradkiem za okno i sapnął. – Ja pani pomogę.

– Pomoże? Jak kapitan by mógł, to ja bym ręce wycałowała i wszystko dla… – zarzekła się starowina, chwytając za przegub dłoni mężczyzny i przy okazji wylewając resztkę herbaty.

– Nie trzeba, nie trzeba, naprawdę… Dość! – warknął oficer. Oczy zaszły mu krwią, twarz nabrzmiała czarnymi żyłami a dłoń wcześniej trzymająca spokojnie kubek, zacisnęła się na kaburze.

Kobieta zamarła z na wpół otwartymi ustami, opadła na siedzenie, jedną ręką trzymając się za pierś, a drugą ścierając plamę z ceraty.

– Pomogę pani – zapewnił już delikatniej kapitan. Oczy z powrotem spłynęły bielą, zostawiając jedynie wąski pierścień czerwieni dookoła źrenic. – Do Instytutu psychologii wezmę pani synka, dobrze?

– Na co jemu na studia, jak wszystkich biorą i… – zatrzymała się na moment w słowotoku, bojąc się raptownej reakcji.

– Psychologów nie biorą – skłamał Izydor. – I nie na studenta. Potrzebujemy na miejscu badaczy od karmazynologii. Przyuczymy pani synka na orlątko, będzie szukał kolaborantów, szpicli, agentów nieprzyjaciela…

– Diabłów? – Przeżegnała się starowinka.

Izydor przejechał dłonią po twarzy.

– Tak, diabłów.

– To ja bym wszystko…

Kapitan nie słuchając dalszych wyjaśnień, podniósł z ziemi rudą, sparciałą torbę lekarską. Dłoń od razu odnalazła jedną z setek wysokich, smukłych buteleczek wypełnionych czymś na wzór konfitury malinowej.

– To dla pani, na znak dobrej woli – mruknął cicho Izydor, nie skupiając się na znaczeniu ogólników. – Dodawać raz dziennie do podwieczorka albo jakiegokolwiek ostatniego posiłku czy napitku danego dnia.

Kobieta już chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie zacisnęła usta i pokiwała gorączkowo głową. Wreszcie zapytała dla pewności:

– I mój Piotruś…?

– I pani Piotruś będzie miał zakwaterowanie w Instytucie. Będzie miał własną stancję, opłaconą przez marszałka.

Starsza kobieta przeżegnała się i uśmiechnęła, zagarniając do siebie fiolkę.

– W takim razie życzę pani miłego dnia i proszę na siebie uważać.

– Dziękuję kapitanie.

Izydor odwrócił się, spojrzał w brązowe oczy kobiety, ale od razu skierował kroki do drzwi i rzucił tylko dodatkowe pożegnanie, wychodząc.

– *Świetna robota* – głos z wnętrza brzmiał swojsko, uspokajająco dla kapitana. – *Piąta kolumna to podstawa bezkrwawej zmiany władzy.*

Kapitan nie odpowiedział.

– *Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że udało nam się znaleźć wspólny język. Możemy teraz spokojnie zmienić świat na lepsze i…* – głos zawiesił się na moment. – *Co robisz? Dokąd idziesz?*

Izydor szedł szybkim krokiem, rozpędził się w pewnym momencie do biegu. Pokonał tak kilka przecznic, wbiegł przez bramę do ogrodu Krasińskich i zamarł w pół kroku. Ciałem szarpnęło coś z opóźnieniem i w następnej sekundzie Murykiewicz leżał na ziemi w mundurze utytłanym piachem. Błękitno-biała opaska czystości myśli opadła z jego ramienia, zawieszając się na nadgarstku.

– *No i już idą* – szepnął głos.

Do Izydora dopadło dwóch żołnierzy w stopniu kolejno starszego sierżanta i podchorążego. Mundury były obwieszone dodatkowymi krzyżykami, przez pas przewleczone mieli białe wstęgi patrolowe. Obaj celowali kapitanowi w plecy z krótkich pistoletów maszynowych nowej produkcji.

– Ręce przy ziemi, nie wstawaj, pokaż przepustkę – wyszczekał głośno podchorąży, wolną ręką poprawiając ciężki hełm z dodatkową płytą pancerną wizjera.

Siłowniki posunęły gładko po sobie, na miejsce zdarzenia dotruchtał wysoki, smukły pancerz kroczący użytku miejskiego Ryś. Trzymetrowa sylwetka z obrotową miednicą na żyroskopie posiadała dwie chwytne kończyny, sterowane zawiłym systemem drążków. Tors był przerośnięty, wystający do poziomu głowy jedynie dodatkowym reflektorem oświetlenia. Pilot w połowie stał we wnętrzu za czarną, prostokątną szybą.

– Mam wszystkie pozwolenia w kieszeni na piersi – wymruczał kapitan, czując, jak szutrowa ścieżka zaczyna wżynać mu się w policzek.

– Sprawdźcie to – mechaniczny głos z wnętrza Rysia miał dostojne echo i wysoką czystość dźwięku. Widocznie instalowali lepsze nagłośnienie niż w modelach polowych.

Izydor na moment zastanowił się, co jeszcze wymyśliłaby Rzeczpospolita, gdyby dać jej więcej czasu. Ten model zapewne wyprodukowano tuż przed atakami na Lublin i przewieziono tutaj. Może nawet sam przybiegł, kto wie?

Brzeskiemu by się spodobało, pomyślał ze smutkiem Izydor, wariatowi niebieskiemu.

Starszy sierżant obrócił Izydora jak kukłę i zaczął gmerać dłonią po wnętrzu szerokiej kieszeni. Robiąc to, odpiął przypadkiem koronowanego orzełka z przewieszonego przez ramię skórzanego pasa. Rogatywka z takim samym orłem leżała obok, zgubiona przez kapitana w momencie upadku.

– Rzeczywiście – rzucił krótko żołnierz, podając drugiemu dokumenty.

– Aha, no chyba tak – zasalutował niezręcznie, po czym podniósł z ziemi czapkę kapitana. – Przepraszam najmocniej, takie są procedury.

– Mogę wstać? – zaśmiał się Murykiewicz i nie czekając na odpowiedź, wrócił do pionu. – Nic się nie martwcie, takie mamy czasy. Wspaniale się sprawujecie, oby tak dalej.

Ryś zasalutował gładko, zatrzymując dłoń w gumowych nakładkach tuż przed kabiną.

Izydora coś zakuło w sercu na ten widok. Uśmiechnął się krzywo, naniósł czapkę na głowę i przypiął orzełka z powrotem do pasa. Przez moment obserwował majestatyczną sylwetkę chromowanej maszyny z białym krucyfiksem wymalowanym na obu naramiennikach i nagolennikach.

– Od dawna na służbie?

– Ja już nawet nie liczę – zaczął starszy sierżant. – Jeszcze pamiętam, jak zaciąg był przed wybuchem Wielkiej wojny, to wtedy ja w harcerstwie służyłem, ale to było nieoficjalne, bo nikt by…

– Pytałem o maszynę – urwał kapitan złym tonem.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało, więc?

– Od tygodnia, w sumie to dokładnie od dziesiątego lipca, ale dopiero jedenastego wszedł w użycie, więc od tygodnia.

– Gorąco? – spytał głośniej Izydor, patrząc ze współczuciem na odbijające się w kabinie popołudniowe słońce.

Maszyna zakołysała się, żyroskop obrócił kilka razy torsem w lewo i w prawo na znak zaprzeczenia pilota.

Wszyscy roześmiali się gromko. Izydor na moment przetarł oczy. Podchorąży uniósł delikatnie lufę broni, wstrzymał się dalej, ale wlepił przerażony wzrok w twarz zatrzymanego kapitana. Przez moment chciał coś powiedzieć, a może i nawet strzelić, ale ten od razu wychwycił jego spojrzenie.

– Spokojnie, jest w dokumentach – wyjaśnił zrelaksowanym tonem podejrzany. – Byłem na badaniach u doktora Brezy jeszcze wczoraj, to infekcja.

Żołnierz odruchowo się cofnął.

– Raczej się nie zarazicie.

Starszy sierżant strzelił obcasami, obrócił się do machiny, która zrobiła to samo stalowymi, trójpalczastymi stopami i patrol oddalił się z miejsca zdarzenia. Tylko podchorąży spojrzał jeszcze przez ramię i odruchowo przeżegnał się w pół kroku.

Kapitan wyszczerzył się rzędem zębów koloru kości słoniowej i dziarskim krokiem ruszył z powrotem, w kierunku przeciwnym do tego, w którym biegł wcześniej. Ruchy miał sztywne jak łątka prowadzona na sznurkach.

– Przestań – warknął na głos. – Ja chcę…

– *Spokojnie, Izydor, nie panikuj* – szeptał głos w głowie. – *Ja wiem, że jest ci ciężko, ale nie jesteś jeszcze gotowy.*

– Chcę tylko zebrać rzeczy z mieszkania i zobaczyć…

– *Tam są teraz specjaliści od kryminalistyki, agenci bezpieczeństwa wewnętrznego, na pewno mają też karmazynologa z całym zestawem diagnostycznym albo gorzej. W ten sposób jej nie pomożesz.*

– Dlaczego pozwoliłeś im złapać Alicję? Jak mogłeś? Przecież wysłałeś ją tam na pewną śmierć!

Kapitan usiadł ciężko na ławce, zdjął czapkę, przetarł pot z czoła i wlepił wzrok w kilkumetrową, żelazną klatkę na gołębie. Po wnętrzu przyozdobionej gałęziami i budkami celi pałętały się bezładnie ospałe ptaki o podciętych skrzydłach i nastroszonych, barwionych piórach. Jeden z gołębi spróbował wzlecieć pod sklepienie klatki, by zaraz spaść, odbić się od żerdzi i ponownie wrócić do bezsensownego procederu.

– *Nie jestem bóstwem, nie jestem wszechwiedzący.*

– Jakoś dużo się mądrzysz jak na aberrację Boga.

– *Wolę określenie: demiurg* – daimonion jakby westchnął, prawie namacalnie oblizując mózg kapitana ciepłym powiewem. – *Nie wiedzieliśmy, że to twoja żona. Poza tym nie miałoby to wielkiego znaczenia, bo ktoś musiał to zrobić. Zobaczyliśmy w niej spory potencjał egalitarnego mianownika i…*

Izydor przymknął oczy, załamał ręce, splunął pomiędzy zabrudzone oficerki i jęknął przejmująco. Po chwili jęk zmienił się w gardłowy gulgot, by zaraz stać się krzykiem.

– *Teraz to naprawdę nie wiem, co ty robisz* – zarzekł się głos.

– Nic nie robię. Drę ryja – warknął kapitan, po czym zaczął ponownie nawoływać.

– Ja, ja… Chyba nie bardzo cię rozumiem. Po co krzyczysz? Zwrócisz na siebie uwagę, złamiesz przykrywkę i…

– Jaką przykrywkę? Niczego mi nie wyjaśniłeś, używasz ogólników, mamisz mnie, kusisz i łudzisz. Pokonam cię własną głupotą.

Murykiewicz przerwał nielicznymi wtrąceniami wycie. Patrol wraz z Rysiem wychylił się zza klombu astrów, by przyjrzeć się bliżej dziwnym nawoływaniom. Wpierw niepewnie, jakby nie bardzo wiedząc jak się zachować, podeszli kawałek.

– Już, skończ. Zadaj pytanie, tylko przestań być… Taki dziwny.

Kapitan umilkł, spojrzał na zbliżający się patrol, skinął im zdawkowo głową. Podchorąży odpowiedział skinieniem i delikatnie zmienił trasę, by ominąć dziwacznego oficera. Zaraz za podchorążym ruszył kroczący wraz z sierżantem, rozglądającym się w znudzeniu letniego dnia.

– Dlaczego nie wiedziałeś o Alicji?

– A dlaczego ty nie wiesz o Ramowskim i jego chorych nerkach?

– O kim?

– *No właśnie* – głos nie tracił rezonu, mówił żywo, przekonująco i sensownie. – *Po prostu nie wiedziałem o takiej osobie, dobrze? Jakaś inna komórka wywiadowcza pracowała w rejonie i to ona się nią zajęła.*

– Jaka inna?

Cisza rozciągnęła się podejrzanie długo. Szum w głowie Izydora zniknął. Zdążył się przez ostatnie tygodnie do niego przyzwyczaić, teraz dopiero zauważył tak naprawdę różnicę między jego obecnością a brakiem.

– Powtarzam pytanie panie wszechwiedzący…

– Odpowiedź będzie trudna i cię nie usatysfakcjonuje.

– No to rzeczywiście coś nowego – warknął kapitan, zaciskając dłoń na poręczy ławki.

– Skończyliśmy chyba pracę na dziś, więc najwyższy czas na więcej detali – odezwał się wreszcie głos, szybciej, dając całym sobą wyraz ulgi. *– Słuchałeś uważnie tego, co mówił doktor Breza?*

– Słuchać słuchałem, Aleksander jest rozsądnym facetem, ale dziwnym, nawet bardzo. Problem jest taki, że to…

– Ekscentryczny geniusz.

– Wariat. Przypomina mi bardziej demonologa niż naukowca, zwłaszcza jak pokazał mi piwnicę z makietą.

– Przyznasz, że imponująca kolekcja.

– To prawda, nie widziałem czegoś takiego, odkąd byłem w muzeum mo… Ty nie zmieniaj tematu do jasnej Anieli! Mów co miałeś powiedzieć, nie dam się wykorzystywać. Nic o nas bez nas ty...

– Organizmy zmodyfikowane Karmazyną, są w stanie wykorzystać swój potencjał, który nazywamy mianownikiem egalitaryzmu, dzielnikiem, różnie, to tylko szczegóły. Tak jak człowiek składa się z wielu komórek, współpracujących jak jeden organizm, tak i my potrafimy to robić na poziomie mikro i makro.

– Dużo mądrych słów.

– Myślałem, że jesteś wykształcony.

– Jestem, po prostu lubię rzeczy prostsze.

– Znasz może statek Tezeusza?

– A znasz… Ech, nieważne – sapnął kapitan, rozprostowując nogi, przymykając oczy i udając kąpiel słoneczną. Trzask w kościach wyraźnie dawał znać, że potrzeba było ciepła i

spokoju dla umęczonych stawów nieledwie czterdziestoletniego oficera. – Przypomniał mi się stary żart z koszar. Odpowiadając na pytanie: chodzi ci o to ze zmianą części?

– Więc jednak wykształcony.

– Alicja mi opowiadała, kochała takie filozoficzne dywagacje.

– Więc w skrócie, dla sformalizowania: Jeśli wymienisz po kolei po każdej części w jakimś mechanizmie, na przykład w statku, to czy po czasie jest to ten sam statek? Różnica między nami jest taka, że dla nas tak, a dla aktualnej agendy Rzeczypospolitej nie.

– Stąd wy jesteście plugawymi, replikującymi się na polu bitwy potworami, a my dzielnymi bohaterami.

– Zaczynam cię nieironicznie lubić – odezwał się głos.

– To możliwe?

– Tak jak rośliny lubią słońce. Czyli nie na poziomie potocznego rozumienia, ale na poziomie konieczności. Nieważne, bo zaraz się rozgadam.

– No, jak na część mojego ciała to jesteś gadatliwy.

– Jak to mówicie „zarażeni" Karmazyną, są tak naprawdę osobami, które się zmieniły. Zmieniły się ich poglądy, ciała i psychika. Nadal jednak są tymi samymi, wolnymi ludźmi. Może nawet nadludźmi.

– Ty się nie rozpędzaj, bo mi jeszcze komplementy zaczniesz prawić.

– Potrafimy się łączyć w większe organizmy, dzielić zdobytą wiedzą, doświadczeniami, zdolnościami przerobowymi mózgu i tak dalej.

– Macie jakieś komórki wywiadowcze?

– Tak.

– Macie takie gigantyczne mózgi w głębi Rosji, które wypluwają z siebie dokładne plany inwazji i zużywają przy tym niebotyczne ilości energii?

Zapanowała cisza. Gołąb w klatce obok chwycił się pazurami sufitu i zawisł do góry nogami. Zaczął obserwować nielotnych pobratymców z nowej perspektywy.

– *Skąd wiesz?*

– Tak rzuciłem, przyśniło mi się.

– *I co jeszcze ci się śniło Izydorze?* – głos był matowy, poważny, miejscami nawet odczuwalnie zimny.

Izydor uśmiechał się dalej, chwytał słoneczne promienie. Myślami wędrował daleko w głąb Syberii, gdzie na powierzchni dziesiątek kilometrów kwadratowych pulsował mięsisty guz ze stłoczonych milionów ciał. Żyjący jedną myślą, przekazujący rozkazy do wszystkich Karmazynów, nieustannie przenikający całą Azję nowotwór. Na to wszystko spadł płomień, biały, gorący, topiący śniegi aż po Władywostok. Potem był już tylko skowyt.

– Nic – odpowiedział, ziewając przeciągle.

Kapitan wstał wreszcie i zaczął przechadzać się ścieżynami. Przez moment jeszcze krążył dookoła fontanny, w której centrum piętrzył się pomnik chłopca, tulącego gęś albo łabędzia, ciężko było poznać przez zielonkawy nalot.

Dalej za brukowanym deptakiem sterczały dwa, szerokie schodki, prowadzące na scenę. Scena przylegała ściśle do teatru lalek, który teraz był jedynie czarną skorupą. Pogorzelisko nadal delikatnie dymiło się cienką strużką w jednym miejscu.

– Do dupy ta rewolucja wyszła – mruknął Izydor, siadając na schodach pod ruiną.

Rewolucja czerwcowa rozpoczęła się nagle, pozornie niespodziewanie. Pewnego dnia ktoś zanożował państwowego urzędnika. W biały dzień wykrzykując hasła właściwe agenturze wschodu i z zimną krwią. Owa fasadowa raptowność wynikała z tego, że żadnemu z wychowanych w sercu Polski ludzi nie przyszło do głowy, że coś takiego może mieć miejsce. Mekka patriotyzmu i katolicyzmu stała się zarzewiem konfliktu wewnętrznego.

Tylko mieszkańcy tak myśleli. Prawda jest taka, że całkowita inwigilacja, wzmożone patrole, seryjna produkcja uzbrojenia do tłumienia zamieszek i relokacja oddziałów do stołecznego miasta, miała miejsce już dawno temu. Rząd był gotów na każdą ewentualność, mogli pozwolić na zaślepienie warszawiaków poczuciem bezpieczeństwa, ale sami musieli być czujni.

Pierwszego dnia było najgorzej. Zaczęły się niekontrolowane ruchy migracyjne, plądrowanie i demolowanie śródmieścia. Proletariat zrobił to, co potrafił najlepiej: chwycił za cegły. Spalono kilka żydowskich kamienic, wywleczono z domów Ukraińców, doszło do jednego przypadku spalenia człowieka żywcem.

Pułkownik Robert Okoński wracał z niezwykle udanego spotkania, prowadząc swoją żonę pod rękę. Noc była ciepła, patrole można było zbyć dokumentami, w końcu ogłoszono zagrożenie terrorystycznie, ale kto będzie wykłócać się z pułkownikiem? Hierarchia w Rzeczpospolitej to rzecz święta, ważniejsza od racji.

W pewnym momencie pani Okońska dostrzegła rudego kocura, który nawoływał w ciemnej, bocznej uliczce. Tak się złożyło niefortunnie, że pani Okońska była zapaloną pasjonatką zwierząt, nawet zajmowała miejsce vice-przewodniczącej jakiegoś klubu miłośniczek czworonogów.

Za węgłem ukrywało się trzech młodzianów, znajdujących się tam zapewne przypadkiem. Musieli przeczekać patrole, widocznie nie udało im się przemknąć z jednego miejsca do drugiego bez zwracania na siebie uwagi. Uznali, że okazja nadarzyła się sama.

Pułkownik próbował jeszcze wybronić się z sytuacji, ale gdy dostrzegł na szyi swojej żony nóż sprężynowy, priorytety się zmieniły. Współpraca z terrorystami nagle nabrała sensu w jego oczach i zgodził się odłożyć broń.

Pani Okońska zdołała uciec, za to jej męża związano jutowym sznurem, oblano olejem napędowym i wywleczono na ulice. Zanim najbliższe komando żołnierzy dotarło na miejsce, było już zbyt późno.

Następnego dnia ogłoszono stan wojenny.

Kolumna Zygmunta została przyozdobiona czterema stalowymi wysięgnikami w kształcie orłów. Z każdego z nich zawieszono po sznurze szubienicznym. Złapanych wieszano kolejno, na zmiany. Czasem zwyczajnie strzelano w tył głowy na rynku, symbolicznie wieszano na chwilę i opuszczano z powrotem.

Liczył się przekaz. Taki los miał spotkać każdego wroga narodu. Wrogiem narodu zaś był każdy, kto nie był po stronie sprawy polskiej. Nikt nie miał zamiaru dać się ponownie zdradzić zaborcom, sąsiadom bliskim i dalekim, nie–Polakom.

W pewnym momencie impet uderzenia był powalający, nawet dla świeżo ściągniętych oddziałów prewencyjnych z zachodnich terenów. Po ulicach zaczęły maszerować Traszki z podwójnymi gniazdami ciężkich karabinów maszynowych.

Wywrotowcy z ręcznie robionymi granatami z puszek, czy zwyczajnie butelkami łatwopalnych substancji siali postrach. Jedna z takich butelek wpadła do wnętrza lufy Młota, rzucona jakimś nieprawdopodobnym przypływem celności. Maszyna zajęła się ogniem natychmiastowo. Obsługa ewakuowała się ze środka, nie mogąc w pełni ugasić pożaru.

Kilku terrorystów obezwładniło ostatniego członka załogi i zajęło miejsca jego poprzedników. Nawet zdołali jakimś sposobem ugasić ogień, który okazał się mniejszy, niż przypuszczała zaskoczona załoga.

Zwolennicy Karmazynu zebrali się dookoła przejętej, ciężkiej maszyny kroczącej. Ktoś wiwatował, inny krzykacz zaczął obwieszczać symboliczny koniec Rzeczypospolitej. Proletariuszka nałożyła wianek z mniszków lekarskich na lufę haubicy skierowanej do ziemi.

Pilot w przypływie euforii pociągnął za dźwignię.

Wystrzał z działa zabił trzydzieści pięć osób i wywołał pożogę, obejmującą kamienice przyległe do liceum braci Franciszkanów. Siedmioro młodzieńców zadusiło się wewnątrz budynku. Pod koniec dnia mówiono o podstępnie podrzuconej maszynie pułapce, która miała na celu wybuchnąć i pogrzebać dzielnych powstańców.

Dalej nastroje tylko gęstniały, aż marszałek dał przemówienie z balkonu Bielika. Rzadko się zdarzało, aby sam Józef Piłsudski wychylał się ze swojego apartamentowca, by wygłosić tak niezapowiedzianą i płomienną odezwę do narodu.

Marszałek został przez kronikarzy nowej ery okrzyknięty najbardziej charyzmatycznym liderem kraju. Oczywiście ta definicja kolidowała z symboliczną koronacją Jezusa Chrystusa na króla Polski, ale znaczenie było jasne. Sam zaś naczelnik niejednokrotnie pokazywał swoją osobą, że jest czymś wyjątkowym w skali narodu. Przynajmniej tak to wyglądało z zewnątrz.

Niedługo po odezwie przeszła przez Warszawę fala denuncjacji, wykonano egzekucję ponad tysiąca wywrotowców. Udało się nawet zniszczyć komórkę operacyjną Karmazyny w podziemiach fabryki tekstyliów na obrzeżach miasta.

Jednostka specjalna odnalazła dziwaczny, brejowaty twór z kilkunastu zewłoków. Owo znalezisko wydawało się jakby żywe, zresztą nie zaprzątano sobie tym głowy. Rosenberpan strawił całą, nieużywaną od dawna budowlę wraz ze spiskowcami, którzy zdołali się tam ukryć przed łapanką.

Ogłoszono ogromny sukces i zniszczenie placówki wywiadowczej wroga. Ulice spłynęły dobrymi wieściami o rzekomym stłumieniu chwilowych zamieszek, spowodowanych wywrotowymi działaniami terrorystów. Jeszcze rewolucjonistom udało się spalić teatr lalek, ale był to ostatni większy sukces rebelii.

Wszystko zdawało się zejść pod ziemię, ucichnąć niespodziewanie szybko jak nadeszło, mimo braku złapania formalnych przywódców buntu.

Poprzedniego dnia złapano prowodyra całego zamieszania. Alicję Murykiewicz, która w godzinach okołopołudniowych dnia pierwszego zabiła nożem polskiego urzędnika. Sprawczynie przetrzymywano w nieznanym miejscu i zapowiedziano jej rychłą, publiczną egzekucję i możliwe odwołanie stanu wojennego.

Izydor Murykiewicz został przebadany trzykrotnie w oficjalny sposób przez Aleksandra Brezę, który kolejne dnie musiał spędzać w towarzystwie oficjeli wojskowych, bezpośrednio podległych marszałkowi.

Wystosowano notę do papieża. Zanim ten odpisał, metropolita krakowski Nataniel Łański udzielił unieważnienia ślubu w wyniku zatajenia działalności zbrodniczej i antyreligijnej. W kościele nadal nie było rozwodów, ale sposoby były od zawsze.

Oficjalnie Murykiewicz był znów kawalerem, a kontakty z Alicją uznano za niebyłe.

– Moja najsłodsza nie–obywatelka – zaśmiał się Izydor, zanurzył twarz w dłoniach i cicho jęknął.

Powiew wiatru zerwał kawałek przypalonego plakatu z przechylonej ściany i rzucił go kapitanowi pod nogi. Ten jednak nawet się nie ruszył z typową dla siebie ciekawością. Nie robił nic, poza kuleniem się, kurczeniem i szukaniem sposobu na nie bycie.

– Izydor – szepnął głos w głowie, ale był inny. Wysoki, łagodny i roześmiany. *– Izuś, skarbie, co ci jest?*

– Ty bezczelny gadzie! – ryknął, poderwał się i zamierzył z pięści, omal nie upadając. – Przebrzydły pomiocie diabła, cholerna poczwaro! Jak śmiesz w ogóle próbować mnie nabrać na coś takiego?!

– Izuś! To ja jestem do jasnej Anieli! – głos nie ustępował, zmieniał intonacje, był żywy, jakby zmęczony, ale dający znać o uldze i wzruszeniu. *– To naprawdę ja jestem, słyszysz mnie?*

– Przecież jesteś gdzieś daleko. Trzymają cię w zamknięciu, nie ma z tobą kontaktu, nie wiadomo gdzie jesteś!

– Jeden ze strażników zrobił dla mnie nić nerwową, poprowadził przez korytarz i ustawił nadajnik na powierzchni.

– Co proszę? – zaśmiał się Izydor. – Przecież to jakieś bajdurzenie. Karmazyn, w co ty próbujesz mnie wrobić? Nie ma czegoś takiego kolego. Mam już dość twoich kłamstw, ty ciągle kłamiesz, bez przerwy, zawsze!

– Działa, to działa, możesz sobie narzekać, ale czas to akurat nie działa na naszą korzyść. Musisz mi pomóc Izuś, proszę.

Kapitan nie wierzył w blef Karmazynowego wszczepu w jego głowie. Nie wierzył we własny daimonion, który mu rozkazywał – wszak nie był głupcem w swoim mniemaniu. Jednak czuł też potężny, fizyczny popęd, jaki nakłaniał go do wiary. Wiary w to, że wszystko będzie dobrze i wreszcie może porozmawiać ze swoją ukochaną towarzyszką życia.

Żałował tego, że nie mówił jej tego częściej, nie wiedział, czy ona też tak uważała. Miał ją bardziej za bratnią duszę niż żonę. Uznawał jej wyjątkowość, odrębność i szczodrość, jaką był fakt obdarzenia go swoim towarzystwem przez te lata.

Teraz miał okazję to wszystko powiedzieć, choć myślał, że już umarł.

– Jeśli to nie jesteś ty…

– Do jasnej ciasnej Izuś! To jestem ja i naprawdę, ale to naprawdę cię potrzebuję. Tak, ja też chciałabym ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham i że myślałam już, że… Ja… No i widzisz, czekaj moment.

Głos zniknął na moment i nagle smarknął.

Izydor zaśmiał się, otarł twarz brudnymi dłońmi.

To ona, pomyślał.

– Ty się nie śmiej! Nawet nie wiesz, co ja tu przechodzę, ale to nic nie szkodzi, bo nauczyli mnie jak to kontrolować. Czuję się tak wspaniale, jak nigdy, nie ma bólu, jest tylko bodziec nerwowy. Nie ma głodu, jest tylko prosta informacja o zapotrzebowaniu na konkretne składniki! To wszystko jest jak sen! Cudowny sen o wspaniałym, nowym świecie.

Poszarżowałaś – sapnął kapitan, rozglądając się po prawie że pustym parku. Ruszył powolnym spacerem między skalniak i klomby tulipanów. Wolał nie siedzieć w jednym miejscu zbyt długo, to też nosiło znamiona podejrzeń. – Możesz mi z łaski swojej wyjaśnić, co zrobiłaś?

– Przekroczyłam Rubikon…

– Alicja…

– No dobra, pozbyłam się jednego palanta, ale to tylko dlatego, że był szują, miałam zły dzień, był wrogiem rewolucji i… I myślałam… Ja myślałam, że ciebie już nie ma.

Cisza zawibrowała na moment. Promień światła wydostał się spomiędzy liści kasztanowca i oślepił kapitana. Uśmiechnął się, opuścił wzrok. Był już pewien.

– Dużo tego wszystkiego, prawda? Nie mieliśmy racji, żyliśmy w tej matni i nie zdawaliśmy sobie sprawy.

– Hejże, kto nie zdawał, ten nie zdawał!

– Nigdy się nie skarżyłaś.

– Nie czytałeś moich wierszy!

– Czytałem! Nawet jeden pamiętam – odchrząknął kapitan, rozejrzał się i wyrecytował z zażenowaniem na głos. – Słońce wzejdzie na zachodzie i łany zboża otulone sierpem wstaną z kolan, by razem piastować dary ziemi…

– O Jezu…

– No co? – speszył się zawstydzony. – Tak pisałaś.

– Masz kiepską pamięć. Załóżmy, że masz rację. Nie widzisz w tym nic? Żadnej symboliki? Cichego przesłania ku pokrzepieniu serc. Tęskna nuta za wolnością, ukryta przed wzrokiem brutali, wybijających drzwi o szóstej rano.

– Nigdy nie byłem dobry z poezji.

– *Beznadziejny wręcz* – głos jakby westchnął zmęczony, ale po chwili podjął ponownie. *– Nieważne, nie ma na to czasu. Posłuchaj mnie uważnie albo najlepiej zapisz to sobie, bo mamy poważny problem, jeśli chcemy wreszcie zrzucić okowy martyrologii i uwolnić się od wiecznego marazmu tej krainy.*

– Brzmi jak przygoda – sapnął Izydor.

* * *

19 lipca północne umocnienia muru zewnętrznego Warszawa-02

– Musieli maszerować całą noc – rzucił z pewnym uznaniem Jakub Hukiewicz, podając koledze lornetę.

Ten z zawadiackim uśmiechem przyjrzał się jak długa, szaro–bura linia uchodźców toczy swój objuczony kark wzdłuż nasypu za jeziorem Zegrzyńskim. Nie mieli żadnej broni, nie wspominając już o pojazdach kroczących, czy chociażby prostych wózkach.

Poszarpańcy, pogorzelcy, cierpiętnicy ze szmatami przylepionymi do pleców, ciągnęli torby z ułamkami uratowanych dobytków. Uspokajali umęczone pociechy, że już tam, za mostem, za tym jeziorem, za tamtą redutą i murem jest Warszawa, gdzie każdy znajdzie miejsce dla siebie.

– Skąd wracają Litwini?

– Nie rozumiem.

– Z nocnej wycieczki wracają Litwini - sierżant odłożył lornetkę, przysiadł ciężko na fotelu stacjonarnej Jaskółki i wziął poprawkę na wiatr.

– Chuj tam z Litwinami – odrzekł Jakub, zasłaniając uszy.

Uchodźcy przybywali nawet z Rygi. Przez ostatnie dni przetoczyło się po polskiej ziemi kilkaset tysięcy osób, pozbawionych zazwyczaj dokumentów, czy jakiegokolwiek celu poza przeżyciem. Nie znali języka ani spokoju, znali tylko ból i strach. Tam skąd przychodzili uciekinierzy, nie było już nic.

Rzeczpospolita nie mogła sobie pozwolić na taki napływ imigrantów. Zagrożenie terroryzmem Karmazyny było zbyt wielkie. Stan wojenny wbrew oczekiwaniom przeciągał się mimo opanowania sytuacji w mieście. Ściągnięto dodatkowe rezerwy z północno-wschodniej Polski, która już nie była właściwie pod jurysdykcją marszałka.

Warszawa była okrętem, na który nadciągała fala sztormowa.

Raporty o pojawieniu się oddziałów wroga przychodziły w odchyleniu mniej więcej stu osiemdziesięciu stopni do wschodu. Oznaczać to mogło tylko jedno: zbliżało się oblężenie samej stolicy.

Nie wystosowano oficjalnej informacji na ten temat, ale dla wszystkich było jasne, co przyniosą najbliższe dni. Całkowita kwarantanna Warszawy, wprowadzenie rygoru frontowego. Sądy wojskowe zastępujące rozpatrywanie spraw cywilnych na zasadzie dysocjacji między ugodą a obustronnym przyjęciem całkowitej odpowiedzialności za winy.

Co ciekawe, fala uderzeniowa Karmazynu nie rozbiła się o Prusy Wschodnie. Do tej pory rozważano dwa scenariusze. Jeden, w którym Rzesza jest w stanie obronić się lepiej od Polski i staje się granitową skałą, którą opłynie ocean Karmazynu. Drugi, w którym Rzesza stawi opór, a następnie ugnie się przed naporem Karmazynu i Polska zostanie zalana także z północy, ale po jakimś czasie.

Ostatecznie, jak to zawsze na wojnie bywa, wygrała trzecia opcja. Niemcy po prostu ewakuowali całe Prusy Wschodnie przed czasem, zostawiając tylko tych, którzy bronili się przed pozostawieniem majątków. Ktoś powiedziałby, że tchórzostwo, ale prawda była taka, że żyjący na wschodzie Polski mieszkańcy mogli tylko pozazdrościć takiego wariantu.

Raportowano nawet o ciężkim bombowcu austro-węgierskim, który przymierzał się do bombardowania Warszawy.

Szybko okazało się, że bombowiec stanowił jakiś dziwaczny rodzaj fortelu, czy niewytłumaczalnego w inny sposób zjawiska. W pewnym momencie spróbował podejść do

lądowania i rozbił się w ugorach. Wielu miejscowych doszukiwało się różnorakich teorii na temat pochodzenia dziwacznego aeroplanu, prowadzonego jak się okazało przez polskiego ułana. Nikt jednak rozwiązania nie znalazł i sprawę ostatecznie uznano za niewartą uwagi.

Starszy ogniomistrz spojrzał na dymiącą linię przeoranej czerwienią ziemi i splunął ostentacyjnie na bok.

– Panowie, tutaj, tutaj – niski, jowialny dżentelmen z ogromnym aparatem fotograficznym zwrócił uwagę obu żołnierzy. – Pstryk, no, do kroniki.

– Czekaj pan – Hukiewicz poprawił mundur, chuchnął na dłoń, przejechał palcami przez włosy i wyprostował się dumnie. – Tylko nie jak mrugam!

Błysnęło światło, Hukiewicz mrugnął odruchowo. Warknął coś i przepłoszył gestem fotografa, by zajmował czas komuś innemu.

– Fajrant – stwierdził krótko, poprawił rękawy. – Idę na egzekucję.

– Zazdroszczę, ja jeszcze będę z tym cieciem Radosławem siedział na Jaskóle i wgapiał się w komando oczyszczające. – Sierżant schował twarz pod skórzaną półmaską. – Boże jak to śmierdzi!

Hukiewicz zaciągnął się, przymknął oczy i uśmiechnął delikatnie pod nosem. Poklepał kolegę po ramieniu, rzucając na odchodne:

– Pachnie jak krematorium, nie wiem o co ci chodzi.

Jakub miał się za szczęściarza przez całe życie. Oczywiście z tego zestawienia wyłączał momenty, gdy zwyczajnie pokpił jakieś zadanie. Dziwnym trafem na kilka dni przed proklamacją wolnej Rzeczpospolitej, udało mu się wytropić całą komórkę szpicli i agentów bezpieczeństwa wywiadu carskiej Rosji. Nikt nie zadawał pytań: jak się udało młodzianowi dowiedzieć o miejscu tajnego zebrania i jeszcze dokładnie poznać całą listę zamieszanych. Ot wrodzony talent – uznali.

Czuł, że zrobiony był z gumy. Mógł unieść się na wszystkim, nawet na powierzchni bagna i jeszcze wszelkie brudy spłynęłyby po nim. Nie martwiły go przewroty, konflikty, akcje sabotażowe, ani terroryzm. Był nieśmiertelny.

Teraz także to czuł. Idąc przez kilometry zintensyfikowanych terenów agrarnych między zewnętrznym a wewnętrznym murem Warszawy. Wolałby podjechać, ale parę tygodni temu zaczęły się pierwsze ograniczenia w zużyciu paliwa. Pozostawał zawsze spacer.

Nie imponowały mu mury stolicy. Nawet jeśli najwyższy z nich miał dobre dwadzieścia jeden i prawie pół metra wysokości, to wciąż wydawało się to nie dawać żadnego poczucia bezpieczeństwa. Wiedział, że prawdziwą szansę przetrwania daje rozsądne zejście z linii strzału, a nie zasłonięcie się tarczą.

Dłoń sama wędrowała do rewolweru Nie powinien był iść bez nikogo przez dzielnice proletariatu. Mimo to wiedział, że realne getto proli jest dopiero u podstaw pierwszego muru. Mógł zwyczajnie ostatnie kilkaset metrów potruchtać. Udawałby, że jest gdzieś pilnie potrzebny i tym samym dał znak: hej, jeśli mi zrobicie krzywdę, to zaraz ktoś po mnie przyjdzie i spali te rudery.

Jednak tym razem było inaczej.

Zniżył wzrok z opasłego sterowca, kołującego nad centrum stolicy. Pod jedną z czterech bram muru Warszawa–01 zebrał się ogromny tłum, ciasno zbitych ludzi w brudnych ubraniach roboczych. Ktoś skandował coś głośno, nie wpisując się w klasyczny repertuar okrzyków pochwalnych na rzecz narodu. Z blanków przyglądały się okrągłe denka okularów z masek przeciwgazowych.

– No na litość Boską – warknął i przepchnął się obok baby z koszem jaj. – Wynocha stąd łazęgi obsrane.

Palce co rusz bębniły o rękojeść broni.

Przed bramą stała tyraliera żołnierzy z trzymanymi na biodrach karabinami maszynowymi z powiększonymi magazynkami łukowymi. Nikt nie podchodził bliżej, niż wyznaczała to narysowana butem na ziemi linia.

Nikt oprócz Hukiewicza, który nie dawał żadnego baczenia o zakazy.

– Starszy ogniomistrz Jakub Hukiewicz…

– Za linię! – krzyknął zamaskowany żołnierz i żgnął ogniomistrza lufą w pierś.

Czerwone, okrągłe wizjery maski błyszczały złowrogo. U pasa strażnika zwisał rządek puszek, zapewne granatów z gazem łzawiącym. Lufa błądziła pozornie bez celu, w istocie buszując pośród bezmiaru smakołyków, nie mogąc wybrać jednego.

Hukiewicz rozejrzał się, wyłapał najpierw jedno spojrzenie przekrwionych oczu proletariusza. Normalna sprawa, praca w fabryce cygar to zajęcie po którym człowiek wygląda jak wrak. Jednak brakowało robotnikowi wysuszonej twarzy o kolorze zgniłej żółci. Tylko oczy miał czerwone.

Wtedy do niego doszło.

Każdy z robotników zebranych dookoła. Od najmniejszego kominiarza, przez węglarzy, tragarzy po pucybutów – każdy z nich miał błyszczące, Karmazynowe oczy.

Jakub przełknął ślinę, pot spłynął mu po karku. Spróbował się obrócić, ale za nim zebrali się jeszcze tłumniej protestujący. W końcu sam dopiero co przeciskał się między nimi siłą, aż do samego czoła grupy. Teraz z jednej strony obserwowały go szkarłatne ślepia, a z drugiej czerwone wizjery.

Zająknął się, podniósł dłoń w kierunku porucznika z pistoletem maszynowym Jurand.

– Ja nie…

Zaterkotała seria. Nie z przodu, a z góry. Ktoś na murach nie wytrzymał i posłał większość kul w piach przed protestującymi.

Hukiewicz nerwowo się uśmiechnął. Czuł, że jest jeszcze większym szczęściarzem niż do tej pory. Wycofał o krok od porucznika, przyłożył dłoń do brzucha i zamarł.

Coś lepkiego spłynęło mu między palcami, a następnie uderzyło o ziemię.

– Nie strzelać do… – wyszeptał z niedowierzaniem.

Obraz rozjechał się jak dwa nałożone na siebie ujęcia tej samej sceny. Dźwięki wypływały bąblami gazu spod wody, pękały i znikały w powietrzu. Zawirował zapach pieprzu i torfu, wkradający się w nozdrza jakby żartem, kompletnie nie na miejscu.

Hukiewicz obrócił się, przecisnął między prolami, obserwującymi jego ruchy ze wszystkich kierunków. Ktoś beznamiętnie przyglądał mu się najpierw z przodu, potem z góry, gdy ten upadł na ziemię.

Ogniomistrz obrócił się na plecy, chwycił rewolwer za pasem i szarpnął do siebie. Któryś z kominiarzy podbiegł, ugryzł go w nadgarstek i zabrał broń.

– Psy! – spróbował ryknąć leżący, ale zamiast tego wydał z siebie przeciągły jęk.

Podniósł się na jednej ręce, niezgrabnym ruchem wyłuskał sztylet z pochwy i zamachał ociężale. Ludzi rozstąpili się na boki odruchowo, co niedołężny szermierz skonstatował złośliwym uśmiechem.

– Łapy precz – warknął, zgiął się z bólu i znowu padł na plecy.

Wtem łupnięcie, ktoś bezceremonialnie zdzielił go pałką przez żebra. Parkosyzm bólu wygiął ciałem ogniomistrza, krew z brzucha przesączyła się nową falą przez materiał niedawno pranego munduru.

Kobieta z koszem jaj podniosła błyszczące znalezisko. Ośmieleni kolejnymi krokami ludzie rzucili się wreszcie na obcego. Rwali paski, metalowe wypustki, pruli galony, guziki i posrebrzane orzełki. Dwóch chłopców szarpało z obu stron za jeden but Hukiewicza, nie mogąc podzielić się łupem.

– Nędzarze! – splunął nieudolnie Jakub, czując jak mroczki gęstnieją mu przed oczami. – Wszyscy jesteście… Nędzni.

Wschodnie działa wybiły rytm na zewnętrznym murze.

* * *

Wewnątrz była tylko ciemność.

Na zewnątrz nie rosły drzewa, temperatura osiągała nawet minus czterdzieści pięć stopni Celsjusza. Wicher targał sypki śnieg, wzniecając białe tornada. Mimo to w środku było bezpiecznie, jak zawsze.

Czas płynął, ale tysiące razy wolniej niż dla innych. Mikroskopijne skoki napięcia tańczyły nieustannie na gęstej sieci neuronowej guza. Gdyby ktoś miał dość czasu i środków, by go rozwinąć, to mógłby nim opleść Ziemię kilkaset razy.

Wiedzieli to, bo już sprawdzili. Gruby na dwa metry, złożony z kilku warstw kości, mięśni i skóry kabel rozgałęział się na zachód i przechodził aż do półwyspu Iberyjskiego. A był to jedynie drobny nerw, służący jako linia komunikacyjna.

– *Dostaliśmy potwierdzenie od nas* – zawibrował Lew. – *Pozostaje opracować formalny konsensus i przystąpić do działań.*

– *Wpierw musimy to przemyśleć. Dajmy sobie kilka lat i wtedy zdecydujemy* – dodała Matka spokojną myślą.

– *Po co czekać, skoro możemy ucztować na nich już teraz?* – pomyślał Kierat.

– *Co o tym myślimy Lena?* – zagrzmiał Głos.

– *Nie mają dokąd uciekać, ale też nie mają zamiaru. Mamy cały czas tego świata, więc nie ma znaczenia strategicznego, czy zrobimy to dzisiaj, czy za tysiąc lat, naszych lub ich. Natomiast jest znaczenie ideowe i to ono ma nam przyświecać.* – Lena wygłuszył się na moment, wysłał siedemdziesiąt tysięcy wiadomości i wrócił do narady. – *Idee też mogą spłonąć, jak widać. Dajmy sobie pięć lat na opracowanie działań, niech w tym czasie Lew zajmie czymś pionka. Wszyscy są za?*

Odpowiedziała cisza.

Guz pogrążył się w rozmyślaniach na kolejne lata. Symulował pojedynczo każdego człowieka, każdą jego myśl, każde słowo i czyn. Wybierał dokładnie, które z tryliardów posunięć dadzą pewny i naturalny sukces.

Pięcioramienna gwiazda rozciągała się na obszarze pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Pulsowała nieustannie, wypluwała szeregi wiadomości, wytwarzała nowe modele, opracowywała doktryny podrzędne do aksjomatu głównego. Jednak przede wszystkim myślała.

Limity chłodzenia głównej narady zmuszały ją do tego, by nie pracowała nieustannie. Nawet chłód koła podbiegunowego i zanurzenie części struktur w zatoce Chatańskiej, nie

pozwalało na to, by wielkie umysły rewolucji pracowały przez cały czas. Dlatego raz na jakiś czas trzeba było zatrzymać się, skonfrontować plany z realnymi wynikami działań i zapaść ponownie na wieloletnią drzemkę symulacyjną.

I tylko bardzo rzadko, jakimś przebłyskiem przypadkowych ruchów mięśni, mikroskopijny fragment którejś ze ścian mrugał okiem renifera tarł wilczą łapą, albo rozchylał ludzkie usta. Ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że to miliony istnień skazanych na wieczne cierpienie. Jednakże nie było nikogo na zewnątrz.

* * *

Linia tramwajowa dowoziła kolejne wagony mieszkańców stołecznego miasta. Co prawda zatrzymywali się jeszcze na kilkaset metrów przed placem zamkowym, ale i tak mogli dostrzec wydarzenie. Wszyscy czekali na egzekucję.

Mężczyzna w meloniku zapłacił operatorowi starego Ambona za wstęp. Usadowił się na obitej skórą kanapie, a po chwili szczudłowate nogi maszyny kroczącej uniosły się na wysokość pięciu metrów. Każdy chciał mieć dobry widok, więc oprócz dolnego piętra biedaków i skąpców były jeszcze lewitujące rzędy siedzisk. Ktoś nawet przyniósł sobie malutką lornetkę.

Na dachach okolicznych budynków siedzieli obserwatorzy. Wypatrywano z okien oraz kilku sunących nieboskłonem balonów na gorące powietrze.

Wreszcie nadeszła oczekiwana chwila.

Tłum rozciągnięty wzdłuż Podwala rozstąpił się, najpierw niechętnie, wręcz buntowniczo skandując. Dopiero po chwili dla wszystkich stało się jasne, że to okrzyki aprobaty i uwielbienia.

Na szpicy wyłonił się kilkumetrowy tragarz kroczący, którego szczyt płaskiej kabiny objuczono w przenośne systemy nagłośnienia. Zaraz za nim szedł bliźniaczy stwór ze stali i kabli, drepczący równym, spokojnym tempem.

Zaraz za pierwszymi maszynami szły powoli dwa Rysie. Wysokie, smukłe sylwetki o przeszklonych torsach miały zamontowane na nadgarstkach i ramionach przedziwne baterie, kończące się długimi kontenerami o niezbyt licznych oznaczeniach. Ludzie rozstąpili się jakby

jeszcze bardziej od tej części kolumnady, ściskając się w zbitą masę. Wiedzieli, że granaty łzawiące były naturalnym elementem pogody przez ostatnie dni w Warszawie.

Bliżej trzonu już nie szła, a bardziej toczyła się ociężała sylwetka. Bagatela siedmiometrowy, pękaty pojazd obsługiwany był przez dwie osoby. Jedna z nich była pilotem, druga sterowała długą lufą, od której ciągnął się gumowy wąż aż do korpusu machiny. Wnętrze musiało być w większości wypełnione wodą to tłumienia zamieszek.

Wreszcie ścisłe centrum pochodu stanowił ten, na którego przybycie czekali wszyscy.

Otoczony z każdej strony przez cztery Samsony. Maszyny strażnicze zostały obite dodatkową warstwą ogumienia chroniącego przed ogniem. Niosły na plecach cztery, zamiast standardowych dwóch pojemników na Rosenberpan. Zamiast wolnej, chwytnej ręki miały prostokątne niby-pawęże z wymalowanymi orłami na tle krzyży rzymskich.

Marszałek szedł w rdzeniu zbiorowiska. Maszyna, w której się znajdował, nie miała nawet swojego modelu, gdyż była jedyna w tym rodzaju. Rzadko pokazywana do widoku publicznego, tylko jako sposób przejazdu między miejscami na ważniejsze święta jak koronacja Chrystusa na placu Saskim, albo kanonizacja nowego świętego.

Sanata miał dobre osiem metrów wzrostu, czy może raczej wysokości. Machina obsługiwana była przez dwie osoby, znajdujące się w przeszklonych kulach kolejno nad miednicą i na wysokości mostka.

Dolny pilot, ubrany w galowy mundur z hełmem w kształcie głowy orła, miał za zadanie kierować nogami. Potrójny żyroskop pozwalał na niemal nieograniczoną swobodę ruchów, wyższą niż miało to miejsce nawet u ludzi.

Górny pilot był znaną personą w całym mieście stołecznym. Na głowie nadal nosił orli hełm, ale co rusz obracał się do tłumu, by zaszczycić ich widokiem swojej twarzy. Zapraszany na większość znaczących rautów i wieczorków major Adam Wysocki. Pieszczotliwie nazywany też w kręgach zapaleńców szermierki świętym Jerzym. Kierował obydwoma ramionami Sanaty, lawirując w ogrodzie dźwigni, przycisków, trybików i pokręteł.

Na samym szczycie w przeszklonej głowie stał sam marszałek. Mimo braku jakiejkolwiek konsolety czy innych narzędzi w swojej kabinie sterował najważniejszą częścią aparatury. Sercami Polaków.

Mechaniczna dłoń, otulona godnie azotanem srebra machała do zebranych. Pod gęstym, czarnym wąsem, poprzetykanym naturalną siwizną, tańczył uśmiech. Jasne, błękitne oczy wyławiały kolejno z tłumu stojące machiny, pilnujące porządku.

Mundur miał prosty, niebieski, pozbawiony zbędnych w mniemaniu noszącego ozdób. Order zbawcy narodu – najwyższe, ekskluzywne dla marszałka odznaczenie – zwisał przypięty do wysokiego, czarnego kołnierza, obszytego złotą nicią. Jeszcze tylko na piersi trzymał krzyżyk, przylegający do skóry prosty, wystrugany z wierzby.

Ludzka dłoń zaciskała się na szerokiej, inkrustowanej buławie, u której szczytu był srebrny guzik. Palec nigdy nie schodził z guzika, ale nigdy też go nie wciskał. Gdyby tak się zdarzyło, sygnał rozszedłby się w promieniu stu kilometrów, stawiając do najwyższej gotowości wszystkie obecne jednostki. Teoretyczny guzik bezpieczeństwa, którego nigdy nie trzeba było użyć, a zarazem zawsze należałoby się go spodziewać.

Pochód zamykało kilkanaście kolejnych jednostek kroczących i paradny pułk kawalerii, który zawsze miał w sercu marszałka specjalne miejsce. Wszystko było zgodne z obyczajem i właściwe.

Sunący po niebie lewiatan w postaci największego sterowca Rzeczypospolitej Twardowski-01, zatrzymał się w końcu. Dziewięć dwupłatowców było gotowych do opuszczenia macierzystego ula w każdej chwili, wracając tylko w stalowe stelaże po paliwo i amunicję. Wreszcie kłęby biało-czerwonego dymu spowiły kształt latającego cygara.

Jeden z mistrzów ceremonii obejrzał się na kapitana straży, skinął mu dosadnie baryłkowatym łbem. Strażnicy zakotłowali się wokół kontenera na materiały budowlane, po czym otworzyli skrzydła drzwi.

Z wnętrza pojemnika nie wyzierał ani cement ni cegły, czy chociażby pręty zbrojeniowe. Niewysoka, płowowłosa kobieta, ubrana w za dużą, brudną podomkę koloru beżu. Tylko tyle wyciągnięto ze środka.

Pod samą sceną, gdzie z wysokości dwudziestu metrów zwisała pętla na żurawiu, ustawiono skazaną. Włosy wystawały jej spod jutowego worka, którego nie zdjęto aż do usadzenia na stołku.

Pętla zacisnęła się na szyi skazanej, wystarczyło tylko dać sygnał, by system kołowrotków wciągnął ją na szczyt kolumny Zygmunta. Automatyzacja codziennych czynności była jedną z ulubionych zabaw Warszawiaków.

Na głowie Zygmunta III Wazy przysiadł orzeł bielik. Tresowana sztuka, przywieziona na polecenie organizatorów z ogrodu zoologicznego. Punktem kulminacyjnym miało być wypuszczenie ptaka, by ten na spolonizowany wzór prometejskiego mitu, wydziobał wnętrzności skazańca. W końcu trzeba było działać na wyobraźnię.

Ludzie odstąpili od zdobytych na wiele godzin wstecz pozycji i pozwolili usadowić się straży przybocznej marszałka. Na placu górowało teraz około dwudziestu maszyn kroczących. Pod samą kolumnę zawędrował Sanata, obrócił się zgrabnie, chwycił gładko za przypasaną, prawie trzymetrową szablę.

Broń żgnęła w kierunku słońca. Wtem, doniosły świst. Szabla zapłonęła białym światłem. Rosenberpan wysączał się przez system kanalików wzdłuż ostrza, płonąc na wyjściu jak ogromna kuchnia gazowa.

Tłum zawył dziko. Dżentelmeni na ambonach zaczęli śmiać się do rozpuku i wymachiwać pięściami. Dystyngowane damy przy nich pozwoliły sobie na żywsze oklaski, którymi wypadało uraczyć honorowego gościa.

Cisza zawisła na moment nad miastem. Orzeł zaskrzeczał, nie wiadomo czy było to zaplanowane, czy też nie.

Wieże semaforów zagrzmiały głosem głębokim, twardym i żywym.

– Moi piękni ludzie – wypowiedział marszałek, wzniecając z trudem kontrolowaną, kolejną falę oklasków. – Dokładnie pięć lat temu upadła twierdza Modlin. Wielka, potężna, najeżona karabinami, połyskująca bagnetami i ziejąca ogniem z armat. Prawdziwa potęga, która ugięła się pod ciężarem nawałnicy. Dziś, my jesteśmy twierdzą. Jesteśmy twierdzą zwycięską, twierdzą nieugiętą, twierdzą polską!

Ludzie zaskandowali kilka haseł w różnej kolejności. Głos marszałka niósł się daleko przez trzewia miasta, odbijając się w głośnikach, nadajnikach radiowych i ustach podających sobie słowa słuchaczy.

– Sto dwadzieścia siedem lat temu Rosjanie rozdarli naszą ojczyznę po raz drugi. Traktat nieludzki, można powiedzieć, że już wtedy mieliśmy dowód na to, że na wschód od Polski jest tylko otchłań, w której nie ma miejsca na jeden ludzki oddech. Odebrano nam ziemię, rodziny, wyrwano kły, pobito i wyrzucono w łachmanach przed schody własnych domostw. Nie odebrano nam tylko honoru!

Wtedy stało się coś znamiennego, co zapamiętali nieliczni, którzy byli w stanie.

Marszałek zdjął zdobioną rogatywkę, odsłonił siwiznę. Blizna zagrała mu pod wąsem w nagłym, szerokim uśmiechu.

– Gdybyście zapytali starego Józefa, czego chce najbardziej. To jest to życie. Nie chcę żyć ja, ale i umierać nie chcę. To, czego chcę to wasze życie. Chcę, żebyśmy wykorzystali ofiary naszych przodków. Chcę byśmy przestali marnować życie, a zaczęli pielęgnować życie dla ojczyzny. Musimy przestawić się ze społeczeństwa zorientowanego na śmierć, do społeczeństwa zorientowanego na życie. Trojaczki martyrologii, zuchwałości i brawury są niezdolne do spania w swoich kołyskach. Wypełzają spod pościeli i nawiedzają swoich nieświadomych rodziców. Błagam was Polacy, jako ojciec narodu błagam i przestrzegam: żyjcie dla Polski!

Nie było oklasków.

Cisza wydawała się niemożliwa, nierealna. Zupełnie tak jakby została przygotowana wcześniej, by po chwili załamać się pod nagłym atakiem gigantycznych wiwatów i rzucanych hurmem czapek. Nikt jednak czapką nie rzucił, nikt nie wiedział jak się zachować.

Zamiast tego marszałek założył z powrotem rogatywkę, z tęsknotą spojrzał na swoją mechaniczną dłoń i uchylił usta. Może chciał coś jeszcze powiedzieć? Tego się nikt nie dowiedział, gdyż kanonada zdominowała przestrzeń.

Na wschodzie rozległy się dziesiątki, jeśli nie setki jednoczesnych łupnięć, huknięć, pęknięć, stuknięć, tąpnięć. Gargantuiczne, pokazowe działa, inkorporowane w bastiony murów Warszawy potrafiły bić na odległości rzędu dziesiątek kilometrów. Razem z nimi grał cały przekrój artylerii, po najmniejsze przeciwpancerne rusznice i broń osobistą.

Chór karabinów maszynowych zrównał się do jednakowego terkotu, jakby każdy żołnierz nagle odbezpieczył broń i zaczął pruć na oślep. Dźwięk dobiegał z odległości wielu kilometrów, a nadal był ogłuszający dla zebranych.

Tak się wszystkim wydawało, dopóki nie usłyszeli prawdziwego hałasu.

Jazgot, miażdżący bębenki uszne przetoczył się po nieboskłonie. Kilkadziesiąt osób padło na ziemię w drgawkach. Jeden z weteranów powstania styczniowego, ubrany w galowym mundur, złapał się za serce. Po chwili leżał w bezruchu.

Czarna kropka przefrunęła przez niebo, zasłonięte w sporej części majestatycznym okrętem powietrznym Rzeczpospolitej. Biało-czerwony, ozdobny dym zawirował wartko dookoła. Dziwny punkcik wleciał za sterowiec i zaraz pojawił się obok niego w chmurze falującego powietrza.

Nie.

Tak się tylko zdawało ludziom, obserwującym wszystko z perspektywy ziemi. Ów czarny punkcik przebił się przez zeppelin z nierejestrowaną prędkością. Minęło mrugnięcie oka i obserwatorzy zaczęli kolejno zwijać się w pół z bólu. Oczy wszystkich zebranych oślepił niespotykanych rozmiarów wybuch.

Sterowiec zakwitł pianą koloru oranżu. Falujące języki wychynęły w każdym kierunku, testując jak wiele mogą zagarnąć. Odpowiedź przyszła natychmiast: wszystko.

Okręt powietrzny zaczął zapadać się w oczach. Posrebrzana koperta, naciągnięta na wzmacniany stelaż zmieniła się w zwęglony zwitek papieru. Zupełnie jakby ktoś wrzucił zabawkę do ogniska.

Balon wygiął się ruchem zamykanego scyzoryku. Dziób lewiatana zdawał się kierować do własnego ogona. Jeszcze w powietrzu wychylił kąt zbyt mocno, łamiąc się na dwa, niezależne strzępy szmat i złomu, które łączył tylko wspólny kierunek i zwrot opadania.

W pewnym momencie odłączyła się solidna, przeszklona gondola z doborową załogą. Wewnątrz przewalało się coś chaotycznie, nie mogąc przebić żadnej z szyb. Wyglądało to, jakby ktoś zrzucił z nieba wielką grzechotkę. Kontener koziołkował w locie, próbując utrzymać jednolitą formę, aż do nieuchronnego zderzenia z ziemią.

Jeden z samolotów powietrznej eskadry starał się ewakuować spod brzucha „matki” – na próżno. Górna para skrzydeł zaczepiła o wykręcającą się linę. Nagłe napięcie zawinęło konstrukcją i wyrżnęło aeroplan jak mokrą szmatę, wraz z pilotem wewnątrz. Z nieba polała się krew.

Kolejno pojedyncze kropelki stuknęły o ziemię, by zaraz chlusnąć deszczem posoki.

Ludzie rozpierzchli się w panice. Zaczęło się tratowanie, ucieczka i szaleństwo. Nikt nie wiedział gdzie gnać, przed zmierzającym ku ziemi kolosem, mierzącym prawie pół kilometra długości.

Do ziemi doleciały pierwsze, płonące rotory. Odłamki metali trzaskały rykoszetami, zbijając szyby w oknach, krusząc tynk i raniąc ludzi. Siermiężny silnik przebił się przez dach kamienicy i zatrzymał dopiero na pierwszym piętrze.

Z nieba lała się stal, krew i żagiew.

Na placu nadal zostało sporo osób, które zorganizowały się w ciasno zbitą grupkę. Dziwnie spokojni, opanowani, trzymający się blisko siebie. Oni jakby na to tylko czekali i obserwowali z daleka, jak dwa puchary koloru écru zmierzają coraz szybciej na spotkanie z ziemią.

Setki ton zaczerniałego płótna, metali, drewna i szkła dopadły ziemi. Gargantuiczna sylwetka latającego olbrzyma zderzyła się z terenem Żoliborza. Większość ogona sterowca opadła pod innym kątem, bardziej wzdłuż Wisły, rozniecając płomień na oba brzegi. W pewnym momencie szkielet giganta był najwyższą konstrukcją w swojej okolicy, górując kpiąco nad umierającym miastem.

Grupa obserwatorów, która została na placu zamkowym mimo zaleceń żandarmerii, zaczęła się rozstępować. Z początku niechętnie, jak rzednąca chmura, próbując zachować względnie stałą formę. Wreszcie rozpłynęli się po całym placu, ale zaraz jak na zawołanie stanęli prosto.

W jednym momencie kilkaset kobiet i mężczyzn w różnym wieku zaczęło się trząść. Padali na ziemię, drżeli, wyginali się, rozdzierali usta i zaciskali paznokcie na kocich łbach. Wyglądało to jak masowy atak jakiejś zarazy, albo trującego gazu.

Marszałek pierwszy dostrzegł w czym rzecz.

– Strzelać bez rozkazu! – ryknął twardym, władczym tonem.

W pierwotnym odruchu piloci maszyn kroczących wstrzymali się od atakowania względnie bezbronnych, cierpiących cywili. Dopiero po chwili zrozumieli swój błąd.

Pierwsze sylwetki zaczęły pokrywać się czerwonymi zaciekami, krostami, wyłupiastymi guzami i liszajami. Skóra zebranych przebarwiała się na kolor dojrzałych czereśni, włosy rozciągały i skręcały jak druty. Ktoś wreszcie zaryczał, głosem nie mogącym należeć do człowieka.

– Zasadzka! – zdążył zakomunikować działonowy w pojeździe z armatką wodną, po czym kilkunastotonowa baryłka zgięła się do ziemi.

Świst przebił barierę dźwięku. Po placu rozlały się hektolitry wody. Rykoszety części pojazdu rozprysnęły się na boki, tnąc wszystko na swojej drodze. Kroczący pancerz przestał istnieć w przeciągu ułamka sekundy.

Na miejscu tłumiciela zamieszek stała teraz ośmiometrowa, ludzka sylwetka. Pokryta grubą warstwą szkarłatnej skóry z wyraźnie odznaczającymi się mięśniami postać stała prosto. Wydawało się jakby ciało dziwadła przepływało, gęstniało i na zmianę rzedło, przesuwając się pod niewidzialną dla oka powłoką. Wreszcie z brzucha na moment wychyliło się kilka palców, by zaraz zniknąć.

Zrzucony z nieba nieznajomy był w istocie zręcznym zlepkiem wielu organizmów. Jednolita forma wydawała się niepewna, a jednocześnie bardzo zgrabna w swoich ruchach. Twarz miała męską, choć nie do końca ludzką. Zbyt wysokie czoło, zaostrzone, szpiczaste uszy i dwie, czerwone tęczówki oczu rozmiaru cembrowin studni.

– Marszałku – głos mówił po ludzku i nawet współgrał z ustami nowoprzybyłego. Nie był chyba jednak potrzebny ruch warg, aby słyszeć co mówi istota, gdyż ta zdawała się być jakby obok tego wszystkiego. – Czy możemy porozmawiać?

Huknęły działa.

* * *

Knothe poprawił sprzączki pancerza, strzelił palcami i złapał mocniej uchwyt miotacza Rospenberpanu. Schowany pod warstwą stalowych blach, obserwując świat przez wąski wizjer hełmu, czuł się bezpieczniej.

Wpierw było zamieszanie, nerwowe bieganie wśród obsługi setek dział i wielokrotne zadawanie tych samych pytań do osób, które nie znały odpowiedzi. Wszystko stało się jasne, gdy nad bramą muru zewnętrznego rozbłysła jedna, czerwona raca. A potem świat się zawalił.

Dźwięk salwy z armat był potworny. W niebo poniosły się kłęby siwego dymu, nozdrza zaczął drażnić intensywny zapach prochu, potu i w końcu czegoś niespodziewanego, pieprzu i torfu.

Wtedy dopiero nastąpiło najgorsze: słońce zniknęło.

Wpierw niebo pociemniało, rozległ się narastający szum, do którego dołączyły pierwsze serie z gniazd karabinów maszynowych. Po krótkiej chwili czarna chmura zgęstniała i opadła coraz niżej.

Ptaki przekrzykiwały się nawzajem drążącymi uszy piskami. Zdawały się wpadać na siebie i nic sobie z tego nie robić. Czerwone pióra przelewały się w pewnym momencie gęsto, jakby ktoś zawiesił nad głowami ludzi wielkie, wzburzone jezioro.

– Wszyscy na stanowiska, strzelać w niebo, nie lać ognia, dopóki nie będą blisko – zakrzyczał oficer dowodzący na odcinku.

Na całej długości monumentalnych umocnień zaczął się chaos. Setki dział, kaponier i stanowisk przeciwlotniczych zagrzmiało jak potworna wichura, chcąca zmieść wszystko z powierzchni ziemi.

Knothe obserwował z góry pięciokilometrowy pas agrarny, wypełniony rzadkimi zabudowaniami, lasami i sporadycznymi skupiskami osiedli. Po drugiej stronie był pierścień muru zewnętrznego, niższy i nie tak gęsto obstawiony, jednakże wciąż imponujący.

Przez moment wyobrażał sobie, jak wielka siła musi zmierzać zza drugiej strony tegoż muru. Kolejne race podnosiły się na następujących po sobie odcinkach umocnień. Widział coś takiego ostatnim razem lata temu.

– Wojna, by zakończyć wszystkie wojny – szepnął do siebie i spojrzał w niebo.

Po niebie sunęły trzy sterowce, które już zaczęły rodzić na świat pierwsze aeroplany, błyszczące srebrnymi refleksami na tle poczerniałego od ptactwa nieba. Największy ze sterowców zakołysał się lekko i po chwili zmienił w kulę ognia i żelastwa.

Żołnierze obejrzeli się z przerażeniem na tak nagle utracony zeppelin. Ktoś przeżegnał się i upadł na ziemię w szoku.

Samoloty otworzyły ogień. Tnące ostro karabiny zaczęły strącać pierwsze stworzenia z nieba, zsyłając ku ziemi deszcz krwi i czarnych wnętrzności.

Sęp utkany z jednolitej masy koloru zgniłej wiśni upadł obok nogi Knothego i zaskrzeczał jeszcze. Z dzioba stwora wypłynęła struga gęstej cieczy, wydobył się krótki jęk, a zaraz kapral przydeptał łeb dziwadła ciężkim buciorem.

Brama wewnętrzna rozwarła się z przeciągłym jękiem, przebijającym się wśród kanonad i porykiwań zwierząt. Dziesięciometrowe wrota wznieciły podmuch wiatru i zastygły w bezruchu.

Ze środka wypadł galopem oddział kawalerii, a wraz z nim łopoczące kolorowo proporce i klangor szabel. Z żołnierskich pasów zwisały wiązanki kanciastych granatów zapalnych nowej produkcji.

Zaraz za kawalerią wystąpiły pierwsze dywizje pancerne, które ściągano do międzymurza także pozostałymi bramami, choć wolniej. Między machinami przeciskały się niebezpiecznie oddziały piechoty, pędząc w nieskoordynowanych formacjach.

– Ty, z miotaczem! – krzyknął oficer, wskazując palcem na niedawno przydzielonego żołnierza, który stracił cały swój szwadron – Pilotowałeś, tak?

Knothe przytaknął bez słowa.

– Umiesz pilotować pięciometrowego dwukrokowca?

Znów przytaknięcie.

– Szermierkę pancerną znasz?

– Dam radę – dodał niepewnie Knothe.

Ostatni raz maszynę kroczącą do walki w zwarciu prowadził za czasów, gdy ręce miały pięć pozycji, z czego domyślnie były ustawione na szarżę z bagnetem.

– To odkładaj to żelastwo, zdejmuj butle i zapierdalaj na dół! – dowódca wyszczerzył się paskudnym grymasem, jego błękitne oczy świeciły niezdrową ekscytacją. – Będziesz husarzem, cieszysz się?

Niedługo potem Heinrich próbował rozprostować ramiona w przyciasnej kabinie o kształcie stożka. Nadal nie zdjął płyt pancerza, więc co rusz zahaczał barkiem o któryś z wystających elementów kokpitu.

– Idź pod samą bramę, tam was ustawią – zapewnił jeden z koordynatorów przed przydzieleniem Knothemu maszyny.

Niedobory w kadrach i święto wynikające z egzekucji prowodyra nieudanej rewolucji poskutkowały tym, że na północno-wschodnim odcinku muru było więcej maszyn niż pilotów. Nie brakowało młodocianych samobójców z przymusowych poborów, ale dla nich dowództwo przeznaczyło zaszczytną rolę stawienia czoła horrorom osobiście.

Knothe zacisnął mocniej dłonie na drążkach i postawił pierwszy krok. W ostatniej chwili wyhamował, zachwiał się i złapał równowagę dwustawowymi rękoma, które od łokcia do dłoni były po prostu dwu i pół metrowymi ostrzami.

– Gówno, kurwa mać – zapieklił się pilot i postawił kolejny krok w podcieniu gargantuicznej bramy. – Który pieprzony debil wymyślił taki model, ja pierdole. Jeszcze, żeby to miało chociaż jeden karabin, wyrzutnie, cokolwiek kurwa.

Heinrich spojrzał z wnętrza kabiny, jak jego masywny pancerz robi krok za krokiem, wgniatając mocno trójpalczaste stopy w ostatnie metry asfaltu. Zaraz przekroczył bramę, wątły promyk światła przesączył się przez żywą chmurę ptaków i zalał międzymurze.

W czasie, gdy przygotowywał się do wymarszu, pas agrarny zmienił się klepisko, przez które maszerowały już setki maszyn kroczących, ściągający z wszystkich dzielnic Warszawy. Nawet nie wiedział, że w Warszawie było tylu żołnierzy.

Szedł powolnym, koślawym krokiem po ubitej drodze, spoglądając co rusz na piekło, jakie miało miejsce na niebie i na mur zewnętrzny, z którego co sekundę dobiegały dziesiątki

wybuchów i ryków. W pewnym momencie odezwał się skowyt tak potężny i przeszywający, że Knothe zapomniał odciągnąć kolana i omal nie przewrócił się na brzuch.

Tysiące żołnierzy rozstawiały prymitywne barykady z worków z piaskiem, które przynosili na wozach, zaprzęgniętych w konie. Ostatecznie same wozy też stawały się elementem fortyfikacji.

Masywne, pięciometrowe młoty o długich pyskach luf i krępych skrzydełkach stanowisk karabinierów, rozstawiały się dwurzędami tak, by móc strzelać równocześnie. Karabiny pruły sporadycznie do ptaków, choć na razie większość z Karmazynowych zwierząt nie próbowała wdać się bezpośrednio w walkę.

Po polu bitwy kłusowały liczne traszki, obsługiwane przez dwie siedzące nad sobą osoby, z których jedna była pilotem, a druga obsługiwała obrotowe gniazdo karabinu. W tym przypadku nieruchome lufy pilota mogły się nadawać jedynie do ognia zaporowego, więc to strzelcom z góry przypadło zadanie odławiania wrażego lotnictwa.

Gdzieniegdzie stawiały się w heksagony wróble, te dla rozróżnienia jednoosobowe i z możliwością podnoszenia obu luf karabinów maszynowych wedle widzimisię pilota. Co chwila któryś z drobnych, bagatela trzy i pół metrowych pancerzy trzaskał serią w przelatujące nisko stworzenia Karmazyny.

Knothe wypuścił szybciej powietrze nosem, rozbawiła go myśl, że wróble przez jeden moment były dominującymi ptakami drapieżnymi. Zaraz jednak humor gdzieś zniknął, gdy nad nim zakotłowało się kilka wronowatych stworzeń.

– Rozumiem, myślicie, że umrę i będziecie ucztować na moim truchle – powiedział jakby sam do siebie i pokiwał głową w zamyśleniu.

Raptownym ruchem chwycił dźwignię po prawej, pociągnął z całej siły do siebie, po czym chwycił następną, zwróconą pod innym kątem i również popchnął do maksimum.

Ogromne ramie Husarza wygięła się do nieba, łokieć wyprostował się i lecący po łuku ostrze przecięło w pół jednego z ptaków. Reszta stworzeń Karmazynu rozpierzchła się na boki, wracając do bezpiecznej formacji pod chmurami.

– No to kurwa spróbujemy.

Kilku żołnierzy, którzy rozładowywali obok skrzynie z amunicją i ustawiali zasilany taśmowo karabin, zaśmiało się głośno, dając do wiwatu. Knothe wyszczerzył się spod brody, przytaknął zza błyszczącego, pancernego szkła.

Knothe zaśmiał się wreszcie głośno, sam do siebie, poczuł adrenalinę, jakiej nie miał w sobie od tak dawna. Naparł mocniej na drążki, pociągnął z powrotem, znowu naparł, wykrok, wyprost, dociągnięcie ciała, uniesienie wolnej nogi i wykrok z pięty. Nim się obejrzał, biegł, pędził na złamanie karku.

Dookoła tańczył kolorowy pejzaż szykującej się na spotkanie z wrogiem armii, on jednak już na to nie baczył. Przez moment wspomniał jeszcze, że miał zadanie przed sobą, ale przecież nawet nie był z tego szwadronu, więc co mogli mu zrobić? Miał to już absolutnie gdzieś, liczył się on, ważący dobre dwadzieścia ton Husarz i zew polowania.

Wtedy oślepił go blask. Odgłos wybuchu był ogłuszający nawet w kabinie. Dziesięciometrowa brama muru zewnętrznego zgięła się jak harmonijka i pofrunęła w dal, orząc ziemię.

Ludzie łapali się desperacko czegokolwiek, by zaraz roztrzaskać się wśród osuwającego się gruzu. Kilka maszyn kroczących próbowało jeszcze uciec od padającego deszczu głazów. Jeden z Wróbli rozpędził się, minął stanowisko przeciwlotnicze i nagle padł na ziemię, gdy w plecy uderzył go wielotonowy kamień, pokryty Karmazynową breją.

Machina zmieniła się w stertę stalowego gruzu, z której dobiegał cichy jęk. Dookoła rozkruszonej szyby pancernej przelewały się strumyki cieknącej z wnętrza krwi.

Kamienny łuk runął zaraz po wyważonej bramie, nad którą stał. Jedna z ogromnych armat strzeliła jeszcze ostatni raz, nim utonęła pośród bezmiaru odłamków, pyłu i Karmazynowej masy.

Knothe otworzył usta szeroko, nie mógł się ruszyć, widząc, jak zza bordowej chmury ewaporowanej krwi i kruszonego betonu wygląda na świat kilkudziesięciometrowy gad o sześciu, Karmazynowych oczach.

Gigantyczny stwór miotnął nielotnymi skrzydłami, machnął trzema ogonami jak przedziwna chimera i dał z siebie głos, który drążył mózgi do samego rdzenia. Nie był to głos przekonujący, żadna retoryka czy kolejna próba kuszenia lub rozejmu.

To był ryk, który łamał serca i odbierał nadzieję.

Heinrich przełknął z trudem ślinę, zacisnął zęby i pchnął dźwignie, zmuszając stalowe nogi rycerza do biegu. Jego własne odmówiłyby posłuszeństwa.

* * *

Plac pokrył się gęstą zawiesiną pyłu i kołtunem dymu. Grad kostek brukowych posypał się we wszystkie strony, tnąc kolorowe fasady kamienic. Wreszcie podniósł się tuman kurzu, toczący swój garb aż do Podwala.

– *Mówiłem ci, że to na nic*– z wnętrza ciemnej chmury dobył się głęboki, przenikliwy głos, bliźniaczo podobny do poprzedniego.

– Warto było spróbować, zawsze jest czas na przebaczenie – odpowiedział sam sobie ów głos.

Na gruzach nadal stała wielometrowa sylwetka pseudo-człowieka zbitego z woskowatej brei. Nie poruszył się nawet minimalnie.

Dookoła zebrały się setki różnokształtnych, lalkowatych stworzeń. Większość trzymała się w pionie, choć niektóre lgnęły do ziemi i sunęły na czterech, chwytnych łapach. Ktoś zaskrzeczał głośno i rozpoczął chaos.

Przemienieni mieszczanie rzucili się we wszystkich kierunkach, tratując przeszkody na swojej drodze. Chwytali za ostre i ciężkie elementy, rzucali nimi jak małpy. Kilku Karmazynów wskoczyło na siebie niby akrobaci cyrkowi i wyrzucili pojedynczy ludzki pocisk w kierunku najbliższego Rysia.

Karmazynowa sylwetka zderzyła się z pancernym szkłem kabiny. Pazurzaste pięści zabębniły raz po raz w szkło, po czym jedna z nich zgęstniała. Palce złączyły się ze sobą lepką błoną, zawirowały jak glina na kole garncarskim i przeformowały w szpikulec. Kolec żgnął tam, gdzie widniała twarz zamaskowanego pilota. Szkło pękło.

Machina uniosła owiniętą gumowymi nakładkami dłoń i chwyciła napastnika za kark jak matka niesforne kocie. Trzasnął łamany kręgosłup i marionetka opadła na ziemię bez życia. Jedynym śladem jej działania był zostawiony cienki otwór we wzmocnionym wizjerze.

Ruszyły następne kukły.

Seria puknięć przetoczyła się po polu bitwy. Granatniki zaczęły obdarowywać wszystko wokół kolumny Zygmunta puszkami gazu łzawiącego. Siwa, szczypiąca mgiełka poniosła się po okolicy, nie robiąc krzywdy ani napastnikom, ani opancerzonym obrońcom. Tylko kilku nieroztropnych mieszczan uciekało teraz z łzami w oczach.

– *Odezwij się chociaż Józefie, porozmawiaj* – zarzekł się jeszcze raz król marionetek, postępując krok przed siebie.

Postać nagle zgięła nogi i wyskoczyła na kilkanaście metrów w górę. Wyglądało to, jakby w ułamku sekundy zmieniła zdanie. Jeszcze przed chwilą ruszała się gładko, swobodnie zbliżając się do marszałka. Teraz leciała wysoką, krótką parabolą przez zasnute dymem i ogniem niebo.

W chwili wyskoku zagrały Samsony. Jednocześnie dyszle uchyliły się i zalały plac oszczędnym bluzgiem Rosenberpanu. W leju po lądowaniu olbrzyma zawrzał bulgoczący kocioł płynnego inferno.

Sylwetka spikowała z nieba, wystawiając piętę. Wysokie kopnięcie zgilotynowało jednego z Samsonów w pół. Na tym jednak Karmazynowy napastnik nie poprzestał. Odskoczył natychmiastowo, zanim jeszcze zbiorniki Rosenberpanu na plecach miotacza, mogły zająć się ogniem.

Zadudniła seria karabinów z okien. Żołnierze w maskach przeciwgazowych lali gęsto ołowiem, próbując trafić głównie największego ze stworów. Jeden ze strzelających wsunął karabin przez ramę okienną do pomieszczenia i po chwili wychylił się, dzierżąc jajowaty kształt. Granat pomknął płasko.

Wybuch włączył się w ogłuszającą kanonadę wydarzeń na placu, Żoliborzu i innych skupiskach harmidru, które rozgrywały się w całej stolicy, aż po mury zewnętrzne.

Deszcz ostrego żelaza po raz kolejny zrosił teatr zmagań, zmieniony nie do poznania. Nie było już kawałka nienaruszonej ściany, czy niestłuczonego okna. Stołeczny plac zamkowy przypominał krajobraz po nalocie.

Kolumna Zygmunta dalej pięła się dumnie, machając liną przy podmuchach wiatru. Skazana wciąż balansowała na stołku, zasłonięta obstawą marszałkowską. Gdyby nie ta dogodna okoliczność, już dawno egzekucja nie byłaby potrzebna.

– Po prostu z nami porozmawiajcie! – zakrzyczała Alicja w niewzruszone, stalowe plecy pilotów.

Jeden z Samsonów runął na ziemie, przygnieciony przelewającymi się ciałami dziesiątek napastników. Nawałnica zadziorów z uporem próbowała przebić kabinę sterowania, by wreszcie wywlec ze środka pilota i naszpikować go rzędami cienkich otworów.

Kolejne pełzające stworzenia zaczęły wdrapywać się po naczółkach w górę kamienic. Kilkanaście Karmazynowych lalek wspięło się po kolumnadzie, dobudowanej do zamku królewskiego. W końcu pierwsi z grabieżców dostali się do samego wnętrza.

Serie z karabinów maszynowych zaczęły przetaczać się po wnętrzu byłej, marszałkowskiej siedziby. Ktoś rzucił granatem, kalecząc postacie świętych, wymalowane na nawie. Runęła nawet jedna z kolumn, przewrócona siłą szarży Karmazynowej łątki o dziwacznie szerokim czole.

– Kochanie, idę po ciebie! – wykrzyczał król marionetek.

– Izuś? – spytała skazana z niedowierzaniem, uśmiechnęła się z ulgą, po czym mina zastygła jej w nagłym przerażeniu. – Co ty do jasnej Anielki robisz?!

Izydor zbliżył się do niższego od siebie Samsona, wykonał zwód w lewo, prawo i znowu w lewo. Ciało mijało się co rusz ze śmiertelnie groźną lufą miotacza Rosenberpanu. W pewnym momencie przykucnął, chwycił za nadgarstek nieuzbrojonej ręki maszyny kroczącej i obrócił się znienacka.

Samson pociągnięty nagłym ruchem fiknął nad mięsistą sylwetką, zupełnie jakby nic nie ważył. Zbiorniki substancji łatwopalnej zderzyły się z ziemią. Trzasnęły siłowniki, gumowy wąż odłączył się od pleców leżącej machiny i zaczął oblewać wszystko dookoła płonącą substancją.

Rosenberpan lał się litrami na wszystkie strony. Domy, kolumnady, fasada pałacu, napastnicy, obrońcy. Nawet siedzący u szczytu, niewzruszony orzeł bielik został obsmarowany kleistą masą. Król marionetek zaśmiał się, nie wiedzieć do kogo.

Obity oznaczeniami dowódcy straży Samson wysunął się przed marszałka i wystawił dyszle miotacza.

– On to zrobi – pomyślał Izydor.

– *Polacy są bardziej szaleni, niż to zaplanowaliśmy* – odpowiedział głos w jego głowie. – *Ale spokojnie, przecież nie zabije nas wszystkich, prawda?*

Władca marionetek błyskawicznym ruchem wyciągnął ręce w adekwatnym geście. Przez moment mierzyli się wzrokiem jak rewolwerowcy w godzinie pojedynku. W tle nadal gorzała pożoga.

Izydor wiedział, że jeśli ostatni ocalały Samson włączy zapalnik, wszyscy umrą. Żadna ilość ochrony nie przetrzyma na tym obszarze wycieku z czterech zbiorników Rosenberpanu. Jeszcze była kwestia pozostałych, leżących Samsonów, z których większość była nadal pełnymi cysternami płynnej śmierci.

Z drugiej strony pilot Samsona powinien być świadomy ciężaru, jaki spadłby na niego w przypadku podpalenia. Śmierć marszałka załamałaby opór mieszkańców i Warszawa mogłaby upaść jeszcze tego samego tygodnia, może nawet dnia. Nawet Izydor nie był pewien, jak wielkie siły Karmazyn zebrał poza obrębem murów i wewnątrz.

Sanata bezszelestnie zbliżył się do przywódcy straży i położył mu dłoń na ramieniu. Machina niezręcznie, nieco sztywno cofnęła się pod kolumnę. Ogumiona łapa przejechała po dźwigni mechanizmu wieszającego.

Marszałek nie wypowiedział ani słowa. Piloci w orlich hełmach pracowali jakby sami byli maszynami, w jednakowej, syntetycznej harmonii. Przyjęcie postawy szermierczej trwało ledwie mrugnięcie najczujniejszego oka.

– *Zawsze byliście takimi tradycjonalistami* – odpowiedział z pewnym uznaniem podwójny głos marionetkarza.

Lewa dłoń istoty zaczęła przelewać się, kłębić, gnieść i formować na nowo. Wyglądało to nadal jak praca w glinie, którą ktoś lepi na bieżąco. Ledwie kilka sekund później paliczki złączyły się ze sobą, zgięły dwa razy i rozszerzyły. Prawa dłoń wyciągnęła się w długi, ostry szpikulec, który zaraz zakręcił lekko do góry.

– Zapraszam czcigodnego marszałka – szepnął Izydor, unosząc w gardę dłonie zmienione kolejno w obuch i sierp.

Sanata rzeczywiście posłuchał. Siłowniki sunęły gładko, szybko i nieuchwytnie dla ludzkiego oka. Ośmiometrowa machina ruszała się jak atleta u szczytu formy. Ruchy były pewne, wymierzone i niezawodne.

Płonąca szabla zafurkotała palnikami. Spadła z góry, pod kątem, wygięła się i cięła z boku. Znowu machina zgięła plecy, pochyliła szklaną głowę z nieruchomym marszałkiem do przodu i wykonała trzy jednoczesne pchnięcia.

Izydor nigdy nie był dobrym szermierzem. Zdarzało mu się pojedynkować jedynie w akademii na obowiązkowych zajęciach. Unikał menzur w korporacjach akademickich, ale teraz cóż, miał okazję walczyć z prawdziwym mistrzem wśród instruktorów.

Oczy z dodatkową dawką zakończeń nerwowych nie były tak ograniczone jak zwykłe, ludzkie oczy. Ruchy Sanaty mogły być oszałamiająco imponujące dla obserwatorów, ale dla samego przeciwnika jedynie godne uznania i szacunku.

Mięśnie antagonistyczne ciągnęły ciało z potężną siłą, dosłownie rwąc kończyny. Tam gdzie szabla miała sięgnąć Karmazynowych mięśni, ziała pustka na moment przed uderzeniem. Skóra uginała się, rozpuszczała, zbierała na boki i puszczała ostrze przez wytworzoną, wolną przestrzeń.

Wreszcie marionetkarz nie wytrzymał tempa, odskoczył na moment. Widzenie sakkadowe zarejestrowało mrożący krew w żyłach ruch, tam gdzie nie powinno go być – u szczytu szubienicy.

Ciało skazanej szarpnęło się w konwulsjach pod samym szczytem kolumny. Orzeł sfrunął z korony byłego króla Polski i zakołował nad wiszącą, strzepując ze skrzydeł kropelki białego Rosenberpanu.

– Głos, Alicja! – krzyknął Izydor, wyciągając ręce do góry, ku własnemu zdziwieniu.

Dłoń-młot dosłownie wystrzeliła w powietrze i zakręciła bez powodu. Bryłowaty kształt rozłożył się w płaski płat z jednym, czerwonym okiem. Karmazynowy pocisk posunął po nieboskłonie i zderzył się z orłem.

Bielik zaskrzeczał i z wizgiem poleciał w dół, gubiąc pióra.

Czerwony kształt samemu zaczął przypominać jednookiego orła. Przysiadł u szczytu szubienicy, rozciągnął się jak wąż, zsunął po linie i oplótł skazaną ciasnym kokonem. Masa Karmazynowego ciała zmieniała się w zaskakującym tempie, ale jednocześnie Murykiewicz zdawał się czuć coraz bardziej zmęczony z każdym ruchem.

Izydor zamrugał zdziwiony, na moment stracił Sanatę z oczu i po chwili poczuł, że był to błąd.

Lewa ręka marionetkarza pokoziołkowała w powietrze, ścięta płonącą szablą. Tkanka Karmazynu skręciła się, zwiędła i obrosła w czarny kikut ramienia.

– *Mówiłem, byś trzymał się z dala od tego!* – zaryczał głos, dając po sobie poznać strach. – *To nie odrasta!*

Murykiewicz ugiął kolana i sieknął sierpowatą ręką od góry. Lewy kikut wygiął się za plecy i ułożył nad kością ogonową jak u szachisty.

– Czyli jednak szermierka, Boże jak ja tego nienawidziłem – zaśmiał się Izydor, próbując zamaskować strach.

Sierp wyciągnął się, wydłużył do prawie trzech metrów i porósł ostrymi zadziorami. Przez moment rzeczywiście próbował uformować się w coś zbliżonego do szabli. Ostatecznie jednak marionetkarz prychnął rozzłoszczony i pozostał przy formie długiego szpikulca.

Walka była nierówna. Co rusz Wysocki wyprowadzał doskonałe cięcie szablą, mając nadzieję, że już za moment sięgnie przeciwnika. Tak się jednak nie działo.

Szabla ziała Rosenberpanem bardzo oszczędnie, będąc w stanie użyć jego właściwości tylko przy bezpośrednim trafieniu. Takowe trafienie udało się Wysockiemu uzyskać tylko raz,

gdy marionetkarz już rozstępował breję na swojej szyi, by przepuścić ostrze dalej. Jednak szermierz nie celował w szyję.

Broń zjechała nagle w dół i rozdarła płytko pierś przeciwnika wzdłuż mostka. Długa, cienka szrama czerni rozlała się po ciele. Zapachniało ozonem i palonym mięsem.

Przystojna twarz spod orlej maski uśmiechnęła się zawadiacko. W pewnym momencie nawet podniósł dłonie z drążków, by pomachać do chwytającego się rany stworzenia.

Izydor wyszczerzył się rzędami samych kłów.

Marionetka skoczyła naprzód, przekoziołkowała i kopnęła piętą z góry wprost w Sanatę. Prawe ramie pojazdu kroczącego wygięło się nienaturalnie w drugą stronę. Zgrzytnął metal, jęknęły siłowniki i trysnął olej napędowy.

Szabla przekoziołkowała tuż nad ziemią, zderzyła się z kocimi łbami i potoczyła dalej, by wreszcie zgasnąć wśród bezmiaru złomu i gruzów. I tak nie wystarczyłaby Wysockiemu na długo, wszak była to broń ozdobna. Nikt nie pomyślał nigdy, że ktoś mógłby uprawiać szermierkę pancerną z marszałkiem.

W mgnieniu oka dłonie szermierza ponownie znalazły się na drążkach, ale było to bez znaczenia dla Murykiewicza. Teraz jego przeciwnik był pozbawiony jedynej groźnej broni.

Machina obróciła się nagle i niespodziewanie na moment zwolniła i z impetem ponownie zwróciła się do lalkarza, dzierżąc coś w drugiej dłoni.

Solidny kawał stali i szkła poszybował w kierunku Izydora. Ten ledwie zdążył wyprostować ramię przed siebie. Kabina jednego ze zgniecionych pojazdów przybocznych nabiła się wprost na wystawiony zadzior. Marionetkarz jęknął ciężko i przewrócił się, nie mogąc zatrzymać impetu.

Otworzył oczy, by dostrzec wgapiające się w niego dyszle Samsona kapitana gwardii.

– W imię ojca i syna… – zaintonował pilot Samsona.

Izydor nie czekał na koniec formułki. Chwycił za lufę, wygiął w bok i kopnął bezpardonowo maszynę w miejsce, gdzie powinna być u człowieka pachwina.

Ludzki odruch okazał się być nie dość skuteczny w zastosowaniu na maszynie. Pojazd zatrząsł się, ale nie zgiął. Siłownik lewego uda wyskoczył ze swojego miejsca i prysnął sprężonym powietrzem. Osadzające się kropelki zrosiły zewnętrze kabiny pilota.

Marionetkarz kopnął ponownie, tym razem wyżej – w nasadę kabiny. Zadźwięczało szkło, posypała się garstka odłamków. Ktoś strzelił z okna, celując już nie w coraz mniej liczne na placu stwory, a w samego Izydora.

– Z mojej perspektywy – warknął w myślach Murykiewicz, kopiąc ponownie w to samo miejsce. – Ta kabina nigdy nie była tak wytrzymała.

Wreszcie pancerz trzasnął niespodziewanie, wygiął się i pozwolił oszkleniu wyskoczyć z szyn. Kokpit był otwarty na oścież, ukazując pełne nienawiści spojrzenie kapitana gwardii.

Niespodziewanie zagrzmiał oficerski Bilon. Kula rozdarła lewe oko marionetkarza, jednak on sam nie zareagował na to.

Dłoń Karmazynowego stworzenia wyskoczyła i nanizała gwardzistę jak mięso na szaszłyk. Po chwili Izydor odsunął od siebie Samsona kolanem i uniósł trofeum na dziesięć metrów w górę.

– *Chwała rewolucji!* – krzyknęło stworzenie przejmująco, niemożliwie wręcz głośno. Słowa poniosły się daleko, hen za linie murów i ugrzęzły w rumorze walk.

Przeszywające spojrzenie marionetkarza zlustrowało arenę walk. Stal, olej napędowy, Rosenberpan, gruz, ogień, krew… Mnóstwo krwi i ognia.

Na moment stężał na twarzy, jakby zdał sobie sprawę z tego co się dzieje. Schody do podwala były czerwone i drobiły strumieniem czerwonej posoki. Okoliczne budynki wyglądały jak skóra chorego na dżumę. Workowate oczy ram okiennych wypatrywały smętnie końca udręki.

– Nędzni jesteśmy – wyszeptał nie wiadomo do kogo, po czym dostrzegł nagły ruch.

Przeszklone plecy marszałkowskiego Sanaty błysnęły w promieniach słońca. Wódz narodu rejterował wzdłuż pierzei ulicy, aż do niedawno przebudowanego mostu Aleksandrowskiego. Gdzieś pod mostem przepływał właśnie parostatek, zatrzymany w pół rejsu na park Młociński.

Marionetkarz szarpnął się, wbił stopami w zwęglone resztki kawalerzysty w paradnym mundurze i zamarł. Nagle usta rozwarły się, wykrzywiając na zmianę w dwa grymasy.

– *Jak ty?*

– Alicja.

– *Przecież nam ucieknie!*

– Więc im szybciej ją przechwycimy, tym lepiej. W końcu po to tu przyszliśmy w pierwszej kolejności, prawda?

Izydor zakręcił się na jednej nodze, ugiął kolana i wyskoczył sprężyście w górę. Na moment chwycił się wysokiego, solidnego stelaża szubienicy, zakręcił i przysiadł u zwieńczenia jak gargulec.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptało czule monstrum, chwytając Karmazynowy kokon i wlepiając go sobie między łopatki.

Zachrzęściło mięso, trzasnęły kości. Czerwony guz po chwili wrósł w kręgosłup stworzenia, wystając na świat już tylko jedynie drobnym wzgórkiem.

Pan marionetek nie czekał dalej, od razu pognał między połamanym skwerem kasztanowców na placu i skoczył w szeroki kanion kamienic. Dyszał czerwoną parą i jakby ruszał się nieco ostrożniej, może nawet ociężale.

– Boli – mruknął Izydor, przymykając na moment oczy.

– *Wojna ma boleć. Zawsze boli wszystkich*.– odpowiedział sam sobie.

– Z mojej perspektywy to zawsze było prostsze.

– *Z naszej nigdy. Jest mi szczerze przykro, że kładziemy na tobie taką odpowiedzialność. Wiem, że się boisz.*

– Nie boję się, jestem przyzwyczajony do ryzykowania.

– *Boisz się, że zaraz wyrosną nam rogi i historia zapamięta cię, jako zdrajcę.*

Izydor kiwnął głową w biegu, spoglądając dodatkowym okiem z tyłu głowy na mijane fasady kamienic, gdzie trwał pożar. Mieszkaniec krzyknął niepomiernie głośno i zaczął

ewakuować się z drugiego piętra przez okno. Oko mrugnęło na moment i uciekiniera już nie było na parapecie.

– Bardzo się boję. Zwłaszcza się boję, że nie rozumiem nadal wielu rzeczy.

– Szczegółów technicznych. Będziemy mieć czas na rozmowy, przysięgam.

– Obiecaj mi, że Alicja będzie miała jeszcze czas, a mi to wystarczy.

Marionetkarz biegł jeszcze bez słowa i wyskoczył za róg żółtej, neoklasycystycznej zabudowy hotelu. Sanata przekraczał właśnie most, po którego drugiej stronie ustawiony był kordon wojsk, zasłonięty barykadą.

– *Przysięgam* – mruknął ciepłym tonem Głos.

– To mi wystarczy – sapnął i stanął w rozkroku u wejścia na przeprawę.

Igłowata dłoń zaostrzyła się na boku, wygięła do spalonego Rosenberpanem ramienia i cięła od góry. Kawał spalonego Karmazynu odpadł natychmiast, wypuszczając zlepki czerwonego, świeżego wosku.

– *Spalona Karmazyna nie odrasta* – szepnął Głos w głowie. – *Masz swoje szczegóły techniczne kapitanie.*

Postać zarżała jak ranione zwierzę, spięła się i przypadła na trzy łapy. Po chwili z lepkiego kikuta wyrósł pęd kości, obrastający natychmiastowo mięsem, żyłami, tętnicami, kapilarami i skórą.

Kark humanoida obrósł gęsto długimi, cienkimi mackami. Szczęka wydłużyła się, porosła dodatkowymi kłami i kilkoma czułymi wąsikami. Tylne łapy przygięły się nieco, stężały i napuchły. Wreszcie masywny, sprężysty ogon, zakończony kępką włosów wyskoczył z nad miednicy. Trzy pary szkarłatnych źrenic zlustrowały świat.

Karmazynowy lew zaryczał i spiął się do skoku.

– Jeszcze nie. Niech podejdzie bliżej – cicha komenda dowódcy dobiegła z barykady aż do czułych uszu drapieżnika. – Moment… Niech podejdzie bliżej… Teraz!

W momencie krzyku, Izydor już był gotowy. Wyskoczył w górę, nie był pewien, czy to on sterował dziwną, nową formą. Jednocześnie było w tym wszystkim coś bardzo swojskiego, pierwotnego. Wiatr zafalował bujną grzywą i ochłodził pysk.

Karabiny Fieldorfa zamruczały w oddali, puszczając rój ołowiu po asfaltowej nitce mostu. Puknęła cicho rusznica, zaraz znowu, albo to była druga – spóźniona. Wreszcie coś zasyczało jak przyczajony wąż – miotacz Rosenberpanu.

Most zapłonął białym światłem, konturując kocią sylwetkę na tle zasnutego sznurami dymu i rojami ptactwa nieba. Płomienie zaryczały ogłuszająco, a po chwili Lew wszedł z nimi w polemikę, przyprawiając obrońców o drżenie rąk.

Masywna, wielotonowa sylwetka Karmazynu opadła do ziemi, przygniatając dwóch żołnierzy z karabinami. Ktoś przytomnie wyciągnął pistolet, przyłożył do boku kota i strzelił kilka razy, zostawiając płytkie dziury, zatkane ołowianymi kulami. Świsnął wbijany w łapę bagnet liściasty.

Kot machnął ogonem, łamiąc żebra oficera dowodzącego. Stanął na dwóch nogach, objął wzrokiem barykadę i zleciał pyskiem wprost w obsługę miotacza ognia. Trzasnął łamany kark celowniczego. Ktoś krzyknął przejmująco, skacząc do rzeki.

Sanata biegł dalej.

Izydor nie pozostawał dłużny. Zostawił za sobą przetrzebioną barykadę obrońców i pognał przed siebie. Już chwilę później usłyszał dwa nowe ryki, dołączające do wszechobecnego chóru miasta.

Z nowymi, kocimi uszami Warszawa była jak silnik pracujący na najwyższych obrotach. Bombardowała różnorodnymi dźwiękami z każdej strony, nie zostawiając przerwy nawet na najkrótszy odpoczynek od rozgardiaszu.

– Myślisz o tym o czym ja myślę?

– *Interesujące.*

Murykiewicz prześlizgnął się jak impuls z mózgu przez kark aż do zakończeń nerwowych u nasady pleców. Momentalnie wyrósł na światło dzienne, zyskując wzrok z nowej perspektywy. Jego ciało, zanurzone do pasa w lwie, wystawało na świat.

Na moment zacisnął usta, przymknął nowonarodzone oczy i skupił się na niewymiotowaniu. Dłuższy moment zajęło mu to, ale wreszcie otworzył powieki po raz kolejny i uświadomił sobie, że rzeczywiście wystaje z pleców biegnącego lwa i obserwuje wszystko od tyłu.

Dwa motocykle Kuna z dodatkowymi przyczepami na gniazda karabinów, jechały tuż za stworzeniem. Kierowcy próbowali oflankować kota, ale nie mogli wymanewrować między chylącymi się do siebie fasadami wąskiej alei. Wreszcie jeden z nich zaryzykował, przyśpieszył i pozwolił przycelować strzelcowi niemalże z przyłożenia.

Izydor odruchowo wystawił ręce przed siebie. Dłonie rozszerzyły się momentalnie, załaskotały i wygięły w łuk. Palce splotły się ze sobą na przemian i uformowały coś na kształt prostokątnej tarczy, poprzeplatanej sinymi żyłami.

Kanonada pocisków zagrzmiała z ogromną siłą, zmieniając zasłonę Izydora w sitko. Rykoszety odbijały się od ścian, tylnych łap stwora, osłon motocykli i wszystkiego, co stało im na drodze.

– *Włóż w to więcej masy!*

Murykiewicz skupił się na sobie, odetchnął i wyobraził jak, palce gęstnieją, nawarstwiają jedne na drugie. W końcu cienka, kościana powłoka półprzezroczystej kości pokryła zewnętrze coraz większej tarczy i zasłoniła sylwetkę lwa od głowy, aż po pięty.

Naboje wbijały się w powłokę i grzęzły w niej natychmiastowo. Strzelec puścił spust, nie widząc efektu.

Izydor odetchnął tylko na moment i zrozumiał, że właśnie skończyła się aleja kamienic i zaczął rozleglejszy plac z zielonym rondem.

– Lew… Lew!

– *Czego?!*

– Biorą nas z obu stron!

– *To zrób coś, ja gonię tego maratończyka!*

Kapitan rozejrzał się na boki. Dookoła było mnóstwo wolnej przestrzeni. Zabetonowany plac pokryty był rzadkimi klombami, skwerkami, ławeczkami i budkami drobnych handlarzy. Na środku stał piedestał, na którym opierał się dwunastometrowy Jan trzeci Sobieski z tandetnymi, anielskimi skrzydłami z bazaltu.

Jedna z Kun już zrównywała do lewego boku lwa, przeskakującego nad wózkiem kwiaciarki. Lufa karabinu maszynowego wlepiła chłodne oko w jego odsłoniętych kark.

Izydor wygiął cudaczną tarczę Karmazynu i zamachnął się nią niespodziewanie. Kierowca motocyklu spadł, strącony uderzeniem. Maszyna przejechała jeszcze kawałek i rozbiła się o wyniosły dąb.

Stworzenie zachwiało się, przychyliło do ziemi, upadło i przetoczyło. Wymach Izydora zaburzył balans biegu i Karmazynowy twór nie wytrzymał tempa. Przez moment lew próbował jeszcze wstać, gdy nagle nadjechała druga Kuna i zaczęła niespodziewany, choć niezbyt celny ostrzał.

Rój pocisków wbił się w nagie podbrzusze, prawe łapy i głowę stworzenia. Lew zaryczał przejmująco, załamał głos i zaskowyczał. Jeden z pocisków szarpnął skalpem kota, odrywając kawał grzywy. Rój cienkich włosów zawirował na wietrze.

Murykiewicz zakręcił się, wystawił skrzydło–podobną tarczę do motocykla i zamarł. Grad ołowiu nie ustępował. Taśmowo podawana amunicja wydawała się nie kończyć. Tkanka kości i mięśni dosłownie gięła się pod naporem, aż wreszcie nastąpił przełom.

Nagle ciało lwa uniosło się, zabulgotało i wystrzeliło kanonadą długich, grubych igieł. Kierowca i strzelec natychmiastowo przywarli do ziemi, przyszpileni Karmazynowymi pociskami. Igły zaraz po tym spłynęły po ziemi z powrotem do ciała lwa jak robaki, czmychające w strachu do kryjówki, gdy ktoś je odkryje.

– Chciałem ich obezwładnić!

– *A ja chciałem, by nas nie zabili* – odwarknął sobie lew, strząsnął z siebie odłamki jak pies rzepy i ponownie puścił się pędem.

W pewnym momencie Sanata zwolnił, niespodziewanie zatrzymał się na moment i skoczył w masywną, marmurową bramę. Znad bramy przyglądał się światu kilkumetrowy, wyrzeźbiony z monolitu orzeł.

– Skoczył w cmentarz Bródnowski.

– *Cóż z tego?* – odparł głos.

– To pułapka, przecież powinien biec dalej ulicą. Większa szansa na napotkanie obrońców, no i łatwiej się biega w pancerzu po asfalcie czy bruku niż w alejkach pomiędzy grobami i ścianami.

Lew na moment zamruczał, zwolnił. Chwilę jeszcze rozglądał się po niskich, pozbawionych kanalizacji czynszówkach. Im dalej od centrum, tym brzydsza była Warszawa. Czasami wystarczyło odejść na kilkaset metrów z lukratywnej, bogatej dzielnicy, by trafić w wynędzniałe, drewniane budy.

– *Po prostu go gońmy.*

Brama ugięła się pod ciężarem kocura. Żelazne pręty pofrunęły na wszystkie strony, strzaskując pomniki i ścinając kamienie nagrobne, gdzieś zadźwięczała wybijana szyba.

– Zbędne zniszczenia.

– *My nie mieszkamy.*

Lew biegł nieco wolniej, bardziej ostrożnie i ciszej. Co chwila mijali jednolite rzędy grobowisk. Większość miejsc pochówku była podłużnymi dziurami w ziemi, przyozdobionymi prostymi krzyżami.

Jeszcze kilka lat temu nie wolno było budować stałych elementów nagrobnych w tej okolicy. Dopiero od niedawna zaczęto stawiać pierwsze ściany pochówkowe dla żydów i pojedyncze kapliczki ku czci świętych, zapewniających wieczny odpoczynek.

Izydor mruknął cicho pod nosem, wciągnął woń. Olej napędowy, krew, pot, adrenalina, Rosenberpan i coś jeszcze… Czuł, jak w powietrzu unosi się jakiś znajomy, choć trudny do określenia zapach.

Gdzieś na granicy wzroku mignęło coś czarno białego. Widzenie sakkadowe posłało setki sprzecznych sygnałów z wielu karmazynowych oczu, rozsianych po ciele stwora.

Murykiewicz spiął się, odwrócił i wyskoczył tak wysoko jak mógł. Gałęzie dębów rozorały skórę, biły po oczach i zasłaniały widok. Wylądował na zaniedbaną gruntówkę za murem i opadł na cztery łapy.

– *Co to było?*

– Złe przeczucia – odwarknął Izydor, obiegając cmentarz.

– *Dobrze, dogonimy go i tak. Nie może uciekać w nieskończoność.*

– Nie, nie może.

* * *

Knothe wiedział, że nie będzie mógł uciekać wiecznie.

Pancerz Husarza zakręcił swoją górną połową, wprawiając ponownie pilota w mdłości. Wystawiając obie ręce i napędzając mechanizm, można było przedrzeć się przez nieprzyjaciół jak szatkownica. Uwielbiana przez Polaków formacja kawalerii robiła z wrogów szaszłyki, a pancerna jednostka ochrzczona tym samym przydomkiem kroiła ich na plastry – postęp.

Smukła sylwetka Karmazynowego kuguara o jednym, trójkątnym oku wyskoczyła wysoko w kierunku kabiny Heinricha. Pazury zatarły o pancerne szkło, pysk zaryczał, oblepiając czerwoną śliną przeźroczystą powierzchnię wizjera.

– Spierdalaj szczurze – warknął Knothe i pociągnął jedną dźwignię do siebie.

Ręka maszyny zgięła się w łokciu z wielką mocą i uderzyła ostrzem o kabinę, tnąc na swojej drodze Karmazyna w pół.

Heinrich rozprostował nieco plecy, odklejając spoconą skórę od koszuli, podrapał się między nogami i włączył wycieraczki. Dwa, przeciwstawne strumienie wody starły po chwili brejowatą masę z twarzy machiny.

Plac boju wyglądał jak piekło. Właściwie to nawet nie, on po prostu nim był.

Knothe co chwila musiał opędzać się od dziesiątek zwierząt, głównie ptaków, chcących wdrapać mu się po stalowych nogach, zerwać płyty pancerza, wyłuskać go jak orzecha za skorupy i zeżreć żywcem.

Niebo było koloru żył kurczaka, które jeszcze ciekną wydzieliną i śmierdzą jak najgorszy kompostownik. Ścierwojady zasłaniały niebo, a między nimi rozciągały się jeszcze chmury drobnych owadów, zalepiających nieraz kraty wentylacyjne maszyn i niemalże gotujących pilotów żywcem w wątpiach ich maszyn.

Heinrich zasępił się na najkrótszą chwilę, widząc, jak biegnie w jego kierunku pięciometrowa lalka, mimikiująca wygląd Husarza. Do ostatniej chwili nie był pewien, czy wyczekuje momentu, by uderzyć Karmazynu, czy po prostu chce już dać się zabić.

Widział już wszystko.

Widział jak przerośnięte narzędzia, utkane w brejowatej woskowiny Karmazyny, wchodzą po nogach rycerzy, używając pazurzastych kończyn, a potem zaczynają przekrzykiwać się nawzajem, że obiecują wieczny raj albo wypatroszą dzieci pilota, jeśli ten nie otworzy kabiny.

Widział posyłanych na śmierć chłopców, którym państwo obiecało chwałę i wolność, a dało jedynie w ręce karabin i osiem minut życia na polu bitwy. Jeden z pilotów nie dokończył cięcia, gdyż przed nim chciał się przeżegnać, zamiast dopchnąć dźwignię i przebić gardło przeciwnika, zapłacił za to własnym życiem.

Karmazyna wygrywała niemalże zawsze. Jakby wszystko było doskonale wyliczonym spektaklem, a oni znali scenariusz. Wróbel strzelał do kilku Karmazynowych psów, obracając się plecami do lalki o rogatym łbie, która obalała go od tyłu, a potem po prostu zgniatała gołymi rękoma jak starą gazetę przed wrzuceniem do pieca.

Było to straszne, bo przecież za ludźmi stały tysiące lat zbrojeń, postępu technologicznego, wybijania się ponad hierarchię zwierząt i używania rozumu, by przezwyciężyć własne ograniczone ciało. A Karmazyna przez kilka lat nauczyła się od nich więcej niż oni od niej.

Na pewno miała ograniczenia, na pewno ją to coś kosztowało, ale to nie miało znaczenia. Wystarczyła chwila, a kilkudziesięciu zarażonych, czy też stworzonych od zera

żołnierzy Wschodu, po prostu łączyło się w jakiś wielki twór. To było coś całkowicie poza możliwościami logistycznymi dowolnej armii, a co dopiero Polski.

Pociągnął do siebie dźwignie w ostatniej chwili. Ostrze poleciało po łuku szybko, niemalże przewracając samego Husarza. Karmazynowa krew chlusnęła strumieniem, wielka lalka zablokowała cięcie własną ręką. Bagnet machiny ugrzązł pośród twardo splątanych mięśni, które już próbowały połamać ostrze.

Heinrich dostrzegł, jak druga ręka lalki wydłuża się w szpikulec i już szykuje do niskiego pchnięcia przeciwnika w brzuch. Przestawił dźwignie, wyciągając drugie ramię przed siebie, po czym kolejna wajcha wyprostowała zgięty łokieć z ostrzem. Oba bagnety spotkały się wewnątrz ręki Karmazyna, urąbując ją za przegubem dłoni.

Pozbawiona ręki lalka mimo wszystko pchnęła nowo utworzonym szpikulcem i przebiła się przez miednicę Husarza. Machina zasyczała niepokojąco, jęknęła przeciągle stalą i skrzywiła się nienaturalnie.

– Cwel – skwitował krótko Heinrich i odepchnął od siebie dwie przeciwległe dźwignie, a potem dwie następne pod nimi.

Ręce machiny zaczęły wznosić się na skos, w przeciwnych kierunkach. Oba bagnety przeszły przez głowę wroga, przecinając twarz, pozbawioną wyrazu.

Lalka opadła smętnie na ziemię, pociągając za sobą kolec, wbity w stalową figurę. Rozpłynęła się na boki, w wielką kałużę i po chwili zaczęła bulgotać, próbując złożyć jakąś formę na nowo.

Przed Heinrichiem zaczęła formować się kolejna lalka, tym razem nieco mniejsza. Zaczęła od głowy w kształcie pięcioramiennej gwiazdy i zaraz zniknęła pod stalowym butem.

– Leż kurwo! – ryknął Knothe, pociągnął dźwignie i znów opuścił, rozgniatając husarską nogą Karmazynowy twór.

Pilot otarł czoło rękawiczką i spojrzał z wnętrza kabiny na gigantyczną sylwetkę gada, która cały czas górowała nad polem bitwy. Dookoła niej fruwały setki drapieżników, po jej grzbiecie biegały najprzeróżniejsze maszkary, które zdaje się ściągały trupy z pola bitwy i wlepiały gigantowi w plecy jak trofea.

Knothe przyjrzał się uważniej i zrekapitulował swoją konstatację.

– Żrą skurwysyny.

Na moment dostrzegł, jak zza wewnętrznego muru leci niskim pułapem eskadra bombowców. Widocznie dali radę w końcu poderwać jakieś posiłki.

Pięć dwupłatowy Rumplerów z silnikami Mercedesa mknęło dumnie przez przestworza, świecąc białymi orłami, które zakrywały oryginalne, niemieckie oznaczenia. Nikt jednak nie zatrzymał się, by w jakikolwiek sposób świętować ich przybycie. Właściwie to trudno było je dostrzec pośród bezmiaru stworzeń, które czerniły niebo.

Wtem wizg, paskudny skowyt, który mroził krew w żyłach. Knothe znał doskonale ten dźwięk. Choć stwory Karmazyny potrafiły być bardzo kreatywne w swoich kreacjach, to nie wszystko ulegało zmianie od razu. Na przykład identyczna była latająca maszkara, która właśnie sfruwała z nieba, by zderzyć się z aeroplanem.

Knothe przełknął ciężko ślinę, ręce zadrżały mu na moment i z niedowierzaniem wgapiał się w tak znajomy kształt sennej chimery, którą spotkał za Skrzyszewem.

Ogromny, podobny do jaszczura o długiej szyi i błoniastych skrzydłach potwór, był dosłownie ulepiony z ludzi, którzy pełnili różne w funkcje, od bycia kawałki budulca, do stanowienia kawałka skrzydła. Tak makabryczny wygląd zapewne nie był przypadkowy.

Wybuch rozświetlił na krótki moment pole bitwy. Ładunek wybuchowy, niesiony przez samolot, wybuchł w powietrzu, spowijając konstrukcję machiny, potwora i załogę w kuli ognia.

Latający jaszczur jednakże po chwili oderwał się od konstrukcji. Jeszcze przez krótki moment ciągnął się za nim dym i tliły mu się skrzydła. Wygiął się, spikował w dół, by ugasić własne ciało i wrócił na odpowiednią wysokość, by dalej nękać pozostałych pilotów.

Wtedy stało się coś z pogranicza tragedii i cudu. Gdy latający gad miał już kłapnąć szczękami i urąbać ogon kolejnego bombowca, sam padł ofiarą ataku z zaskoczenia. Jeden z myśliwców, wypuszczonych przez zeppeliny, wleciał wprost w plecy latającego stwora.

Przez krótką chwilę samolot pikował do ziemi, pchając przed sobą jaszczura, który nie mógł się wyplątać z nowej pozycji. Silnik zaczął się dymić, karabiny pod dziobem terkotały

bez przerwy z przyłożenia w podbrzusze stwora i przestały dopiero, gdy pilot i bestia rozbili się o ziemię.

– Bohater – parsknął szyderczo Heinrich i rozejrzał się po najbliższym otoczeniu.

Trzask tłuczonego szkła był potworny. Dźwięk przebił się przez nagle rozszczelnioną kabinę. Wewnątrz kokpitu zapachniało silnie wilgotną ziemią, a po chwili doszedł smród, który towarzyszył polom bitew od czasów Sumerii.

– *Dołącz do nas, a razem, wspólnymi siłami zniesiemy podziały!* – ryknęła najeżona kolcami sylwetka Karmazyna o twarzy sępami.

Stwór wyglądał jak najeżony oczami i dziobami ptak, jednak poruszał się na dwóch nogach i miał świder zamiast jednej ręki. Wyglądało to, jakby ktoś w trakcie projektowania dał się ponieść fantazji i zapomniał o budżecie.

Heinrich zdjął rękę z drążka, wyjął rewolwer po Wołku z kabury i strzelił trzy raz w trzy różne oka ptaka. Zwierzę zastygło na moment w bezruchu, więc pilot podciągnął się na wiszącym pod sufitem uchwycie i wykopał cielsko poza obręb kokpitu.

Kilku najbliższych Karmazynów dostrzegło wyrwę w ochronie pilota i teraz z jeszcze większym zacietrzewieniem próbowały dostać się do środka, wspinając się po wysokich, stalowych nogach, chwytając za wystające płyty pancerne i krawędzie.

– Jedyne towarzystwo jakie mam – szepnął pozornie do nikogo Knothe. – Potwory, skurwysyny i wariaci.

Zachrzęściły stawy, zasyczały siłowniki i zaraz jeden z kłębków zębów i bordowego futra wylądował pod trójpalczastym butem Husarza. Knothe obrócił maszyną, wygiął ramię do ziemi i ściągnął brutalnie jednego ze wspinaczy z łydki. Nabity na ostrze, przerośnięty kot po prostu ześlizgnął się w błoto, brocząc krwią.

Wtem krzyk, ale nie ryk bestii, skowyt koszmarnej chimery czy wycie potwora, ludzki krzyk przerażonego chłopaka.

Knothe spojrzał w bok peryskopem i dostrzegł młodego piechura, chowającego się pod wozem amunicyjnym. Dookoła młodziaka biegał i węszył stwór, przypominający długiego, włochatego węża z Karmazynową flagą, zwisającą od pyska do ogona.

– Kurwa, po co, do chuja, po co?! – warknął sam na siebie Knothe i wprawił Husarza w ruch.

Wąż wykręcił się o sto osiemdziesiąt stopni i do góry nogami spojrzał na ukrytego pod wozem chłopaka. Ten drugi nawet nie bronił się, a jedynie zasłaniał rękoma i nogami, lamentując falsetem.

Karmazyn otworzył paszczę i pokazał jęzor, na którego końcu widniało jedno, żółte oko. Już miał owinąć się wokół ofiary, gdy nagle zaskrzeczał żałośnie.

Ostrze przeszło przez czaszkę i wbiło się w ziemię. Husarz naparł mocniej i spróbował chlasnąć drugą ręką, ale ta jakby zacięła się w pół ruchu i zmieniła w metronom, huśtający się w lewo i w prawo.

– Wypierdalaj! – krzyknął Heinrich do mikrofonu, po czym po prostu wychylił głowę przez uszkodzoną szybę i powtórzył. – No spieprzaj stamtąd gówniarzu, bo jak nie on to ja cię osobiście wpierdolę na obiad!

Chłopak jednak po prostu zawinął się w kłębek i dalej się trząsł ze strachu. Gdzieś nad nim przeleciały szrapnele z granatu. Parę odłamków wbiło się w szybę kabiny Heinricha. Ktoś puścił długą serię, kilka pocisków rykoszetowało niebezpiecznie blisko wozu, omal nie trafiając młodzieńca.

– No na co cze…

Heinirch nie zdążył dokończyć, a przynajmniej sam siebie nie usłyszał. Huk haubicy Młota, który stał obok, zwyczajnie go ogłuszył. Chmura dymu uniosła się w powietrze, zasłaniajac przez moment wizję pilota.

Gdy zamykał oczy, widział własne naczynia krwionośne pod powiekami. Głowa opadała mu na bok ze zmęczenia, ale nic się nie zmieniało, bo tak wyglądał świat. Rzeczywistość kiwała się co chwile i była zalana na zmianę krwią i Karmazyną.

Pilot doszedł do siebie w końcu i dostrzegł, że chłopaka ani węża nie ma już pod wozem. Jest tylko Knothe, którego pancerz przebija bronią ziemię, a po ostrzu spływa czerwona struga.

W powietrzu rozległ się znajomy, charakterystyczny świst spuszczanych bomb. Seria rozbłysków zagrała na ciele ogromnego gada, który rozbił zewnętrzną bramę. Wielotonowe

kawałki mięsa i kości pofrunęły na setki metrów, rozbijając się o oddziały własne i wraże. Wszystko śmierdziało zgnilizną i pieprzem.

Gigant przypadł na tylne łapy, wziął głęboki oddech i ryknął.

– Ani kroku w tył!

Heinrich rozejrzał się po okolicy. Ziemia roiła się od trupów, w lejach artyleryjskich przelewały się jeziora błota i krwi, które co chwila łączyły się z następnymi albo dzieliły na mniejsze rzeki i zalewy.

Przed oczami pilota mignęła postać, ubrana na biało, masywna, wysoka i spowita stalowymi elementami pancerza. Wysoka na dwa metry ludzka sylwetka z opancerzoną maską przeciwgazową na twarzy i wymalownymi słowami modlitwy dookoła czarnego krzyża na napierśniku kombinezonu.

Mgnienie oka Knothe skrzyżował swoje spojrzenie z nieznajomym w pancerzu wspomaganym. Rzadki widok, właściwie zdarzyło mu się widzieć coś takiego tylko na defiladach wojskowych, gdyż nigdy by nie wysłano na front kogoś z oddziałów specjalnych. A teraz tak po prostu widział taką osobę własnymi oczami, gdy dookoła wrzała bitwa.

Intensywnie zielone szkła maski błysnęły refleksami światła i zaraz skierowały się w stronę gigantycznego potwora.

Knothe w ciszy spoglądał, jak z nadludzką prędkością nadczłowiek biegnie przez pole walki, oszczędnie obdarza Karmazynowe twory strzałami z pistoletu maszynowego i mknie dalej, aż do najstraszniejszego z nich.

Sylwetka człowieka wydawała się śmiesznie drobna obok kilkunastu metrowego stwora, któremu najbliżej byłoby do biblijnego smoka. Paskudna bestia tryskała litrami krwi, jej wnętrzności wypływały na widok, a mimo to ten sam gadzi pysk zdawał się niewzruszony i pewny zwycięstwa.

Aż do momentu, gdy drobina pyłu w postaci krzyżowca podbiegła do jednej łapy, przeskoczyła nad wykrotem po skalnym odłamku i dobiegła do następnej, by zaraz uciec. Gdy była już w bezpiecznej odległości, stało się coś niezwykłego.

Nasady nóg gada eksplodowały białymi płomieniami. Kule Rosenberpanu wchłonęły fundamenty, na których opierał się mięsny kolos i objęły go zaraz coraz to łapczywszym, ryczącym inferno.

– *Jego się nie boicie…* – chciał po raz ostatni zawołać stwór, ale zamiast tego zapadł się na ziemię, przygniatając oddziały, które do tej pory znosiły dla niego ofiary.

Knothe widział, jak po ludziach przeszedł dreszcz podniecenia. Ich oczy dosłownie błysnęły nową energią, jakby upadek nieprzyjaciela dał im namacalną siłę. Przez pole bitwy przetoczył się gromki okrzyk szczęścia, zagrały nowe serie karabinów maszynowych, ludzie naparli w kierunku obalonej bramy.

Knothe zasępił się na moment, w jego kierunku rzucił się jakiś patyczkowaty twór, krzyczący coś o szczęściu i pokoju. Pilot po prostu przestawił dwie wajchy i urwał mu łeb, nim ten zdążył się zbliżyć. W jego głowie roiły się myśli, z którymi nie wiedział co zrobić.

Dla Heinricha wojna była zawsze celem samym w sobie. W wojnie szukał destrukcji siebie, nie widząc innego znaczenia. Nic nie miało znaczenia, więc nic nie miało wartości, a jeśli nic nie miało wartości, to mógł robić cokolwiek. Jednak zobaczenie aktu bohaterstwa, który nie skończył się wyjątkową katastrofą, ani chichotem losu, było czymś nowym.

– Boże, gdzie jesteś w takich chwilach? – mruknął sam do siebie. – Daj mi chociaż jedno słowo.

Od bramy wewnętrznej aż daleko hen za przedpola miasta pomknął jeden, gromki okrzyk, kłujący w samo serce.

– *Chwała rewolucji!*

* * *

Odnowioną ulicą świętego Wincentego biegli już na najwyższych obrotach. Z każdej strony mijali ich żołnierze, nieumiejący zrozumieć widoku. Wszyscy krzątali się jak robotnice w ulu, by ugasić pożary, ocalić rannych i uporządkować chaos, pustoszący wewnętrzny krąg stołecznego miasta.

Z terenu upadku sterowca nadal dobiegały wieści o kolejnych stratach. Pożary rozszerzały się w zastraszającym tempie, zmuszając obrońców z wewnętrznego muru do porzucenia broni na rzecz łopat i noszy.

Sanata biegł krzywo, jakby wreszcie zaczął odczuwać skutki walki. Może jeszcze w czasie głównej potyczki na placu zamkowym, a może, gdy biegli przez aleje kamienic. W każdym razie – któryś z pocisków czy odłamków sojuszniczych salw, musiał go wreszcie uszkodzić na tyle, by zwolnił.

Przed nimi rozciągał się wysoki na dwadzieścia jeden metrów mur Warszawa–01.

Gigantyczny, majestatyczny, prawie doskonale biały kolos najeżony działami, z których część była wielkości lokomotyw pociągowych. U szczytu uwijały się tysiące żołnierzy, a to tylko na jednym odcinku. Windy towarowe wciągały na mur kolejne machiny wojenne, które wyglądały na nich jak miniaturowe zabawki.

– Jeśli wbiegnie na mur, to przegraliśmy sprawę.

– W takim razie nie pozwolimy na to.

– Nadal możemy się wycofać.

– Tchórz cię obleciał?

– Nie… Rozsądek. Pamiętasz, jak mówiłeś o przeczuciach? To teraz ja mam swoje.

Lew przyśpieszył. Łapy ledwo nadążały wymieniać się między sobą, orząc asfaltową arterię szerokości kilku pasów. Czuł, jak pędzi, osiągając prędkość wysoce przekraczającą galopy najszybszych machin kroczących.

Dość przytomni z obrońców orientowali się, z czym mają do czynienia i próbowali strzelać z broni osobistej – na próżno. Wystrzały nawet nie nadążały za migającym w polu wzroku stworzeniem, a co dopiero, gdyby miały go trafić.

Sanata dobiegł do fundamentów osłon, wskoczył na drewnianą platformę i zamachał ręką w górę. Na szczycie zawrzało, wciąż nie zaczęto wciągać marszałka, nie wiedzieli, co się dzieje i czemu paradna maszyna naczelnika jest tutaj.

Lew dognał tak blisko jak mógł, spiął się i skoczył.

Dźwig zaczął powoli, ospale wznosić stalową konstrukcję w górę. Przyspieszał z każdą chwilą, próbując odsadzić czcigodnego od ziemi.

Ktoś z murów przesunął na szynach działo przeciwlotnicze, wykręcił obrotową czterolufową maszyną do ziemi i zaczął strzelać w intruza.

Pociski grubości dwóch palców mijały w locie majestatycznego kota, całkowicie dziurawiąc drogę za nim.

Platforma zakołysała się jak statek na morzu, wzburzonym sztormem. Wielotonowy kocur obrócił się i wyszczerzył do kroczącej machiny marszałka, próbującego znaleźć cokolwiek, nadającego się na broń.

Izydor nie czekał, nie namawiał i nie apelował o żadne negocjacje. Było na to za późno. Właściwie czuł, że to już koniec. Liczył przynajmniej na to, że może z tego zrobić uczciwą wymianę hetman za gońca.

Pazury zleciały z góry, nabijając się na wystawione ramie Sanaty. Zazgrzytał metal, jęknęły siłowniki. Kłęby oparów uniosły się z dyszli na plecach marszałkowskiego pojazdu.

Dookoła gwizdały pociski, ktoś pruł serią z góry, ale po chwili przestał, gdy pierwsze z nich poznaczyły kabinę Józefa pajęczynami pęknięć.

Lew mruknął coś zadowolony i wygiął się, przygniatając machinę ciężarem swojego ciała. Ciśnienie w stawach kolanowych Marszałka wzrosło. Sanata ugiął się i opadł na kolana, choć kiedyś w planach było, aby maszyna posiadała blokadę, by nie dopuścić do takiej upokarzającej sytuacji.

Pragmatyzm wyjątkowo wygrał nad symboliką, co ocaliło życie pilotów.

Lewa noga obróciła się w przykucnięciu, prawa wyprostowała i podcięła łapy lwa. Ten ryknął i upadł na bok, robiąc dziurę w wysokiej barierce bezpieczeństwa.

Sanata wyprostował się, stanął okrakiem nad lwem i jedną ręką chwycił go za kark. Zabuksowały siłowniki, para zgęstniała, chrupnęły kości i w końcu Izydor jęknął z bólu.

Wtem, grzywa stworzenia niespodziewanie zafalowała, wygięła się jak ciepła modelina i wpuściła palce maszyny w swoje trzewia. Sanacka dłoń zagłębiła się w sploty stawów i żył,

a po chwili zniknęła, dosłownie pochłonięta. W miejscu, gdzie przed chwilą był pseudo obojczyk kota, teraz ziała otchłań drobnych kłów.

Maszyna odsunęła się, próbując złapać równowagę mimo dwóch kikutów w miejscach kończyn. Ktoś bohatersko zeskoczył z góry na platformę w akcie sukursu. Przetoczył się i zamarł w bezruchu, nienaturalnie wygięty.

Król marionetek odzyskał poprawną postawę, potrząsnął łbem i przystanął na dwóch łapach. Klatkę piersiową miał szeroką, zwierzęcą, ale kończyny już prawie ludzkie. Wyglądał jak zwierzoludź ze starych bajek folklorystycznych, którymi straszono dzieci.

Teraz to marszałek miał się czego bać.

Długi, sierpowaty szpon z Karmazynu rozbił kokpit przywódcy narodu. Czerwona, pulsująca igła nanizała powoli klatkę piersiową marszałka i uniosła w górę. Krew splamiła najświętsze serce czcigodnego wodza i opadła z muru długim, łabędzim lotem.

– Jedno słowo Józefie, a puszcze wszystkich wolno.

Marszałek zamknął swoje przenikliwe, błękitne oczy. Zawarł usta i spiął się, próbując stłumić grymas bólu. Nie patrzył na potwora ze Wschodu, nie słuchał go, nie wchodził z nim w polemikę do samego końca. Nacisnął przycisk na buławie.

Platforma dosięgła szczytu, wznosząc dwunogiego lwa na najwyższy poziom murów. Setki żołnierzy celowały z pistoletów, strzelb, karabinów, dział, wież przeciwlotniczych i miotaczy wprost w intruza.

Izydor na moment zastygł w bezruchu. Zdał sobie sprawę z tego co się działo.

Słońce przyglądało się wszystkiemu z góry, zza gęstego całunu padlinożerców. Minęło zaledwie kilka godzin od południa. Niebo zasnute było latającymi, tlącymi się kawałkami tkanin. Pył, popiół i odłamki tynku, były częścią pogody. Niebo było czarne i czerwone.

Po ziemskim firmamencie nadal przetaczały się dwa, pękate sterowce, bombardując na oślep przedpola muru zewnętrznego. Ten już był przerwany w kilku miejscach, pozwalając Warszawie nabrać wody jak dziurawy okręt. Karmazyn wlewał się z każdej strony.

Szkarłatne stwory liczyły dziesiątki, może setki tysięcy sztuk. Rozlewały się po horyzont. Pochłaniały dosłownie wszystko na swojej drodze. Różniły się kształtem, wielkością, wyrazami twarzy czy ich ilością lub brakiem. Ponad linię woskowych lalek, wystawały momentami stworzenia tak ogromne i niepojęte, że zmuszały do odwrócenia wzroku, by nie stracić zmysłów.

Zwierzęta, ludzie, przedmioty – wszystko było w repertuarze pochodu Karmazynu.

Polacy nie pozostawali dłużni. Około trzynastu tysięcy żołnierzy, ściągniętych jeszcze przed oblężeniem, przybyło by bronić stołecznego miasta. Kroczące machiny dreptały przez pola bitew, siejąc spustoszenie wśród wrażych wojsk. Rosenberpan sięgał nieba, momentami otaczając całkowicie i odcinając poszczególne oddziały od reszty armii.

Symfonia kalibrów wydawała się najbogatszym spektrum dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszał Izydor w całym swoim życiu. Krzyki, jęki bólu, rozkazy, zawołania rewolucji, groźby, lamenty, prośby, skargi, modlitwy zlewały się w jedną, dziwacznie spójną melodię wojny.

Czuł się połączony z tym, jakby to był jego żywioł. Gdzieś głęboko tliła się w nim tęsknota, coś kazało rzucić się z muru. Skoczyć między grenadierów, rozerwać każdego na strzępy, wdusić Karmazynę w serca ludzi i ujednolicić wszystko co żywe i martwe.

– *Chwała rewolucji!* – ryknął z całych sił.

Zamrugał.

Na jego długiej, szpiczastej i obcej dłoni wisiał marszałek Józef Piłsudski. Był coraz chłodniejszy, krew sączyła się powoli wzdłuż błękitnego munduru. Żołnierze patrzyli z nienawiścią, niedowierzaniem, żalem, ze łzami w oczach.

A w tym wszystkim kapitan wojska polskiego Izydor Murykiewicz. Czuł jak widzą jego twarz, splamioną krwią rodaków.

Skoczył przed siebie.

Ciało marszałka zjechało po kolcu i upadło na blanki. Izydor już na to nie baczył, wyobrażał sobie, że z jego pleców wyrastają skrzydła, a on sam leci.

Huk, ciemność i ból. Nie było żadnych skrzydeł. Był dzwoniący łoskot w uszach i jeszcze więcej bólu. Dopiero po chwili zrozumiał, że ordynarnie uderzył w ziemię i żadne skrzydła go nie uratowały.

Z trudem zerwał się z ziemi i spojrzał na swoje Karmazynowe dłonie, które przelewały się, zmieniały, ale nie słuchały go, jak należy.

– *Lew?* – spytał Izydor w pustkę.

Obok niego stał wąsaty, starszy wachmistrz z karabinem. Najpierw myślał, że to jakiś kawał mięsa spadł z nieba, po chwili dopiero zrozumiał, że czerwony twór żyje.

Kula przeszła przez wielkie płuca Izydora, zamkniętego w Karmazynowym ciele. Ból był jak najbardziej prawdziwy. Ciemna krew polała się ciurkiem, a zaraz obok dziury pojawiła się następna do wtóru strzału.

Kapitan zerwał się z miejsca i pobiegł przed siebie.

Mijał zdezorientowanych żołnierzy, głównie rannych i serwisowane w polowych warunkach maszyny. Tyły polskiego wojska były pełne ekip sprzątających z miotaczami Rosenberpanu i wściekłych weteranów.

Pociski świstały z każdej strony i choć Karmazynowy stwór biegł tak szybko, jak mógł, to część z nich nadal go trafiała, pozbawiając tchu i rwąc kawałki ciała.

– *Nie zostawiaj mnie!* – krzyknął Izydor w myślach, po czym stanął jak wryty.

Potworny huk i świst wypełniły jego głowę. Tuż przed nim przemknął pociąg pancerny, osłaniający ogniem żołnierzy ze swojego torowiska. Nikt pewnie nigdy się nie spodziewał, że rozstawiona między murami linia kolejowa, będzie gościć wielką, pancerną gąsienicę, najeżoną armatami i gniazdami karabinów.

Izydor rozejrzał się dookoła. Wszyscy patrzyli na niego ze strachem albo z nienawiścią. Czuł na sobie kłujące spojrzenia ludzi, którzy widzieli w nim tylko potwora, za to, co zrobił, za to, kim się stał.

Gdzieś tam daleko były Karmazyny, inne, takie jak on, ale inne. Nie czuł żadnego przyciągania, żadnej więzi, ani familiarności. Nikt nie ruszył mu na pomoc ani nie wydawał się

teraz bardziej zrozumiały, niż przedtem. To nadal była brocząca czerwonym woskiem fala koszmarów, która zalewała miasto, niezależnie od tego, co krzyczała.

Pociąg przejechał, droga była znów wolna. Izydor był świadom, że nadal może po prostu uciec poza mury, by tam spokojnie pomyśleć…

Świadomość zniknęła wraz z czuciem w lewej ręce.

Kończyna pofrunęła w niebo, koziołkując i tryskając gęstą posoką na wszystkie strony. Nim opadła do ziemi, zdezorientowany Izydor poleciał na plecy, zmieciony potężnym kopnięciem w brzuch.

– Cud… – dobiegł Izydora przytłumiony głos z daleka.

Murykiewicz spróbował wstać. Całe ciało rezonowało bólem, a ucięta kończyna nie regenerowała się sama z siebie. Wszystko bombardowało jego mózg sygnałami o bólu, na zmianę ze sprzecznymi informacjami o tym, co się gdzie znajduje. Propriocepcja oszalała i teraz był tylko balansującym na granicy szaleństwa kokonem mięsa.

Trójpalczasty, stalowy but przydepnął go do ziemi. Przed oczami stanęła mu błyszcząca szkłem przeciwpancernym kabina, odbijając promienie słońca. Niebo rozrzedzało się powoli, gdy następne Karmazynowe ptaki spadały do ziemi lub rejterowały w popłochu.

– Cuda są Izuś, cuda są – powtórzył głos i wtedy Murykiewicz dostrzegł brodatą, poznaczoną Karmazynowymi wybroczynami twarz kaprala Heinricha Knothego. – Nie wierzyłem, że kiedyś cię spotkam, wiesz? Tyle szukałem i na darmo, już straciłem nadzieję.

Stalowe ostrze wbiło się w podbrzusze i przekręciło. Karmazyn jęknął z bólu, oczy zaszły mu różowymi łzami. Jego twarz wyrażała wszystkie ludzkie odczucia, odwzorowując twarz samego Izydora.

– Nie odpływaj mi tylko, dobrze? Nie zmień się w nietoperza ani w pierdolonego kreta i nie spierdol, bo mam ochotę ci wydłubać jaja skurwysynu.

– Za co?

Żołnierze dookoła zaczęli się zbierać w krąg i przyglądać dziwnemu zjawisku. Pierwszy raz zdarzyło się, żeby ktoś przy nich tak bezpośrednio rozmawiał z Karmazynem. Było to absolutnie nielegalne i zabronione, a jednak działo się, było na wyciągnięcie ręki.

Ktoś przystawił do głowy Izydora dyszel miotacza Rosenberpanu. Inny z obrońców trzymał już drżące palce na spuście.

– Jesteś potworem Izydor. Jesteś obrzydliwy i brzydzę się tobą, tak jak ty brzydzisz się mną. Wy nienawidzicie nas, a my was, bo wy jesteście wami, a my nami. Każda sekunda, w której widzę twój skurwiały pysk, jest eonem agonii, spędzonym w czeluściach piekieł.

Trójpalczasty but wzniósł się w górę i opadł na twarz Izydora. Knothe jednocześnie popchnął odrobinę staw biodrowy i całkowicie wyprostował kolanowy, z całą mocą uderzając twarz potwora.

– Nie ma tu żadnej lekcji.

Podeszwa wygięła twarz Izydora w bok, coś chrupnęło w karku.

– Popełniłeś błąd w momencie, w którym im uwierzyłeś.

Głowa ponownie wbiła się w ziemię, roztrzaskana twardą stopą.

– Każda sekunda odkąd pierwszy raz pomyślałeś, że nie mamy racji, była zła. Nigdy nie byłeś bohaterem, nigdy nie byłeś ważny, jesteś tylko pionkiem w ogromnej grze. Ja jestem pionkiem, my wszyscy jesteśmy pionkami! – wykrzyczał z całą mocą Heinrich, ku zdziwieniu okolicznych oddziałów. – Byłeś gotowy oddać wszystko, dobro, honor, wiarę, za obietnice wiecznego odpoczynku. Przyjmuję ofertę. Zabieram teraz wszystko to, w co wierzyłeś, a w zamian dam ci spokój.

But wzniósł się po raz kolejny, tym razem wyżej, lekko wyginając zaostrzoną piętę. Już zaczął opadać z ogromną siłą, gdy nagle głowa Izydora zniknęła.

Karmazynowe ciało zwinęło się w kłębek i spuchło natychmiastowo, zmieniając się w mały, twardy guz.

Momentalnie huknęła salwa, omal nie rozrywając na strzępy ciała Izydora. Ten jednak leżał przygarbiony jak igloo z krwi. Plecy wygięły się, przylgnęły z każdej strony do ziemi i zmieniły w kulisty pancerz, odcinający go od świata.

Prawie doskonała ciemność ledwie przebijała czerwoną poświatą promieni słonecznych, sączących się przez gęstą sieć kapilar. Przez krótki moment Izydor czuł, jak pancerz gęstnieje, a po chwili przestaje się go słuchać i zastyga.

– Karmazyn… Karmazyn, jesteś tu? – Izydor szarpnął się, wiedział, że traci panowanie nad własnym ciałem do końca. – *Cholera, musimy się stąd wydostać!*

Ostatnim ruchem otworzył wielometrową klatkę piersiową, skierowaną do błotnistej ziemi. Żebra rozwarły się, szrama po Rosenberpanie pękła. Wielka cysta przetoczyła się przez organizm od pleców aż do brzucha i ze środka wypłynęła brudna, naga Alicja. Jej całe ciało pokrywały rude pąkle i kościste występy, wyglądała jak przetrawione zwłoki.

Wymienili się półprzytomnymi spojrzeniami.

– Izuś?

Izydor wychylił się z ogromnej głowy i ukazał malutką, ludzką twarz o czerwonych oczach. Ciało marionetkarza nadal gięło się, puchło i falowało pod wpływem bolesnych uderzeń żołnierzy.

– Już dobrze skarbie, jestem tu.

– Co tak łupie?

Murykiewicz wsłuchał się w stukot, rozlegający się w czerni przedziwnego schronienia. Wśród wilgoci i ciemności rozbrzmiewały kolejne, ciche puknięcia roju pocisków. Zasyczał puszczany strumieniem Rosenberpan, lecz nie brzmiało to, jak pożar trawiący ciało Karmazyna, a raczej jak odległy płomyczek.

– Deszcz pada kochanie – wyszeptał łamiącym się głosem.

– Miałam taki straszny sen. Nawet nie uwierzysz jaki długi…

– Cicho, cichutko kochanie. Jestem przy tobie. Pewnie nie będzie następnej okazji, ale tak bardzo za tobą tęskniłem. Przysięgam, że w każdej chwili myślałem tylko o tobie i tak bardzo

żałuję tego, co zrobiłem. Słyszę tylko, jak moje serce bije, gdy mówię, że cię kocham i wiem, że mówię wtedy prawdę. I tylko tego jestem teraz pewien.

Alicja uśmiechnęła się, przewróciła na bok i oparła głowę na wystającym kamieniu.

– Śpiąca jestem, czuje takie ciepło i… Oczy mi się same zamykają.

Kapitan zacisnął powieki, zagryzł wargi do krwi i przez wyschnięte na wiór gardło odpowiedział krótko:

– Śpij. Obudzisz się i już nie będzie padać, obiecuję.

* * *

– Tam nie wolno wchodzić! – zakrzyczała asystentka.

Wzdłuż schodów zbiegał tabun podkutych butów. Ktoś zakrzyczał coś językiem, przypominającym ścierające się koła młyńskie. Szarpnęły wyważane z dużą siłą drzwi bocznego korytarza.

Doktor Aleksander Breza stał przed swoim bujanym krzesłem, dostawionym pod złączone, dwa dębowe stoły. Pod białymi, delikatnymi lampami rozpościerały się ziemie od Uralu do półwyspu Iberyjskiego.

Przetoczył wzrokiem od kilkuset figurek, zajmujących każdy skrawek Azji i ruszył dalej na zachód. Polska leżała przykryta gęstym całunem, przemalowanych na czerwono ludzi, zwierząt i maszyn. W centrum Warszawy widniało kilkanaście czarno–czerwonych figurek, odróżniających się nieco od reszty Karmazynowej fali.

Te dziwaczne miniatury zwrócone były w każdym kierunku na równi. Wewnątrz kręgu wojsk stał dumnie lew z przytroczonym sztandarem ze złotą gwiazdą. Wszędzie dookoła rozlewały się kolejne, już w pełni czerwone figurki, zarastające równinę Polski.

Kilka figurek przekraczało granicę Cesarstwa Niemieckiego. Jednak jeszcze przed nimi stała masywna, szara ściana, wystająca ponad linię mapy. Adekwatna ściana stała jeszcze na wschodniej ścianie Polski, jednak kilkukrotnie mniejsza.

Drzwi pokoju rozwarły się pod wpływem nagłego uderzenia. Do środka wbiegło ośmiu żołnierzy, z których każdy mierzył dobre dwa metry. Wszyscy objuczeni byli grubymi,

stalowymi pancerzami. Przy wizjerach masek przeciwgazowych mieli drobne przyrządy celownicze jak jubilerskie lupy. Zza uszu wystawały im krótkie anteny, kończące się wraz z linią potylicy.

Żołnierze otoczyli doktora, mierząc do niego z aerodynamicznych, dziwacznych karabinów, wykonanych z polimerów. W końcu intruz w pikielhaubie postąpił do przodu i zapytał się w ewidentnie nierdzennym angielskim:

– Doktor Aleksander Breza, pójdzie pan z nami.

– Spodziewałem się, proszę opuścić broń – odpowiedział doktor po niemiecku, błyskając rozżarzonymi, czerwonymi tęczówkami.

Przez moment wpatrywał się jeszcze w mapę i z lekkim wahaniem przewrócił figurkę lwa na ziemię. Chwycił w dwa palce białą figurkę w kitlu, przeniósł na miejsce Berlina i zatrzymał się na moment.

Był w tym wszystkim powolny, śmieszny, jak dziecko zafascynowane własną zabawą.

– Po drodze odwiedzimy jeszcze mojego serdecznego przyjaciela, profesora Siergieja Piotrowicza Mielnikowa.

– Obawiam się, że nie mamy czasu – odpowiedział zza maski oficer, już w swoim ojczystym języku.

– Cesarz na pewno będzie chciał z pierwszej ręki usłyszeć, jak stworzono waszego nowego sąsiada ze Wschodu. A chyba najlepiej wyjaśni to sam stwórca, prawda?

Żołnierz przez moment wpatrywał się w doktora, aż przytaknął bez słowa.

Aleksander Breza wyszczerzył się, zaklaskał w dłonie i zaczął zdejmować figurki z makiety.